



KREW
MANITOU

GRAHAM MASTERTON



GRAHAM MASTERTON

KREW
MANITOU

Z angielskiego przełożył
PAWEŁ WIECZOREK



Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
MANITOU BLOOD

Copyright © Graham Masterton 2005

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2006, 2018

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Zdjęcie na okładce: © David Paire/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-283-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

O książce

Najsłynniejszy cykl horrorów
Grahama Mastertona

Jasnowidz Harry Erskine po raz kolejny podejmuje walkę z najokrutniejszym i najzłośliwszym z indiańskich demonów, Misquamacusem, który pojawia się we współczesnym świecie w przeróżnych wcieleniach. Do cyklu należą powieści: Manitou, Zemsta Manitou, Duch zagłady, Krew Manitou, Armagedon oraz Infekcja.

KREW MANITOU

Do nowojorskiego szpitala trafia kobieta, która wymiotuje krwią. Lekarze nie są w stanie znaleźć przyczyny, badania wykazują jednak, że to nie jej krew. Wkrótce szpital zapełnia się pacjentami, którzy dokonali mordów, by ugasić potworne pragnienie. „Wampirza epidemia” wywołuje panikę w mieście. Harry Erskine nie wierzy w racjonalne wyjaśnienie, że chodzi o wirusa. Ma dowody, że zadziałały siły nadprzyrodzone. I wciąż działają, na coraz większą skalę. Taką siłą wykazał się dotąd tylko Misquamacus. Tylko że ten okrutny demon został już przecież ostatecznie pokonany...

grahammasterton.co.uk
grahammasterton.blox.pl

GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem Manitou (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawiane Magia seksu i Potęga seksu. W ostatnim czasie Graham Masterton skupił się na kontynuacji cyklu kryminałów z Katie Maguire, do którego należy siedem powieści: Białe kości, Upadłe anioły, Czerwone światło hańby, Uznani za zmarłych, Siostry krwi, Pogrzebani i Martwi za życia.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

O książce

O autorze

ROZDZIAŁ 1 – Badanie krwi

ROZDZIAŁ 2 – Pragnienie krwi

ROZDZIAŁ 3 – Krwawiący korzeń

ROZDZIAŁ 4 – Krew na Siedemnastej Ulicy

ROZDZIAŁ 5 – Miasto krwi

ROZDZIAŁ 6 – Pragnienie krwi

ROZDZIAŁ 7 – Granica krwi

ROZDZIAŁ 8 – Krwawa łąźnia

ROZDZIAŁ 9 – Krew i grzmot

ROZDZIAŁ 10 – Krwawy siniec

ROZDZIAŁ 11 – Gorączka krwi

ROZDZIAŁ 12 – Bracia krwi

ROZDZIAŁ 13 – Krwawe polowanie

ROZDZIAŁ 14 – Krew Draculi

ROZDZIAŁ 15 – Zimna krew

ROZDZIAŁ 16 – Temperatura krwi

ROZDZIAŁ 17 – Krwawy księżyc

ROZDZIAŁ 18 – Brat krwi

ROZDZIAŁ 19 – Pakt krwi

ROZDZIAŁ 20 – Strumień krwi

ROZDZIAŁ 21 – Krwiobieg

ROZDZIAŁ 22 – Grupa krwi

ROZDZIAŁ 23 – Krew Manitou

Przypisy

ROZDZIAŁ 1

Badanie krwi

Ledwie minęła jedenasta rano, a słońce już waliło w chodniki niczym kowalski młot.

Kiedy doktor Winter, ubrany w nieco za duży brązowy lniany garnitur i zielone okulary przeciwsłoneczne w stylu filmu Matrix, przechodził przez Herald Square, ujrzał zebraną pod supermarketem grupką ludzi. Z początku sądził, że oglądają nową wystawę, potem jednak zauważył, że przed sklepem występuje mim.

Frank Winter zawsze czuł irracjonalną niechęć do mimów, żonglerów, klaunów i wszelkich innych ulicznych artystów. Zawsze podejrzewał, że za namalowanymi na ich twarzach uśmiechami ukrywa się coś przebiegłego, złośliwego, gotowego w każdej chwili zrobić jakąś szkodę. Ale ten artysta przykuł jego uwagę. Była to dziewczyna — bardzo szczupła, drobnokoścista, w jednoczęściowym stroju z ciasno opinającej ciało srebrnej tkaniny. Jej obcięte niemal przy skórze włosy też były pomalowane na srebrno.

Frank zatrzymał się i zaczął ją obserwować. Materiał tak dokładnie obejmował jej ciało, że równie dobrze mogłaby być naga. Miała małe piersi z wystającymi sutkami, a pośladki szczupłe i nabite jak u chłopaka. Srebrna farba pokrywała dokładnie twarz o wyrazistych rysach, niemal piękną, choć było to piękno wychudzonego, porzuconego dziecka, nie zakrywała jednak bladobłękitnych, przenikliwych oczu.

Uwagę Franka zwrócił nie tylko jej wygląd, ale także niezwyklej numer, który wykonywała. Ciało dziewczyny bujało się na boki, tak jakby nie istniała grawitacja. Potem zaczęła się pantomimicznie wspinać i jakimś sposobem wyglądało to, jakby naprawdę wspinała się po drabinie. Ale na szczycie tej wyimaginowanej drabiny zachwiała się i niemal straciła równowagę. Dwójka dzieci, stojących w obserwującej ją grupie ludzi, cofnęła się odruchowo — jakby srebrna postać miała na nie spaść z wysokości kilku metrów.

Słońce tak przypiekało Frankowi potylicę, że przycisnął do niej dłoń. Musiało być prawie trzydzieści pięć stopni Celsjusza, a wilgotność powietrza z pewnością wynosiła nie mniej niż osiemdziesiąt pięć procent. Kiedy szło się po mieście, podeszwy obklejał asfalt, a wszyscy ludzie — podobnie jak ci, którzy stali teraz wokół niego — byli ubrani głównie w T–shirty, szorty i sandały i wściekle wachlowali się gazetami i przewodnikami turystycznymi. Upał trwał już ponad tydzień — od drugiego sierpnia — a meteorolodzy przepowiadali najdłuższą falę upałów w Nowym Jorku od tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku.

Stojąca na szczycie wyimaginowanej drabiny dziewczyna objęła się rękami i zaczęła dygotać, jakby marzła. Choć słońce prażyło, Frank niemal poczuł falę chłodu — jakby ktoś otworzył tuż za nim lodówkę. Odwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

— Niezła jest, co? — zagaił.

Mężczyzna wyglądał na Włocha, może na Greka. Miał brodę, płaski, przypominający dziób rybołowa nos i wyłupiaste brązowe oczy, a z jego ucha zwisał dziwny kolczyk, nieco podobny do indiańskiego „łowcy snów” — sporządzony z piór, pereł i haczyków na ryby. Uniósł brwi i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

Frank nie był pewien, czy mężczyzna go zrozumiał.

— Mam na myśli sposób, w jaki drży. Sprawia, że... naprawdę robi mi się zimno.

— Jest jedną z białych — odparł mężczyzna z uśmiechem. — To dlatego.

— Białych? — powtórzył Frank i pokręcił głową.

— Chętnie bym to panu wyjaśnił, ale prawdopodobnie by mi pan nie uwierzył.

— Niech pan spróbuje. Jestem lekarzem, a ludzie w tym fachu są gotowi uwierzyć niemal we wszystko.

Dziewczyna zaczęła schodzić z wyimaginowanej drabiny. Kiedy „zeszła”, usiadła na leżącym na chodniku czerwono–żółtym dywaniku i zaczęła wykręcać ręce i nogi, aż zamieniła się w ludzki supeł. Gdyby Frank nie widział tego na własne oczy, postawiłby wszystkie pieniądze na to, że coś takiego jest niemożliwe z anatomicznego punktu widzenia. Widział jej twarz między powyginanymi nogami. Była pozbawiona jakichkolwiek emocji, jakby jej dusza przebywała gdzieś bardzo daleko, ale oczy

zdawały się w jakiś niepojęty sposób grozić Frankowi, jakby nakazywała mu się trzymać z dala od siebie.

Przetoczyła się kawałek po chodniku jak wielka piłka, po czym jednym płynnym ruchem jej ręce i nogi rozplatały się i dziewczyna stanęła nieruchomo, z szeroko rozpostartymi ramionami. Ludzie z otaczającej ją grupki zaczęli klaskać, a dwóch pracowników w mundurach elektrowni głośno gwizdnęło.

Do pomalowanej na srebrno puszek wpadały kolejne monety i tłumek stopniowo się rozpraszał, ale dziewczyna nie odchodziła. Opierała się obydwoma rękami o okno supermarketu i głęboko oddychała. Mężczyzna o greckim wyglądzie też nie odchodził.

Frank zdjął przeciwsłoneczne okulary. Widział swoje odbicie w szybie za sylwetką dziewczyny — wysoką, barczystą postać z zaczesanymi do tyłu, ostrzyżonymi na jeża włosami, które zaczynały siwieć na skroniach.

— Dość niesamowite przedstawienie — powiedział. — Jestem lekarzem, ale jeszcze nigdy nie widziałem nikogo, kto potrafiłby się zwinąć w taki sposób.

Dziewczyna odsunęła się od okna i odwróciła. Zlustrowała Franka od stóp do głów, jakby wiedziała, kim jest, nic jednak nie powiedziała. Frankowi przyszło do głowy, że być może dlatego jest taka dobra jako mim, bo jest niemową. Popatrzył na mężczyznę o greckim wyglądzie, ten jednak najwyraźniej nie był zainteresowany włączaniem się w konwersację.

— To naprawdę świetny pokaz — powiedział z zakłopotaniem — ale muszę już iść.

Wyjął z kieszeni dolarowy banknot i pochylił się, aby wrzucić go do puszek, kiedy dziewczyna nagle przyłożyła dłoń do gardła i zaczęła rzezić. Na całkiem sztywnych nogach zrobiła krok w stronę Franka, potem jeszcze jeden. Z początku uznał, że to kolejny element przedstawienia, ale po chwili zobaczył, że ma szeroko otwarte oczy i otwiera, a potem zamyka usta, jakby nie mogła oddychać.

Zaraz potem zwymiotowała krwią. Chlusnęła z niej jasno-czerwona, chlupocząca fontanna, która zalała chodnik i ochlapała Frankowi buty. Dziewczyna odchyliła głowę do tyłu i opadła na kolana. Frank ukląkł obok i objął ją ramieniem.

— Co się stało? Jest pani chora? Rozmawiała pani z lekarzem?

Dziewczyna pokręciła głową. Wyglądała na przerażoną.

— Niech pan zadzwoni pod dziewięćset jedenaście! — krzyknął Frank do mężczyzny o greckim wyglądzie. — Proszę, żeby zadzwonił pan... — Gdy nie otrzymał odpowiedzi, rozejrzał się, ale tamten właśnie oddalał się pospiesznie. — Proszę pani, zadzwonię po karetkę, żeby zawieźli panią do szpitala — oznajmił i sięgnął do kieszeni po telefon.

Dziewczyna skinęła głową. Chyba zamierzała coś powiedzieć, zamiast tego jednak zwymiotowała kolejną porcję krwi, która zmoczyła Frankowi rękaw. Kilku przechodniów stanęło, aby im się przyjrzeć, ale większość ludzi starała się trzymać z daleka — przechodzili nawet na drugą stronę ulicy. Frank nie miał do nich pretensji — byli oboje tak zakrwawieni, że wyglądali, jakby pobili się na brzytwy.

Jedyne, co mógł zrobić, to uklęknąć obok dziewczyny, trzymać ją blisko siebie i patrzeć, jak wyrzuca z siebie krew. Gwałtownie dygotała i wciąż była zimna.

Choć prawdopodobnie nie trwało to więcej jak dziesięć minut, miał wrażenie, że minęła godzina, zanim zjawił się ambulans. Słońce tak mocno prażyło, że rozlana na chodniku krew parowała. Usłyszał wycie syreny, zaraz potem trzasnęły drzwi samochodu i zagrzechotały kółka noszy. Ktoś pomógł mu wstać.

Podeszła do niego jedna z ratowniczek i przyjrzała mu się uważnie.

— Jest pan ranny? Proszę pozwolić mi się zbadać.

— Dobra wiadomość jest taka, że jest HIV–negatywna, Frank — powiedział doktor Gathering.

Frank stał przy oknie w swoim gabinecie, który znajdował się na dwudziestym szóstym piętrze budynku szpitala Sisters of Jerusalem, i patrzył w dół, na Zachodnią Trzydziestą Szóstą. Samochody migotały w słońcu, a tłum w dole, składający się z ludzi ubranych głównie na czerwono, żółto i zielono, wyglądał jak rozrzucone żelki.

— A zła wiadomość?

George Gathering otworzył plastikową teczkę, którą trzymał w ręku, i wyjął trzy kartki, na których zapisane były wyniki badań laboratoryjnych.

— Powiedziałbym, że raczej zdumiewająca. Musiała zwymiotować ponad dwa

litry krwi, nie licząc tego, co z niej wyleciało, zanim dotarł do niej ambulans. Powinna nie żyć.

— Wyglądało to na pęknięty wrzód żołądka.

— Z początku też tak sądziłem, ale nie stwierdziliśmy żadnego poważnego uszkodzenia błony śluzowej żołądka, choć moim zdaniem warto zrobić jeszcze jedno prześwietlenie. Nie znaleźliśmy też żyłaków przełyku. Wątroba również jest zdrowa.

— Więc skąd ta krew?

— Jeszcze nie jesteśmy pewni, ale sam najlepiej wiesz, jak wrzody umieją się chować.

— Chyba się zgodzisz, że mimo wszystko to bardzo niezwykle. Zazwyczaj, jeśli pacjent zwymiotuje taką ilość krwi, rzadko udaje się zatrzymać krwawienie.

— Jak powiedziałem, chcę zrobić jeszcze jedno prześwietlenie. Są jednak jeszcze inne niezwykle objawy.

— Tak? Na przykład?

— Jak na kobietę w jej wieku, ma poważnie zaburzoną chemię trawienia. Jej błona śluzowa żołądka wydziela mniej mukoproteiny niż u osiemdziesięciolatki. Co oczywiście oznacza, że nie wchłania witaminy B dwanaście.

— Więc ma anemię?

— Zgadza się, ale to nie wszystko. Jest też, może właśnie z tego powodu, nadwrażliwa na światło dzienne. Zmyliśmy z niej tę srebrną farbę i kiedy chcieliśmy ją położyć w normalnej sali przy oknie, zaczęła tak wrzeszczeć, że musieliśmy ją przenieść do izolatki i zasłonić wszystkie okna.

— Co mówi o sobie?

— Powiedziała, że nazywa się Susan Fireman, ma dwadzieścia trzy lata i jest na trzecim roku w Beekman College of Art and Design. Mieszka przy Wschodniej Dwudziestej Szóstej z dwiema koleżankami i chłopakiem jednej z nich. Pantomima jest ponoć jedynie zajęciem dodatkowym. Jej dokumentację medyczną ma lekarz rodzinny z New Rochelle, gdzie mieszkają jej rodzice. Próbujemy się z nimi skontaktować. Poza zwykłymi chorobami wieku dziecięcego podała tylko bolesne miesiączki i alergię na szybkozwary.

— Rozmawiałaś z jej rodzicami?

— Jeszcze nie. Prosiła, żeby tego nie robić. Twierdzi, że ojciec jest poważnie chory na serce i nie chce go martwić.

— Rozumiem. Była ostatnio za granicą?

George zajrzał do swoich notatek.

— W październiku pojechała do Meksyku... była przez jedenaście dni w Cancun.

— Czy ktoś z jej przyjaciół albo znajomych na coś chorował?

— Nic o tym nie wie. Jest jednak jeszcze jedno: ma powtarzający się koszmarny sen.

— Koszmarny sen? Od nocnych koszmarów nie wymiotuje się krwią.

— Oczywiście, ale panna Fireman z jakiegoś powodu uważa, że to ważne. Ten sen pojawia się każdej nocy od ponad miesiąca. Za każdym razem jest taki sam.

— Mów.

— Wydaje jej się, że znajduje się na jakimś statku, gdzieś pośrodku oceanu. Jest zamknięta w skrzyni i nie może się wydostać.

— To wszystko?

George zamknął teczkę.

— Wszystko. Ale twierdzi, że jest to tak realistyczne, że woli w ogóle nie spać.

— Rozumiem — mruknął Frank. Przypomniał mu się dzień, w którym ojciec zabrał go po raz pierwszy do cyrku — miał wtedy jakieś pięć lat — a tam podszedł do niego klaun i wydarł mu się prosto w twarz. — Miewałem podobne koszarne sny.

Dał swojej asystentce Marjorie wolny dzień, aby mogła odwiedzić swoją starzejącą się matkę w Paramus. Założył okulary od Armaniego, aby sprawdzić w komputerze pocztę, choć w większości był to spam z firm farmaceutycznych. Potem zaczął przeglądać zwykłe listy, odrzucając ulotki reklamowe i rozrywając te, które wyglądały tak, jakby mógł się w nich znajdować czek. Zadzwoił na pediatrię, aby sprawdzić, kiedy ma tam dziś przyjść na konsultację (okazało się, że za piętnaście czwarta, na piętnastym piętrze), potem poszedł do automatu, z którego wziął podwójnie mocne espresso, i zjechał na dziesiąte piętro, by odwiedzić Susan Fireman.

— Modłę się, aby ten upał wreszcie zelżał — powiedziała siostra Dominica, z którą spotkał się w windzie. — Musiałam dziś rano jechać metrem i jestem głęboko przekonana, że nasz Pan chciał mi pokazać, jak wygląda piekło... na wypadek gdybym miała ochotę zgrzeszyć.

Siostra Dominica ważyła ponad dziewięćdziesiąt kilogramów, a jej blada twarz przypominała gruzłowaty ziemniak z Idaho. Kiedy drzwi windy się otworzyły i do środka wcisnęli się kolejni ludzie, Frank pomyślał, że może i miałyby ochotę pogrześcić, tylko gdzie miałyby znaleźć kogoś, z kim mogłyby to robić?

Poszedł jasnym korytarzem do pokoju numer piętnaście sześćdziesiąt sześć. Drzwi były uchylone, a Susan wyglądała na głęboko uśpioną, więc bez pukania wszedł cicho do środka. Żaluzje były opuszczone, ale na ścianie trzepotała plama światła w kształcie ćmy, oświetlając postać stojącego nad jeziorem Genezaret Jezusa. Klimatyzacja została tak ustawiona, że było tu zimno jak na Alasce i Frank nie mógł powstrzymać dreszczy — podobnie jak Susan Fireman na szczycie swojej wyimaginowanej drabiny.

Podszedł do boku łóżka i popatrzył na chorą. Oddychała równomiernie, w czym pomagał jej podawany przez rurkę donosową tlen. Była tak blada, że skóra niemal przeświecała i twarz przypominała odlaną z białej stearyny pośmiertną maskę, sprawiała jednak wrażenie spokojnej. Pielęgniarki wy—czesały prawie całą srebrną farbę z jej krótkich ciemnych włosów, ale były wysuszone i poplątane.

Odstawił kubek z kawą na jasnoczerwoną szafkę i popatrzył na zawieszony nad łóżkiem monitor. Ciśnienie krwi było nieco zbyt niskie, a puls za szybki, nie było jednak oznak arytmii. Musnął palcem odpowiednie miejsce na dotykowym ekranie, by sprawdzić poziom dwutlenku węgla we krwi i inne dane, ale nagle uświadomił sobie, że dziewczyna ma otwarte oczy i patrzy na niego.

— O, nie śpi pani... — powiedział, uśmiechając się. — Jak samopoczucie?

— Kiepskie — szepnęła.

— Więc pani mówi?

Kiwnęła głową.

— Tak, ale tylko wtedy, kiedy muszę.

— Nie bardzo rozumiem...

— Jeśli się milczy, nie można kłamać, prawda? No i nikt nie może człowieka źle zacytować.

Skończył sprawdzać parametry.

— Gdybym miał wszystko robić bez słów, chyba bym się długo nie utrzymał w swoim zawodzie.

— O, nawet pan sobie nic zdaje sprawy, jakie to trudne...

— Ale jest pani w tym bardzo dobra — pochwalił Frank. — W innym przypadku nic zatrzymałbym się, by panią oglądać.

— Nie lubi pan mimów?

— Hmm... obawiam się, że wążanie nieistniejących stokrotek i opieranie się o nieistniejące mury nie bardzo do mnie przemawia.

— Rozumiem. Jest pan jednym z tych, którzy nie potrafią uwierzyć, że coś istnieje, dopóki tego nie zobaczą.

— Jeśli chodzi o mury, to zdecydowanie nie.

— A co z drabinami?

— No, może na ułamek sekundy... zgadzam się, sprawiła pani, że uwierzyłem, iż wspina się pani po drabinie.

Uśmiechnęła się słabo jednym kącikiem ust.

— Mogłabym wspiąć się wyżej, ale straciłam cierpliwość.

— W to nie wątpię. — Pochylił się nad nią i zaświecił jej długopisową latarką najpierw w jedno oko, potem w drugie.

— Dba pan o mnie.

— Proszę się nie ruszać. Oczywiście, że o panią dbam. To moja praca. Miała pani szczęście, że najlepszy gastroenterolog zachodniej półkuli był przy pani, gdy zaczęła pani wymiotować krwią.

— Macie już jakiś pomysł, co się ze mną dzieje?

— Jeszcze nie. Ma pani bardzo niskie ciśnienie krwi, co nas bardzo martwi, a liczba białych krwinek świadczy o tym, że cierpi pani na złośliwą anemię, najprawdopodobniej spowodowaną niezdolnością organizmu do wchłaniania

wystarczającej ilości witaminy B dwanaście. Nie mogło to być jednak powodem krwotoku, a jak na razie nic stwierdziliśmy żadnych uszkodzeń przewodu pokarmowego ani żyłaków przełyku.

— Nie jestem pewna, czy to wszystko rozumiem.

— W skrócie oznacza to, że na razie nie wiemy, co pani jest. Odwróciła głowę i spojrzała na obraz z Jezusem.

— Nie sądzi pan, że wygląda na smutnego?

— Czy ostatnio czuła się pani źle? — spytał Frank.

— Właściwie nie. Czułam się jedynie... inaczej.

— Bierze pani jakieś leki? Środki przedwiekowe? Coś przeciwdepresyjnego? Preparaty moczopędne?

— Biorę imbir i krwawnik, na bóle miesiączkowe.

— Rozumiem. A co z alkoholem? Ile pani średnio pije?

— Czasami kieliszek wina, ale niebyt często. Łatwo się upijam, a nie lubię tracić nad sobą kontroli.

— Narkotyki?

— Nigdy. No, może raz... ale to było dawno temu.

— Co z dietą? Jest pani wegetarianką?

Skinęła głową, ale w dalszym ciągu patrzyła na obraz z Jezusem.

— Czasami osoby utrzymujące ścisłą dietę wegetariańską mają niedobór witaminy B dwanaście — wyjaśnił Frank. — Łatwo sobie jednak z tym poradzić, podając tabletki albo zastrzyki.

Zapisał coś w notesie.

— Doktor Gathering powiedział mi, że jest pani bardzo wrażliwa na światło. Od kiedy?

— Nie wiem... chyba od trzech, czterech dni. Może trochę dłużej. Naprawdę nie pamiętam.

— Tylko oczy są wrażliwe czy także skóra? Ma pani wysypkę albo coś podobnego?

Susan Fireman pokręciła głową.

— Nawet jeśli słońce nie świeci, nie mogę wyjść na zewnątrz niepomalowana.

— A co by było, gdyby się pani nie pomalowała?

— Boli. Mam wrażenie, jakbym stała zbyt blisko paleniska. Frank zapisał sobie, że musi porozmawiać z doktorem Xavierem, dermatologiem.

— Rozumiem, że ma pani także nawracające koszmary nocne.

Susan Fireman zrobiła lekceważącą minę, jakby nie chciała o tym rozmawiać.

— Nawracający koszmar senny może być czasami objawem zespołu chorobowego. Ciało wysyła do mózgu sygnał ostrzegawczy, że coś niedobrego dzieje się w organizmie.

— Nie wiem... to bardziej jak wspomnienie niż jak sen.

— Śni pani, że jest na pokładzie statku, zgadza się? I że jest pani zamknięta w skrzyni, ciemnej skrzyni.

— Nie tylko zamknięta. Pokrywa jest mocno przykręcona. Na mojej skrzyni stoją inne skrzynie, więc nawet gdyby wieko nie było przykręcone, też nie mogłabym wyjść.

— Rozumiem. Skąd więc pani wie, że jest na statku?

— Czuję ruch. Skrzynia unosi się, opada i kiwa na boki. Słyszę trzeszczące belki i szum oceanu. Czasami słyszę też, jak ktoś krzyczy, i to jest najbardziej przerażające.

— Wie pani, kto to taki?

Susan Fireman odwróciła się i popatrzyła na Franka.

— Chłopiec. Przynajmniej sądząc po głosie. To brzmi jak „Tatal nostru”... Wykrzykuje te słowa raz za razem. Jest jeszcze więcej szczegółów, ale kiedy się budzę, nie pamiętam ich.

— Tatal nostru? Domyśla się pani, w jakim to jest języku?

— Nie, ale boję się, bo ten chłopiec też jest przerażony.

— Zrobimy pani jeszcze kilka badań. Próby alergiczne, badanie oczu i przynajmniej jeszcze jeden rentgen, bo może wrzód tak się umiejscowił, że na pierwszym zdjęciu go nie widać. Nie sądzi pani, że powinniśmy zawiadomić pani rodziców i powiedzieć im, co się dzieje?

— Tata jest bardzo chory. Nie chcę go denerwować.

— Może uda nam się najpierw porozmawiać z pani matką, niech ona zdecyduje, czy mu powiedzieć o tym, że jest pani w szpitalu.

Susan Fireman przez chwilę się zastanawiała.

— Nie... na razie tego nie róbcie. Sama im powiem.

— Czy chciałaby pani, abyśmy zawiadomili kogoś innego? Koleżanki, z którymi pani mieszka?

— Nie, nic im nie mówcie.

— Nie sądzi pani, że zaczną się denerwować, jeśli nie wróci pani do domu?

— Proszę...

Frank schował notes do kieszeni.

— Oczywiście, pani tu rządzi. Przyjdę za kilka godzin sprawdzić, jak się pani czuje.

Kiedy wracał do gabinetu, zabręczał jego pager. Doktor Gathering prosił o pilny kontakt. Natychmiast do niego zadzwonił.

— George? Co się dzieje?

— Willy przysłał mi wyniki analizy krwi Susan Fireman. Ma bez wątpienia anemię, ale jest jeszcze coś. Willy twierdzi, że w jej krwi jest enzym, którego nie umie określić. Może będzie musiał wysłać próbkę do Rochester.

— Właśnie z nią rozmawiałem i chyba rzeczywiście jest w niej coś... wyjątkowego.

— Frank, to jeszcze nie wszystko. Zbadaliśmy krew, którą z wymiotowała.

— I co?

— To nie jej krew. Tak naprawdę są to dwa rodzaje krwi. Ona ma grupę AB, a to, co wymiotowała, jest mieszanką grupy A i zero.

— Słucham?

— Obawiam się, że to prawda. Krew nie dostała się do jej żołądka w wyniku krwotoku wewnętrznego. Ona ją wypła.

ROZDZIAŁ 2

Pragnienie krwi

Podczas gdy Frank i George siedzieli na niskiej skórzanej kanapie, doktor Pellman przeglądał wyniki badań, stukając przy tym długopisem o zęby. W końcu opadł ciężko na oparcie fotela.

— Jezu...

— Pomyśleliśmy, że powinien pan się z tym natychmiast zapoznać — powiedział George.

— Oczywiście, ma pan rację jak cholera. Musimy zawiadomić policję, i to natychmiast. — Pochylił się do stojącego na biurku interkomu i wcisnął klawisz. — Janice?

— Słucham pana?

— Proszę mnie połączyć z kapitanem Meznickiem ze Środkowomiejskiego Południowego, jeśli można, jak najszybciej. — Przeczytał jeszcze raz wyniki badań krwi, tym razem znacznie wolniej. — To pewne? Nic ma możliwości pomyłki?

Doktor Pellman był niski, miał siwe, sterczące do góry włosy, jakby je utapirował, i przypominał hobbita. Pracownicy nazywali go co prawda Trollem Śmierci, ale cieszył się ich szacunkiem. Bywał zawzięty i szybko wybuchał, miał jednak znakomite oko do szczegółów.

— Nie ma żadnego błędu, panie dyrektorze — powiedział George — Dla pewności Willy zrobił badania dwa razy. To bez najmniejszych wątpliwości ludzka krew. Jeżeli ta dziewczyna nie ukradła jej z banku krwi ani nie trzymała zamrożonej, to przynajmniej dwie osoby straciły sporo krwi. Niemal na pewno tak dużo, że zmarły. Zahuczał interkom.

— Panie dyrektorze, porucznik Roberts na linii. Kapitan Meznick jest w Filadelfii, na policyjnej konferencji.

— W porządku, to bez różnicy. — Doktor Pellman podniósł słuchawką. —

Porucznik Roberts? Nazywam się Harold Pellman i jestem wiceprezesem oraz dyrektorem do spraw medycznych w Sisters of Jerusalem. Nie chcę owijać w bawełnę: mamy u siebie młodą kobietę, która najwyraźniej pije krew.

Frank mógł się domyślać reakcji porucznika Roberta, bo doktor Pellman powtórzył:

— Pije krew, poruczniku. Ludzką, do tego nie własną, a innych ludzi. Jeżeli ten, czyją krew piła, nie dostał transfuzji, najprawdopodobniej nie żyje. — Podał adres Susan Fireman i jej dane, po czym odłożył słuchawkę. — To by było na tyle, panowie. Nic więcej nie możemy zrobić.

Frank nie wstał jednak.

— Z całym szacunkiem, panie dyrektorze, ale sądzę, że powinien pan spróbować porozmawiać z panią Fireman, zanim dotrze do niej policja. Musimy się dowiedzieć, dlaczego wypłała tę krew i skąd ją wzięła.

— Kiepski pomysł — stwierdził Pellman. — Nie jest pan detektywem, a nie chcę, aby ktokolwiek z pracowników szpitala ryzykował oskarżenie o przeszkadzanie w policyjnym śledztwie. Pamięta pan chyba, co się stało z dzieciakiem Kosłowskich. Koszmar.

— Pamiętam, ale niezależnie od tego, co zrobiła pani Fireman, jest naszą pacjentką. Mamy obowiązek kontynuować procedury diagnostyczne, dopóki się nie dowiemy, co jej dolega.

— Frank, na Boga! Wiemy, co jej dolega. Podłącza się jak pompa do ludzkich krwiobiegów, do tego tak skutecznie, że najprawdopodobniej przy tym zabija.

— Zdaję sobie z tego sprawę, panie dyrektorze, ale picie ludzkiej krwi może być najbardziej znaczącym objawem jej choroby. Jeżeli przestaniemy się nią zajmować... to moim zdaniem nie wypełnimy lekarskiego obowiązku.

— Obawiam się, że muszę zgodzić się z moim kolegą — powiedział powoli George. — A jeśli jej choroba jest zaraźliwa? Jeżeli ktoś z naszego personelu albo ktokolwiek z naszych pacjentów to złapie, lepiej nie myśleć o konsekwencjach prawnych.

— No więc mamy klops — mruknął doktor Pellman. — Będziemy przekłęci, jeśli

nic nie zrobimy, i podwójnie przekłęci, jeśli cokolwiek zrobimy.

— Powiniennem jej zadać kilka pytań — oświadczył Frank. — Muszę wiedzieć, czyją krew piła, skąd ją wzięła i dlaczego ją piła.

— A o co pańskim zdaniem zapyta policja? Dokładnie o to samo.

— Ale policji nie będzie chciała tak chętnie odpowiadać, bo może się obawiać, że mogłaby się sama oskarżyć. A kiedy zjawi się jej adwokat, możemy pożegnać się z nadzieją, że czegoś więcej się dowiemy. Ma niezwykłą kombinację objawów... anemię, nadwrażliwość na światło... i do tego poważne problemy psychologiczne.

Doktor Pellman rzucił długopis na biurko.

— W porządku, ale nie zadawajcie jej żadnych pytań poza medycznymi, a jeżeli odmówi odpowiedzi, nie naciskajcie. Proszę też nie przeprowadzać żadnych nowych badań bez porozumienia ze mną.

Kiedy mieli już wychodzić z gabinetu dyrektora, znów zabrzączał pager Franka.

— Mogę skorzystać z pańskiego telefonu, dyrektorze? Doktor Pellman dał przyzwalający znak ręką, więc Frank podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

— Frank, tu Dean Garrett z izby przyjęć. Właśnie przywieziono do nas młodego mężczyznę, który wymiotuje krwią. Objawy są bardzo podobne jak u dziewczyny, którą przywiozłeś rano.

— Zaraz u was będę. — Frank odłożył słuchawkę i popatrzył na doktora Pellmana z poważną miną. — Wygląda na to, że mamy następny przypadek.

Kiedy Frank i George weszli do izby przyjęć, sanitariusze wprowadzali tam siedem ofiar walki gangów. Wszyscy darli się, klęli i byli pokrwawieni.

Doktor Garrett złapał jednego z chłopaków za przód skórzanej kamizelki.

— Jak się nazywasz, bobo? — rzucił ostro.

Dean Garrett nie wyglądał groźnie — był szczupły, jego policzki pokrywała całodniowa szczecina i miał opadające wąsy, podobne do tych, jakie nosił Wyatt Earp — ale tak wściekle patrzył, że chłopak mimowolnie stanął na baczność.

— Julius — burknął. Jego jedno oko było zamknięte wielkim sińcem, a na wargach miał pionową ranę ciętą. — Ale co to pana obchodzi?

— Do którego gangu należysz, Julius?

— Blue Morons.

— Blue Morons? Nawet pasuje^[1]. A ci pozostali bobos? Z jakiego są gangu?

— X-Skulls.

— No dobra. Słuchaj, Julius: jestem doktor Dean i należę do gangu Wrzeszczących Medyków, a izba przyjęć to mój teren i nie wyjdiesz stąd żywy, jeśli puścisz baka niezgodnie z przepisami. Popatrz na siebie: wydaje ci się, gilapolla, że to, co sobie porobiliście, świadczy o tym, że jesteście twardzi, no nie? Ale to tylko powierzchowne zadrapania, nic więcej. Ja umiem wyjąć człowiekowi jelita gołymi rękami, tak że nawet o tym nie będzie wiedział, i rzucić mu je na nocną szafkę obok łóżka. Jeżeli nie będziecie się odpowiednio zachowywać, obiecuję, że tak wam właśnie zrobię.

Julius otworzył poranione usta, nie odezwał się jednak, a kiedy Dean Garrett puścił jego kamizelkę, dał znak swoim kumplom, aby przenieśli się w głąb sali, jak najdalej od członków wrogiego gangu.

— Dzieciaki — mruknął Dean. — To jeszcze dzieciaki i trzeba ich traktować jak dzieciaki.

— Nie wiem, jak ty z nimi wytrzymujesz — powiedział Frank. — Większość moich pacjentów to przemiłe starsze panie z rudymi włosami, ale też czasami doprowadzają mnie do szału.

— To proste. Musisz być dziesięć razy bardziej przerażający niż oni, to wszystko.

— Uwierz mi, byłeś. Co to jest gilapolla?

— Gilapolla? Tępak — odparł Dean.

Poprowadził Franka do jednego z boksów, znajdującego się dość daleko od wejścia. Kiedy odsunął zasłonkę, ujrzeli chudego dziewiętnasto-, może lub dwudziestoletniego chłopaka, dygoczącego gwałtownie. Jego T-shirt był przesiąknięty krwią. Miał nastroszone włosy, a jego oczy latały dziko na boki. Czarna pielęgniarka zakładała mu ssak, a druga — pryszczata biała blondynka — stała obok łóżka z miską w dłoniach.

Ledwie weszli do boksu, całym ciałem chłopaka szarpnęło, po czym mechanicznie

jak marionetka wyprostował tułów i zwymiotował krwią do miski. Z jego brody zwisały pasma zakrwawionego śluzu. Jeszcze kilka razy wstrząsnął nim odruch wymiotny, a potem opadł na łóżko. Cały czas dygotał.

Pielęgniarka wzięła basen i chciała wyjść z pokoju, ale Frank ją powstrzymał.

— Proszę tego nie wylewać. Musi pani zanieść to doktorowi Lomanowi do analizy. Powinniśmy mieć nie tylko próbkę krwi żyłnej pacjenta, ale także tej, którą zwymiotował.

— Sądzi pan, że ktoś mógł mu podać truciznę?

— Możliwe, ale ponieważ ten przypadek jest podobny do choroby tej młodej kobiety, którą zajmujemy się na górze, musimy sprawdzić jego grupę krwi. Krew, którą ta dziewczyna zwymiotowała, nie była jej krwią.

— Czy to znaczy, że... Jezu...

— Tak naprawdę to nie wiem, co to znaczy.

Frank podszedł do łóżka i pochylił się nad pacjentem. Młody człowiek miał szeroko rozwarte oczy, ale gałki w dalszym ciągu latały na boki, mruzczał, wił się i od czasu do czasu wyginał kręgosłup w łuk, jakby ktoś podłączał go do prądu.

— Posłuchaj mnie, synu — powiedział głośno Frank. — Czy wiesz, gdzie jesteś?

Młodzieniec wpił palce w prześcieradło, najwyraźniej próbując odzyskać panowanie nad sobą.

— Jestem... jestem gghr...

— Posłuchaj mnie, spróbuj się skupić. Jestem lekarzem, nazywam się Winter i przywieziono cię do Sisters of Jerusalem. Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

— Nazy... nazyw... aggh...

— Gdzie go znaleziono? — spytał Frank.

— Na Port Authority. Kiedy się przewrócił, stał w kolejce po bilet.

— Jakiś dokument?

— Nic. Sanitariusze powiedzieli, że nie znaleźli przy nim portfela. Albo nie miał, co brzmi mało prawdopodobnie, ponieważ zamierzał kupić bilet, albo ktoś mu go ukradł, kiedy leżał na podłodze i wyrzygiwał bebechy.

— Cóż za szczęśliwy świat.

— No dobra — mruknął Dean. — Robimy zwykły komplet badań i jak tylko będą wyniki, natychmiast cię zawiadomimy. Pomyślałem, że powinieneś go zobaczyć.

— Oczywiście.

Nagle na zewnątrz rozległy się krzyki i wycia, do których dołączył metaliczny klekot. Blue Morons zaczęli szydzić z X-Skulls, jeden z chłopaków złapał krzesło i zaczął nim wymachiwać w powietrzu, jakby miał zamiar rzucić.

.— Przepraszam na chwilę — oznajmił Dean. — Muszę rozwalić kilka łbów.

— Nie ma sprawy, pogadamy później — odparł Frank. Kiedy Dean odszedł, Frank jeszcze przez dłuższą chwilę stał obok łóżka i przyglądał się młodemu człowiekowi. Jego twarz była jeszcze bledsza niż twarz Susan Fireman i wyglądał na znacznie bardziej wycieńczonego. Z Susan można się było jako tako porozumieć. Trudno powiedzieć, czy młodzieniec zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje.

— Nie wiem... gggh... nie wiem grgh... — wycharczał.

— Czego nie wiesz? Chodzi o portfel? Nie wiesz, gdzie twój portfel?

— Nie wiem... dokąd mam jechać...

— Stałeś w kolejce do kasy na dworcu autobusowym. Pamiętasz, dokąd zamierzałeś jechać?

— Muszę się... uchchr... Frank ujął go za dłoń.

— Posłuchaj, najlepiej będzie, jeśli odpoczniesz. Zrobimy ci serię standardowych badań laboratoryjnych i kiedy otrzymamy wyniki, będziemy wiedzieć więcej o tym, co się z tobą dzieje.

— Tatal... Tatal nostru...

— Co powiedziałeś?

Frank popatrzył na dużą czarną pielęgniarkę, ale kobieta tylko wzruszyła ramionami.

— Chyba chciał powiedzieć coś o swoim nosie. Może ma kłopoty z oddychaniem.

— Tatal nostru — powtórzył chłopak. Jego puls gwałtownie przyspieszył, podczas gdy ciśnienie krwi wciąż spadało. Zachłysnął się, wykaszłał jeszcze trochę krwi i złapał Franka za rękaw. — Tatal nostru!

— Poproszę epinefrynę, szybko! — rzucił Frank do pielęgniarki, po czym znów zwrócił się do chorego: — Słyszysz mnie pan? Proszę się nie wysilać. Pański organizm doznał poważnego wstrząsu i musi pan spróbować zachować spokój.

— Tatal nostru... carele esti in ceruri... — wydyszał młodzieniec.

— Niech pan nie próbuje mówić — pohamował go Frank. — Proszę oddychać głęboko i równo, o tak... i odprężyć się.

Młody człowiek wbijał we Franka szeroko otwarte oczy. W kącikach jego ust pieniały się krwawe pęcherzyki, a klatka piersiowa unosiła się i opadała, jakby biegł w maratonie.

— ...sfinteasca—se numele lau... vie imparatia ta... faca—se voia ta...

— Proszę nic nie mówić — powtórzył Frank. — Musi pan zachować spokój.

Pielęgniarka wróciła z epinefryną i strzykawką. Frank uniósł w górę zakrwawione ramię młodzieńca, przemył je wacikiem, znalazł żyłę i wstrzyknął lek.

— Painea noastra... cea de toate dane—o astazi...

Frank czekał. Minęła minuta, dwie. Początkowo bał się, że pomylił się w ocenie i młodzieniec wcale nie miał wstrząsu anafilaktycznego, ale wkrótce praca serca chorego zaczęła się stabilizować, ciśnienie krwi wzrosło i nie łąpał już tak gwałtownie powietrza.

Jego wargi poruszały się jednak w dalszym ciągu, jakby niezależnie od wszystkiego musiał dokończyć recytację.

— ...si nu ne ducepre noi in ispita... si ne scapa de cel rau... Po chwili przestał mówić i zamknął oczy. Frank odsunął mu kciukiem powiekę i choć gałka oczna w dalszym ciągu skakała jak szalona na boki, chory był nieprzytomny.

— Chciałbym, aby go pani dokładnie obserwowała — powiedział Frank do pielęgniarki. — Kiedy lek przestanie działać, może nastąpić kolejny atak.

Wrócił Dean. Wyglądał na wymęczonego.

— Przepraszam, Frank, że musiałem cię tu zostawić. Jak on się czuje?

— Dostał wstrząsu. Wyglądało to na ostrą reakcję alergiczną na coś, co zjadł albo czego dotykał.

— A teraz co z nim?

— Dałem mu dwa miligramy epinefryny.

Dean pochylił się nad chorym.

— Te objawy... nie wiem. Nie wydają się ze sobą powiązane.

Dzieje się tu coś bardzo dziwnego.

— Tak uważasz? To jeszcze nie wszystko. Mówił w jakimś obcym języku.

— Naprawdę? W jakim?

— Nigdy przedtem go nie słyszałem. Może jakiś środkowoeuropejski, na pewno to nie był rosyjski, bo ten język rozpoznaję. Było jednak za mało „sz” na polski.

— Cóż, kiedy ludzie są chorzy, często mówią dziwne rzeczy.

— Ale nie aż tak dziwne.

— Co masz na myśli?

— Pierwsze dwa słowa były takie same jak te, które słyszała w swoich koszmarach nocnych dziewczyna z góry.

— Jaja sobie robisz.

— Nie. Twierdzi, że ma nawracający koszmarny sen, w którym jest zamknięta w skrzyni, na statku. Nie może się wydostać, ale słyszy chłopca, krzyżącego raz za razem „tatel noster”, jakby był przerażony.

— Tatel noster?

— Coś w tym rodzaju... przynajmniej tak zrozumiałem.

— I ten tutaj też mówił „tatel noster”? Może się znają. Mogłoby to wyjaśnić, dlaczego oboje cierpią na to samo. Może z powodu czegoś, co razem jedli?

— Nie wiem — odparł Frank, patrząc na młodego człowieka w zakrwawionym T-shircie. — W każdym razie mam w związku z całą tą sprawą złe przeczucia.

Podszedł do umywalki, by umyć ręce. Zanim wycisnął na dłonie środek myjąco-dezynfekujący, uniósł palce do nosa i powąchał je.

— Coś się stało? — spytał Dean.

Frank wyciągnął ku niemu dłoń, aby Dean również mógł powąchać jego palce.

— Coś mi to przypomina — mruknął Dean. — Nie, nie mów...

— Jeśli nie wiesz, co to jest, to znaczy, że od dawna nie byłeś na urlopie. To

„Piñacolada”, krem do opalania.

Kiedy Frank wszedł do sali numer piętnaście, sześćdziesiąt sześć, Susan Fireman sprawiała wrażenie, że śpi, ale gdy przyniósł krzesło, by usiąść przy jej łóżku, otworzyła oczy.

— Doktor Winter... — wymamrotała. — Pomyślałam, że pewnie pan wróci.

— Więc domyśla się pani, o co chcę zapytać? Skinęła głową.

— No więc dobrze... z badań wynika, że nie ma pani żadnego wewnętrznego krwotoku. Żadnych wrzodów ani żylaków. Krew, którą pani zwymiotowała, była krwią innej osoby... — Zamilkł na chwilę. — Tak naprawdę to dwóch innych osób. Może to pani jakoś wytłumaczyć?

— Nie wiem dlaczego — wyszeptała.

— Czego pani nie wie, „dlaczego”?

— Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. To było tak, jakbym to... wcale nie była ja.

— Ale wypła pani tę krew? I nie była to pani krew, prawda?

— Nie wiem dlaczego. Nie rozumiem tego.

— Susan, czyja to była krew? Co pani zrobiła tym ludziom?

— To było takie dziwne... Widziałam siebie, ale to było tak, jakbym oglądała kogoś innego...

— Czyja to krew?

Zamknęła oczy i nie odpowiadała.

— Susan, muszę wiedzieć, czyja to była krew.

— Dlaczego? — zapytała, nie otwierając oczu. — Czy to ważne?

— Ważne, ponieważ każdy, kto straci tyle krwi, musi umrzeć.

— Ale ludzie przecież po to są, prawda?

— Nie rozumiem...

— Ludzie po to się rodzą... aby dawać nam swoją krew.

— Proszę otworzyć oczy! — powiedział ostro Frank.

— Po co?

— Chcę, aby mówiąc do mnie, patrzyła pani na mnie. A może pani się boi?

— Niczego się nie boję.

— Obawiam się, że tak. Boi się pani siebie. Sądzę, że boi się pani tego, co zrobiła.

— Wypiłam krew, zadowolony pan? Potrzebowałam krwi.

— Dlaczego?

Otworzyła oczy i wrzasnęła z wściekłością:

— Płonęłam! Cała się paliłam! Trawił mnie ogień i to był jedyny sposób, aby przestał!

— Piła pani krew, aby złagodzić ból?

— Nie rozumie pan! Całe moje ciało płonęło! Umarłabym bez tej krwi!

— Więc czyja to była krew?

— Nie rozumie pan? Umarłabym!

Wpatrywała się w niego rozgorączkowanymi oczami, ale jej wściekłość szybko zgasła. Opadła na łóżko i zaczęła się rozluźniać. Po kilkunastu sekundach ponownie zamknęła oczy i leżała cicho — jakby spała albo umarła. Frank czekał. Miał ochotę ponownie spytać, czyją krew piła, ale wydawało mu się, że jeśli da jej czas, sama mu to powie.

W końcu zaczęła mówić — cichym, monotonnym głosem:

— Niech pan patrzy na mnie... Otwieram drzwi sypialni. Przerwała na chwilę i oblizwała wargi, jakby jej wyschły.

— Gdzie pani teraz jest?

— Na korytarzu. Słońce świeci w taki sposób... — pokazała dłonią skos — ...i pada prosto na plakat. Jest na nim Jim Morrison z gardeniami we włosach. Czuję zapach kawy... Prissy śpiewa w kuchni Man On The Moon. Do you believe... they put the man on the moon? Do you believe... there's nothing up their sleeve?

Kolejna przerwa.

— Co pani teraz robi? — spytał Frank.

— Wchodzę do kuchni, Prissy odwraca się do mnie i uśmiecha się. Po raz ostatni. To jej ostatni uśmiech. Tatal nostru. Carele esti in ceruri.

— Co to znaczy, Susan?

— Czuję się, jakbym płonęła. Jest tyle słońca! Cała kuchnia jest wypełniona słońcem, które pali! Jakby ktoś oblał mnie kwasem! Cała płonę, nawet moje stopy płoną! Boże, zaraz umrę! Zaczynam krzyczeć, lecz Prissy nie rozumie, co się ze mną dzieje. Też zaczyna krzyczeć. Obie krzyczymy, ale ona krzyczy, ponieważ się boi, a ja, bo się palę! — Dłoń Susan popęzła w bok, dotknęła ramienia Franka. — Biorę nóż... nóż... na ładzie leży wielki nóż, więc biorę go do ręki. Nie waham się. Nie mogę się wahać, bo cała jestem w ogniu. Tnę Prissy... o tak... po gardle. Wszędzie tryska krew, na żaluzje i do zlewu. Krew, błogosławiona krew... Prissy pada na podłogę, macha rękami i kopie. Klękam obok niej i zakrywam jej ranę ustami. Piję i piję, ale nie muszę nawet połykać, bo ciepła krew Prissy sama wpada mi do gardła i natychmiast łagodzi mój ból. Piję tyle, że niemal tonę, krew wypływa mi nosem...

Zamilkła na długą minutę, jakby przeżywała na nowo ulgę, jaką przyniosło jej wypicie krwi przyjaciółki.

— Czy Prissy nie żyje?

Susan skinęła głową.

— Jest bardzo blada, prawda? Ale po to się urodziła. Od dnia, w którym wysunęła się z brzucha matki, takie było jej przeznaczenie. Nakarmić mnie i sprawić, abym nie spaliła się żywcem.

— Co pani teraz robi?

— Wstaję... mój szlafrok jest taki ciężki i gorący, nasączony krwią. Muszę iść do mojego pokoju, by się przebrać. Ale co to? Drzwi się otwierają... drzwi się otwierają i staje w nich Michael. Zatrzymuje się, gapi na mnie i nie może uwierzyć w to, co widzi. Co się stało? Skąd ta krew? Prissy! Co się stało z Prissy? Nie rozumie, że to byłam ja, że ja to zrobiłam. Klęka obok Prissy i kiedy trzyma jej głowę, znów łapię nóż i... — Nie dokończyła zdania, pokazała jednak pantomimicznie, jak podcięła Michaelowi gardło, kończąc szybkim skrzętem nadgarstka, gdy strząsała krew z noża, po czym złapała się za skronie. — Michael opada na Prissy. Próbuje mnie odepchnąć, ale jest za bardzo zajęty tamowaniem krwi, która tryska mu z szyi. Jest wszędzie, zalala całą podłogę, całą moją twarz, moje nogi. Zdejmuję zakrwawiony szlafrok i

rozmazuję sobie jego krew na całym moim nagim ciele, wszędzie.

Frank usiadł i patrzył, jak Susan pieści swoje piersi, brzuch i uda.

— Krew, wszędzie mam na sobie krew, lepka i ciepła... tak bardzo łagodzi pieczenie... wszędzie krew... między moimi nogami... masuję się świeżą krwią i jest tak wspaniale... — Cała zadrżała. — Pochyliłam się nad Michaeliem, który patrzy na mnie. Uśmiecham się do niego i szepczę: „Dziękuję, Michael, jesteś aniołem”. Przyciskam usta do szerokiego cięcia na jego szyi i znowu piję krew... gul, gul, gul... choć wiem, że to za dużo. Popatrz na mnie! Krew wypływa mi z kącików ust i skapuje z brody. Trochę przesadziłam. Nie mogę pić więcej. Wstaję. Idę korytarzem, zostawiając za sobą jasnoczerwone ślady. Odbija mi się i znów wymiotuję nieco krwi, która chlusta na podłogę. Idę do łazienki i przyglądam się sobie w lustrze. Krwawa kobieta. Krwawa kobieta! Szkarłatna twarz, szkarłatne ręce i nogi, szkarłatne ciało. Nie płonę już. Jestem spokojna, a moja skóra jest znacznie chłodniejsza. Czuję się... jak by to określić... pogodna. — Otworzyła oczy i popatrzyła na Franka z uśmiechem. — Dokładnie tak się czuję. Jestem pogodna.

Ktoś kaszlnął. Frank odwrócił się i ujrzał stojącego w drzwiach wysokiego Murzyna w czarnym lnianym garniturze. Był z nim drugi mężczyzna — biały o ziemistej cerze, w koszuli z krótkimi rękawami w krzykliwe czerwone wzory i krawacie w kolorze krwi.

— Doktor Winter? Jestem porucznik Hayward Roberts, a to detektyw Paul Mancini.

Frank odsunął krzesło i wstał. Mało brakowało, a straciłby równowagę.

— Dobrze się pan czuje? — spytał porucznik Roberts.

— Nie bardzo. Potrzebuję czegoś mocniejszego.

ROZDZIAŁ 3

Krwawiący korzeń

Spojrzałem znad kart, marszcząc czoło, ale dość trudno było utrzymać powagę, mając naprzeciwko siebie sześćdziesięcio—siedmioletnią damę w jasnoróżowym słomkowym kapeluszu, ozdobionym plastikowymi wisienkami, i w sukience z kilku warstw jasnoróżowego muślinu, co sprawiało, że wyglądała, jakby wybierała się na kinderbal. Całości dopełniały różowe podkolanówki i robione na zamówienie buty — oczywiście też różowe.

— Ma pani przed sobą weekend związany z poważnymi stratami finansowymi — powiedziałem jej. — Do poniedziałku będzie pani uboższa o siedemnaście tysięcy czterysta osiemdziesiąt dolarów.

Pani Teitelbaum zagryzła wargę. Nic nie powiedziała, ale wyraz jej oczu i sposób, w jaki ścisnęła pasek torebki, dobitnie świadczył o tym, jak bardzo jest zaniepokojona. Pieniądze były jej droższe od wnuków. Gdyby można było zawrzeć małżeństwo z kontem, które miała w Chemical Bank, bez wahania by to zrobiła i zabrała je na miesiąc miodowy na Jamajkę.

— Jutro... zobaczymy... jutro zgubi pani torebkę.

— Jest pan pewien? To straszne!

— Gorzej, bo ktoś ją znajdzie.

— Znajdzie? To chyba dobrze.

— Niedobrze, jeżeli ten, kto ją znajdzie, jest chory na zespół maniako—depresyjny i użyje pani karty kredytowej, aby kupić trzysta bochenków chleba challah u Eliego Zabara.

— Nie!

— To jeszcze nie wszystko. W piątek spadnie ze ściany portret pani zmarłego męża i złamie Willy’emu jedną z tylnych łap, co będzie panią kosztować ponad osiemset dolarów.

— Nie zniosę tego!

— Będzie jeszcze gorzej. W sobotę zadzwoni daleki kuzyn i poprosi o wpłacenie kaucji, bo oskarżono go niesłusznie o oszustwo ubezpieczeniowe... na co z dobroci serca pani się zgodzi, zwłaszcza że kuzyn da pani jako zabezpieczenie swojego mercedesa. Niestety, zaraz potem ten kuzyn zniknie i nigdy więcej pani o nim nie usłyszy, a na dodatek okaże się, że mercedesa przejął bank. W niedzielę, kiedy będzie pani jadła lunch ze swoją przyjaciółką Moirą, pan Polanski z piętra wyżej nie zakręci kranu. Pani mieszkanie zostanie zalane i woda zniszczy wszystkie pani perskie dywany. Kiedy będzie pani sprzątać ten cały bałagan, ktoś wśliznie się do sypialni i ukradnie pani perły.

Pani Teitelbaum pochyliła się do przodu i przyglądała mi się zza okularów w złotej oprawce.

— To wszystko jest w moich kartach? Naprawdę?

— O, tutaj... proszę spojrzeć — powiedziałem. — Uśmiechający się Głupiec z naręczami chlebów. Mężczyzna w więzieniu, któremu zabierają powóz i konie. Ulewa z tonącą w niej kobietą. No i człowiek na plaży, wybierający z muszli perły. Wszystko tu jest, wyraźne jak nos na pani twarzy, szanowna pani.

Pani Teitelbaum pomacała nos, jakby to on był winien czekających ją nieszczęść.

— Skąd pan wie, że będzie to siedemnaście tysięcy?

— Pani Teitelbaum, właśnie za to mi pani płaci. Za wyczuwanie liczb. Policzyłem karty, po czym pomnożyłem je przez liczbą wizyt, które mi pani złożyła, następnie przez wiek pana Teitelbauraa w chwili śmierci, czyli siedemdziesiąt sześć, i przez dwanaście plemion Izraela. Potem jeszcze musiałem tylko odgadnąć pani wiek oraz dwie ostatnie cyfry pani telefonu komórkowego i gotowe.

— Siedemnaście tysięcy i ile?

— Siedemnaście tysięcy czterysta osiemdziesiąt.

— Co mogę zrobić?

— Nie sądzę, aby mogła pani cokolwiek zrobić. Los to los. Przeznaczenie to przeznaczenie. Karty nie tworzą przyszłości, ale jedynie ostrzegają, czego należy się spodziewać. — Odsunąłem krzesło i wstałem, niechcący przydeptując przy tym skraj

mojej ciemnozielonej szaty. — Przynajmniej nic pani nie zaskoczy, prawda? Będzie pani dobrze przygotowana.

Wisienki na kapeluszu pani Teitelbaum zagrzechotały.

— Ale ja nie chcę stracić tylu pieniędzy! Właśnie dlatego do pana przyszedłam, panie Erskine! Przyszedłam się dowiedzieć, co mnie czeka, aby to nic nastąpiło!

Podszedłem do okna i dwoma palcami odsunąłem zakurzoną aksamitną zasłonę. W dole, na Siedemnastej, nad wózkiem pochyliła się młoda Portorykanka i ścierała z ust swojego dziecka ślad po lodach. Miała mnóstwo czarnych loków, a jej ciało opinała ciasna żółta koszulka na cienkich ramiączkach z namalowanym na przodzie słońcem, z której za wszelką cenę próbowały uciec jej duże piersi. Resztę jej stroju stanowiły białe szorty — najbardziej skąpe, jakie kiedykolwiek widziałem. Chyba Bóg karał mnie za zaniedbanie nauki hiszpańskiego. Mogłem sobie tylko wyobrazić jej reakcję, gdybym zszedł na dół i zagaił jedynym zdaniem po hiszpańsku, które przychodziło mi teraz do głowy: — Le imporla si me sienlo aqui? Nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym się przysiadł?

Wróciłem do rzeczywistości.

— Jest coś, co może pani zrobić, pani Teitelbaum. Jeżeli naprawdę chce pani zmienić przebieg swojego weekendu, może pani spróbować czegoś z Magicznej Spiżarni.

.— Z Magicznej Spiżarni?

— Nieczęsto polecam moim klientom, aby uciekali się do zaklęć. Nie twierdzą, że nie działają. Oczywiście, że działają... i to jak, ale nie są tanie i mogą mieć nieprzewidziane skutki uboczne.

— Na pewno nie chcą stracić siedemnastu tysięcy dolarów, panie Erskine. Niezależnie od efektów ubocznych.

Podszedłem do stojącej w głębi pokoju oszklonej szafki i zrobiłem przedstawienie z wyciągania klucza na bardzo długim łańcuszku. Otworzyłem drzwiczki, co nie było zbyt trudne, bo już kiedy kupowałem szafkę, nie miała zamka. Wyjąłem ze środka zielony słoik ze spatynowaną mosiężną pokrywką. Podszedłem do pani Teitelbaum, otworzyłem naczynie i pozwoliłem jej powąchać to, co znajdowało się w środku.

— Pachnie jak zioła — stwierdziła. — Co to?

— Japońska Waleriana. Jeżeli włoży pani kilka liści do torebki i schowa ją pod poduszkę, wszystko, co pani posiada, będzie bezpieczne... przynajmniej przez czas, dopóki liście będą świeże.

— Cóż... to brzmi bardzo optymistycznie.

— Prawda? Obawiam się jednak, że ma dość istotne działanie uboczne.

— Jakie?

— To zioło sprawi, że będzie pani przyciągać młodszych mężczyzn. Kobieta, która śpi co noc na torebce z japońską Waleriana... hm, istnieje duża szansa, że pozna pani pełnego wigoru, dwa razy młodszego od pani mężczyznę. Będzie miał wielkiego... no, może oszczędźmy sobie szczegółów, w każdym razie nie będzie pani rozczarowana.

Lewa powieka pani Teitelbaum zaczęła drgać.

— I to naprawdę działa?

— Oczywiście. Japońska Waleriana jest jedną z najpotężniejszych roślin w Magicznej Spiżarni. Trzeba tylko pamiętać, że nie wolno na nią kichnąć.

— Skoro ma ochronić moje pieniądze, może ją wezmę. Ile kosztuje?

— Dwa pięćdziesiąt za trzy liście.

— Jeżeli ochroni moje siedemnaście tysięcy, to niewiele. A jeśli chodzi o ten efekt uboczny, to... no cóż, jakoś sobie z nim poradzę.

Wyjąłem trzy liście.

— Jest jeszcze jeden problem... — powiedziałem powoli.

— Problem? Jaki problem?

— Japońska Waleriana zabezpieczy pani pieniądze i załatwi pani młodego ogiera, ale kiedy pani się nim znudzi, nie będzie pani mogła się go pozbyć. Nigdy.

— Nigdy?

— Dopóki będzie pani spała z japońską walerianą pod poduszką. Jeśli będzie pani chciała, aby odszedł, musi pani wyrzucić liście, ale to będzie oznaczało, że straci pani pieniądze. Tak więc przesunie to jedynie stratę pieniędzy w czasie.

Pani Teitelbaum wsadziła nos do słoika i wciągnęła powietrze. Przez kilka sekund

wydawało się, że mimo wszystko zdecyduje się na kilka tygodni sypialnianej gimnastyki z młodym mężczyzną, nie potrafiła jednak być niewierna swojemu kontu. Oddała mi słoik.

— Co pan tam jeszcze ma?

Podszedłem do szafki, pogrzebałem w niej i wyciągnąłem kolejny zielony słoik.

— Niech pani spróbuje tego. Krwawiący korzeń. Sangwinaria kanadyjska. Należy do rodziny makowatych. Indianie używali czerwonego soku, wypływającego z jej naciętego korzenia, do barwienia swoich ciał przed skalpowaniem ludzi i używają go do dziś, tyle że jako barwnika do tkanin.

Pani Teitelbaum powąchała zawartość także tego słoika. Zmarszczyła nos.

— Dziwnie pachnie.

— Może tak, ale jaką ma moc! Jeżeli będzie pani nosić krwawiący korzeń w torebce, nigdy nie straci pani pieniędzy. Można go też używać do ochrony domu, wieszając kawałek pod parapetem któregoś z okien. Obiecuję, że jeżeli weźmie pani dziś ze sobą kawałek krwawiącego korzenia, pani weekend przebiegnie całkowicie inaczej. Żadnego gubienia torebek, żadnych spadających obrazów, zalanych dywanów, skradzionych pereł. Wszystko, co pokazały karty, zostanie anulowane.

— Anulowane? Jest pan pewien?

— Nie na darmo nazywam się Niewiarygodny Erskine, Wizjoner Ziółowy. Widzę i interpretuję... Umiem także uleczyć przyszłość, zanim nastąpi.

— Więc ile za ten krwawiący korzeń? Wciągnąłem głośno powietrze.

— Trudno go w dzisiejszych czasach znaleźć, bo sangwinarię kanadyjską wyparła zmodyfikowana genetycznie kolcorośl chińska, ale sądzę, że mógłbym oddać pani pięć centymetrów korzenia za sześć pięćdziesiąt.

Pani Teitelbaum otworzyła torebkę, wyjęła spięty elegancką klamerką pliczek złożonych na pół banknotów, który przypominał pułapkę na szopy, i wyciągnęła dziesięciodolarowy banknot.

— Może mi pan rozmienić?

Nie mogłem sobie pozwolić na wahanie. Jeśli chce się wyciągnąć pieniądze od bogatych starszych pań, nie wolno się wahać. Zamożne starsze panie stały się

zamożne, ponieważ również nie miały skrupułów — wyszły za mąż za starych bogatych drani nie z miłości, a dla mamony, rozwodziły się taktycznie i tak samo taktycznie znów wychodziły za mąż, i jeśli człowiek okaże najmniejszą oznakę wahania, wydymają go za dziesięć centów. Są jak wampiry, a jedynym sposobem dobrania się do nich jest wbicie osikowego kołka w ich książeczkę czekową.

— Chodzi o... sześćset pięćdziesiąt... — powiedziałem i zaśmiałem się, jakby właśnie opowiedziała mi znakomity dowcip. Cały czas wiedziałam, że chodzi o sześćset pięćdziesiąt, ty niedobra, niedobra! Żartowałaś sobie ze mnie, prawda? Ale z ciebie szelma!

Wyciągnęła sześć setek — jedną po drugiej — oraz dwie dwudziestki. W tym momencie nie było miejsca na wahanie. Co mogła powiedzieć? Że naprawdę spodziewała się, iż sprzedam jej całe pięć centymetrów rzadkiego krwawiącego korzenia Apaczów za sześć dolarów i pięćdziesiąt centów? Ale by wyszła na głupią!

Wziąłem pieniądze tym szczególnym ruchem, którego uczą w szkołach dla iluzjonistów — tak, że klient niemal nie zauważa, kiedy zniknęły. Są pieniądze i — tup! — nie ma pieniędzy. Potem pochyliłem się do niej i powiedziałem konspiracyjnym tonem:

— Obiecuję pani, że nie powie nikomu, ile od pani wziąłem?

Popatrzyła na mnie, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

— To bardzo wyjątkowa cena — oświadczyłem. — Nikomu nie sprzedałbym krwawiącego korzenia tak tanio — wyjaśniłem i znów zarechotałem.

Tym razem pani Teitelbaum mi zawtórowała. Kiedy otwierałem jej drzwi, zawahała się jednak i odwróciła do mnie.

— Panie Erskine...

Przez chwilę sądziłem, że wrzaśnie: „Oddawaj moje sześć i pół stówy, ty dwulicowy drobny kanciarzu!”, ale ona powiedziała:

— To drugie zioło, pierwsze, które mi pan zaoferował...

— Japońska Waleriana?

— Tak, ta Waleriana... zastanawiałam się, bo jeśli krwawiący korzeń nie zapewni mi bezpieczeństwa pieniędzy...

— Pomyślała pani, czy nie zabezpieczyć się podwójnie. Waleriana?

— No tak... Coś w rodzaju dodatkowej ochrony, jeśli mnie pan rozumie.

— Mimo efektu ubocznego.

— Panie Erskine... nie miałam efektów ubocznych od śmierci pana Teitelbauma.

— Byłbym ostrożny, pani Teitelbaum. Na pewno sobie pani radzi? Niektóre z moich klientek skarżyły się, że to może być męczące.

.— Jestem w świetnej formie. Jem tylko ryby, no może czasami skubną kawałeczek kurczaka i ciastka z kremem, a poza tym ćwiczą: chodzę co dzień dziesięć tysięcy kroków. Codziennie, zawsze gdzie indziej.

— Hm... niech będzie. Jeżeli nie będzie miała pani do mnie pretensji za... wie pani... przetrenowanie.

— Panie Erskine! — zawołała pani Teitelbaum, kokieteryjnie spłoniona, choć jeszcze nie kupiła ani listeczka japońskiej waleriany, nie wspominając o gorącym młodym kochanku z wielkimi referencjami.

Otworzyłem szafkę, wyjąłem słoik i dałem jej trzy liście.

— Pod poduszką, pani Teitelbaum, w woreczku z surowego płótna. To najważniejsze.

Wyciągnęła z pliczku trzy studolarowe banknoty i podała mi je. Kiedy już miałem je capnąć, złapała mnie za nadgarstek i mocno przytrzymała.

— Chwileczkę... — powiedziała.

Co jest? Pewnie ma magnetofon i za chwilę zostanę aresztowany, pomyślałem.

— Nie zdradził mi pan mojego mistycznego motto.

— O! Oczywiście! Pani mistyczne motto! Jak mogłem zapomnieć?

Cholera jasna... Miałem kiedyś dziewiętnastowieczne wydanie Kompendium ostrzeżeń astrologicznych Bultitude'a, musiałem je jednak zgubić, kiedy wyprowadzałem się w pośpiechu z mieszkania przy Wschodniej Osiemdziesiątej Szóstej. Założę się, że znalazł je jakiś kloszard i do dziś boi się ósmego sierpnia siadać ze skrzyżowanymi nogami pod nieszpułką i trzęsie się ze strachu, widząc dwa szare koty przez szczeble drabiny. Najgorsze jest jednak to, że muszę teraz sam wymyślać mistyczne powiedzenia.

— Hmm... „Jeżeli będziesz wystarczająco długo stać pod drzewem cytrynowym, opadające kwiaty zamienią cię w narzeczoną”.

— Panie Erskine... — Mógłbym przysiąc na wszystkie świętości, że w jej oczach zobaczyłem łzy. Delikatnie wyciągnąłem banknoty spomiędzy jej palców, cały czas się uśmiechając.

— Do zobaczenia — powiedziałem, popychając ją lekko ku wyjściu. — Za tydzień o tej samej porze?

— Jeszcze tylko jedno...

— Taaak? — zapytałem słodziej niż zwykle.

— Pięćdziesiąt dolarów reszty.

Na szczęście był to już koniec moich dzisiejszych konsultacji. Podszedłem do okna i odsunąłem zasłony — w nadziei że cycata Portorykanka z wózkiem stoi jeszcze na ulicy, ale oczywiście już jej nie było. Jeśli się jednak nad tym zastanowić, to prawdopodobnie i tak była bez reszty oddana ojcu dziecka, zbudowanemu jak skała i pracującemu jako ochroniarz jakiegoś sławnego kubańskiego zespołu grającego muzykę guaracha. Pewnie powyrywałby nogi z dupy każdemu, kto znalazłby się na wyciągnięcie ręki od niej — zwłaszcza czterdziestotrzyletniemu wróżbicie w zielonej pelerynce, zrobionej z nylonowej narzuty na łóżko, i złotej czapeczce, która kiedyś była elementem dziecięcego kostiumu Myszki Miki.

„Harry... — wydyszałaby, z błyszczącymi wargami tak blisko moich, że czułbym zapach papryki, którą niedawno jadła — tak bardzo cię pożądam, ale obiecałam moje wylewające się piersi i niekończące się nogi Raymondowi...” — a ja z czułością odpowiedziałbym: — No tiene usted algo mas barato?

Poszedłem do maleńkiej kuchenki, otworzyłem lodówkę i wyjąłem butelkę guinnessa. Ten smak trzeba polubić: jak przypalony tost, tyle że w piwie. Coś znakomitego dla samotnego mężczyzny, ponieważ jest to równocześnie jedzenie i picie, a na dodatek nie trzeba myć talerzy. Upiłem duży łyk, beknąłem, po czym wróciłem do salonu, by uporządkować karty.

Jak bardzo podupało moje wróżenie... niewiele ponad rok temu mieszkałem z

Karen i Lucy w lekko wyblakłej, ale wspaniałej posiadłości przy Wschodniej Osiemdziesiątej Szóstej a teraz tkwiłem w obskurnej dwupokojowej klitce nad pakistańskim sklepem spożywczym, w marnej dzielnicy, którą dla poprawienia sobie samopoczucia nazywałem Górnym Greenwich Village.

Jeszcze się nawet całkiem nie rozpakowałem — choć już udało mi się kupić dziewięć niepasujących do siebie regałów i zastawić ściany sfatygowanymi starymi księgami, dotyczącymi magii, przepowiadania przyszłości i sztuk demonicznych. Na stole położyłem czerwoną pluszową narzutę i postawiłem kryształową kulę oraz frenologiczny odlew czaszki, a dla stłumienia smrodku dochodzącego z hinduskiej kuchni z dołu często paliłem kadzidełka o zapachu drzewa sandałowego. Co tu jeszcze dodać? Życie to dziwka, niewiele trzeba, żeby zacząć pachnieć kozieradką.

Nie bardzo wiem, jak i dlaczego moje małżeństwo z Karen zaczęło rozchodzić się w szwach. Podejrzewam, że była to głównie moja wina. Jak powiedział kiedyś Edward Munch, autor obrazu Krzyk: „Bez strachu byłbym jak statek bez steru”. Nie brał w tym udziału nikt trzeci, nawet ten zadowolony z siebie, opalony na brąz drań Rodney Elwick III, który ciągle się wpraszał na wielkie kieliszki schłodzonego chavignon i śmiał się z Karen w kuchni, podczas gdy ja grałem w warcaby z Lucy.

— Coś śmiesznego? — pytałem zawsze, zjawiając się w drzwiach kuchni, i oboje patrzyli na mnie, jakby mi z nosa zwisał gil. Byłem outsiderem. Nie byłem nawet nowymi pieniędzmi. W ogóle nie byłem pieniędzmi — niezależnie od wieku. Pieniądze miała tylko Karen.

Nie mogłem jednak obwiniać Rodney a Elwicka III. Byłem zazdrosny, zgadza się, ale muszę przyznać, że także znudzony, oderwany od rzeczywistości i bez przerwy się wahałem. Miałem wrażenie, że z mojego życia dzień po dniu coś jest odrywane kawałek po kawałku — jak kartki z pustego pamiętnika. Odkryłem straszliwą prawdę, że szczęście to nie wszystko. Aby czuć, że żyjemy, potrzebujemy wyzwań, problemów i przede wszystkim zmartwień.

Trafiłem więc tutaj — Niewiarygodny Erskine, Ziołowy Wizjoner — z mogącą zadowolić nawet najwybredniejszą osobę liczbą zmartwień, bez pieniędzy, ale żywy.

W wejściu do antykwariatu po drugiej stronie ulicy pojawiła się blondynka w

turkusowej bluzce i stanęła, by zaciągnąć się papierosem. Miała ciemne odrosty, a jej brzuch wylewał się nad dzinsową minispódniczkę, ale jej twarz przypominała twarze aniołów na kościelnych freskach. Ciekawe, co by było, gdybym do niej podszedł i się przedstawił.

„Obserwowałem cię, moja droga i jesteś moim zdaniem piękna” — nie, to by nie zadziało. Zastanawiałem się nad jakimś bardziej uwodzicielskim tekstem, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Mój dzwonek wydaje z siebie wspaniałe glissando, a kosztował jedynie siedem dolarów osiemdziesiąt osiem centów w Wolfowitz Discount Electrics przy Drugiej Alei.

Kiedy otworzyłem drzwi, stojący przed nimi dwudziestokilkuletni mężczyzna nerwowo mrugał powiekami. Miał potargane blond włosy i był ubrany w biały podkoszulek z czerwonym nadrukiem MOLTEN IRIS i dzinsy. Był bardzo blady, miał zadarty nos, bladozielone oczy i jasne brwi, a w lewym uchu złoty kolczyk w kształcie krucyfiksu. Zażółcone palce świadczyły o tym, że pali, i miał na nich srebrny masywny sygnet w kształcie czaszki. Kiedy jest się wróżbitą, zauważa się takie rzeczy.

Ale najciekawsze było to, że przyszedł do mnie. Młodzi mężczyźni nieczęsto przychodzą do jasnowidzów. Dziewięćdziesiąt procent mojej klienteli stanowią kobiety, a nieliczni mężczyźni, jacy się u mnie kiedykolwiek pojawili, albo właśnie się dowiedzieli, że chorują na nieuleczalną chorobę i chcieli wiedzieć, jak długo pożyją, albo byli ciekawi, który koń wygra w Aqueduct.

.— W czym mogę pomóc? — spytałem.

Zmarszczył czoło i popatrzył na pogniecioną papierową serwetką, którą trzymał w dłoni.

.— Czy pan to... eee... Niewiarygodny Erskine?

.— We własnej osobie.

— Siostra powiedziała, że może powinienem z panem porozmawiać.

— Siostra?

— Marilyn Busch. Ja się nazywam Ted Busch.

— Znam pańską siostrę?

— Nie sędzę, ale przyjaźni się z dziewczyną, która jest siostrzenicą pańskiej znajomej. Siostra powiedziała, żebym porozmawiał z pańską znajomą, ale ona powiedziała, że nie zajmuje się już zjawiskami nadprzyrodzonymi, ale że pan się zajmuje i może powinienem z panem porozmawiać.

— A tak po prostu, to o co chodzi?

— Mam ciągle te koszmary nocne, rozumie pan, więc przyjaciółka siostry powiedziała, że powinienem porozmawiać z jej ciotką Amelią.

— Ciotką Amelią? Nie znam żadnej ciotki Amelii. Nie znam w ogóle żadnych ciotek. Niech pan na mnie spojrzy: czy wyglądam jak czyjś siostrzeniec?

— Chodzi o Amelię Crusoe. Nazywa się teraz Amelia Carlsson, ale siostra powiedziała, żebym tak ją przedstawił.

Amelia Crusoe. Boże drogi...

Kochałem kiedyś Amelię Crusoe. Do dziś ją kocham. Pomijając lekko chrapliwy głos i delikatne prerafaelickie rysy, Amelia była prawdziwym medium i mogła rozmawiać ze zmarłymi tak łatwo, jak my możemy rozmawiać z ludźmi, z którymi jedziemy autobusem. Zawsze zapowiadała, iż chce skończyć z seansami i nieraz tak nawet robiła, ale było jasne, że tak samo nie jest w stanie zrezygnować z rozmów z duchami, jak ja nie potrafiłem przestać się martwić. Potrzebowała tego, aby wiedzieć, że żyje.

— Niech pan wejdzie. Chce pan guinnessa? To irlandzkie piwo. Jeśli człowiek odpowiednio dużo go wypije, sika na zielono.

— Dziękuję, nie trzeba.

— Proszę usiąść — powiedziałem i przysunąłem mu krzesło z giętego drewna. — Dobrze usłyszałem pańskie imię? Fred?

— Ted. Ted Busch. Busch jak w Anheuser, nie Bush jak George W.

— Rozumiem. Ted... — Poprawiłem moją złotą czapeczkę. — Najlepiej chyba będzie, jeżeli przepowiem panu przyszłość z kart i zobaczę, czy ten senny koszmar może mieć zgubny wpływ na pańskie życie, czy też jest to coś niewinnego.

Ted skinął głową.

— Rozumiem.

Ucieszyło mnie to, bo ja nic nie rozumiałem.

— Będę musiał policzyć panu za wizytę — rzekłem. — Moje stawki są bardzo rozsądne, nie jestem jednym z tych sławnych mediów z Upper West Side, którym udało się wydać książkę trafiającą na listę bestsellerów „New York Timesa” i mają w garażu złotego leksusa, ale zagłądanie w przyszłość to bardzo skomplikowana sprawa, potrzeba lat, aby to opanować, więc muszę pobierać od moich klientów pięćdziesiąt pięć dolarów, oczywiście już z VAT-em.

Ted otworzył lewą dłoń, w której trzymał złożony studolarowy banknot.

— Amelia powiedziała, że będę musiał panu zapłacić, ale nie wiedziała ile.

Wspaniale... trzeba było zażądać stówy. Wziąłem pieniądze i wydałem Tedowi czterdzieści pięć dolarów reszty, w tym pięć drobnymi monetami, które wysypałem ze słoika.

— Proszę mi opowiedzieć o tym koszmarze — poprosiłem go, rozkładając karty.

— Eee... nie powinienem ich przełożyć czy coś w tym stylu?

— Gdzie my jesteśmy? W Reno? Nie, nie musi pan ich przekładać. Te karty już pana znają. Proszę popatrzeć na pierwszą z nich: młody mężczyzna z potarganymi włosami,

Wspinający się po schodach... nawet przewidziały, że pan do mnie przyjdzie.

— Hej! — zawołał Ted. Chyba był pod wrażeniem.

— To jest Jeu Noir, Czarna Gra — wyjaśniłem. — Najdokładniejsze karty do przepowiadania przyszłości, jakie da się kupić. W większości krajów są zakazane, a wie pan dlaczego? Bo ludzie przepowiadali sobie za ich pomocą dzień własnej śmierci i dzień przedtem zabijali innych, bo jeśli i tak mieli zaraz umrzeć, nie mieli się czego bać.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Niech pan popatrzy. Doskonała robota... Wie pan, kto je rysował? Francuscy jeńcy wojenni z epoki Napoleona, więzieni w Anglii. Nie wolno im było mieć nic do pisania, więc ścinali ostrymi nożami ciało z czubków palców, ostrzyli kość i rysowali jak piórkiem mieszanką pasty do butów i szczurzej krwi.

Ted patrzył na stół z miną, która bez dwóch zdań miała wyrażać, że rozumie.

Wątpię, czy kiedykolwiek słyszał o jakimkolwiek Napoleonie, nie wspominając już o Napoleonie Bonapartem. Pociągnął nosem.

— Mam ten sam koszmar co noc. Czuję się, jakbym spał, ale nagle wydaje mi się, że się budzę.

— Ale w rzeczywistości pan śpi?

— Tak. Jest tak ciemno, że nic nie widać, i kiedy próbuję usiąść, nie mogę. Jestem zamknięty w drewnianej skrzyni, jak w trumnie.

— Proszę mówić dalej. — Zacząłem rozkładać karty w szeregach po siedem, sześć, pięć, trzy i cztery.

— Walę w wieko pięściami, ale nic to nie daje, bo na mojej skrzyni leży druga skrzynia... też z kimś w środku... a na niej następna.

Popatrzyłem na niego. Obejmował tułów ramionami, jakby bolał go brzuch, na górną wargę wystąpił mu pot. Dzień był co prawda gorący, ale mój rozklekotany klimatyzator sprawował się jeszcze całkiem nieźle.

— Więc czuje się pan... uwięziony?

— Duszę się, człowieku! Walę i walę, ale wiem, że nikt nie zareaguje i mnie nie wypuści.

— Naprawdę? Wali pan w wieko, nikt pana nie wypuszcza i co dalej?

— Ta skrzynia znajduje się... wydaje mi się, że na statku. Wszystko unosi się i opada jak kolejka górską w wesołym miasteczku i po chwili czuję się, jakbym miał zaraz zwymiotować. Słyszę szum oceanu, wycie wiatru i zgrzyt metalu. Słyszę, jak ktoś krzyczy piskliwym głosem. Może to dziewczyna, ale raczej to chłopak, dzieciak.

Położyłem ostatnią kartę.

— Rozpoznaje pan słowa?

— Nie bardzo. Są bez sensu. Przypominają mi jednak coś... dzieciaki dozorczy z domu, w którym mieszkaliśmy przy Dwudziestej Czwartej. Popescu, tak się nazywali. Kiedy słyszę ten głos, to tak, jakbym słyszał któregoś z nich.

— Więc słyszy pan głos, który coś woła... i wtedy się pan budzi?

— Jezu, chciałbym! Nic więcej się nic dzieje, ale ja się nie budzę. Czasami ten koszmar wydaje się trwać godzinami, statek unosi się i opada, dzieciak krzyczy, a ja

nie mogę nic zrobić, jedynie leżę i łapczywie wciągam powietrze.

Popatrzyłem na niego zmrużonymi oczami.

— Czy w pańskim życiu dzieje się teraz coś, co mogłoby sprawiać, że czuje się pan, jakby został pan złapany w pułapkę? Wykonuje pan pracę, której pan nie lubi? Może się pan zaręczył?

— Nic z tego, człowieku. Wszystko było w porzo, dopóki nie zaczęły się te koszmary. Na początku zeszłego miesiąca znalazłem nową pracę w Lasky's Camera Store i nowe mieszkanie, a wieczorami występuję w klubie Gothicka. Poza tymi koszmarami nie mam żadnych zmartwień.

— No dobrze. Rozłożyłem dwadzieścia osiem kart przepowiadających, więc zaraz zobaczymy, jak będzie wyglądać pana najbliższa przyszłość. Ostatniej karty nie będziemy odsłaniać.

— Naprawdę umie pan z nich czytać?

— A sądzi pan, że miałbym odwagę żądać pięćdziesięciu pięciu dolarów, gdybym nic umiał?

— Jak pan uważa...

Pokazałem mu pierwszą kartę. Słodkie Serce.

.— Dobry początek! W weekend pozna pan nową dziewczynę. Siedzi na łóżku i uśmiecha się zalotnie, co zdecydowanie oznacza romans, nawet jeśli tylko na jedną noc.

— Tak? A kto zagląda przez okno?

Poderwałem głowę, ale byliśmy na trzecim piętrze i oczywiście nikogo za oknami nie było.

— Boże, ale mnie pan przestraszył...

— Mam na myśli tu, na tej karcie — powiedział Ted, wskazując palcem. — Dziewczyna siedzi na łóżku, ale ktoś jest za oknem, jakby ją szpiegował.

— Naprawdę?

Miał rację. Dotychczas tego nie zauważyłem, ale w samym rogu karty było okno, przez które do środka zaglądała twarz o barwie pergaminu. Właściwie nie twarz, ale maska, z kreską zamiast ust i dwiema kolejnymi kreskami w miejscach oczu.

Wyglądało to dokładnie jak Skórzana Twarz z Masakry piłą łańcuchową.

— Ta twarz to pańskie sumienie — zaimprovizowałem. — Kiedy pójdzie pan z tą dziewczyną do łóżka, pańskie sumienie będzie czuwać i powie: „Przepraszam, Ted, czy to, co robisz, jest eleganckie? Nie igrasz przypadkiem z uczuciami tej dziewczyny?”. Obok łóżka jest szachownica, na której wszystkie figury są poprzewracane. To symbol kapryśnej gry, jaką jest miłość.

— Ten gość od sumienia jest dość przerażający.

— Cóż, sumienie powinno przerażać. Inaczej nie zmuszałoby nas do zastanowienia.

— Rany, gdyby ktoś z taką gębą zajrzał mi przez okno do sypialni, najpierw złapałbym gacie, a potem zwiął.

— Zobaczmy następną kartę. To pan: rozmawia pan z przyjaciółmi. Może człowiek na karcie nie do końca jest do pana podobny, bo nie jest pan rudy i nie ma pan jasnozielonych pantalonów, ale reprezentuje pana. Uśmiecha się pan, jest rozluźniony. To dobra wiadomość.

Ted wziął kartę do ręki i uważnie się jej przyjrzał. Najwyraźniej zamierzał dostać tyle, ile mu się należało za pięćdziesiąt pięć dolarów.

— A to kto? — spytał, odwracając kartę.

— Nie rozumiem...

— Ten koleś w oddali, cały na czarno, w wysokim czarnym kapeluszu i twarzą owiniętą szalem.

— A, ten! Nie jest... szczególnie ważny. Przejdźmy do trzeciej karty.

— Chwileczkę, człowieku! Wszyscy ci ludzie śmieją się i żartują, nie, ale ten z tyłu patrzy na tego czarnego w oddali i jest nieźle przestraszony. Nie śmieje się i nie żartuje jak pozostali, no nie? Otwiera szeroko usta, jakby był bardzo przestraszony!

Wziąłem niechętnie kartę i przyjrzałem się jej.

— Chyba ma pan rację. Wygląda na nieco zatroskanego.

— Dlaczego?

— Nie zainteresuje to pana.

— Zainteresuje. Na pewno. Jeśli to moja przyszłość i ktoś się czegoś boi,

chciałbym wiedzieć dlaczego.

— Jak pan chce. Ta czarna postać występuje w tej talii tylko na siedmiu kartach... Czasami jest blisko, czasami siedzi niemal na karku swojego protagonisty. Jego obecność można bardzo różnie interpretować.

— Dobrze, ale kto to jest? Tylko to chcę wiedzieć.

— Hm, ta postać nazywa się... Natychmiastowa Śmierć.

ROZDZIAŁ 4

Krew na Siedemnastej Ulicy

— Natychmiastowa Śmierć? — Ted zamrugał nerwowo. — Co to znaczy?

— Jak powiedziałem, sprawa jest otwarta na różne interpretacje, zasadniczo biorąc, chodzi o to, że pan umrze. Mniej lub bardziej natychmiast.

— Jaja pan sobie ze mnie robi.

Uniosłem dłonie w geście, który miał ukazywać, że jestem bezradny.

— Chciał pan wiedzieć, co przewidują karty, więc mówię.

— Przewidują? W jaki sposób?

Popatrzyłem na dwadzieścia siedem kart, które były już odkryte.

— Bez zagłębiania się w szczegóły... już pan spotkał osobę, która pana zabije. Widzi pan tutaj? Pan ma na twarzy przepaskę i rozmawia z nią. To kobieta i zna pan nawet jej imię, choć nie zna pan jej prawdziwego imienia i nigdy go nie pozna. Właśnie to oznacza przepaska na oczach.

— Jezu... karty mówią, kto to jest?

— Nie całkiem dokładnie, tylko tyle, że pochodzi z daleka. Poznał pan niedawno kogoś z zagranicy?

Ted skinął głową.

Poznałem dziewczynę na przyjęciu w SoHo, w ostatni weekend. Mówiła dość dobrze po angielsku, ale tak, była z zagranicy. Może Rosjanka.

— Rosjanka?

— Może. W każdym razie była w rosyjskim typie.

— Być może karty mówią o niej. Mówią także, że dostał pan prezent, którego nie będzie się pan w stanie pozbyć, nawet gdyby bardzo pan chciał. Widzi pan tę kartę tutaj? Podarunek. Młody mężczyzna trzyma klatkę z czerwoną papugą. Papuga mu się podoba, widać to po jego uśmiechu, ale jeżeli się pan dokładniej przyjrzy, zobaczy

pan, że spód klatki jest przymocowany śrubami, które przechodzą prosto przez jego dłonie. Nie może pozbyć się tej klatki. Ma prze—chlapane.

— Dała mi medalion... — powiedział Ted. Sięgnął pod T-shirt i wyciągnął ciężki medalion z szarego metalu, mniej więcej wielkości okrągłego herbatnika. Podsunął mi go, żebym mógł go obejrzeć.

Pośrodku medalionu była wyryta twarz mężczyzny, otoczona szlaczkiem z węży i gwiazd. Jego oczy były zamknięte i wyglądał niemal śmiesznie ponuro. Z tyłu znajdował się wykonany kursywą napis w języku, którego nie znałem. De strigoica, de strigoi, si de case cu moroi.

— Ta wyglądająca na Rosjankę dziewczyna... wyjaśniła, co znaczą te słowa?

Ted pokręcił głową.

— Powiedziała, że medalion przyniesie mi szczęście, to wszystko.

— W takim razie mam nadzieję, że miała rację, a karty się mylą.

Ted nie wyglądał na przekonanego.

— Powiedział pan, że to najdokładniej przepowiadające karty, jakie istnieją na świecie.

— Zgadza się. Tak powiedziałem, choć bywają czasami niepotrzebnie pesymistyczne. Na przykład mówią „natychmiastowa śmierć”, ale jak bardzo natychmiastowe jest „natychmiastowe”? Dla żółwia z Galapagos „natychmiast” może oznaczać początek przyszłego stulecia.

Obracałem medalion i w którymś momencie poczułem na karku coś dziwnego — jakby w moje włosy chciały wejść mrówki. Mężczyzna na medalionie otworzył oczy i patrzył prosto na mnie, złośliwie się uśmiechając.

Wypuściłem medalion z ręki.

— Co się stało? — spytał Ted.

— Przepraszam, to chyba nagły skurcz mięśnia. Czasami mam coś takiego z palcami. Zrujnowało mi to karierę w rzeźbieniu netsuke^[2].

Może powinienem był powiedzieć, że wydało mi się, iż mężczyzna na medalionie Teda otworzył oczy, ale mogła to być gra światła albo medalion został tak zrobiony, aby powodować złudzenia optyczne. Ted był już tak przestraszony, że uznałem, iż

lepiej będzie nic mu nie mówić. Zarabiam na przepowiadaniu przyszłości, ale wiedza o tym, co przyniesie nam przyszłość, nikomu nie wychodzi na dobre. Zwłaszcza jeżeli nie jesteśmy jej w stanie zmienić — nawet za pomocą krwawiącego korzenia.

— Odwróćmy ostatnią kartę, dobrze? — zaproponowałem. — Nazywamy ją Kartą Decydującą, która ostatecznie powie, co się z panem stanie.

— A jeżeli Kartą Decydującą znów będzie Natychmiastowa Śmierć?

— Żaden problem. Zawsze możemy jeszcze raz przepowiedzieć pana przyszłość, inną talią. Tarotem, kartami cygańskimi, możemy nawet spróbować kryształowej kuli. Musi pan zrozumieć, Ted, że przyszłość... że przyszłość to jedynie sprawa poglądu.

Kiedy odwracałem ostatnią kartę, Ted mocno zaciskał powieki. Miałem nadzieję, że nie będzie to Wąż, bo oznacza on pewną śmierć przed następnym wschodem księżyca. Rzeczywistość okazała się niewiele lepsza. Była to Wodna Kobieta, wizerunek kobiety unoszącej się tuż pod powierzchnią rzeki, z falującymi zielonymi wodorostami zamiast włosów. Jeszcze nigdy nie odwracałem tej karty, ale wiedziałem, co oznacza. Śmierć przez utopienie albo jakieś inne niemiłe odejście w zaświaty przy udziale wody. Ted otworzył oczy i zmarszczył czoło.

— Wodna Kobieta? To coś złego?

— Nic złego, ale muszę być szczery, że także nic szczególnie dobrego. Nie powinien się pan martwić, karty jedynie ostrzegają, o niczym nie decydują. Mówią: „Ted, uważaj!”.

— Na co?

— Po prostu uważaj. Nie idź na pływalnię, nie bierz prezentów od zmokniętych kobiet, rozglądaj się dobrze, zanim staniesz przed kutrem rybackim. To wszystko, co mówią karty na temat pańskiej natychmiastowej śmierci. Jeżeli będzie pan uważał, nie umrze pan jutro.

Zacząłem zbierać karty.

— To wszystko? — spytał Ted. — A co z moim koszmarem nocnym?

— O... pański koszmar...

— Przecież tylko dlatego do pana przyszedłem. Sprawdzić, czy będzie pan go mógł jakoś zlikwidować.

— Oczywiście, ale prawdę mówiąc, nie sądzę, aby należało się nim przejmować. Jest pan zestresowany, to wszystko.

— Zestresowany?

— Jak najbardziej. Wydaje się panu, że wszystko w życiu jest w porządku, ale przecież wziął pan na siebie mnóstwo nowych obowiązków, prawda? Pańska podświadomość zaczyna dochodzić do wniosku, że sprawy pana przerastają. Stąd to poczucie, że jest pan zamknięty w skrzyni, na której leżą inne skrzynie. Mógłbym panu dać na to trochę sproszkowanego węzowego ziela... wystarczy, że włoży pan go trochę pod poduszkę, i nigdy więcej nie będzie pan śnił tego snu. Gwarantuję.

— Amelia zasugerowała, że aby powiedzieć mi, co się ze mną dzieje, może mógłby pan wezwać swojego przewodnika duchowego.

Przestałem zbierać karty.

.— Mojego przewodnika duchowego?

— Powiedziała, że ma pan indiańskiego przewodnika duchowego. Jakiegoś szamana, którego pan kiedyś znał i który zginął.

— Amelia panu o tym opowiedziała?

— Oczywiście. Powiedziała też, że ma pan talent przepowiadania ludziom przyszłości, ale rzadko go pan używa.

— Naprawdę? Przecież wróżyłem panu właśnie z kart...

— Wróżył pan, ale Amelia powiedziała, że jeśli nawiąże pan kontakt ze swoim przewodnikiem duchowym, może będzie mi pan mógł pokazać, co się ze mną stanie.

— Tak powiedziała? — Zastanawiałem się przez chwilę, po czym sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem otrzymany od niego studolarowy banknot. — Wie pan, co zrobimy? Oddam panu pieniądze i nie będę o nic pytał.

— Ale ja nie chcę pieniędzy! Chcę się dowiedzieć, o co chodzi w moich koszmarnych snach! Amelia powiedziała, że może mi pan pomóc! Człowieku, ja nie mogę spać! Nie śpię od ponad tygodnia! Dostaję od tego wariacji!

— Dlaczego Amelia sama panu nie pomogła? Ta sprawa jest nieprzewidywalna i niebezpieczna. Oczywiście, że mogę się skontaktować z moim przewodnikiem duchowym, oczywiście, że mogę panu pokazać, o co chodzi w pańskich koszmarach

snach. Mogę też wsadzić sobie do ust pistolet i wystrzelić. Ale to nie znaczy, że to dobry pomysł.

Ted zwiesił głowę i wbił wzrok w stół. Tak długo się nie ruszał, że pomyślałem, iż zasnął.

— Proszę posłuchać — odezwałem się w końcu. — Nie robiłem tych rzeczy od bardzo dawna. Powinien pan spróbować węzowego ziela. Sprzedam panu łyżeczkę do herbaty za czterdzieści pięć dolarów... To naprawdę okazja. Nadal nie podnosił głowy.

— Kontaktowanie się ze zmarłymi to bardzo ryzykowna sprawa. Amelia na pewno to potwierdzi, a zajmowała się tym przez lata. Jak pan sądzi, dlaczego przestała?

Wstałem i podszedłem do okna. Blondynka z odrostami stała tam, gdzie przedtem.

„Nie potrafiłem przestać na panią patrzeć... sposób, w jaki dym z papierosa wylatuje z pani ust i znika w pani uroczo zadartym nosie...”. Nie, to też by nie zadziało.

— Nie wiem, co robić, człowieku — wymamrotał w końcu Ted. — Byłem u lekarza, ale powiedział mi to samo, co pan. Że to stres... i dał mi ativan. Brałem te prochy, ale tylko pogarszały sprawę. Cholera jasna, tak się boję, że nawet nie gaszę światła.

— Więcej nie mogę dla pana zrobić, Ted. Przykro mi.

Podniósł głowę i z przerażeniem zobaczyłem, że ma twarz zalaną łzami.

— Musi pan. Nie mam już nikogo. Proszę...

Blondynka na ulicy też podniosła głowę i zauważyła, że ją obserwuję. Uśmiechnąłem się i pomachałem do niej, ale odwróciła się i weszła do sklepu. Cóż, pewnie i tak to transwestyta. Nie wiedziałem, co robić. Nienawidzę zakłócać spokoju zmarłym i gdyby to nic Amelia przysłała tego młodego człowieka, już dawno bym się go pozbył.

— Ted, naprawdę nie jestem przekonany... Ale chyba mogę zapytać mojego przewodnika duchowego, czy zechce panu pomóc. Niczego jednak nie gwarantuję i jeżeli sprawa wyda się nazbyt ryzykowna...

— Proszę... nie ma pan pojęcia, co przeżywam. Wahałem się. Wcale mi się to nie

podobało. Dotychczas trzy albo cztery razy kontaktowałem się z tak zwanym światem duchów, lecz za każdym razem kończyło się to katastrofą i miałem szczęście, że udawało mi się ujść z życiem. Myślicie, martwi są grzeczni? Wydaje wam się, że trwają w nieustannym zachwycie i spędzają czas na tańcach na łąkach i grze na ukulele jak jacyś hipisi? Nic! Są zgorzkniali, pokręceni, marzą o zemście i nienawidzą żywych. Ujmijmy to tak: gdybyś sam był martwy, co byś czuł do zadowolonych z siebie żywych drani, zwłaszcza gdyby ciągle starali się z tobą skontaktować, wołając: „Halo? Halo! Jest tam kto? Jak to jest być martwym? Gdzie schowałeś akcje amerykańskich stalowni?”.

— Zróbmy jeszcze jedno — powiedziałem do Teda, po czym wysunąłem górną szufladę komody i wyjąłem notes z telefonami. Znalazłem numer Amelii i wystukałem go w komórce. Dzwonek dzwonił i dzwonił, ale odezwała się tylko automatyczna sekretarka.

„Nie ma mnie akurat w domu, ale bardzo jestem ciekawa, jaką masz do mnie sprawę”.

Amelia. Ten sam lekko chropowaty głos. Odchrząknąłem i powiedziałem:

— Amelio... mówi Harry. Jest u mnie Ted... Ted Busch. Robię, co mogę, aby mu pomóc, ale chciałbym się dowiedzieć, co sądzisz o tym jego koszmarze nocnym. — Popatrzyłem na mojego klienta, zagryzającego kciuk. — Oddzwon, jak będziesz mogła, dobrze? Całuję, Harry.

Wyłączyłem telefon.

— No cóż, Teddy... zobaczmy, czy uda mi się uzyskać jakąś pomoc z zaświatów.

Zaciągnąłem zasłony, aby maksymalnie zaciemnić pokój. Wziąłem z szuflady w kuchni trzy gromnice i zapaliłem je. Zdjąłem z ręki bransoletkę z czarnych paciorków, którą dostałem od Śpiewającej Skały, i nałożyłem ją na gromnice — tak aby wszystkie trzy znalazły się wewnątrz.

— Widzi pan? Ta bransoletka jest zrobiona z polerowanych kamyków z dna rzeki Okabojow w Dakocie Południowej. Człowiek, który mi ją dał, powiedział, że kiedy umrze, jego dusza zostanie podzielona na dwadzieścia jeden części i każdy z tych

kamyków będzie zawierał jedną część. To, co widział, to, co mówił, to, czego dotykał i tak dalej. Ta bransoletka to jakby nagranie tego, czym był.

— Chcę spróbować wszystkiego — powiedział Ted.

— No to świetnie. — Ująłem go za rękę. — Chcę, żeby zamknął pan oczy i przypomniał sobie swój koszmar. Niech pan sobie wyobraża wszystko jak najwyraźniej. Skrzynię. Ciężar na skrzyni. Unoszenie się i opadanie statku.

Ted skinął głową. Chwilę czekałem, on jednak tylko kiwał głową.

— Niech pan teraz zamknie oczy. Jeśli to możliwe, chciałbym, abyśmy zaczęli jeszcze w tym tygodniu.

— O, przepraszam! Oczywiście. — Ted zamknął oczy i mocniej ścisnął moje dłonie.

Siedziałem może przez minutę, obserwując mojego klienta. Zadziwiające, ile ludzie ujawniają własnych myśli, kiedy zamkną oczy. Niewiele mniej niż wtedy, gdy śpią. Potem zacząłem myśleć o Śpiewającej Skale, o ostatnim razie, kiedy go widziałem, gdy odwrócił się do mnie. Nie wyglądał na czejeńskiego szamana. Był niski, krępy, miał szeroką wesołą twarz i nosił okulary. Prędzej można byłoby go wziąć za sprzedawcę materaców z Europy Wschodniej niż za jednego z najpotężniejszych indiańskich magów od czasów Hastina Klaha.

— Śpiewająca Skala, muszę z tobą porozmawiać — zacząłem.

Na ulicy zatrąbił samochód i ktoś zaczął wrzeszczeć: „Głupi jesteś? Zgłupiałeś czy co?”.

— Śpiewająca Skala, mam tu młodego człowieka, który ma poważne kłopoty, i potrzebuję twojej pomocy.

Płomienie świec zamigotały, na chwilę jakby się zapadły, nie czułem jednak niczyjej obecności — oczywiście nie licząc Teda. Poza hałasami z ulicy i regularnym klekotem mojego klimatyzatora nie było nic słychać.

— Śpiewająca Skala, ten młody człowiek ma straszliwe koszmary nocne i chce zrozumieć, co oznaczają i jak je powstrzymać.

Sprawa wydawała mi się beznadziejna. Siedzieliśmy, trzymając się za rękę, które coraz bardziej się nam pociły, i nic się nie działo. Śpiewająca Skala prawdopodobnie

był już zbyt długo martwy, abym mógł go przywołać, albo nie miał ochoty pomagać jakiejś nie mogącej spać bladej twarzy. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, ale nigdy nie przepadał za białymi. Jego prapraprababka została zabita przez kawalerię USA niedaleko Whitestone Hill w Dakota Territory — razem z pięcioma innymi członkami jego rodziny — i dwustoma innymi mężczyznami, kobietami i dziećmi z plemion Siuksów Yanktonai i Hunkpatina. Śpiewająca Skała opowiadał o tym z taką wściekłością, że można było odnieść wrażenie, iż wszystko to wydarzyło się kilka dni temu, a nie w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku. Czas nie zawsze jest lekarzem, zwłaszcza w przypadku szczególnie wielkich niesprawiedliwości.

— Śpiewająca Skało, chciałbym cię prosić o przysługę. Chcę, abyś otworzył przede mną kilkoro drzwi i pokazał mi drogę.

Ted otworzył jedno oko.

— Naprawdę pan sądzi, że to coś da?

— Jeśli będzie pan podglądał, to nie. Proszę myśleć o swoim koszmarze.

Zamknął oko i zacisnął usta, próbując się skupić.

— Śpiewająca Skało... — kontynuowałem — wydaje mi się, że dzieje się coś ważnego, i naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Czekałem i czekałem, ale w końcu uwierzyłem, że Śpiewająca Skała zamierza mnie zignorować. Dlaczego miałyby mi pomagać? Gdybym nie wtrącał swoich trzech groszy w indiańską magię, prawdopodobnie do dziś by żył.

Kiedy już miałem oderwać swoje dłonie od spoconych dłoni Teda, usłyszałem coś, co zdecydowanie nie było odgłosem ulicznym, nie pochodziło też z klimatyzatora ani ze sklepu muzycznego po drugiej stronie ulicy. Był to piskliwy, przenikliwy dźwięk, przypominający drapanie metalem o metal — niemal niesłyszalny dla ludzkiego ucha, ale gdyby usłyszał go psy, z pewnością zaczęłyby wyć jak wściekłe.

— Śpiewająca Skała? — Rozejrzałem się po pokoju. Nic nie wyglądało na zmienione, lecz bez najmniejszej wątpliwości ktoś tu był, bo przedmioty sprawiały wrażenie poprzestawianych. Książki wyglądały na poprzestawiane, a wiszące na ścianie zdjęcie Karen i Lucy odrobinę się przechyliło. — Śpiewająca Skało, jesteś tu?

Piskliwy odgłos nasilił się tak bardzo, że zaczęły mnie boleć zęby. Dołączył się do

niego kolejny dźwięk: ciche, natarczywe podśpiewywanie, podkreślane stukaniem kijów. Wydawało mi się, że czuję dym ogniska i słyszę szum wiatru w trawach.

Śpiewająca Skała był niedaleko, może już w pokoju. Byłem tego pewien.

— Ted... wydaje mi się, że mój przewodnik duchowy przybył.

— Co mam robić?

— Myśleć o swoim koszmarze, jak najwyraźniej. Widzieć wszystko wewnętrznym okiem. Pokazać mu, jak bardzo zamknięty i uwięziony czuje się pan w tej skrzyni. Spróbować przedstawić to bujanie w górę i w dół. Niech mój przewodnik duchowy usłyszy głos chłopca.

— No dobrze... widzę to wszystko, człowieku. Czuję i słyszą.

Stukanie kijów przyspieszyło rytm i zrobiło się gwałtowniejsze. Słyszałem też śpiew. Nie rozpoznawałem dialektu, ale na pewno był to któryś z języków indiańskich i gdybym miał zgadywać, zdecydowałbym się na Siuksów.

— Śpiewająca Skała, ten młody człowiek jest bardzo zaniepokojony swoimi snami. Chciałby, żebyś mu wyjaśnił, co oznaczają.

Śpiewająca Skała nie odpowiedział, ale bransoletka z czarnych kamyków zaczęła drzeć jak ogon grzechotnika.

— Proszę, pokaż mu, jak może się pozbyć tego kosmaru i znów normalnie spać.

Bransoletka zadrżała jeszcze gwałtowniej, a świece zaczęły pluć stearyną.

— Co się dzieje? — zapytał Ted.

— Niech pan nie otwiera oczu! Proszę się skupiać na swoim koszmarze! Mój przewodnik duchowy jest tutaj! Niech mu pan pokaże, co pana przeraża! Jezu, człowieku... to gorsze, niż kiedy śpią!

— Niech pan się skoncentruje! On musi zobaczyć pana kosmar tak samo dokładnie, jak pan go widzi!

Ted zazgrzytał zębami, pot skapywał mu z czubka nosa. Bransoletka grzechotała, a świece płonęły tak gwałtownie, że trzaskały i strzelały iskrami. Miałem wrażenie, jakby pokój pędził przez czas i przestrzeń. Czuję się jak pasażer kolejki górskiej, któremu zrobiło się niedobrze i chciałby jak najszybciej wysiąść, ale musi jechać dalej.

— Śpiewająca Skala!

W tym momencie ujrzałem kątem oka za drzwiami sypialni rozmazaną postać. Była wysoka, ciemna i dziwacznie rozciągnięta, zniknęła jednak tak szybko i gwałtownie, że nie udało mi się dostrzec szczegółów. Najbardziej przerażające było to, że przeszła przez zamknięte drzwi. Prosto przez poplamione brązowe drewno!

Wyrwałem ręce z dłoni Teda i tak nieporadnie wstałem, że krzesło poleciało do tyłu i przewróciło się na podłogę z głośnym łoskotem.

Ted otworzył oczy i zamrugał.

— Co się dzieje?

— Chyba tu jest. — Okrążyłem stół, cały czas nadstawiając uszu.

— Kto?

— Ten, kto powoduje pana koszmary nocne. Śpiewającej Skale udało się go przyprowadzić, żeby go pan sobie obejrzał.

— Nie rozumiem.

— To proste. Koszmary nocne zawsze są powodowane przez duchy, takie lub inne. Kiedy ma się zły sen, z pewnością sprawcą tego jest ktoś nieżyjący. W większości przypadków zmarli nie robią tego z rozmysłem, ale czasami chcą kogoś wystraszyć. — Przerwałem, by przez chwilę posłuchać. — Jedynym sposobem, aby się dowiedzieć, jaki duch powoduje senny koszmar, jest poproszenie przewodnika duchowego o to aby go pokazał.

— I ten duch tu jest?

— Właśnie.

Ted rozejrzał się niepewnie.

— Gdzie? Nikogo nie widzą.

— Tam — wyjaśniłem, wskazując na drzwi sypialni.

— Tam? Jak dostał się do środka?

Moja bransoletka ostro, niecierpliwie zagrzechotała. Dowiedzenie się, kto jest sprawcą koszmarów Teda i sprowadzenie go tutaj prawdopodobnie kosztowało Śpiewającą Skalę sporo energii spirytualnej i pewnie było też dość niebezpieczne. Duch potrafiący stworzyć iluzję skrzyni, w której można się udusić, oraz płynącego po

morzu, załadowanego po brzegi statku, nie był czymś, z czego można sobie żartować.

— Idziemy — powiedziałem i dałem Tedowi znak, aby poszedł za mną w kierunku sypialni.

Przycisnąłem ucho do drzwi i zacząłem nadśłuchiwać. Początkowo mogło się zdawać, że w środku jest cicho, po chwili jednak usłyszałem cichuteńki szept — albo raczej setki szeptów, tysiące szeptów — całą katedrę, wypełnioną żarliwie modlącymi się zakonnkami.

Tatal nostru carele esti in ceruri, sfinteasca—se numele tau...

Sięgnąłem do plastikowej gałki. Był tylko jeden sposób dowiedzenia się, jak wygląda ten duch — stanięcie z nim twarzą w twarz — ale serce tak mocno waliło mi o żebra, że aż bolały.

Vie imparatia ta, faca—se voia ta...

— Nie! — wykrzyknął histerycznie Ted głosem załamującym się jak u nastolatka.

— Ted, on tu jest, ale Śpiewająca Skała nie utrzyma go zbyt długo.

— Nie chcę go widzieć! Proszę, człowieku... czuję, jaki jest zły! Nie chcę go oglądać! Bransoletka na stole ponownie zagrzechotała.

— To jedyna szansa! Jeśli nie spojrzysz mu pan teraz w oczy, może pan mieć ten koszmar nocny do końca życia! Ted! Niech pan posłucha! Ted!

Ale on się cofnął. Ręce miał wysoko uniesione i gwałtownie rzucał głową na boki.

— Nie mogę, facet! Nic mogę na niego patrzeć! Czuję, jak bardzo jest zły! Jeszcze nigdy nie spotkałem czegoś tak złego!

— Ted, musi pan! Nie ma pan wyboru!

Sam również nie miałem ochoty otwierać drzwi do sypialni. Wydawało się, że szeptów robi się coraz więcej — jakby za drzwiami ukrywały się miliony duchów, modlących się żarliwie o wyzwolenie. Dochodził do tego zapach — mdlący zapach kurzego mięsa, którego skórę zaczynają pokrywać pierwsze ciemnozielone pasma zepsucia, zapchanych włosami zlewów i skwaśniałego mleka.

Równocześnie wiedziałem, że musimy stanąć naprzeciwko ducha, którego sprowadził do mnie Śpiewająca Skała. Jeżeli tego nie zrobimy, być może już nigdy nie będę mógł go wezwać. Jeżeli poprosisz Siuksa, a nawet nie poprosisz — da ci

wszystko, co posiada, ale nigdy nie daruje ci braku wdzięczności.

— Ted, otwieram drzwi! Musi pan zobaczyć, nieważne, co to jest!

Opadł na kolana.

— Nie mogę, człowieku! Proszę...

Zza drzwi dobiegło wściekłe stukanie, jakby łomotało o nie stado szarańczy. Bransoletka na stole wydała z siebie pojedynczy, pozbawiony entuzjazmu grzechot i zamilkła. Świece zaczęły filować i przygasły, jakby płomieniom zabrakło tlenu. Jeśli nie zajrzę teraz do sypialni, nigdy się nie dowiem, kto i dlaczego dręczył Teda koszmarami, które mogły doprowadzić go do obłądu albo do popełnienia samobójstwa.

Tak więc otworzyłem drzwi.

ROZDZIAŁ 5

Miasto krwi

— Możemy z nią porozmawiać? — spytał porucznik Roberts, wskazując głową w stronę łóżka Susan Fireman. Jego głos był głęboki i dźwięczny, jakby ukrywał pod marynarką głośnik basowy, i miał wyraźny południowy akcent — z Karoliny Południowej albo Georgii.

— Jeszcze nie. Nie sądzę, abyście panowie zdołali się z nią porozumieć.

— Ale rozmawiała z panem?

W pobliżu stała blada krostowata młoda zakonnica, która udawała, że nie słucha.

— Chyba najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy do mojego gabinetu — zaproponował Frank. — Posłaliście kogoś do jej mieszkania?

— Pewnie — odparł porucznik Roberts. — Zawiadomią mnie zaraz, jak czegoś się dowiedzą.

Wjechali w milczeniu na dwudzieste szóste piętro. Jechała z nimi jedynie drobna koreańska pielęgniarka w wielkich białych sportowych butach, która cały czas ziewała, co sprawiło, że detektyw Mancini też zaczął ziewać.

Frank niemal wepchnął policjantów do swojego gabinetu i zamknął za nimi drzwi.

— Usiądą panowie?

— Niekoniecznie — odrzekł Roberts. Był wysoki i miał tak poważną minę, że bardziej przypominał kaznodzieję niż policjanta. Miał też na sobie czarny garnitur, czarną jedwabną koszulę z czarnym jedwabnym krawatem i bardzo błyszczące czarne buty.

— Kiedy z nią rozmawiałem, panna Fireman miała wysoką gorączkę, więc nie dam głowy za prawdziwość jej słów — powiedział Frank.

— Nie jest pan na miejscu dla świadków, doktorze. Niech pan streści, co mówiła.

— Mieszka razem z koleżanką o imieniu Prissy i kolegą o imieniu Michael. Powiedziała mi, że... no cóż, że poderznęła im gardła kuchennym nożem i piła ich

krwem prosto z przeciętych tętnic szyjnych.

Zapadła długa cisza — tak długa, że Frank zaczął wątpić, czy porucznik usłyszał jego słowa. W końcu policjant wyjął chusteczkę — dla odmiany śnieżnobiałą — i wydmuchał w nią nos. Trzeba przyznać, że przed schowaniem jej nie zajrzał do środka.

— Czy ma pan jakiś powód podejrzewać, że to mistyfikacja?

— Jak powiedziałem, nie mam pewności, ale krew, którą zwymiotowała, była krwią ludzką, i to nie jej grupy. Sądząc po ilości, prawdopodobnie mówiła prawdę.

— Nie ma szansy, aby któraś z ofiar mogła przeżyć?

— Raczej nie. Przeciętny człowiek ma mniej więcej pięć i pół litra krwi i przy utracie ponad dwudziestu procent...

Telefon detektywa Manciniego zaterkotał.

— Ryker? Tak, sekundę... nie słyszę cię, sygnał zanika. — Detektyw odwrócił się do porucznika. — To Ryker. Muszę wyjść na korytarz.

Choć wyszedł i zamknął za sobą drzwi, słychać było, jak krzyczy do słuchawki.

— Jesteś tam?! Jesteś na miejscu?! Jak to, nikt nie otwiera? Przypuszczamy, że nie żyją, baranie!

Porucznik Roberts przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się nad czymś.

— Co właściwie jest z panią Fireman? — spytał w końcu Frank wzruszył ramionami.

— Ma anemię i bardzo niskie ciśnienie krwi, a jej oczy są nadwrażliwe na światło. Dlatego opuściliśmy w jej pokoju żaluzje.

— Więc na co choruje? Ma to jakąś nazwę?

— Szczerze mówiąc, nie wiemy. Przeprowadzamy kolejne badania, ale dopóki nie otrzymamy wyników, to tylko zgadywanie. Jej organizm zawiera dość niezwykły enzym, lecz jeszcze nie wiemy, co to jest.

— Czy istnieje jakaś choroba, która powoduje, że ludzie piją ludzką krew?

— Nie, choć sądzę, że mogą istnieć psychozy urojeniowe, w których chory może uważać, że musi to robić.

— Czyli pani Fireman jest przypadkiem kwalifikującym się do czubków?

— Nie używamy tu takich pojęć, poruczniku. Przede wszystkim dlatego, że nie są one precyzyjne. Istnieje wiele rodzajów czubków: od depresji dwubiegunowej po socjopatię. Poza tym, jak już mówiłem, jeszcze nie skończyliśmy badań.

— Powiedziała panu, dlaczego piła krew?

— Powiedziała, że światło w jej mieszkaniu sprawiało, że czuła się, jakby płonęła, i musiała napić się krwi, aby nie spalić się żywcem. Możliwe, że wrażenie „palenia się” było prawdziwe, ale jej reakcja na ten objaw była psychotyczna. To się zdarza. Kiedyś miałem pacjenta z rakiem żołądka, który był przekonany, że zjadają go od środka owady z kosmosu, i aby je zabić, połknął środek owadobójczy. Gdy ludzie doznają bardzo silnego bólu, może to zaburzyć percepcję rzeczywistości.

— Rozumiem, ale chciałbym, aby spróbował pan ocenić, czy pani Fireman jest świadoma swoich czynów. Pana zdaniem potrafi odróżnić dobro od zła?

Zahuczał dzwonek telefonu.

— Przepraszam — powiedział Frank i podniósł słuchawkę. Posłuchał, skinął głową, po czym odłożył słuchawkę, nie cofnął jednak ręki, jakby chciał sprawić, żeby telefon ponownie nie zadzwonił.

— Mamy problem, poruczniku.

— Nowy czy ten stary się pogorszył?

— Nie wiem. Może jedno i drugie. Mniej więcej godzinę temu przywieziono do nas młodego mężczyznę, który wymiotował krwią tak samo jak pani Fireman. Też miał objawy nadwrażliwości na światło... posmarował się kremem przeciwsłonecznym. Zbadaliśmy zawartość jego żołądka i mamy już wstępne wyniki.

— Tak?

— Trzy litry krwi, nie jego.

— Jezu!

— To nie wszystko. Doktor Garrett właśnie przyjął następnego pacjenta. Mężczyzna w średnim wieku, również wymiotujący krwią, twarz i dłonie pokryte grubą warstwą kremu.

— Kolejny? Może to jakaś sekta ludzi pijących krew?

— Nie wiadomo jeszcze, co jest przyczyną. To może być wirusowe, jakaś

mutacja, wywołana przez wysoką temperaturę i wilgotność. A może to wcale nie choroba somatyczna, tylko jakaś masowa histeria?

— Myśli pan, że to zaraźliwe?

— Jak na razie nic nie wiadomo. Ale przestrzegamy wszystkich procedur, przewidzianych na wypadek choroby zakaźnej.

— Dobrze, Ryker, na pewno! — wrzasnął na korytarzu detektyw Mancini. — Zadzwoń później! — Wrócił do gabinetu, potykając się po drodze o kosz na śmieci.

— No i? — spytał porucznik Roberts.

— Strzał w dziesiątkę, poruczniku. Znaleźli ich w kuchni. Dwa trupy, kobieta i mężczyzna, po dwadzieścia kilka lat, z podejrzniętymi gardłami, wykrwawieni. — Zajrzał do notesu i pociągnął nosem. — Pan Michael Harris i... panna Priscilla Trueman.

— Boże... — jęknął Frank. Mimo wyznania Susan i medycznych dowodów do tej pory nie bardzo wierzył w całą tę historię.

Miał wrażenie, jakby w połowie horroru na sali kinowej nagi zapaliło się światło i stwierdził, że jest opryskany świeżą, jeszcze ciepłą krwią.

— Cóż, wygląda na to, że mamy podwójne zabójstwo, a to dopiero początek — mruknął porucznik Roberts i popatrzył na zegarek. — Ponieważ pani Fireman nie jest w stanie odpowiadać na nasze pytania, myślę, że powinniśmy obejrzeć osobiście jej robótkę. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu wrócimy później. Chciałbym także przesłuchać tych dwóch nowych pacjentów z izby przyjęć, o których pan wspominał i dowiedzieć się, czyją oni krew pili.

— Oczywiście, kiedy tylko pan zechce — odparł Frank. Nagle zrobiło mu się zimno, zemdlilo go i musiał usiąść. — Jeżeli Susan Fireman zacznie dochodzić do siebie, zadzwonię do pana.

Porucznik Roberts zatrzymał się w pół kroku i popatrzył na Franka.

— Wszystko w porządku, doktorze? Wygląda pan, jakby się panu zrobiło niedobrze.

— Nic mi nie jest. To chyba tylko lekki szok.

— Nie ma się co dziwić. Proszę się nie spieszyć, zobaczymy się na dole, w izbie

przyjąć.

— Poruczniku... zanim pan pójdzie...

— Tak? Co się stało?

— Może to nieważne, ale Susan Fireman mówiła coś w obcym języku. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem... może to coś wschodnioeuropejskiego. Ten młody człowiek, którego przywieziono po niej, mówił w tym samym języku.

— Naprawdę?

— Total nustro... coś w tym stylu. Było znacznie więcej słów.

Porucznik Roberts uniósł brwi.

— Total nustro? Nic mi to nie mówi. Chociaż... — Wyjął notes i zapisał. — Total nustro. Dobrze, że pan zapamiętał. Nigdy nie wiadomo.

— Pomyśleliśmy z doktorem Garrettem, że może to mieć jakieś znaczenie. A nuż to jacyś terroryści albo ja wiem?

— No tak, oczywiście. Warto o tym pamiętać. Mogą być al-Kaidy i próbują rozprzestrzeniać tę chorobę jak węglika. Z drugiej strony, jak pan sam mówi, może to wcale nie choroba, a ci ludzie po prostu należą do tego samego klubu esperanto. Może to wina gorąca, wszyscy powariowali i zamiast Mr Pibba chce im się pić Rh minus. Dopóki się nie dowiemy, co się, do cholery, dzieje, nie dowiemy się, co się, do cholery, dzieje.

Znów zabrzączał telefon. Frank wcisnął klawisz interkomu, aby porucznik Roberts też mógł słuchać.

— Frank, tu znów Dean Garrett. Właśnie dzwonił ósmy ambulans, że wiozą trzech ludzi, wymiotujących krwią, i ostrzegają, że powinniśmy spodziewać się więcej. NYU Downtown ma pięć przypadków, St Luke trzy, a Lennox Hill dwa.

— Jezu, to zaczyna wyglądać na epidemię... — jęknął Frank.

— Albo na masakrę — mruknął porucznik Roberts. — Albo jedno i drugie. Zastanówmy się: jeżeli wszyscy ci ludzie pili ludzką krew, to ile musieli poderżnąć gardła?

Znów zaterkotała komórka detektywa Manciniego.

— Wiadomość od inspektora Conroya, poruczniku. Chce, żebyśmy wracali na

komisariat. Natychmiast.

— No dobrze, panie doktorze — powiedział Roberts. — Chyba na razie musimy pana zostawić.

— Skoro panowie muszą... Zadzwoń do was w sprawie Susan Fireman?

— Oczywiście. Mam przeczucie, że i pan, i ja będziemy się w najbliższych dniach bardzo nawzajem potrzebować.

Frank nalał sobie szklanekę wody i zszedł do Susan. Jej skóra jeszcze bardziej przeświecała, niż wtedy, kiedy był u niej Poprzednio. Gdy podchodził do łóżka, uśmiechnęła się blado.

— Kto to był? — spytała.

— Policja. Posłali do pani mieszkania detektywów, pani przyjaciół.

— Rozumiem.

Frank odchrząknął.

— Chcą z panią porozmawiać, kiedy się pani lepiej poczuje.

— Która godzina? Spałam...

— Za dwadzieścia pięć trzecia. Może spróbuje pani jeszcze pospać? Odpoczynek to dla pani najlepsza rzecz.

Pokręciła głową.

— Nie mogę... cały czas mam ten sen.

Frank popatrzył na nią uważnie.

— Mam kłopoty, prawda? — spytała.

— Jeżeli zabiła pani Michaela i Prissy, to tak.

— To nieistotne. Nie da się skazać zmarłego, prawda?

— Nie rozumiem... nie umrze pani.

— Ale żyć też nie będę.

Frank przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

— Muszę iść. Mamy na dole kryzys.

— Nie nienawidzi mnie pan za to, że zabiłam Michaela i Prissy?

— Moją rolą nie jest nienawidzenie pacjentów... niezależnie od tego, co zrobili.

— Cieszę się. Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że ja siebie też nie nienawidzę. Przynajmniej umarli, robiąc coś użytecznego, prawda? Niewielu ludzi może to o sobie powiedzieć.

— Susan, czy słyszała pani kiedyś o „bladych”?

Pokręciła głową.

— Nie. Nigdy.

— Na pewno? Mężczyzna, który panią dziś obserwował podczas występu, powiedział, że jest pani jedną z bladych. Powiedział też, że mógłby mi to wyjaśnić, ale bym nie zrozumiał, co ma na myśli.

— Nigdy o nich nie słyszałam, na pewno. Naprawdę. — Głos Susan nagle się zmienił, zaczęła mówić niewyraźnie i bełkotliwie, jak człowiek, który właśnie doznał wstrząsu mózgu albo Jak ktoś, kto mówi przez sen: — Naprawdę... niech mi — pan... uwie... rzy. — Kręciła przy tym energicznie a jej gałki oczne nagle zaczęły się obracać do tyłu.

— Susan! — Frank spojrział na monitor, ale puls i ciśnienie były stabilne, choć ciśnienie cały czas pozostawało niskie. Po chwili dziewczyna zamknęła oczy i zaczęła oddychać płytko, lecz spokojnie.

Frank powstał przy niej przez jakiś czas, po czym wyszedł z sali i ruszył w kierunku wind. Kiedy do nich dochodził, miał niepokojące wrażenie, że Susan wstała z łóżka i skrada się za nim w białym szpitalnym stroju. Zatrzymał się i odwrócił, ale poza nim na korytarzu była tylko sprzątaczką, myjąca podłogę i podśpiewująca Lazy River.

Wcisnął klawisz jazdy w dół. Czekaając na windę, spojrzął za siebie, w kierunku sali numer piętnaście sześćdziesiąt sześć. Weszła do niej pielęgniarka i po chwili wyszła. Czuł niepokój — był niemal pewien, że Susan stoi tuż za jego plecami.

„Nie umrze pani” — powiedział do niej. Co mu wtedy odpowiedziała?

„Ale żyć też nie będę”.

Co to miało znaczyć? Albo się żyje, albo umiera. Nie można znajdować się w obu tych stanach jednocześnie.

Przyjechała winda i drzwi się otworzyły. W środku stał mężczyzna z głową

obwiązaną bandażami, jego oczy i usta zamieniły się w wąskie szparki. A może jednak można równocześnie żyć i nie żyć? Frank wziął głęboki wdech i wszedł do kabiny.

Kiedy wysiadł na parterze, w izbie przyjęć panował kompletny chaos. Dean podtrzymywał młodą kobietę w jasnozielonej letniej sukience, która wymiotowała krwią na nosze i podłogę wokół.

— Boże... — mamrotała. — Boże, Boże, Boże. — wyrzuciła z siebie kolejną fontannę krwi. Dean próbował złapać wszystko w miskę z prasowanej tektury, ale musiały być tego litry. Był nieogolony, spocony, a jego włosy nastroszyły się jak Stanowi Laurelowi.

— Wyglądasz jak kupa — stwierdził Frank.

— Jesteś mniej więcej dziesiątą osobą, która mi to mówi.

— Dadzą ci jakąś pomoc?

— Oczywiście, będzie kilka osób. Zaraz przyjdzie tu Kieran Kelly z intensywnej opieki, Bill Medovic już jedzie z White Plains, poza tym mają mi dosłać pięciu techników i siedem pielęgniarek, ale to się tak rozwija, że mam wrażenie, iż nas zaleje.

— Co na to wszystko Troll Śmierci?

— Jeszcze nic, ale Kieran mówi, że jeżeli liczba ofiar przekroczy pięćdziesiąt, Troll ogłosi kod czerwony.

Kobieta, którą Dean się zajmował, wstała i zacharczała, tym razem jednak z jej ust wyleciało tylko kilka kropli krwi. Kiedy Dean otarł usta pacjentki, Frank pochylił się ku niej.

— Proszę pani... jestem doktor Winter. Jak pani się nazywa?

— Kathleen... Kathleen Williams. Boże, cała płonę...

— Ma pani wrażenie, jakby pani skóra się paliła?

— Płonę! Pomóżcie mi!

— Kathleen, zrobimy co się da, obiecuję, muszę jednak wiedzieć, czyją krew pani piła.

— Co? — wybełkotała, patrząc na niego z przerażeniem.

— Frank... — zaprotestował Dean. — Nie możesz o coś takiego pytać!

— Piła pani czyjąś krew — oświadczył Frank. — Musi mi pani powiedzieć, czyją.

— Nie piłam niczyjej krwi. Jestem chora, to wszystko.

— Niech pani posłucha — nie ustępował Frank. — Wiem, co pani zrobiła. Słyszysz mnie pani? Wiem, co pani zrobiła. To nie jest pani krew, prawda?

— Miech mi pan da spokój! Boli mnie! Nie wytrzymuję! Tak bardzo mnie boli!

— Będzie panią bolało jeszcze bardziej, jeżeli odmówimy pani pomocy.

— Nie możecie! Palę się! Doktorze! Pomocy! Płonę!

— Frank, na Boga... — syknął Dean i rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy. — Możemy zostać oskarżeni nie wiadomo o co!

Frank nie zamierzał jednak zrezygnować i kiedy przyszła pielęgniarka, aby zabrać leżącą na łóżku transportowym chorą, zatrzymał ją.

— Nie, chwileczkę! Kathleen ma nam coś do powiedzenia.

Kobieta popatrzyła na niego.

— Dobrze... piłam ich krew.

— Czyją? Proszę, Kathleen. Musi mi pani to powiedzieć.

Oczy kobiety nagle wypełniły się łzami, a jej usta wykrzywił żal.

— Moich dzieci. Obojga moich dzieci. Nie mogłam się powstrzymać.

— Niech to jasny gwint... — jęknął Dean i przeciągnął palcami przez włosy.

— Co pani zrobiła? — spytał Frank.

— Nie mogę panu powiedzieć! To nie byłam ja! Nigdy bym ich nie skrzywdziła, nigdy!

— Niech mi pani powie, co pani zrobiła. Tylko wtedy będziemy mogli pani pomóc.

— Od rana... od samego rana płonęłam. Nie mogłam tego wytrzymać. Czułam się, jakby kurczyła mi się skóra, i było mi tak gorąco! Myślałam o ich bijących serduszkach i krążącej w ich ciałach krwi. Wiedziałam, że mnie ochłodzi.

Dean zakrył twarz dłońmi, ale Frank nie przestawał pytać.

— Jak to się stało, Kathleen? Jeżeli mi pani tego nie powie, będzie pani musiała powiedzieć policji.

— Jezu... robiłam im jedzenie. Kanapki. Cały czas czułam się, jakby mnie przypalano. Opuściłam żaluzje, żeby słońce nie świeciło do środka, ale piekło niemiłosiernie. Marty przy, szedł do kuchni i zapytał, dlaczego jest tak ciemno. Popatrzyłam na niego i wiedziałam, co muszą zrobić. Nie mogłam się powstrzymać.

— Ile Marty ma lat?

— Jedenaście... a Melissa dziewięć. Kiedy skończyłam z Martym, poszłam do sypialni. Moja córeczka siedziała przed lustrem, przy którym się maluję, i bawiła się moją szminką. Zobaczyła mnie w lustrze i myślała, że jestem na nią zła, ale nie byłam. Paliłam się jednak i potrzebowałam jej krwi.

— Więc podcięła jej pani gardło.

Kobieta przełknęła i skinęła głową.

— Pójdę za to do piekła, prawda?

— Do piekła? — powtórzył Frank, po czym dodał pod nosem: — Będiesz szczęśliwa, jak cię tam wpuszczą.

Dean wyszedł z Frankiem na korytarz.

— To mordercy, prawda? Wszyscy ci ludzie.

— Na to wygląda.

— Boże Wszechmogący... mamy ich już ponad trzydzieścioro i ciągle przywożą nowych.

— Nie możemy ich osądzać, Dean. Od osądzania jest sąd, nie my.

— Jeżeli będzie miał kogo sądzić. Ci, których przywieziono jako pierwszych, są w dość złym stanie.

— Rzucę na nich okiem.

Dean zaprowadził go do części oddziału pediatrycznego, który był przeznaczony wyłącznie dla pacjentów z krwotokami. Tabliczka z dużym czerwonym napisem ostrzegała: KWARANTANNA — NIE WCHODZIĆ.

— To tylko środki ostrożności — wyjaśnił Dean. — Nie ma na razie niczego, co

by wskazywało, że ta choroba jest zakaźna albo wywoływana przez jakąś toksynę.

Wszystkie żaluzje na oddziale były opuszczone, toteż pomocnicy lekarzy i ściągnięte awaryjnie pielęgniarki pracowali w półmroku, wyglądając jak bladozielone duchy. Frank szedł między dwoma szeregami łóżek i badał każdego pacjenta.

Niektórzy byli bladzi i leżeli nieruchomo, jakby spali albo umarli, a ci, których przywieziono ostatnio, płakali, krzyczeli, wymiotowali i błagali o łaskę. Smród częściowo strawionej krwi był tak wszechobecny, że Frank miał wrażenie, iż przylepia mu się do języka.

Na zewnątrz przez cały czas wyły syreny, co oznaczało, że z rozpalonego miasta zwożeni są kolejni pacjenci. Plastikowe drzwi izby przyjęć kłapały, po korytarzach terkotały łóżka transportowe, co chwila ktoś wołał sanitariusza o pomoc.

Frank i Dean wrócili na izbę przyjęć. Zdjęli z twarzy maski.

— Coś nowego od Willy'ego? — spytał Frank. Wyłożona linoleum podłoga lepiała się od krwi i kiedy po niej szli, podeszwy skrzeczały nieprzyjemnie.

— Sprawdza wszystko, co jest w stanie wymyślić... od sarinu po gaz musztardowy. Sprawdza krew na obecność węglika, cholery, ptasiej grypy... trzech najmodniejszych ostatnio plag. Jak na razie niczego nie znalazł, ale się nie poddaje i cały czas robi posiewy wszystkim, których przyjmujemy.

— A co z tym enzymem?

— Jak na razie nic jednoznacznego, ale to najwyraźniej metaloenzym, bo zawiera srebro. Troll uważa, że jego obecność może być związana z procesem starzenia się, musi jednak jeszcze nad tym popracować.

Kiedy doszli do drzwi, zobaczyli doktora Pellmana i jego zastępczynię do spraw medycznych, doktor Ingrid Kurtz. Oboje mieli dość ponure miny.

— Burmistrz ogłosił stan wyjątkowy — powiedział doktor Pellman. — Kwadrans temu w mieście zarejestrowano trzysta siedemnaście przypadków osób wymiotujących krwią, a policja znalazła dziewięćdziesiąt trzy wykrwawione ciała.

— Boże... — mruknął Frank. — To zaczyna wyglądać jak Świt trupów.

— Niech pan sobie nie stroi żartów, doktorze Winter. Musimy jak najszybciej się dowiedzieć, co jest z tymi ludźmi Musimy ustalić, co ich łączy: co jedli, gdzie byli, z

kim się kontaktowali. Musimy wiedzieć, gdzie każdy mieszkał i gdzie był, gdy pojawiły się objawy. CDC^[3] wysłała nam dwóch doradców, rozmawiałem też już z Medcomcm. Może pan wziąć do pomocy tylu naszych ludzi, ilu pan zechce. Wszystkie urlopy i dni wolne są zawieszane, aż opanujemy sytuację.

— Tak jest, panie dyrektorze!

— Doktorze Garrett, jeszcze jedno...

— Tak?

— Niech pan najszybciej jak tylko się da weźmie sobie kilka godzin wolnego. Niech się pan wykąpie i coś zje. Wygląda pan jak kupa.

Kiedy Frank wrócił na dziesiąte piętro, natychmiast zauważył, że z minuty na minutę panika narasta. Z każdym otwarciem drzwi windy zjawiali się następni chorzy. Wszystkich pacjentów w stanie niezagrażającym życiu przewożono na wózkach do oddziałów rekonwalescencyjnych. Trzymali na kolanach swój dobytek, po korytarzach we wszystkie strony biegali technicy i pielęgniarki, a w dyżurkach wściekle dzwoniły telefony. W ciągu kilku minut szpital zamienił się w hałaśliwą, zatłoczoną i lodowatą od nastawionej na najniższą temperaturę klimatyzacji wieżę Babel.

Frank był w połowie drogi do sali numer piętnaście sześćdziesiąt sześć, kiedy zabrzączał jego pager. Wyciągnął go z kieszeni, spojrzął na ekranik i zaczął biec. Dotarł do drzwi w momencie, gdy ze środka wychodził jeden z techników, i o mało się nie zderzyli.

— Co się stało?

Zatrzymanie pracy serca. Bez jakiegokolwiek zapowiedzi.

Frank zajrzał przez ramię technika do zaciemnionej sali. Wokół łóżka Susan Fireman stały pielęgniarki, pacjentka leżała podciągniętą wysoko koszulą nocną, a jej chuda jak u wróbla klatka piersiowa jaśniała w mroku białą plamą. Jedna z pielęgniarek trzymała w górze jaskrawożółte elektrody defibrylatora i krzyknęła: „Załadowane!” — ale Frank wiedział, że dusza Susan Fireman już opuściła ciało.

Wszedł do sali. Miał wrażenie, że porusza się bardzo powoli, znacznie wolniej od

członków zespołu ratunkowego. Ciało Susan wstrząsnęło się od uderzenia prądem, potem jeszcze raz i jeszcze raz, lecz jej twarz nadal pozostawała śmiertelnie blada, a chude nadgarstki podskakiwały jak u lalki i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek będzie w stanie ją uratować.

Frank czekał w cieniu, cały czas przyciskając dłoń do ust. Nic więcej nie mógł zrobić. Po jakimś czasie prowadząca akcję reanimacyjną pielęgniarka odsunęła się od łóżka i odłożyła elektrody na wózek z zestawem ratunkowym.

— Przykro mi. Straciliśmy ją.

Frank wyszedł z cienia i stanął w nogach łóżka.

— Doktorze Winter, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy — powiedziała pielęgniarka.

— Jej serce po prostu stanęło — dodała inna pielęgniarka i pstryknęła palcami. — W jednej chwili wszystko było w porządku, a po sekundzie... płaska linia.

Frank popatrzył na Susan Fireman i aż się zdziwił, jak bardzo jest zły. Zazwyczaj, kiedy umierali mu pacjenci, czuł jedynie profesjonalny żal, że nie potrafił przedłużyć im życia, ale Susan Fireman jeszcze kilka godzin temu wykręcała swoje ciało na chodniku przed supermarketem i wspinała się na nieistniejącą drabinę, a on nie zdążył jej zapytać o tyle rzeczy, i uświadomił sobie nagle, że chętnie by się o niej wszystkiego dowiedział.

Mimo bardzo bladej skóry wyglądała na spokojną i niemal mógłby przysiąc, że się lekko uśmiecha.

— Wiemy, jak skontaktować się z jej rodziną? — dopytywała jedna z pielęgniarek.

— Wiemy — odparł Frank. — Niech panie już idą. Jesteście bardzo potrzebne na izbie przyjęć.

Pielęgniarki spakowały sprzęt, powyjmowały z przedramion Susan Fireman igły i po chwili został z nią sam na sam. Obserwował jej bladą twarz i zadawał sobie pytanie: „Co się z tobą stało, dziewczyno?”. Jeżeli w ten sam sposób w najbliższych godzinach kolejni ludzie umrą w podobny sposób, wkrótce będzie wiadomo, co spowodowało ich śmierć. Ale Susan Fireman była bardzo młoda i nie powinien jej

spotkać taki koniec.

— Dokąd szłaś, gdy wspinałaś się po drabinie? — spytał. — Dokąd miała cię zaprowadzić?

Susan Fireman nagle otworzyła oczy. Białe, błękitne jak lód oczy patrzyły prosto na niego.

ROZDZIAŁ 6

Pragnienie krwi

— Co tam jest?! — zawył Ted Busch. — Na Boga, facet, co tam jest?

Ostrożnie pchnąłem drzwi. Ponieważ w sypialni nie zdążyłem zawiesić normalnych zasłon i okno było zasłonięte zawieszoną na haczykach ciemnoczerwoną narzutą na łóżko, było w niej mroczno. Ale nikogo i niczego w środku nie było. Żadnych hord szepczących duchów, szarańczy ani ciemnych wyciągniętych postaci. Stało tam jedynie moje nieposłane łóżko z karmazynową kołdrą i brudnym czarnym prześcieradłem oraz pochłapane farbą kuchenne krzesło, które służyło mi jako szafka nocna. Na ścianie wisiał nieco sfatygowany plakat z magicznym rysunkiem J.F.C. Fullera, przyjaciela Aleistera Crowleya, mistrza czarnej sztuki, pełnym planet, sfalowanych linii i kobiet z płonącymi włosami. No i oczywiście była tam też większość moich ubrań — pogniecionych, brudnych i rzuconych na walizkę.

Dałbym jednak głowę, że był tam jeszcze pewien dziwny zapach. Zazwyczaj moja sypialnia pachniała lekko stęchłymi hinduskimi przyprawami i wilgotnym tynkiem, z dość istotnym dodatkiem wody po goleniu Eternity, teraz jednak czuć było tu coś jeszcze — zapach spalenizny, jaki zostawia na przykład wypalona zapałka — a powietrze było wyraźnie zakłócone.

Pociągnąłem kilka razy nosem. Miałem przedziwne wrażenie że jeszcze przed chwilą ktoś tu był.

Zajrzałem za drzwi, ale niczego za nimi nie było, jeśli nie liczyć moich nowych błyszczących kijów do golfa i sztywnego jeszcze nienoszonego płaszcza burberry — pamiątki z mojego życia z Karen, które odeszło jak sen. Mogłem stracić godność ale kijów golfowych nigdy.

— Jest coś? — spytał Ted, trzymając się w bezpiecznej odległości.

— Nic. Ktokolwiek to był lub cokolwiek to było, zniknęło.

— Przykro mi, facet. Za bardzo się bałem, naprawdę. Czułem, jakie to jest złe.

Naprawdę czułem. To było jak w dzieciństwie, kiedy na drzwiach mojej sypialni wisiał szlafrok He–Mana i wiedziałem, że żyje i kiedy tylko mama zejdzie na dół, skoczy na mnie.

— Nie, Ted — powiedziałem, starając się zachować spokój. — To coś całkiem innego. Szlafrok He–Mana nie żył i nie skoczył na pana, ale pański strach przed nim był wystarczająco prawdziwy. Ja bałem się kształtu słojów na okleinie drzwi szafy w moim pokoju. Jeden z nich przypominał wilka i nie mogłem na niego patrzeć, żeby wilk nic przegryzł mi gardła, czego oczywiście nigdy nie zrobił.

— To coś, co było tu w środku... co to było? — dopytywał Ted.

— Na pewno było to coś żywego, ale nie zdążyliśmy tego zobaczyć.

— Czułem tak wielkie zło... tak wielkie, że aż marszczyła mi się skóra, i czułem to. Pachniało jak... bleeee...

Zdjąłem z głowy złotą czapkę i przeciągnąłem palcami przez włosy. Kimkolwiek była wyciągnięta postać, zdecydowanie miała złe zamiary — przynajmniej w stosunku do Teda. Oznaczało to, że muszę podjąć trudną decyzję — albo sprzedam Tedowi trochę ziół z Magicznej Spiżarni i odeślę go z Bogiem (na co miałem wielką ochotę), albo dowiem się, co za stwór chował się w mojej sypialni, dlaczego wywoływał u Teda koszmary senne, i spróbuję wysłać go z powrotem do zarośniętego pajęczynami zakątka świata duchów, z którego przybył.

Z mojego niezbyt długiego, ale burzliwego życia wyniosłem wiedzę, że stwory o złych zamiarach nie lubią, by się mieszać ich sprawy. Wszelkie próby pozbycia się ich kończą się zazwyczaj katastrofą i kontaktem ze zjawiskami, które przez długi czas nie pozwalają spokojnie spać. Podałem się. Podeszedłem do szafki, odkręciłem złoty słój i wyjąłem pęczek suszonej bylicy.

— Ted, dam to panu za darmo.

Młody człowiek uważnie przyjrzał się ziołu.

— Co mam z tym zrobić? Palić?

— Na pana miejscu bym tego nie robił. Najlepiej będzie przywiązać je do wezgłowia łóżka, co ochroni przez złymi snami.

— To jakieś zielsko.

— Tak, ale nie jest to zwykłe zielsko. To byllica pospolita, którą Celtowie nazywają „zielem czarownic”. W odróżnieniu od innych roślin pochyla się na północ, co oznacza, że jest magnetyczna, a więc bardzo wrażliwa na odbieranie nadprzyrodzonych sygnałów. Nie wiadomo, może... powie panu coś o tym, dlaczego ta... rzecz... zakłóca panu sen.

— Sądzi pan? — Ted był wyraźnie rozczarowany.

Objąłem go.

— Nie wiem, co jeszcze mógłbym dla pana zrobić. Spróbowałem wszystkiego, co umiem, ale pan wszystko zmarnował. Dowiedziałem się, co powoduje pańskie koszmary, skoro jednak nie chce pan spojrzeć temu w oczy, co mogę zrobić?

— Może powinniśmy poprosić pańskiego przewodnika duchowego o powtórkę?

— Przykro mi, Ted. Nie zrobi tego.

— Obiecuję, że tym razem wezmę się w garść. — Wciągnął dwa razy powietrze, które zaświstało mu w nosie, i stanął na baczność. Pokręciłem jednak głową.

— Ted, Śpiewająca Skała to szaman Siuksów i jest bardzo dumny. Jeżeli Siuksowie sądzą, że nie okazano im wdzięczność za to, co zrobili, umieją się mocno nabzdyczyć, a Śpiewająca Skała jest w tym mistrzem. Zorganizowanie dla nas tego spotkania prawdopodobnie kosztowało go więcej wysiłku, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, a my co zrobiliśmy? Nie mieliśmy jaj, żeby na to spojrzeć. Naprawdę sądzi pan, że zrobi nam powtórkę?

Niemal słyszałem, jak Śpiewająca Skała mówi tym swoim oschłym, sarkastycznym tonem: „Biali ludzie! Ale z was wojownicy! Gdybym własnymi rękami zabił niedźwiedzia i położył go zakrwawionego u waszych stóp, ucieklibyście ze strachu jak przerażone dzieci!”.

— Rozumiem — mruknął Ted i wytarł nos grzbietem dłoni. — A może spróbujemy jutro?

— Nie sądzę. To nie jest umawianie się na wizytę u dentysty.

— Niech pan się nad tym zastanowi. Wypróbuję to zioło dziś wieczorem, ale jeżeli znów będę miał koszmary...

Dwie albo trzy przecznice dalej zawyła syrena ambulansu, po chwili dołączyła do

niej następna — znacznie bliżej — a potem jeszcze jedna. Przypomniał mi się jedenasty września, wyjące wszędzie tamtego dnia syreny i poczucie, że świat zawalił się pod nami.

— Dobrze — odparłem. — Zastanowię się. Przykro mi, że nie mogłem dla pana więcej zrobić.

Odprowadziłem Teda do drzwi. Zszedł kilka schodków, po czym odwrócił się i popatrzył na mnie jak porzucony szczeniak, kiedy jednak pojął, że nie zamierzam zmienić zdania, powlókł się powoli w dół, schodek za schodkiem, z całej siły próbując sprawić, abym poczuł się winny.

Poczekalem, aż na dole trzasną drzwi, i wróciłem do mieszkania. Odsunąłem zasłony, aby do środka wpadło nieco światła. Zdjąłem tunikę i powiesiłem ją na wieszaku na kapelusze. Wyjąłem z lodówki puszką guinnessa i wróciłem do zielonego welurowego fotela, który uratowałem z zaułka za hotelem Algonquin. Jego najlepsze czasy już dawno minęły. Tył oparcia był pęknięty, a wypełnienie wyłaziło na zewnątrz, ale kto wie — może siadywał w nim Alexander Woollcott, który był jednym z moich bohaterów. „Między dzikimi zwierzętami istnieje swego rodzaju współpraca — powiedział kiedyś. — Bocian i wilk polują w tej samej okolicy”.

Wymacałem pod poduszką pilota i włączyłem telewizor. W poszukiwaniu baseballu przeskakiwałem z kanału na kanał, ale niemal każda stacja pokazywała sceny z nowojorskich szpitali, karetki i lekarzy. Biegący u dołu ekranu napis informował: WAMPIRZA EPIDEMIA ATAKUJE MANHATTAN... SETKI LUDZI OGARNIĘTYCH PRAGNIENIEM KRWI... PONAD STU ZABITYCH... BURMISTRZ BRANDISI OGŁASZA STAN WYJĄTKOWY...

A więc to dlatego wyły syreny. Zwiększyłem siłę głosu i zacząłem słuchać. To było niewiarygodne... Na ekranie pojawił się urzędnik wyższego szczebla z Ośrodków Zwalczania Chorób Zakaźnych, łysiejący mężczyzna, który wyglądał jak hologram ze Star Treka. „...niemożliwy do opanowania przymus picia świeżej ludzkiej krwi, który każe zabijać przyjaciół, członków rodziny, a nawet własne dzieci. Kiedy chory zaspokoi pragnienie krwi, po kilku godzinach dochodzi do gwałtownych

wymiotów, a następnie do zatrzymania pracy serca. Siedemnaście osób spośród tych, które zapadły na tę tajemniczą chorobę, już zmarło i obawiam się, że musimy się spodziewać znacznie większej liczby zgonów”.

Czarna dziennikarka zapytała go:

„Czy wiadomo coś na temat przyczyn tej epidemii?”.

Urzędnik pokręcił głową, potrząsając obwisłymi policzkami.

»Na razie mogę jedynie powiedzieć, że nie ma tu podobieństwa do żadnej znanej choroby i być może wcale nie jest to choroba w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Specjaliści CDC i Medcomu pracują bez przerwy nad tą sprawą, wspomagani przez naczelników patologów z niemal wszystkich większych szpitali w Nowym Jorku.

„Jak obywatele mają się chronić?”.

„Zalecamy zachowywać się normalnie, ale w przypadku pojawienia się pieczenia skóry, nadwrażliwości na światło albo nadzwyczaj silnego pragnienia należy zgłaszać się do lekarzy”

Przełknąłem łyk guinnessa i beknąłem. Choć na ulicy wyły syreny, nie chciało mi się w to wszystko wierzyć. To musi być jakieś przedstawienie. Uwspółcześniona wersja Wojny światów Tym razem z wampirami. Oczywiście...

W tym momencie urzędnik CDC spojrział w swoje notatki i powiedział:

„Przekazano mi także, że wczesnym zwiastunem tego tak zwanego zespołu wampirzego są koszmary nocne. Przerazające sny pojawiają się zazwyczaj trzy lub cztery dni przed załamaniem się stanu zdrowia i chory śni, że jest zamknięty w skrzyni na pływającym po wzburzonym morzu statku, czemu towarzyszą objawy choroby morskiej”.

Wyprostowałem się powoli. Szóstą Aleją pędził kolejny ambulans na sygnale, a za nim drugi, trzeci i czwarty. Na ekranie telewizora ktoś filmował z ręcznej kamery młodą kobietę, klęczącą na chodniku i wymiotującą krwią. Potem pokazano mężczyznę, którego sanitariusze wprowadzali do izby przyjęć szpitala Sisters of Jerusalem — umazanego krwią jak ofiara wybuchu bomby.

Boże... koszmary nocne. Identyczne sny miał Ted. Zdawało mu się, że jest zamknięty w trumnie, w ładowni pływającego po oceanie statku. A jeśli to jest zakaźne?

Ted stał tuż przy mnie i wydychał powietrze prosto na mnie. Podawaliśmy sobie ręce i prawdopodobnie gdy mówił, wiele razy opryskały mnie mikroskopijne kropelki jego śliny.

Pobiegłem do łazienki, nasączyłem frotową rękawicę wrzącą wodą, wycisnąłem ją i położyłem sobie na twarz. Natychmiast zawyłem z bólu, jeśli jednak na skórze twarzy miałem jakieś wirusy, temperatura je załatwi. Jeżeli ja nie mogę znieść tego gorąca, to tym bardziej one.

Po chwili wrócił mi jednak rozsądek. Jeżeli seans ze Śpiewającą Skałą cokolwiek pokazał, to właśnie to, że koszmary senne Teda nie są spowodowane przez wirusa, ale przez materializację złego ducha. Materializacją, którą na własne oczy widziałem — wysoką, ciemną, wyciągniętą postać, prześlizgującą się przez drzwi mojej sypialni. Strząsnąłem z twarzy rękawicę i wbiłem wzrok w zmętniałe lustro nad umywalką. Moja twarz była bardzo czerwona.

Co miałem teraz robić? Zadzwonić do Teda i ostrzec go, że lada chwila zamieni się w krwiożerczego wampira? Zadzwonić do CDC i powiedzieć, że wszyscy ich eksperci marnują swój cenny czas, ponieważ „wampirza” epidemia nie jest spowodowana przez wirusa, lecz przez materializację jakiegoś ducha?

Wyobraziłem sobie, jak wyjaśniam: „Nawiązałem kontakt z nieżyjącym szamanem Siuksów, którego kiedyś znałem, i poprosiłem go, aby zwabił tego złośliwego ducha do mojej sypialni, co też uczynił. Niestety, mój klient za bardzo się przestraszył, aby otworzyć drzwi, więc nie obejrzałem sobie dobrze tego ducha. Dałem więc mojemu klientowi trochę bylicy i kazałem mu iść do domu”.

Nawet bym się nie obejrzał, jak znalazłbym się pod dobrym zamknięciem.

Niemal przez godzinę siedziałem przed telewizorem i patrzyłem, jak epidemia się rozprzestrzenia. Każde nowe wiadomości pokazywały kolejnych wymiotujących krwią ludzi i pracowników biura koronera, wywożących na łózkach transportowych kolejne trupy w czarnych workach, ja zaś czułem się coraz bardziej winny i sfrustrowany. Do za dwadzieścia czwarta zmarło sto dziewiętnaście tak zwanych wampirów i znaleziono sto czterdzieści siedem ofiar zabójstw.

Zadzwońłem do Karen, aby sprawdzić, czy ani jej, ani Lucy nic się nie stało. Usłyszałem jedynie automatyczną sekretarkę, a ponieważ Karen nie odbierała również komórki, zadzwoniłem do Hermana, portiera w jej domu.

— Pani Erskine wyjechała mniej więcej godzinę temu poinformował mnie. — Pojechała pokazać Lucy babci w Albany.

Matka Karen również nie odbierała, ale zostawiłem wiadomość, aby Karen zaraz po przyjeździe zadzwoniła do mnie i żeby zostały poza Nowym Jorkiem, aż to szaleństwo się skończy. Jeśli mnie posłuchają, będę miał jeden problem mniej.

Bardzo chętnie opowiedziałbym komuś z władz o koszmarach nocnych Teda, o Śpiewającej Skale i wyciągniętej postaci, która przeszła przez drzwi mojej sypialni, wiadomo jednak było, co się stanie, jeżeli spróbuję. W najlepszym wypadku uznano by mnie za szukającego rozgłosu szarlatana. Wystarczyłoby, żeby sprawdzili moje akta. Październik tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego — skazany za nieuczciwe wejście w posiadanie pięcioletniego chevrolata malibu przez wmówienie starszej pani z Englewood Cliffs, że mogę się porozumieć z jej zmarłym mężem jedynie poprzez radio w jej samochodzie. Było to oczywiście kłamstwo — a samochód okazał się kompletną ruiną, co też nie świadczy dobrze o moich umiejętnościach jasnowidzenia.

Właśnie... Potrzebuję kogoś, kto jest medium i przemówi w moim imieniu, pomyślałem nagle. Wiarygodnego medium. Kogoś szanowanego, poważnego, kogo słowa zostaną potraktowane poważnie.

Znałem takie dwie osoby. Leon Bordeman pracował w Nowojorskim Instytucie Badań Mediumicznych i twierdził, że regularnie rozmawia z Benjaminem Franklinem, choć wątpiłem, aby ten stary protekcyjny osioł zechciał ze mną porozmawiać. Była także oczywiście Amelia Carlsson, z domu Crusoe, przypuszczałem jednak, że jak na ten żywot, ma mnie serdecznie dość. Nie twierdę, że mnie nie lubiła, ale zawsze, nawet jeśli nie miałem takiego zamiaru, zjawiałem się u jej drzwi z porcją różnorodnych zmartwień i wszelkiego rodzaju przerażających mrocznych problemów.

Wkrótce potem w wiadomościach pokazano szacowną kobietę w średnim wieku, stojącą na czworaka pośrodku działu z obuwem Bloomingdale'a i zarzygującą

podłogą krwią. Doszedłem do wniosku, że nawet jeśli Amelia nie chciałaby ze rozmawiać, muszę spróbować. Podniosłem słuchawkę i wystukałem jej numer.

Kiedy dzwonek po drugiej stronie linii dzwonił, przepowiadałem sobie w pamięci, co powie. „Amelio, nie odkładaj słuchawki, to ja, Harry. Amelio, rozpaczliwie potrzebuję twojej mocy. Nowy Jork potrzebuje twojej pomocy. Amelio, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale...”.

Telefon dzwonił i dzwonił i już prawie byłem pewien, że pozostało mi jedynie pozostawienie kolejnej wiadomości, ale słuchawkę w końcu podniesiono i odezwał się głos z wyraźnym skandynawskim akcentem:

— Bertil Carlsson.

— O, dzień dobry! Na pewno mówię z panem Carlssonem?

— Zgadza się, Bertil Carlsson. Z kim rozmawiam?

— Przy telefonie Harry Erskine. — W słuchawce zapanowała cisza. — Harry... Erskine...

W dalszym ciągu nie było odpowiedzi. Właśnie zamierzałem ponownie się przedstawić, kiedy Bertil Carlsson zapytał:

— Tak?

— Hm, panie Carlsson... kiedyś przyjaźniłem się z pańską żoną. Mam nadzieję, że ciągle jeszcze jesteśmy przyjaciółmi. Nie pokłóciliśmy się ani nic w tym rodzaju, tylko po prostu od pewnego czasu się nie widzieliśmy. Od kilku lat, jeśli mam być szczery. No, od dwóch, może trzech.

— Wiem, kim pan jest, panie Erskine. Moja żona wspominała o panu.

— Świetnie! Mam nadzieję, że pozytywnie.

— Pozytywnie? Nie.

— No tak, chyba by tego nie zrobiła. Nie, żeby coś między nami... chcę powiedzieć, że kiedy się ostatnio widzieliśmy, wszystko odbyło się w dość przyjaznej atmosferze...

— Czego pan chce, panie Erskine?

— — Oglądał pan wiadomości? O tej epidemii?

— Tak, właśnie oglądamy. A przynajmniej próbujemy

— Więc Amelia jest z panem?

Zapadła kolejna długa przerwa.

— Nie sędę, abym chciał, by z panem rozmawiała. Może nie opowiedziała mi o wszystkim, co razem robiliście, ale wolałbym, żeby nie miała z panem więcej do czynienia. — Wypowiedział „wolałbym” w taki sposób, że zacząłem się zastanawiać, jak brzmiałoby w jego ustach słowo „volvo”.

— Panie Carlsson, rozumiem pańskie uczucia. Naprawdę, Na pańskim miejscu też bym nie chciał, aby moja żona miała ze mną więcej do czynienia, ale widzi pan, co się dzieje. Ta epidemia. Chyba wiem, co ją powoduje, i uważam, że mógłbym pomóc uratować masę ludzi.

— Panie Erskine, nie zamierzam pana powstrzymywać.

— Oczywiście. Nie powstrzymuje mnie pan, problem jednak w tym, że muszę znaleźć kogoś we władzach, kto mi uwierzy, a z jakiegoś powodu ludzie posiadający władzę nie są gotowi mi wierzyć.

— Nie potrafię sobie wyobrazić dlaczego.

— Panie Carlsson, nawet by mi do głowy nie przyszło dzwonić do Amelii, gdybym umiał wymyślić coś innego, ale sam pan widzi, ilu ludzi umiera i ilu zostało zamordowanych. Mówimy o setkach ofiar i nic nie wskazuje, aby się na tym skończyło! Co by było, gdyby pan na to zapadł? Gdyby Amelia zachorowała?

— Panie Erskine...

— Proszę mówić mi Harry i proszę nie sądzić, że pozwolę, aby cokolwiek stało się Amelii. Jest pan bardzo szczęśliwym człowiekiem, skoro ma pan taką żonę, ale muszę z nią porozmawiać... nawet jeśli mnie pogoni.

Podniesiono drugą słuchawkę.

— Harry?

Poczułem się, jakby rozbujany worek bokserski trafił mnie prosto w twarz.

— Amelia...

— Co się dzieje, Harry?

Przez chwilę nie byłem w stanie mówić. Moje gardło się snęło i mogłem jedynie bezgłośnie otwierać i zamykać usta jak wyciągnięta na brzeg ryba. Pomijając moje

sny, nigdy nie byliśmy kochankami, zawsze jednak miałem wrażenie, że nasze losy są ze sobą nierozzerwalnie splecione. Przed laty dokonałem — jak zwykle — złego wyboru i teraz rozmowa z osobą, z którą mogłem dzielić życie, gdybym był nieco skromniejszy, grzeczniejszy, okazał się mniejszym dupkiem i postrzegał ją taką, jaką naprawdę była, wydawała mi się niemal nie do zniesienia.

— Właściwie wcale nie chciałem do ciebie dzwonić — wydukałem. — Nie, to nic tak... nie chciałem cię w nic wplątywać, to chciałem powiedzieć. Powinienem był zadzwonić przed laty, prawda, ale wiesz... zawsze był jakiś powód, by tego nie zrobić.

— Widziałam twoje ogłoszenie w „Village Voice”. Dlatego wiem, że jeszcze żyjesz. Ty i Karen... w dalszym ciągu jesteście razem?

— W zasadzie nie. To chyba taki przypadek, kiedy jedna strona używa nazwy „ziemniaki”, a druga pommes dauphnoise.

— Szkoda. Zawsze mi się wydawało, że jest z was dobrana para.

— Karen chciała dla mnie dobrze, ale ja chyba lepiej czuję się sam.

— Przykro mi... Tak poza tym to zrozumiałam, co chcesz mi powiedzieć. Chłopak zjawił się u ciebie? Ten z koszmarami nocnymi.

— Ted Busch? O tak, był u mnie. Właśnie z tego powodu dzwonię.

— Harry, nic więcej nie mów. Już się tym nie zajmuję.

— Wiem, Ted mi powiedział, ale... — Musiałem się skracać, żeby mi nie przerwała. — Przepowiedziałem mu przyszłość kartami Jeu Noir i jego Kartą Przepowiadającą była Wodna Kobieta.

— Harry! Nie chcę nic o tym wiedzieć! Nie chcę!

— Amelio, ale Wodna Kobieta to dość przerażająca przepowiednia, nieprawdaż?

Zawahała się, musiała mi jednak przyznać rację.

— Zgadza się, to dość przerażająca przepowiednia.

— Jest znacznie gorzej. Ted namówił mnie do skontaktowania się ze Śpiewającą Skałą.

— Wybacz, ale w czym problem? To był mój pomysł. Pomyślałam, że Śpiewająca Skała może pomóc ci odkryć, co się dzieje.

Delikatnie szczerknął drugi aparat. Najwyraźniej Bertil Carlsson nie miał ochoty dłużej słuchać, jak jego żona gawędzi sobie z obcym facetem. Na pewno jest to dla mężczyzny trudne — nie mówiąc już o tym, że rozmawia z nim o sprawach, o których on sam nie ma pojęcia. Rozumiałem go, ale musiałem pogadać z Amelią. Nie było innej możliwości.

— Poprosiłem Śpiewającą Skałę o otwarcie drzwi i pokazanie mi, co jest przyczyną nocnych koszmarów Teda.

— Zrobił to?

— Tak. Widziałem to na własne oczy, a było naprawdę przerażające. Wysokie, ciemne i bardzo rozciągnięte... jak cień, kiedy słońce jest nisko nad horyzontem. Przeszło przez drzwi mojej sypialni, ale problem w tym, że Ted za bardzo się bał, żeby na to popatrzeć. Kiedy otworzyłem drzwi do sypialni, zjawa zniknęła.

— Przykro mi, Harry, ale nie wiem, jak mam ci pomóc.

— Czy Ted ci mówił, jakie ma koszmary?

— Nie. Powiedział tylko tyle, że powtarzają się co noc i boi się spać.

— Oglądasz wiadomości, prawda? Słyszałaś gościa z CDC, który mówił o tej epidemii? Zanim ktoś poczuje nieprzepartą chęć picia ludzkiej krwi, ma senne koszmary. Ludzie śnią o tym, że zamknięto ich w trumnie albo skrzyni i płyną statkiem. Wszyscy to śnią... wszyscy! U Teda było dokładnie tak samo! Trumna, statek, dokładnie! Co ci to mówi?

Amelia przez chwilę milczała.

— Harry, ludzie miewają podobne senne koszmary, zwłaszcza jeśli cierpią na tę samą chorobę. Czytałam o ludziach chorych na trąd... często mają sny, w których ich ciało się rozpuszcza jak masło. A ludzie z wysoką gorączką miewają wrażenie, że pełzają po nich karaluchy.

— Oczywiście, to z pewnością prawda, ale mówimy o setkach przypadków. To, co przywołał Śpiewająca Skała, nie było ani wirusem, ani chorobą. To było żywe. Osoba, zjawa, nie wiem, jak to opisać.

— Czy chcesz powiedzieć, że za koszmary senne wszystkich tych ludzi, a więc i za całą epidemię, jest odpowiedzialne właśnie to coś?

— Dokładnie. To nic choroba, ale wojna. Jakiś zły duch wnika do ludzkich umysłów i ich ciał. Kto wie, czym się to skończy! Dziś Nowy Jork, jutro cały stan, pojutrze całe Wschodnie Wybrzeże.

— Harry, na Boga! Trochę za bardzo puszczasz wodze fantazji. Jestem pewna, że nic takiego się nie stanie. Niezależnie od tego, czym była zjawą, którą przywołał Śpiewająca Skala, jest to tylko fobia Teda, nic więcej. Jakieś straszidło z jego dzieciństwa, które nagle wypłynęło z jego podświadomości. To się zdarza, kiedy ludzie są w stresie.

— Amelio, zaczynasz mówić jak psychiatra Karen. Straszidła z dzieciństwa nie powodują identycznych koszmarów sennych u trzystu ludzi. Straszidła z dzieciństwa nie sprawiają, że ma się ochotę poderznąć gardło własnemu dziecku i pić jego krew, tryskającą prosto z szyi.

— Może tak, a może nie — odparła Amelia. — Jak jednak wcześniej powiedziałam, nie zajmuję się już tymi sprawami.

— Ty tak postanowiłaś czy Bertie?

— Bertil. Oboje. Dlatego... dlatego, że za każdym razem, kiedy odbywałam seans, otwierały się trumny, które powinny pozostać zamknięte.

Amelio, naprawdę jestem przekonany, że tę epidemię wywołuje zły duch... ten sam, który przeszedł przez mojej sypialni.

— Harry, czy ty słyszysz, co mówisz? Brzmisz jak z komiksu.

— Ale tak to czuję! Czuję to w powietrzu! To jak nadchodząca burza! Pamiętasz, co się działo tuż przed pojawieniem się Misquamacusa? Psy szczekały, koty chciały się schować pod kanapę, a włosy stawały dęba. Teraz jest tak samo!

Podniesiono drugą słuchawkę.

— Panie Erskine, nie chcę być niegrzeczny, ale chciałbym aby się pan streszczał. Denerwuje pan moją żonę.

— Panie Carlsson... Bertie... proszę, za nic nie chciałbym zdenerwować pańskiej żony, ale muszę się z nią zobaczyć. Musimy o tym porozmawiać. Możliwe, że mamy do czynienia z końcem ludzkiej cywilizacji.

Bertil Carlsson wziął bardzo głęboki wdech.

— Panie Erskine, wszystko, co żona opowiadała mi o panu, jest prawdą. Jest pan kompletnym czubkiem.

ROZDZIAŁ 7

Granica krwi

Choć Frank wiedział, że Susan Fireman nie żyje, trudno mu było uwierzyć, że się w niego nie wpatruje, i był przekonany, że zaraz do niego przemówi. Miał wrażenie, że skóra mu się kurczy i musiał zebrać w sobie całą siłę, aby się nie odwrócić i nie uciec z sali.

Powoli podszedł do łóżka i pochylił się, aby zbadać dziewczynę — pochylił się tak nisko, że gdyby żyła, na pewno poczułby jej oddech. Nie, oczywiście nie oddychała i choć miała szeroko otwarte oczy, patrzyły w niebyt.

Ale na jej ustach gościł zagadkowy uśmieszek, jakby była zadowolona, że nie żyje, i bawi ją, że udało jej się tak przestraszyć swojego lekarza.

— Susan? — powiedział Frank i potrząsnął ją za ramię, aby ostatecznie się upewnić.

W tym momencie do środka wszedł doktor Gathering z plikiem akt.

— Hm... Frank, ona cię nie słyszy.

— Wiem, George, wiem.

— Siostra Perpetua powiedziała mi, iż opuściła ten padół, i pomyślałem sobie, że może tu będziesz.

— No tak... — Choć serce waliło mu jak młotem, Frank próbował mówić spokojnie i rzeczowo. — Musimy zrobić sekcję, i to jak najszybciej. Trzeba też koniecznie zbadać krew.

George wypuścił z rąk kilka teczek i pochylił się, aby zebra je z podłogi.

— W izbie przyjąć panuje szaleństwo.

— Też tam byłem przed chwilą. Wygląda na to, że sytuacja ciągle się pogarsza.

— Troll Śmierci ma teorię, że to może być jakiś zachodni wariant dengi.

— Naprawdę? Chyba szuka uzasadnienia dla swojej darmowej wycieczki do

Bangkoku.

George popatrzył na Susan Fireman.

— Mówiąc szczerze, jest w tym nieco podobieństwa do DHF. Zaczyna się od drobnej infekcji dróg oddechowych, co może powodować koszmary nocne. Potem następuje okres nadwrażliwości na światło, katastrofalny spadek ciśnienia krwi i zapaść.

— Oczywiście, lecz z tego, co wiem, ludzie z DHF nie mają nieprzepartego apetytu na ludzką krew i nie podrzynają dzieciom gardeł, żeby ją zdobyć.

— Masz rację, ale Troll w końcu nie na darmo powiedział „wariant”.

— No tak. Pewnie nie jest lekarzem, ale politykiem. Frank znów odwrócił się ku Susan Fireman. Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy — nie w jednym kawałku. Patologowie rozetną jej chirurgicznymi nożycami mostek i będą jej grzebać w narządach wewnętrznych, a potem piłą oscylacyjną odetną górę czaszki i wyjmą mózg.

— Przyszedłem właściwie tylko po to, aby przekazać ci od Trolla Śmierci, żebyś wziął sobie na resztę dnia wolne i odpoczął. Chciałby, abyś wrócił o drugiej nad ranem, by pomóc nocnej zmianie — powiedział George.

— Nic mi nie jest, George. Wolę zostać tutaj.

— Frank... dobrze wiesz, że nikomu nie pomożesz, jeśli będziesz skonany. Idź do domu i odpocznij trochę. Możemy cię zawsze wezwać, jeśli nastąpi jakiś kryzys.

— A to nie jest kryzys?

— Jeszcze nie. To jedynie zwykła, codzienna, mało znacząca katastrofa.

Frank wbrew sobie wyszedł ze szpitala. Na ulicach cały czas wyły syreny ambulansów, helikoptery medyczne terkotały nad łowami, a ludzie biegali we wszystkie kierunki, jakby nadchodził koniec świata.

Zaczęło padać, ale deszcz był tak ciepły, że można było odnieść wrażenie, iż z nieba leci krew. Frank nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony i wytrącony z równowagi. Nie ma nic gorszego od zajmowania się pacjentami, których nie można uratować niezależnie od tego, jak bardzo człowiek stara się utrzymać ich przy życiu. Uświadomił sobie, że modli się o to, aby nie natknąć się po drodze na kogoś, kto

klęczy na ziemi i wymiotuje krwią, bo musiałyby zaprowadzić go do izby przyjęć. George miał rację: potrzebny mu był wypoczynek, musiał się nad różnymi sprawami zastanowić i przygotować na ciężką noc.

Z oddali doleciał wrzask kobiety, po którym męski głos krzyknął: „Odejdź ode mnie! Odejdź ode mnie!”. Trzasnęło pękające szkło i huknęło dwa razy, być może były to strzały. Frank widział kilka filmów katastroficznych, w których niemal natychmiast ulegała zniszczeniu tkanka stosunków społecznych, do dzisiejszego dnia nie wierzył jednak, że coś takiego może naprawdę nastąpić.

Aleje Piąta i Szósta były przecięte w poprzek policyjnymi barykadami, więc dojście do obsadzonej drzewami ulicy w Murray Hill, gdzie mieszkał, zajęło mu niemal dwadzieścia minut, a kiedy dotarł na miejsce, miał przeupocone spodnie i koszula kleiła mu się do pleców. Zbliżała się piąta po południu, ale było trzydzieści trzy stopnie Celsjusza, a wilgotność wynosiła osiemdziesiąt siedem procent. Niebo zrobiło się matowo-brązowe, jakby zaraz miała się rozszaleć burza z piorunami.

Zaczął wchodzić po białych kamiennych schodach, prowadzących do frontowych drzwi jego domu. W połowie drogi zauważył mężczyznę w średnim wieku, klęczącego przy znajdującej się na rogu ulicy skrzynce pocztowej. Zatrzymał się i aby lepiej widzieć, zdjął przeciwsłoneczne okulary. Twarz mężczyzny była pokryta grubą warstwą niebieskiej farby, co wyglądało, jakby nałożył afrykańską plemienną maskę. Miał podciągnięty do pach T-shirt i jego duży biały brzuch zwisał jak oklapnięty balon. Obejmował rękami jedną z nóg skrzyni, jakby się bał, że jakaś siła uniesie go nad powierzchnię ziemi. Nagle jego brzuch gwałtownie się skurczył i z ust wytrysnęła mu fontanna ciemnoczerwonych wymiotów, zalewając chodnik. Frank wyjął z kieszeni telefon i wystukał dziewięćset jedenaście, ale telefon dzwonił i dzwonił, nikt nie podnosił. Zawahał się. Był lekarzem i jego obowiązkiem było ratować tego człowieka, zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że nie potrafi mu pomóc, a żeby wypić aż tyle krwi, mężczyzna musiał zamordować dwie albo nawet trzy osoby. Wymiotujący powoli odwrócił ku niemu głowę. Wyglądał strasznie. Frank jeszcze przez chwilę się wahał, ale potem nasunął okulary z powrotem na nos, pokonał ostatnie trzy schodki i wszedł do środka budynku, zatrząskując za sobą drzwi. KLIK! KLIK! KLIK!

Apartamentowiec był duszny, cichy i słabo oświetlony. Mieszkało się w nim jak w obrazie Edwarda Hoppera. Obok stojaka na parasole stały w wysokiej zielonej wazie zakurzone sztuczne lilie, a na ścianie wisiało prostokątne lustro, w którym mieściła się tylko połowa odbicia ludzkiej postaci. Gdzieś na górze ktoś sprzątał odkurzaczem, a gdy Frank wchodził na pierwsze piętro, na którym znajdowało się jego mieszkanie, doleciała do niego refleksyjna muzyka fortepianowa — Debussy, może Satie.

Kiedy miał właśnie włożyć klucz do zamka, przypomniał mu się mężczyzna z niebieską twarzą, którego przed chwilą widział na ulicy. Poczł wewnętrzny nakaz, aby do niego wrócić. Jeżeli ten człowiek cierpiał na tę samą przypadłość co Susan Fireman, nie chciał nikogo zabijać — został do tego zmuszony nieprzepartym pragnieniem. Ale w ten sam sposób można by bronić ćpunów, którzy mordują ludzi, aby zdobyć pieniądze na narkotyki, albo pijanych kierowców, zabijających na ulicach dzieci. Frank powiedział Susan, że nie osądza swoich na pacjentów, było to jednak kłamstwo. W rzeczywistości czuł pogardę do tych, którzy z głupoty albo braku panowania nad sobą krzywdzili siebie lub innych. Kiedyś siedział całą noc łóżku dwudziestosiedmiolatki, która tak się upiła, że połknęła środek do przeczyszczania rur ściekowych, i nie potrafił wybaczyć jej tego, co sobie zrobiła.

Nie zapominał o tym, że Susan Fireman, zamiast wezwać pomoc, pozwoliła się swoim przyjacielom wykrwawić, ale równocześnie żałował, że nie żyje. Z jakiegoś powodu czuł, że dziewczyna wiedziała o czymś, o czym on też koniecznie powinien wiedzieć.

Jego mieszkanie było wysokie i ascetycznie urządzone. Podłogi wyłożono ciemnobrązowymi dywanami, a ściany pomalowano na kremowo i powieszono na nich nieliczne abstrakcyjne brązowo—kremowe obrazy. Włoskie meble, obciągnięte skórą, były bardzo kanciaste i bardzo drogie. W kącie stał odtwarzacz CD firmy Bang & Olufsen, a w przeciwległym rogu komoda w stylu modnym w latach dwudziestych dwudziestego wieku, w której stały butelki z alkoholem i kieliszki z epoki jazzu.

Frank skończył w styczniu trzydzieści siedem lat i formalnie był w dalszym ciągu żonaty, choć rozmawiali już z Christiną o rozwodzie. Surowość mieszkania

kontrastowała z wystrojem ich wspólnego domu w Darien w stanie Connecticut, pełnego kolonialnych mebli, haftowanych poduszek i porcelanowych pieszków. Frank miał wrażenie, że Christiną również głowę ma wypełnioną taką masą bibelotów i dupereli, że nie ma w niej miejsca na poważne myślenie. Pewnego dnia wyszedł do pracy, został dłużej na oddziale i już nie wrócił do domu. Nawet dziś — siedem miesięcy później — nie potrafiłby nikomu Wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Spędzał samotne wieczory sam, czytając lub słuchając muzyki, albo gapiąc się w ścianę.

Czasem — podobnie jak wielu lekarzy — zastanawiał zdziwieniem, czemu właściwie robi to, co robi, czemu życie ludziom, których istnienie było jedynie marnotrawienie czyjegoś czasu i czyjejś energii — także ich samych.

Ściągnął lepiące się, przepocone ubranie i wszedł do kabiny prysznicowej z czarnego szkła i podstawą ze skały wulkanicznej. Kiedy się mydlił, widział połowę swojej twarzy w okrągłym lusterku do golenia, zawieszonym nad marmurową umywalką, co wyglądało, jakby obserwował go ktoś z równoległej czasoprzestrzeni. Na koniec wytarł się ciemnobrązowym ręcznikiem i wtarł w klatkę piersiową mleczko kosmetyczne Dolce & Gabbana.

Poszedł potem — owinięty wokół bioder świeżym ręcznikiem — do kuchni i wyjął z lodówki butelkę wody Perrier. Wolałby heinekena, ale miał przecież wrócić tuż po północy do szpitala, a wtedy będzie mu potrzebna cała koncentracja. Chyba byłoby dobrze, gdyby coś zjadł, choćby kanapkę z serem, ale nie czuł głodu. Myślał o Susan Fireman, patrzącej na niego wielkimi, błękitnymi jak chińska porcelana oczami, i mężczyźnie pod jego domem, wymiotującym krwią na chodnik.

Usiadł na swoim wielkim łóżu. W rogu sypialni znajdował się jedyny w mieszkaniu prawdziwy antyk — owalne uchylne lustro. Podobno należało do Ulyssesa S. Granta, który miał je ze sobą podczas kampanii w Chattanoodze. Frankowi nie bardzo się podobało, ale było warte ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i nie chciał, aby Christine położyła na nim łapę.

Włączył zawieszony na ścianie telewizor plazmowy. Niemal na każdym kanale pokazywano na bieżąco wiadomości z „wampirzej epidemii”. Zarejestrowano nowe

przypadki powyżej Sto Dwudziestej Piątej i burmistrz Brandisi kazał rozstawić na każdym moście i przy wylocie każdego tunelu policyjne posterunki, choć przyznawał, że nie bardzo wie, co miałyby sprawdzać — pomijając ludzi sprawiających wrażenie chorych albo pokrytych kremem chroniącym przed oparzeniami słonecznymi.

Jak na razie znaleziono ponad dwieście ofiar z podejrzniętymi gardłami, a burmistrz szacował, że może ich być „dwa, może trzy razy więcej”.

Frank wyłączył telewizor i położył się na ciemnobrązowej pościeli. Choć mieszkanie miało izolację akustyczną, dochodziły do niego echa syren i głuchy łoskot wirników helikopterów. Frankowi przemknęło przez głowę, jak by to było, gdyby się rano obudził i stwierdził, że jest jedynym żywym mieszkańcem Manhattanu. Wyobrażał sobie, jak idzie ulicami, odbijającymi echo jego kroków, mijając porzucone taksówki i przesuwane przez wiatr gazety.

Po chwili zasnął. Kiedy odbywał staż na internie, nauczył się spać przy każdej nadarzającej się okazji. Umiał zasypiać głęboko, nie miał snów i budził się dokładnie wtedy, gdy miano go gdzieś wezwać.

Syreny za oknami wyły jak wilki. Szybko zapadł zmierzch, już o dziewiątej było ciemno. Frank spał, cały czas leżąc na plecach, bez ruchu — jeśli nie liczyć lekko zgiętych palców lewej dłoni, które od czasu do czasu nerwowo drgały.

Kiedy minęło wpół do dwunastej, skrzypnęło okno. Ten dźwięk nie wniknął w głąb jego snu, tak samo jak ostry trzask, który po nim nastąpił, ani kleisty odgłos rozdzielających się gumowych uszczeltek, gdy okno zaczęło się otwierać. Do pokoju wpadła fala gorącego powietrza, przepełnionego zapachem spalin, rozgrzanego asfaltu i pary wodnej.

Frankowi zdawało się, że coś gładzi go po czole i bawi się jego włosami. Prychnął i z irytacją pokręcił głową. Nie chciał się ani budzić, ani śnić. Nigdy nie pozwalał sobie na marzenia senne. W snach ludzie mówią nam czasem rzeczy, których nie rozumiemy, albo wiążemy się z osobami, które nie istnieją.

— Frank... — powiedział jakiś głos.

Frank ponownie prychnął, ale nie zamierzał się budzić.

— Frank, to ja.

Przekreślił się i pociągnął za prześcieradło.

— Frank, nie udawaj. Wiem, że mnie słyszysz. Oblizął wargi, które bardzo mu wyschły, i powoli otwórz oczy. Tuż po jego prawej stronie ktoś siedział na łóżku. Kobieta w jasnym stroju. Światło z korytarza oświetlało ją z tyłu, ale nie mógł dojrzeć twarzy. Uniósł ramię, by osłonić oczy.

— Christina?

— Myślałam, że będziesz spał wiecznie.

— Co ty tu robisz? — Spróbował unieść tułów, ale kobieta przycisnęła zimną dłoń do jego klatki piersiowej i nie pozwoliła mu na to. — Christino, mamy stan wyjątkowy, nie powinnaś wracać do miasta.

— Nie jestem Christina, kimkolwiek ona jest. Frank wyciągnął rękę i zapalił lampkę przy łóżku.

— Boże... — wydyszał, kiedy zobaczył, z kim rozmawia. — Boże, to niemożliwe...

Susan Fireman wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Jej oczy nadal wyglądały jak ślepe, a twarz była bardzo blada, ale uśmiechała się do niego i bez najmniejszej wątpliwości żyła.

— Byłem pewien, że nie żyjesz — powiedział Frank głosem, który wydał mu się zupełnie obcy. — Umarłaś, prawda? Twoje serce przestało bić.

— Myślałam, że wiesz więcej o śmierci, doktorze.

— O czym ty mówisz?

— Śmierć jest dla tych, którzy urodzili się, aby umrzeć. Nie dla takich jak ja.

Frank złapał ją za nadgarstek, odsunął jej rękę i usiadł na łóżku. Susan Fireman cały czas się do niego radośnie uśmiechała, jakby oszalała, zamieniła się w anioła albo była zakonnica, która właśnie doznała boskiego objawienia.

— Frank... nie możesz traktować śmierci tak dosłownie...

— Śnię — wymamrotał i uderzył się mocno w twarz. — Cholera, nie śnię. Może śnię, że śnię?

Susan Fireman dotknęła jego policzka czubkami palców. Były bardzo zimne.

— Wiem, że mnie polubiłeś. Wiem, że wydawałam ci się atrakcyjna. Widziałam,

jaki byłeś smutny, kiedy pomyślałeś, że umarłam.

— Na Boga, jesteś martwa! — Frank przetoczył się przez łóżko i wstał. — Byłem w tym samym pokoju, kiedy umarłaś. Próbowano cię reanimować, ale nie udało się. Albo śnię, albo ani halucynacje. Może się od ciebie zaraziłem. Może to eden z tych twoich koszmarów?

— Frank, zdawało mi się, że mnie polubiłeś.

— Polubiłem? I co z tego? Jak mogę cię lubić, skoro nie żyjesz i nie może cię tu być. Logicznie i medycznie to niemożliwe.

Susan Fireman wstała i obeszała łóżko. Każdy jej ruch był szarpnięciem, jakby ją sfilmowano, a potem wycięto co którąś klatkę. Uniosła rękę.

— Jestem tutaj, Frank, a to jedyna logika, która cokolwiek znaczy — powiedziała.

— Jak tu weszłaś? — spytał i równocześnie zauważył uchylone okno.

— Mogę wejść wszędzie. Bładzi zawsze mogą.

Frank cały czas był przekonany, że śni. Przecież niedawno zaprzeczyła, że cokolwiek słyszała o „bładych”.

— Teraz się obudzę — oświadczył. — Kiedy doliczę do trzech, obudzę się, a ciebie, moja droga, nie będzie. Raz, dwa, trzy!

— Mogłoby nam być tak dobrze ze sobą, Frank. Też mógłbyś zostać bladym.

Zamknął mocno oczy, odczekał chwilę i ponownie je otworzył. Susan Fireman w dalszym ciągu stała przed nim.

— Frank, nie chcesz wiedzieć, co się ze mną stało? Nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego ci wszyscy ludzie „chorują”?

— O czym ty mówisz?

— Ta epidemia... ci wszyscy ludzie, zabijający przyjaciół i bliskich i pijący ich krew.

— Wiesz, co robią?

— Oczywiście, przecież mnie to się też przydarzy, prawda?

— Dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej, w szpitalu? Znów wyciągnęła rękę, ale Frank się cofnął.

— Nie dotykaj mnie.

— Frank, nie złość się na mnie. Gdybym wiedziała, co się ze mną dzieje, powiedziałabym ci. Naprawdę. Wtedy jednak nic nie wiedziałam. Musiałam przejść na drugą stronę. Zobaczyć wszystko z drugiej strony.

— Więc teraz możesz powiedzieć? To jakieś szaleństwo Wariuję z przepracowania.

Uśmiechnęła się do niego chytrze.

— Załatwmy najpierw to, co najważniejsze. — Skrzyżowała ramiona i ściągnęła przez głowę koszulę nocną. Pod spodem nic nie miała. Jej piersi były małe, ale sutki twarde i wystające. W głębi wygolonego łona migotał złoty kolczyk.

Frank nic nie mówił, tylko patrzył i bardzo głęboko oddychał. Już raz nachodziła go sfrustrowana pacjentka, która potem oskarżyła go o molestowanie seksualne. Skończyło się to wielomiesięcznymi przepychankami prawnymi i kosztowało tysiące dolarów. Nie chciał powtórki.

Susan Fireman usiadła na łóżku.

— Chodź do mnie — powiedziała.

Frank pokręcił głową.

— Nie ma mowy. Po pierwsze, nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Jesteś jakąś halucynacją i nawet nie rozumiem, dlaczego z tobą rozmawiam. Po drugie, jeżeli to się dzieje naprawdę i jesteś prawdziwa, nie chcę mieć z tobą do czynienia.

— Frank, to nie jest sen. Nie śpisz.

— Jak to możliwe? Nawet jeśli nie umarłaś, nie mogłaś wyjść ze szpitala i wejść do mojego mieszkania przez okno. Za oknem jest przepaść... ponad osiemnaście metrów.

— Na każdą ścianę da się wejść, jeśli się umie wspinać.

Po chwili ponownie wstała. Odsunął się od niej i oparł plecami o ścianę. Przysunęła się tak blisko, że czuł, jaka jest zimna. Była taka zimna, że zdawała się wysysać ciepło z całego otoczenia.

— Bardzo chciałbyś się dowiedzieć, co się ze mną stało, prawda? I chcesz mnie. Wiesz, że mnie chcesz.

Sięgnęła ręką w dół i złapała przez bokserki w błękitne paski jego penisa. Choć jej

palce były lodowate, podnieciło go i członek zaczął sztywnieć. Powoli poruszała ręką, wbijając paznokiec w krawędź żołądki.

— Widzisz? Wcale się nie pomyliłam. Jestem prawdziwa i chcesz mnie.

Frank jeszcze nigdy w życiu nie czuł czegoś podobnego. Trząsł się ze strachu, ale strach niesamowicie go podniecał. To, co się z nim działo, było rodem z podręcznika psychiatrii. Susan Fireman nie żyła, więc nie mogła wspiąć się po ścianie i wejść do jego mieszkania, rozmawiać z nim i drażnić jego penisa. Szaleństwo tej sytuacji sprawiało, że członek tak mu stwardniał, że aż bolał, i Frank nie wiedział, czy ma się wyrywać, wołać o pomoc, czy pozwolić Susan robić to, co robiła. Nie mógł normalnie myśleć. Wyglądało na to, że jedynym sposobem wydostania się z tego koszmaru jest prześnić go do końca i czekać, aż nadejdzie przebudzenie.

— Nie wiedziałam tego aż do tej chwili — powiedziała cicho Susan — ale zawsze byli inni ludzie.

Frank nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Zimno jej dłoni niemal zamroziło jego penisa i zaczynało wnikać głęboko między uda, jakby ktoś wsuwał mu w jelita sopol.

— Inni ludzie... rozumiesz, co mam na myśli? Odmieni, tyjący inaczej. W ciemnościach, w cieniu, w zamkniętych skrzyniach.

Drugą dłonią ściągnęła mu bokserki, które opadły na podłogę. Jeszcze mocniej ścisnęła wzwiedziony członek, a każdy ruch jej ręki wzdłuż niego był tak mocny, jakby chciała zedrzeć mu skórę.

— Zawsze z nami byli — szepnęła. — Zawsze się ukrywali i czekali, a teraz są wolni!

Trzymając mocno jego członek, pociągnęła go na łóżko. Czuł się kompletnie bezradny, jakby musiał zrobić wszystko, co mu każe. Położyła się na plecach i szeroko rozłożyła nogi. Nawet w środku miała blade ciało, błyszczące od śluzu.

— Chodź, Frank. Sam wiesz, jak bardzo mnie chcesz.

Zachwiał się i niemal przewrócił na łóżko.

— Bliżej... — wabiła go i ciągnęła ku sobie, a potem wprowadziła go sobie do środka. Jej wnętrze było chłodne i śliskie jak wyfiletowana ryba. Choć było to

nieprzyjemne, nie mógł znaleźć w sobie dość siły, aby się wyslizgnąć. Złapała go za pośladki i zaczęła wpychać rytmicznie w siebie, cały czas się przy tym uśmiechając. Niewiarygodne, jak taka szczupła dziewczyna mogła być tak silna. Zmuszała go, by wbijał się w nią coraz mocniej i energiczniej, podkreślając każdy ruch wbijaniem mu paznokci w skórę.

— Teraz jesteś mój, Frank... jesteś moim podopiecznym — dyszała. — Jedno do drugiego, jak chińskie szepty, tak to się odbywa. To tajna wiadomość.

— Boe... ogi... — wyjęczał.

Triumfalnie wciągała go w siebie — raz, raz, raz, raz — z każdym ruchem wyginając plecy, tak że czuł jej uniesioną miednicę, wbijającą mu się w biodra.

Zaczął dygotać. Miał wrażenie, jakby jądra mu zamarzły, zamieniły się w dwie kule lodu, i coś z coraz większą siłą je miażdżyło. Zimno między nogami było niemal nie do wytrzymania, ale równocześnie czuł ogromną potrzebę szczytowania i sam zaczął wbijać w nią członek z takim impetem, jakby chciał ją rozerwać na pół.

Zacharczał, jęknął, prychnął i spuścił się. Czuł, że wypływają z niego grube strumienie zmieszanego z wodą lodu — jeden, drugi, trzeci. Kiedy przestał dygotać, ukląkł ze spuszczoną głową między kolanami Susan Fireman, a ona przeciągać zimnymi palcami po jego ramionach, plecach, biodrach i na koniec ujęła w dłoń jego skurczone jądra.

Opadł na bok i leżał, drżąc jak wyciągnięty z rzeki pies. Susan Fireman odwróciła się do niego, tak że ich twarze były oddalone od siebie o jakieś dziesięć centymetrów — za blisko, aby mógł skupić na niej wzrok.

— Tajna wiadomość — szepnęła.

— Co za tajna wiadomość? Nie rozumiem.

Pocałowała go dwa razy.

— Przynieśli ją taki kawał drogi z domu, w swojej krwi... nie widzisz tego?

— Kto? — wychrypiał. — O kim mówisz?

— Strigoi... tak sami siebie nazywają. Ludzie, którzy nigdy nie umierają.

— Strigoi?

— Zgadza się. Teraz przynieśli swoją wieść tutaj i możemy im pomóc ją

rozpowszechniać. Ty, ja i wszyscy inni, których wybierzemy. Ta wieść nie jest na piśmie, nikt nawet nie może jej wyszeptać. — Uniosła tułów do pionu i popatrzyła na niego z góry. — Za kilka godzin, kochany Franku, też przejdiesz na drugą stronę i wszystko zrozumiesz.

Spróbował podnieść głowę, ale przycisnęła mu ją do łóżka.

— Jeszcze jedno... — powiedziała. — Musimy mieć pewność.

Usiadła na nim okrakiem i przycisnęła go do materaca chłodnymi kościstymi nogami. Zaczęła się przesuwac ku jego głowie, aż jej łydki oparły się o jego barki, a krocze znalazło się nad jego twarzą. Kiedy spojrzal w góre, zobaczył tuż przed oczami blade, bezkrwiste wargi sromowe i przebijające jedną z nich złote kółko. Jego sperma wylewała się, dwie krople spływały po wewnętrznej stronie jej uda.

— Co robisz? — spytał Frank. Pomyślał, że to być może wcale nie jest sen i choć Susan Fireman umarła, naprawdę z nim jest.

Popatrzyła na niego. Jej oczy były rozmarzone, nie uśmiechała się jednak.

— Musimy mieć pewność, Frank.

Próbował wstać, ale kiedy się z nią siłował, kropla zimnego nasienia spadła mu na usta. Chciał ją wypluć, lecz Susan wyciągnęła palec i wsunęła mu ją do ust.

— Gotowe — oświadczyła i zeszła z niego.

Zaczął płuć, a potem usiadł i wściekle tarł usta poduszką.

— Po co to było?

Roześmiała się i okręcając się w piruecie, odsunęła się od niego. Jej ciało podskakiwało jak na starym filmie, wyświetlanym za pomocą projektora na ręczną korbkę.

Pokuśtykał do łazienki. Czuł się, jakby walczył gdzieś w ciemnym zaułku i przegrał. Zapalił światło i popatrzył w lustro. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak wykończony. Odwrócił się, by popatrzeć na swoje pośladki — były poprzecinane krwawymi śladami. Czy można śnić, że tak boli? Jego członek był czerwony, a moszna — w miejscu gdzie Susan Fireman wbiła paznokcie — zakrwawiona. Jak mógł śnić, jeżeli potrafił odkręcić kran i opryskać sobie twarz ciepłą wodą?

Wcisnął twarz w ręcznik. Czuję to i nie mogę się obudzić. Będę musiał się pogodzić z tym, że to jest realne. Choć szalone i przerażające, jest prawdziwe.

Rzucił ręcznik na półkę i wrócił do sypialni.

— No dobrze, zakładając, że to nie jest koszmar senny... może mi powiesz, co się dzieje?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Susan Fireman nie było.

— Susan? — Poszedł na sztywnych nogach do salonu, ale i tam nie było po niej śladu. W dodatku łańcuch w drzwiach był założony, więc nie wyszła drzwiami. Zapalił światło w kuchni, lecz i tam się nie ukrywała. Słyszał tylko szum lodówki.

Wrócił do sypialni.

— To idiotyczne! Susan!

Otworzył szafę. Tu też się nie schowała. Pod łóżkiem było tylko ze trzy centymetry wolnego miejsca, więc nie mogła tam być.

Znów przeszukał całe mieszkanie. Zajrzał nawet do kosza z brudną bielizną. Zniknęła i pomijając zmięte prześcieradła, nie było nawet śladu, że kiedykolwiek tu była. Popatrzył na ale znajdowało się prawie półtora metra nad podłogą było uchylone jedynie na kilka centymetrów. Nawet jeżeli udało się jej przez nie wejść, wątpił, aby przez nie wyszła. Nigdzie nie było niczego, na co mogłaby się wspiąć, aby dosięgnąć okna.

— Tracę rozum. — Popatrzył na swoje odbicie w lustrze na korytarzu i jego odbicie nie zaprzeczyło.

ROZDZIAŁ 8

Krwawa łaźnia

Kiedy Bertil przerwał rozmowę, posiedziałem przez chwilę w fotelu Alexandra Woollcotta. Piłem i myślałem. Choć ściszyłem telewizor, widziałem, że kanały informacyjne pękają w szwach od obrazów zakrwawionych ludzi, a liczba umierających „wampirów” i ich zamordowanych ofiar rośnie w zastraszającym tempie i nic nie wskazuje na to, aby tempo tego wzrostu miało spaść.

Jeżeli nie uda mi się namówić Amelii do rozmowy z władzami miasta, będę musiał porozmawiać z nimi sam — choć wiedziałem, jak sceptycznie się do mnie odniosą. Nie mogłem siedzieć bezczynnie w rozpadającym się fotelu, pić guinnessa i patrzeć, jak wokół umierają ludzie. Co jednak będzie, jeżeli władze nie zechcą mnie wysłuchać — a tak się to najpewniej skończy?

Może powinienem ponownie skontaktować się ze Śpiewającą Skałą? Prawdopodobnie nie zgodzi się na sprowadzenie jeszcze raz złego ducha do mojej sypialni, abym mógł go sobie obejrzeć, ale może coś mi o nim powie — i o tym, dlaczego rozprzestrzenia tę krwawą epidemię. Już samo imię by W pomogło — mógłbym sprawdzić w Internecie. Zdziwilibyście się, ile złośliwych istot można tam znaleźć. Kiedyś szukałem Misquamacusa, czarownika Algonkinów, który zabił Śpiewającą Skałę oraz niemal zabił mnie i Karen, i znalazłem jego zdjęcie na jakiejś dziwacznej stronie internetowej, poświęconej Keillerowi Webbowi, dziewiętnastowiecznemu fotografowi frontowemu.

Stał na drugim planie dagerotypu, zrobionego w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku nad jeziorem Pyramide. Miał na głowie wysoki czarny cylinder i wpatrywał się we mnie, jakby w chwili robienia zdjęcia wiedział, że kiedyś je obejrzę — za sto czterdzieści lat. Twarz miał nieruchomą jak kamień, policzki pocięte magicznymi stygmatami, a jego głęboko osadzone, błyszczące oczy przypominały kryjące się pod parapetem okiennym karaluchy.

Do zdjęcia dołączono jedynie krótki fragment z *Native American Magic* Rolanda Hunsigera i Merriam West: „Uważano, że Misquamacus posiadał moc, pozwalającą mu pojawiać się równocześnie w różnych miejscach, czasami oddalonych o tysiące kilometrów. Przypisywano mu także zdolność podróżowania w czasie za pomocą połykania doprowadzonego do stanu wrzenia oleju i odradzania się w ciele kobiety, która akurat znalazła się w pobliżu miejsca, gdzie złożył się w ofierze — w przeszłości albo w przyszłości, zależnie od jego woli (...). Misquamacus i jego wyznawcy uczestniczyli w licznych krwawych bitwach z pierwszymi holenderskimi osadnikami w Nowym Amsterdamie, a drewniane palisady, od których nosi nazwę Wall Street, zostały wzniesione właśnie po to, aby odstraszyć maruderów. Choć plemię Misquamacusa rozproszono wiosną tysiąc sześćset pięćdziesiątego piątego roku, on sam złożył uroczystą przysięgę, że wypędzi kolonistów co do ostatniego. Wielu członków starszyzny Indian uważa, że zawalenie się w latach pięćdziesiątych XX wieku wielu budynków na Manhattanie jest ostatnią próbą Misquamacusa zniszczenia białych najeźdźców i wypędzenia ich z amerykańskiej ziemi. Wierzą oni, że udałooby mu się to, gdyby zniszczenie szeregu kabli wysokiego napięcia nie doprowadziło do silnego wyładowania elektrycznego, które zniszczyło jego manitou (ducha) i rozproszyło go między cztery żywioły. Jest teraz skazany na wieczne uwięzienie w ziemi, ogniu, wietrze i deszczu.

Imię Misquamacus do dziś sprawiało, że czułem w ustach rdzawy posmak — nawet po tylu latach. Pojawił się po raz pierwszy w moim życiu, gdy wybrał na swoją pierwszą reinkarnację Karen. Kiedy odrodził się z ciała Karen, próbował wezwać Wielkich Starców, indiańskich bogów całkowitego zniszczenia, żyjących w Pustym Czasie (zanim zaczął się ten który znamy). Prawie mu się udało, ale Śpiewająca Skała pomógł mi go powstrzymać.

Misquamacus jednak ponownie się reinkarnował i Śpiewająca Skała zginął, kiedy próbowaliśmy go raz na zawsze odesłać do Krainy Wiecznych Łowów. Misquamacus był bez wątpienia potężnym czarownikiem, ale koniec końców musiał przegrać. W epoce tańców deszczu i wojen na łuki jego magia może i była niszczycielska, nie miała jednak szansy z technologią dwudziestego pierwszego wieku. Kogo interesuje rzucanie na wiatr magicznego proszku w celu znalezienia stad bizonów, jeżeli zaraz za

rogiem jest Wal–mart z pakowanymi stekami, zgodnymi ze specyfikacją Ministerstwa Rolnictwa USA? Kto będzie chodził w poszukiwaniu wizji do indiańskiej sauny, jeżeli może kupić sobie ekstazę i odtwarzacz płyt DVD z dźwiękiem o kinowej jakości? Indian pozostawiono po prostu z ich fajkami, piórami i naszyjnikami obok autostrady, podczas gdy wszyscy inni pognali w przyszłość. Nawet Śpiewająca Skała mawiał: „Nie warto płakać za indiańską magią, przyjacielu — to jedna z rzeczy, której już nie potrzebujemy, jak bawełnianych pieluch i maszyn do pisania”.

Wziąłem do ręki bransoletkę, którą zostawił mi Śpiewająca Skała, i założyłem ją na rękę. Czarne kamienie były z jakiegoś powodu bardzo matowe — jakby uszło z nich życie. Objąłem ją prawą dłonią i zamknąłem oczy.

— Śpiewająca Skało, potrzebuję twojej pomocy. Przyznaję, że nie mieliśmy dość jaj, aby popatrzeć, kiedy po raz pierwszy pokazałeś nam przyczyną koszmarów sennych Teda. Fakt, spękaliśmy, ale to nie znaczy, że nie doceniam, tego, co dla nas zrobiłeś, i nie podziwiam twojej odwagi. Śpiewająca Skało... błagam cię. Zrobię wszystko, co mi każesz. Wszystko. Ludzie umierają na ulicach, setki ludzi, i wygląda na to, że to coś, co woduje koszmary senne u Teda... może być też odpowiedzialne za śmierć tych ludzi.

Czekałem na jakąś reakcję — stuknięcie w okno, szept, drapnięcie w ścianę. Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej, syreny nie przestawały wyć i zawodzić. Usłyszałem jakiś straszliwy krzyk i zaraz po nim brzęk tłuczonego szkła — jakby rozbito frontową szybę sklepu — oraz strzały. Helikoptery dudniły nad Central Parkiem jak tam–tamy.

— Śpiewająca Skało... proszę cię. Wiem, że moje zachowanie musiało ci się wydać niewdzięczne, ale to, co zrobiłeś, było naprawdę zdumiewające. Jeżeli nie możesz tego powtórzyć lub nie masz ochoty, daj mi przynajmniej jakiś znak. Powiedz mi, co to za stwór albo jak się nazywa. Powiedz, skąd przybywa i czego chce.

Siedemnastą biegli ludzie — mnóstwo ludzi. Wstałem i podszedłem do okna, w chwili gdy przecinali Szóstą Aleję. Musiało być tam ze dwieście osób — głównie mężczyźni — ale nie dało się określić, dlaczego cały ten tłum biegnie. Ludzie nie krzyczeli, tylko biegli. Była to jedna z najbardziej przerażających scen, jakie

widziałem w życiu. Skierowali się na północ i po chwili zniknęli — choć niemal jeszcze przez pełne piętnaście sekund słycać było tupot nóg.

— O to właśnie chodzi, Harry — powiedziałem sam do siebie. — Koniec świata.

Odwróciłem się od okna i niemal podskoczyłem ze strachu. W najciemniejszym kącie stał Śpiewająca Skała. Światło oddało się od jego okularów, natłuszczonych i szesanych do tyłu czarnych włosów oraz czarnego garnituru, w którym został pochowany. Nie był całkiem materialny — widziałem regał za nim, mogłem nawet przeczytać tytuły książek.

— Cześć, Harry. — Jego głos chrzęścił jak bibuła albo wiatr, dmuchający w mikrofon sprawozdawcy sportowego.

— Śpiewająca Skała... zaczynałem sądzić, że już się do mnie nie odezwiesz.

— Każdy ma kilku wrogów i kilku przyjaciół, do których nigdy nie odwróci się plecami.

— A kim ja jestem? Wrogiem czy przyjacielem?

— Musisz pytać?

— Nie, oczywiście że nie. Przepraszam. Gdybym nie był twoim przyjacielem, nie sprowadziłbyś tego stwora.

— Jeśli tak właśnie życzysz sobie myśleć...

Obszedłem ostrożnie stół, ale im bardziej zbliżałem się do Śpiewającej Skały, tym mniej wyraźny się robił — aż w końcu mogłem dostrzec jedynie poruszające się usta. Cofnąłem się i zrobił się lepiej widoczny. Gdyby żył, miałby teraz mniej więcej siedemdziesiąt pięć lat, ale się nie zmienił. Myślę, że jedyna dobra rzecz w śmierci to ta, że człowiek przestaje się od tej chwili starzeć.

— Jak ci się wiedzie? — spytałem.

— Nie żyję, Harry Erskine. Istnieję jedynie w wielkim świecie czerni pod twoimi stopami. Tak mi się „wiedzie”.

— Ale wiesz, co to za stwór, prawda? Wiesz o wszystkich ludziach, którzy mają senne koszmary i piją ludzką krew? Śpiewająca Skała, na ulicach ludzie mordują się nawzajem, podrzynają sobie gardła. Kobietom, dzieciom, komu się da. To masakra.

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Widzę tych niewinnych, którzy zostali

pomordowani. Ich duchy spadają w czerń jak śnieg.

— Nie mógłbyś mi pokazać tego stwora jeszcze raz? Widziałem go kątem oka. Był ciemny i wyciągnięty. Do tego szeptał.

Śpiewająca Skała pokręcił głową.

— Gdybym mógł, pokazałbym ci go, Harry Erskine. Nie mam do ciebie pretensji za brak odwagi. To pradawny stwór z najmroczniejszego mroku, o którym nic nie wiem. Złapałem go przez zaskoczenie i przyprowadziłem tutaj za pomocą starego zaklęcia Lakotów, szybko jednak się wyrwał i drugi raz nie da się zaskoczyć.

— Masz jakiś pomysł, co to jest albo skąd pochodzi?

— Mogę ci powiedzieć jego imię jedynie pośrednio. Gdybym je wymówił albo napisał, natychmiast ściągnąłbym jego uwagę i przyszedłby po ciebie szybciej niż wygłodniały niedźwiedź z lasu. Chcę cię ostrzec, Harry Erskine: ten duch jest zachłanny i okrutny i nie cofnie się przed niczym, aby jak najdalej i jak najszybciej się rozprzestrzenić.

— Rozumiem, że podasz mi jego imię pośrednio. Możesz zacząć?

— Nie teraz. Kiedy jednak podam ci jego imię, rozpoznasz je.

— Śpiewająca Skała, to bardzo pilne! Matki piją krew swoich dzieci nawet w tej chwili!

— Nie — odparł zdecydowanie Śpiewająca Skała. — Nie rozumiesz? Jesteś kimś wyjątkowym. Jako jedyny podejrzewasz, że ta plaga jest spowodowana przez ducha, a nie przez wirusa. Jeżeli zginiesz, kto inny się tego domyśli? Wasi biali lekarze już dawno temu stracili kontakt ze światem duchowym i mocami przyrody. Jeżeli nie widzą przeciwnika, który wije się pod mikroskopem, nie chcą uwierzyć, że istnieje.

— Więc jak ich przekonać?

— Nie wiem. Ty jesteś białym człowiekiem i ty wiesz lepiej, jak należy rozmawiać z białym człowiekiem.

— Na Boga, byłeś pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Potrafisz każdego przekonać... w każdej sprawie.

Śpiewająca Skała odwrócił się do mnie. Wydał mi się bardzo zmęczony i smutny, jakby to, że nie żyje, zupełnie go wykańczało.

— Powiem ci to imię, Harry Erskine. Co z tą wiedzą zrobisz, zależy od ciebie.

Próbowałem uśmiechnąć się do niego zachęcająco, ale nie było to łatwe. Zaczął się rozpląwać i po kilku chwilach zniknął. Jedynym śladem, jaki pozostawił, był delikatny zapach olejku lawendowego do włosów.

Przynajmniej zgodził się pomóc. Nie miałem pojęcia, w jak sposób przekaże mi imię złego ducha, ale wiedziałem, że na pewno dotrzyma obietnicy.

Nie powiedział jednak wprost, czy jestem jego przyjacielem czy wrogiem. Może uważał mnie po trochu za jednego i drugiego.

Wziąłem prysznic, nie przejmując się grzechotem i szarpaniem całej instalacji ani tym, że wystrzeliwała nierówne chlusty gorącej wody. Nie wycierając się, owinąłem ciało grubym frotowym szlafrokiem, który dostałem od Karen — z wyszytym na kieszonce moim monogramem — i usiadłem przy otwartym oknie, pocąc się, pijąc guinnessa i słuchając straszliwych odgłosów nocy.

Wszędzie wyły syreny i co chwila po ulicy przewalały się hordy biegnących gdzieś ludzi. Nad dzielnicą odzieżową unosił się gęsty brązowy dym, a nad Times Square wisiały helikoptery z włączonymi reflektorami, których światła krzyżowały się jak gęsta pajęczyna.

Choć wiedziałem, że Śpiewająca Skała nie zostawi mnie na lodzie, coraz bardziej się denerwowałem i raz za razem wstawałem z fotela, by pokrażyć po pokoju. Wyłączyłem telewizję. Piętnaście po dziewiątej podano, że trzysta czterdzieści siedem osób zmarło z powodu „wampirzej zarazy”, a pięćset jednaście znaleziono z podejrzanymi gardłami. W ciągu jednego dnia zamordowano w Nowym Jorku więcej ludzi niż zazwyczaj podczas całego roku.

Burmistrz Brandisi przyznał, że wyizolowanie przyczyny epidemii zajmie „dni, tygodnie, a może dłużej”. Manhattan był teraz całkowicie zamknięty, na każdym moście i wjeździe do tunelu były blokady. Prezydent obiecał udzielenie Nowemu Jorkowi „wszelkiego wyobraźalnego wsparcia” i przysiągł, że jeżeli okaże się, iż epidemia ma podłoże terrorystyczne, odpowiedź będzie „szybka i straszliwa”.

Byłem zmęczony i rozpalony i właśnie się zastanawiałem, czy iść już do łóżka,

kiedy rozległo się drapanie do moich drzwi. Wsadziłem głowę do zagraconego przedpokoju i zacząłem nasłuchiwać. Po kolejnym drapaniu krzyknąłem:

— Kto tam? Jest tam kto? — Nie otrzymałem odpowiedzi, ale ktoś musiał stać przed drzwiami. Próbowałem wyrzeć przez judasza, lecz jakiś dowcipniś czymś go zakleił, prawdopodobnie gumą do żucia. Poczekalem jeszcze chwilę. — Kto tam?

W dalszym ciągu nie było odpowiedzi. Mógł to być pies pani Zolbrod, który wyglądał jak peruka Harpo Marxa, mógł być szczur, z jakiegoś jednak powodu byłem przekonany, że to człowiek. Czułem jego napięcie przez drzwi. Niemal widziałem, jak się poci.

Przycisnąłem ucho do drzwi i wstrzymałem oddech. W tym momencie załomotano tak głośno, że niemal ogłuchłem.

— Jezu! — wrzasnąłem i otworzyłem drzwi.

Z początku go nie poznałem, ponieważ twarz i ręce miał wysmarowane grubą warstwą czegoś czarnego i tłustego. Kiedy zakaszłał i jęknął:

— Pomóż mi, facet. Potrzebuję pomocy — poznałem Teda Buscha. Wyglądał jeszcze gorzej niż poprzednio. Jego T-shirt z napisem MOLTEN IRIS miał na przodzie wielką plamę od potu, a włosy sterczały mu jak po elektrowstrząsach.

— Niech pan wchodzi — powiedziałem. Tak naprawdę to wcale nie chciałem, aby wchodził, ale co miałem robić? A gdyby stało mu się coś złego, jeśli bym go nie wpuścił?

Wtoczył się do środka i padł na fotel. — — Człowieku, palę się — jęknął.

— Może szklankę wody?

— Nie, tylko nie wody. Nie mogę dotykać wody. Woda jeszcze pogarsza sprawę.

— Co się z panem dzieje? Strasznie się pan poci. Co maż na twarzy? Ted, wygląda pan jak Al Jolson.

— Palę się, człowieku. Moja skóra się pali.

— Musi pan iść do szpitala. Mogę pana zaprowadzić.

— Próbowałem... próbowałem się dostać do Sisters of Jerusalem, ale nie da się podejść nawet w pobliże szpitala. Wszędzie są setki wyjących i płaczących ludzi. Zamknęli wejścia i postawili przy drzwiach policjantów, żeby nikogo nie wpuszczali.

— Ted, jestem przepowiadaczem przyszłości, nie lekarzem. Poza drinkiem nic nie mogę dla pana zrobić.

Wpatrywał się we mnie, oczy miał rozszerzone jak szaleniec.

— Nie rozumiesz, człowieku? Moja skóra płonie! Kiedy stąd wyszedłem, próbowałem iść do domu, ale słońce mnie paliło i jedyne, co udało mi się znaleźć, to olej samochodowy, więc posmarowałem się nim, ale od tego jest tylko gorzej. Musi mi pan pomóc albo umrę!

Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Dygotał i obejmował się, widać było, że straszliwie cierpi, co jednak można zrobić dla człowieka zarażonego przez złego ducha? Maść cynkowa może być dobra na wysypkę spowodowaną przez trujący bluszcz, ale nie ma wielkiego wpływu na okrutne i wściekłe istoty z zaświatów.

— Chyba przydałaby się panu zimna kąpiel. Chce pan tabletkę anacinu? Może pomoże zbić temperaturę?

Ted wił się, pociągał nosem i dygotał jak ćpun na głodzie. Podniosłem słuchawkę.

— Mogę zadzwonić po lekarza, ale nie sądzę, aby miało to większy sens. Jeżeli nie można się dostać do szpitala...

Wydał z siebie nagle przenikliwe, kojocie wycie, od którego włosy zjeżyły mi się na karku.

— Palę się! — zawył. Uniósł dłonie, aby mi je pokazać, jakby faktycznie płonęły. — Popatrz na mnie... palę się!

— Niech pan posłucha! — wrzasnąłem na niego. — Musi się pan uspokoić! Może i czuje się pan, jakby płonął, ale nie płonie pan. To gra wyobraźni, układu nerwowego albo czy ja wiem czego?! Niech pan siedzi spokojnie i wypaca z siebie tę gorączkę — to wszystko, co możemy zrobić!

— Ale moja skóra! Pali się, kurczy! Czuję się jak w krematorium!

Postanowiłem nalać mu zimnej wody do wanny. Może nic to nie da, ale żaden inny pomysł nie przychodził mi do głowy — poza walnięciem go w łeb najcięższą patelnią, jaką miałem, jestem dobry w ratowaniu świata, ale gdy chodzi o pojedyncze osoby, mam znacznie mniej cierpliwości.

Poszedłem do łazienki i odkręciłem zimną wodę. Wanna w mojej łazience jest

ogromna i ma z boku dziwną plamę koloru krwi, jakby dopiero co zamordowano w niej pannę młodą. Próbowałem wywabić tę plamę chloroksem, ale wybielacz sprawiał jedynie, że coraz bardziej przypominała barwą krew. Woda była brązowa i nieszczerólnie zimna, nie mieliśmy jednak wyboru.

Właśnie pochylałem się nad wanną i sprawdzałem, czy zatyczka jest dobrze wetknięta, kiedy ktoś objął mnie za szyję ramieniem. Kątem oka dostrzegłem błysk i odruchowo pochyliłem niżej głowę — w tej samej chwili, gdy po twarzy smagnęło mnie ostrze kuchennego noża, przecinając lewy policzek niemal do kości.

Trysnęła krew. Poleciała na bok wanny i rozlała się na wodzie, co wyglądało, jakby nagle rozkwitły w niej róże. Odwróciłem się, charcząc, i nóż ciął mnie ponownie — po kostkach dłoni.

Nigdy nie umiałem się bić, ale byłem śmiertelnie przestraszony i wściekły, więc waliłem na ślepo jak oszalały wiatrak. Ted upadł do tyłu, uderzył ramieniem o framugę drzwi i już Zżymałem w dłoniach przód jego podkoszulka. Walnąłem nim o stojak z ręcznikami i o umywalkę, po czym wrzuciłem go do wanny. Trzymał nóż, ale złapałem go za nadgarstek i wygiąłem mu go do tyłu, aż nóż poleciał na podłogę.

Choć się darł, kopał i próbował mnie ugryźć, udało mi się Przytrzymać go w wannie. Złapałem stojącą pod wanną dwulitrową butlę chloroksu i zacząłem walić go nią po głowie. Przez chwilę nie reagował, zaraz jednak złapał dłońmi brzegi wanny i zaczął się podciągać. Znów go walnąłem i padł na plecy. Odkręciłem butlę i wylałem mu jej zawartość na twarz.

W życiu nie zapomnę tego wrzasku. Oślepiony, wyskoczył z wanny — żadna siła by go nie powstrzymała, ani ja sam, ani nawet gdybym miał do pomocy sześciu ludzi. Zderzył się z drzwiami, po czym zataczając się, ruszył przez salon, rozsypał moje karty Jeu Noir, zrzucił na podłogę oprawione zdjęcie, na którym byłem z Karen i Lucy — oraz wazon z niebieskiego szkła, który wygrałem w Atlantic City. Udało mu się otworzyć drzwi na korytarz, wytoczył się przez nie i z taką siłą huknął całym ciałem o drzwi do mieszkania naprzeciwko, że nadpękły. Ze środka doleciało stłumione: „Hej!”.

Czułem się winny, bo było oczywiste, że go oślepiłem.

— Ted! Niech pan wraca! — wrzasnąłem i ruszyłem za nim. Kiedy dotarłem do korytarza, był już u szczytu schodów. — Ted!

Odwrócił się i podniósł głowę. Twarz miał czerwoną i pełną popękanych pęcherzy, jego włosy dymiły. Oczy miał zamknięte, a napuchnięte wargi przypominały dwa gigantyczne czerwce. Otworzył usta.

— Tatal... Tatal nostru...

— Ted, na Boga, niech pan wraca. Obmyję pana wodą! Nie wiem, czy wybielacz dostał się także do jego uszu i odebrał mu słuch, czy po prostu nie chciał słyszeć tego, co mówię, w każdym razie odwrócił się ku schodom i stracił równowagę. Zniknął w ułamku sekundy jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki.

— Ted...

Słyszałem, jak spada po schodach, i mógłbym nawet przysiąc, że słyszę pękające kości, choć to prawdopodobnie pękła balustrada. Kiedy do niego dobiegłem, leżał na półpiętrze na brudnym zielonym linoleum, z głową wykrzywioną pod nienaturalnym kątem. Jedna noga była wygięta do tyłu w taki sposób, że nie mógłby tego zrobić nawet człowiek guma.

Zszedłem powoli w dół i ukląknęłam obok niego. Oczy miał otwarte ale białka były mlecznobiałe. Fakt, próbował poderżnąć mi gardło, mimo to jednak czułem się winny. To nie jego wina, że zaraził go zły duch.

Wstałem. Lewy policzek miałem lepki, z kostek dłoni spływała mi krew.

— Śpiewająca Skąło! — krzyknąłem. — Jeżeli chcesz dać znak, to lepiej się pośpiesz, bo zaczyna mi brakować czasu! Słyszysz mnie, Śpiewająca Skąło?

— Harry? Harry, to ty? — zawołała Laticia z mieszkania naprzeciwko. — Co tu się wyprawia?

Nie było sensu prosić jej, aby zadzwoniła na policję.

— Nic się nie stało — odpowiedziałem. — Tylko ktoś spadł. Wstałem i złapałem się za krwawiącą dłoń. W tym momencie mój wzrok padł na tabliczkę, przyczepioną do drzwi, przy których stałem — mieszkania pani St John. Napis był zrobiony dużymi czerwonymi literami, ale większa jego część została zerwana, tak że pozostały jedynie dwie litery: „St”.

Nie pytajcie mnie, skąd wiedziałem, że jest to początek wiadomości od Śpiewającej Skały. Czasami coś się po prostu wie — że przyjaciel ma kłopoty, że ktoś umarł albo że lada chwila pogorszy się pogoda.

— No dobrze, Śpiewająca Skała. S i T, ale postaraj się, żebym reszty dowiedział się naprawdę szybko.

Laticia stała u szczytu schodów. Jej włosy były wysoko utapirowane i ozdobione różowymi wstążkami. Miała na sobie purpurowy satynowy szlafrok i paliła cygaretkę.

— Harry? — spytała lekko zachrypniętym głosem.

— Właśnie zaczął się koniec świata — odparłem. — Następnym razem, kiedy ukłkniesz, lepiej się pomódl.

ROZDZIAŁ 9

Krew i grzmot

Frank Winter otworzył jedno oko, ale wokół panowały kompletne ciemności.

Spałem, nie pamiętam jednak, jak się kładłem do łóżka, pomyślał. Ostatnie, co pamiętam, to...

Spróbował usiąść, ale jego głowa uderzyła w coś twardego. Spróbował poruszyć ramionami, ale były przymocowane do boków. Spróbował się obrócić, ale było za mało miejsca.

Poczuł czarną falę najczystszej przerażenia. Był zamknięty w ciasnej skrzyni, bez światła i powietrza. O mój Boże! Jestem w trumnie, pomyślał. Ktoś musiał mnie znaleźć w łóżku i pomyślał, że nie żyję. Boże, nie mów mi, że zostałem żywcem pogrzebany...

— Ratunku! — krzyknął. — Pomocy! Niech ktoś mnie stąd wyciągnie!

Nie było odpowiedzi. Udało mu się wyrwać prawą rękę i uderzyć pięścią w pokrywę.

— Ratunku! Ratunku! To pomyłka!

W dalszym ciągu nie było żadnej reakcji. Zaczął hiperwentylować, jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, jakby wbiegał po schodach. Zaraz jednak zmusił się do spokoju. Uspokój się, Frank. To nic nie da. Zużyjesz tylko powietrze i zmęczysz się. Spokojnie. Zastanów się. Spróbuj sobie przypomnieć, co się stało.

Problem polegał na tym, że nic nie pamiętał. Kołatało mu po głowie, że ukrywał się w jakimś ciemnym miejscu, bardzo wysoko. Może na poddaszu stodoły? Słyszał krzyki mężczyzn i szczekanie psów, a za drzewami tańczyły płomienie pochodni. Wpełzł jeszcze głębiej w ciemność, ale nie pamiętał, co się działo potem.

— Ratunku! — krzyknął ponownie i znów załomotał pięścią w wieko. — Nie umarłem! Musicie mnie stąd wydostać!

Nagle trumna, w której tkwił, zabujała się w prawo i uderzyła w coś — też

drewnianego. Może w inną trumnę. Frank nastawiał uszu, szeroko otwierał oczy w ciemności, próbował usłyszeć, co się dzieje na zewnątrz. Trumna znów kiwnęła się na bok i poleciała w dół, i odniósł wrażenie, że unosi się na wodzie.

— Musicie mnie stąd wydostać! — zawył. — Nie mogę oddychać! Na Boga, wyciągnijcie mnie stąd, zanim się uduszę!

Udało mu się wyrwać także lewą rękę i załomotać wściekłym, oburęcznym staccato w pokrywę. Nikt jednak nie reagował, a ruch w górę i w dół stał się wyraźniejszy. Jego trumna unosiła się przez chwilę, potem zamierała i opadała w dół.

Usłyszał basowe skrzywienie, potem spowodowany wiatrem łopot — mogły to być żagle. Zrozumiał, że jego trumna znajduje się na statku, który właśnie wypływa w morze. Zdawało mu się, że słyszy wrzask mew — a może były to rozpaczliwe krzyki innych zamkniętych w trumnach ludzi.

Zamierzał znów wrzasnąć, powiedział sobie jednak: nie panikuj. Nikt cię nie wypuści. Możesz tylko leżeć i czekać, oszczędzając energię. Może i zamknięto cię w trumnie, ale nie zabito i dokądś cię zabierają — niezależnie od powodu.

Poczuł, że statek obraca się na wietrze i przez chwilę siła odśrodkowa przyciskała mu boleśnie bark do deski, zaraz jednak wyrównał kurs i zrobiło się nieco spokojniej. Niestety, unoszenie się i opadanie trwało dalej i wkrótce poczuł mdłości. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadł i co, ale nie był w stanie.

Nagle ktoś zaczął łązić po trumnach.

— Ratunku! Pomocy, ja żyję!

Człapanie zamilkło, był jednak pewien, że ten ktoś jest cały czas w pobliżu. Czekał ze wstrzymanym oddechem.

— Pomocy... — szepnął. — Proszę, na litość boską, wyciągnij mnie stąd...

Minęło kilka minut, a potem usłyszał wysoki, drżący głos.

— Tatal nostru carele esti in ceruri... sfinteasca-se numek tau...

Tatal nostru! Słowa te trafiły go z taką siłą, jakby ktoś walnął go pięścią w brzuch. Tatal nostru! To samo nuciła Susan Fireman i młody człowiek na izbie przyjęć!

— Wypuście mnie stąd! — wrzasnął i jeszcze energiczniej załomotał o pokrywę. — Wypuście mnie! Chcę stąd wyjść!

— Ciii... — powiedział kobiecy głos, bardzo łagodny i uspokajający. — Ciii, Frank, miałeś zły sen, to wszystko.

Machnął wściekle prawą ręką, ale zamiast w wieko trumny trafił w nocny stolik i zrzucił na podłogę budzik.

— Ccco? Co się stało? — wycharczał i otworzył oczy. Była noc, lecz przez uchylone okno wpadało do środka światło ulicznych latarni. Na zewnątrz musiało padać, bo po suficie niczym ameby pełzły krople wody. Słyszał wycie syren i krzyki.

Usiadł. Na krawędzi łóżka siedziała Susan Fireman — w jednej z jego białych koszul. Wbił w nią wzrok. Nie pamiętał, czy dziewczyna żyje, czy umarła. Jej oczy błyszczały tak blado, jakby była niewidoma.

— Frank? To tylko ja. Miałeś zły sen.

— Która godzina? — Ponieważ nie odpowiedziała, wychylił się za krawędź łóżka i popatrzył na tarczę leżącego na podłodze zegarka. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt siedem. Za trzy minuty północ.

— Dobrze się czujesz? — spytała Susan Fireman.

Usiadł i pomasaował sobie kark. Całe ciało miał zeszywniałe, posiniaczone i podrapane, jakby faktycznie przez kilka godzin leżał w trumnie.

— Sądziłem, że wyszłaś.

— Oczywiście, że nie. Będą się tobą opiekowała.

— Czy to też jest senny koszmar?

— Co?

— Ty, cała ta epidemia, wszystko. To jak senny koszmar Wewnątrz sennego koszmaru.

Susan Fireman wyciągnęła do niego rękę, wnętrzem do góry, jakby chciała dać mu odpowiedź na wszystkie pytania.

— Całe życie jest koszmarem sennym, Frank. Różnica leży jedynie na tym, że niektórzy z nas nigdy się nie budzą.

Frank siedział bez ruchu, ze spuszczoną głową. Może to nie działa się naprawdę. Może wciąż trwała wczorajsza noc, a on wcale się nie obudził i wcale nie szedł do szpitala przez Herald Square. Może nie było pomalowanej na srebrno dziewczyny,

która odgrywała pantomimę, i żadnego wymiotowania krwią. Może na mieście nie odbywała się masakra. Może „Tatal nostru” to jedynie słowa, które usłyszał od jednego z pacjentów albo w radiu, kiedy jechał taksówką, i które zarejestrowała jego podświadomość.

Popatrzył na Susan Fireman. Wyglądasz, jakbyś siedziała na skraju mojego łóżka, ale może wcale cię tu nie ma. Wstał bez słowa, poszedł do kuchni i zapalił światło. Kuchnia była urządzona nowocześnie, dość surowo — blaty zrobiono z czarnego granitu, pośrodku stała kuchenka z nierdzewnej stali. Jediną dekoracją był wysoki trójkątny wazon, w którym stała samotna krwistoczerwona kalijka etiopska.

Podszedł do lodówki i wyjął butelkę perriera. Kiedy sięgnął w kierunku błyszczącej czarnej półki po szklanę, dostrzegł w niej odbicie Susan Fireman. Stała po przeciwnej stronie kontuaru, ręce miała opuszczone wzdłuż ciała.

— Posłuchaj, Susan — zaczął, nie odwracając się. — Nie wiem, czy żyjesz, czy umarłaś, czy śnię, ale wolałbym, żebyś zostawiła mnie samego.

— Nie mogę, Frank.

Nalał sobie szklanę wody i odwrócił się do niej.

— To jest mój senny koszmar, co oznacza, że muszę zrobić wszystko, czego ode mnie zażadasz, prawda?

— To nie jest „twój” senny koszmar. To senny koszmar wszystkich ludzi.

— Co masz na myśli?

— Zrozumiesz, kiedy przejdziesz na drugą stronę.

— Nie mam zamiaru przechodzić na żadną drugą stronę Susan Fireman podeszła bliżej i uniosła dłoń, aby dotknąć jego policzka. Machnął ręką jak na natarczywą muchę.

— Ale Frank... nie masz wyboru. Nikt z nas nie ma wyboru.

— Muszę iść spać. — Powiedział to nie do niej, a do siebie. — Muszę znów zasnąć i naprawdę się obudzić. Jest poniedziałkowa noc i nic z tego wszystkiego się nie wydarzyło.

— Możesz wszystkiemu zaprzeczać, ale im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej. Zaczyna na nas nadpływać ciemna chmura jak wielkie czarne skrzydło i bardzo

szybko się porusza. Długo już nie potrwa i dzienni ludzie odejdą na zawsze.

— Bzdura — odparł Frank. — Nic z tego się nie wydarzyło. — Uniósł szklanę, ale nie wiadomo dlaczego myśl o napiciu się wody sprawiła, że poczuł niesmak w ustach. Wylał wodę do zlewu, odstawił szklanę na półkę i wrócił do sypialni, zostawiając Susan Fireman w kuchni. Położył się w pomiętej pościeli i zamknął oczy. Jeśli uda mu się zasnąć, Susan Fireman zniknie i wszystko wróci do normy.

Minęło pięć minut, ale sen nie przychodził. Wszystko wokół było jakieś inne — musiało się stać coś złego. Po północy Manhattan zawsze dudnił klaksonami i słychać było pędzące dokądś wozy strażackie, nigdy jednak nie było tak hałaśliwie jak teraz. Dziś wycie syren nie milkło nawet na sekundę, jedna nakładała się na drugą, co brzmiało jak piekielne chóralne alleluja. Rozlegały się też tępe uderzenia, jakby rozbijano drzwi siekierami, a na to nakładał się chrzęst rozbijanego szkła i basowe dudnienie niewiadomego pochodzenia.

Otworzył oczy. Było jedenaście minut po północy. Susan Fireman stała cały czas w drzwiach sypialni i obserwowała go.

George Gathering prosił, aby zjawił się w Sisters of Jerusalem o drugiej w nocy. Cóż, nawet jeśli to koszmar senny, nie potrafię w nim spać, więc mogę tak samo dobrze wziąć prysznic, ubrać się i iść do szpitala.

Usiadł.

— Nic z tego? — spytała Susan Fireman.

— To nie jest koszmar senny, prawda? Nawet jeśli zasnę, nie obudzę się, by stwierdzić, że nigdy cię nie spotkałem, prawda?

— Nie, Frank.

Kiedy wyszedł na ulicę, ogarnęła go lepka, hałaśliwa noc. Nie mogło mocno padać, bo chodniki już były suche, ale wilgotność powietrza przypominała tropik.

Nigdzie nie było widać żadnej taksówki, więc ruszył piechotą. Kiedy opuszczał mieszkanie, Susan Fireman stała w przedpokoju i cały czas się uśmiechała. Poprosił, aby jej tu nie było, kiedy wróci, ale odparła jedynie:

— Czas pokaże, Frank. Czas pokaże.

Mężczyzny z pomalowaną na niebiesko twarzą, który kilka godzin temu trzymał się skrzynki pocztowej, już nie było, ale deszcz był za mało intensywny, aby mógł zmyć kałużę krwi, którą tamten zostawił na chodniku. Krwawe odciski dłoni przecinały ulicę, co świadczyło o tym, że mężczyzna odpełził na czworaka, do tego niezbyt dawno temu.

Frank przez chwilę miał ochotę pójść za tymi śladami i sprawdzić, dokąd go zaprowadzą. Może byłby w stanie pomóc temu człowiekowi, zdecydował jednak, że zamiast udowadniać sobie, że ma sumienie i szukać pojedynczego człowieka, powinien iść do Sisters of Jerusalem, gdzie bardziej się przyda, zajmując się większą liczbą ludzi.

Szedł na południe Drugą Aleją, która wyglądała stosunkowo spokojnie. Choć chodniki pokrywały kawałki cegieł i szkła, nie było ludzi. Wokół leżały przewrócone wózki na zakupy — w wielu pozostawiono wyszabrowane skądś telewizory, butelki alkoholu i markowe dzinsy. Chciwość ludzka nigdy nie przestała Franka zadziwiać. Świat się kończył, a ludzie kradli telewizory.

Właśnie miał przeciąć Trzydziestą Dziewiątą, kiedy usłyszał wołanie o pomoc.

Odwrócił się i ujrzał mniej więcej piętnastoletnią dziewczynę kucającą w otwartych drzwiach drogerii. Jej włosy były tak zakrwawione, że wyglądały jakby były czerwone. Także biały T-shirt miała pokryty zakrzepłą krwią.

— Pomocy! — powtórzyła. — Proszę pana... proszę mi pomóc. Palę się! Płonę!

Frank podszedł.

— Przykro mi, ale tu w niczym pani nie pomogę. Dojdzie pani do Sisters of Jerusalem? Wie pani, gdzie to jest? Zobaczymy tam, co da się dla pani zrobić.

— Nie mogę! Nie mogę się poruszyć! Moja skóra się pali!

Kucnął obok. Dziewczyna miała zadarty nos, wyglądała dość chłopczo i prawdopodobnie miała w żyłach domieszką chińskiej krwi. Gwałtownie dygotała, a jej małe oczy skakały na boki, jakby sądziła, że jest ścigana.

— Musi pani iść na izbę przyjęć. Nie mogę pani pomóc na ulicy.

Złapała go za rękaw marynarki.

— Może pan. Proszę podejść bliżej, to pokażę panu jak. Frank próbował się od

niej odsunąć.

— Przykro mi, ale w szpitalu są setki ludzi, którzy nie mniej pilnie potrzebują mojej pomocy. Odprowadzą panią do szpitala, ale...

Dziewczyna pociągnęła Franka za rękaw i wstała.

— Aaaaaaarrhhhhh! — wrzasnęła i zamachnęła się na niego. Mignęło szkło. Zasłonił się ramieniem, lecz kawał zbitej szyby przeciął rękaw marynarki, koszulę i skórę. Ponownie uniosła rękę, ale Frank z całej siły ją odepchnął i dziewczyna poleciała do tyłu, wpadając przez okno do wnętrza drogerii. Na boki rozprysło się szkło, z hukiem przewróciła się wystawka szminek i kremów. Na koniec na podłogę spadł obrotowy panel z okularami przeciwsłonecznymi.

Ciałem dziewczyny gwałtownie wstrząsnęło, a jej jedna noga kopała, jakby stymulowana prądem. Frank cofnął się dwa kroki, trzymając się za krwawiące przedramię. Krew przeciekała mu przez palce, kiedy jednak zajrzał do rękawa, stwierdził, że nie został cięty zbyt głęboko. Wahał się, nie bardzo wiedział, co robić dalej. Dziewczyna uniosła nieco głowę, zaraz jej jednak opadła, a noga przestała kopać. Prawdopodobnie nie żyła, więc Frank postanowił zostawić ją tam, gdzie była. Cokolwiek mówiła Susan Fireman, to był koszmar, a przysięga Hipokratesa nie ma w koszmarach zastosowania.

Ruszył truchtem przed siebie, najpierw na zachód w kierunku Lexington, potem znów na południe, do Trzydziestej Siódmej. Po jakichś sześciu albo siedmiu przecznicach ujrzał biegnącą w poprzek ulicy grupę, złożoną z sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu osób, pokrzykującą i wyjącą jak wataha wilków. Rozległ się terkot serii z broni automatycznej. Z któregoś okna wrzasnęła na Franka kobieta: „Ty! Hej, ty draniu! Nie uciekniesz mi!”, ale kiedy skręcił w Trzydziestą Siódmą, znów był sam, jedynie z przewróconymi pojemnikami na śmiecie i połamanymi skrzynkami.

Usłyszał tłum hałasujący pod szpitalem z odległości przynajmniej czterech przecznic. Na skrzyżowaniu Piątej Alei i Trzydziestej Siódmej płonęły dwa wraki samochodów, wypełniając powietrze gęstym, oleistym dymem, a sześć albo siedem osób leżało na chodniku. Ich głowy były przykryte kocami i kurtkami, musieli nie żyć.

W poprzek chodnika płynęła krew i spływała do rynsztoka. Lizał ją białobrazowy kundel, który sprawiał wrażenie, że czuje się winny, robiąc to, co robi. „Rzędzie biegali ludzie i najbardziej przerażało to, że byli bardzo cisi: tylko nieliczni płakali lub krzyczeli, pozostali mieli poważne miny i wytrzeszczone oczy i w ogóle się odzywali. Nawet gdy ktoś się z kimś zderzał, zdawał tego nie zauważać — potykał się, odzyskiwał równowagę i biegł dalej. Frank miał wrażenie, jakby całe miasto zwariowało.

Ulica przed szpitalem była tak zatłoczona, że z trudem się przebijał, używając barków i łokci, kilka razy musiał nawet łapać kogoś za ubranie i odsuwać go na bok. Od czasu do czasu ktoś nagle wymiotował fontanną krwi, niewielu się tym jednak zajmowało. Było tu więcej krzyku, kłótni i paniki, ale ludzie krążyli bez celu i wpadali na siebie, jakby nie mieli pomysłu, co ze sobą robić.

Niektórzy mamrotali pod nosem: *Tatal nostru, carele esti in ceruri*, każdy do siebie, co sprawiało, że ulica brzmiała jak gigantyczny rozgdakany kurnik.

Po kilku minutach walki Frankowi udało się dotrzeć do policyjnej barierki. Wściekły mężczyzna w czerwonej wełnianej czapce próbował wciągnąć go z powrotem w tłum.

— Czekaj na swoją kolej! Czekaj na swoją kolej! — darł się, ale Frank pchnął go w ramię i mężczyzna natychmiast zniknął w rozhisteryzowanym tłumie jak połknięty przez wzburzone morze.

Frank przeszedł pod barierką. Kiedy się prostował, stało przed nim dwóch gliniarzy w hełmach używanych podczas rozruchów, machających długimi pałkami.

— Za barierkę, kolego! Szpital jest pełny! Idź do domu i zostań tam!

— Chwileczkę! Jestem lekarzem! Pracuję tutaj! — Wyciągnął portfel i pokazał identyfikator. — Mam dyżur.

Jeden z policjantów obejrzał identyfikator.

— W porządku, doktorze — powiedział i cofnął się, aby go przepuścić. — Choć prawdę mówiąc, nie wiem, co może pan dla tych ludzi zrobić.

Frank przeszedł przez chodnik i pchnął wysmarowane krwią plastikowe drzwi. Aby dotrzeć do izby przyjęć, musiał przecisnąć się przez ławicę porzuconych łóżek

transportowych, w większości pokrytych zakrwawionymi prześcieradłami. W środku świat był czerwony. Pacjenci leżeli na podłodze w sześciu rzędach, hałaśliwie wymiotując krwią. Cała izba przyjęć była pokryta krwią — podłogi, ściany, nawet sufity. Wszędzie były czerwone odciski dłoni. Nie było człowieka, którego ubranie byłoby nasączone krwią, a wielu pacjentów wyglądało, jakby mieli jasnoczerwone rękawiczki i maski — jak uczestnicy jakiegoś ponurego pogańskiego rytuału.

Frank odsuwał zasłonę za zasłoną, aż w samym końcu izby przyjęć znalazł Deana Garretta. Lekarz pochylał się nad młodą Portorykanką, która z każdym wydechem wypluwała krwiste pęcherzyki. Ubranie Deana też było przesączone krwią i wyglądał na wykończony.

— Doktorze, nie umrę? — spytała kobieta. — Tak bardzo się boję... nie mogę znieść myśli, że już nigdy nie będę oglądać słońca.

Dean położył jej dłoń na czole i spróbował się uśmiechnąć.

— Zobacz pani słońce, proszę się nie martwić. Za miesiąc będzie pani siedzieć na dachu w bikini, a ja przyjdę to sprawdzić.

— Cześć, Dean — powiedział Frank.

Tamten odwrócił się i popatrzył na niego, jakby go nie poznawał.

— Och, Frank... cześć. Dobrze, że mogłeś przyjść, choć sądzę, że potrzebujemy nie lekarzy, ale księży. — Ujął go za rękę i odeszli kawałek. — Frank, oni umierają. Wszyscy. Jeszcze nie ogłoszono tego w telewizji, ale ta choroba jest w stu procentach śmiertelna i nie możemy nic zrobić, aby ją powstrzymać.

— Nie ma nic z laboratoriów?

— Jak na razie, są głupi. Wydaje się, że każda z ofiar ma we krwi ten metaloenzym, ale zaczynają sądzić, że to nie przyczyna, lecz objaw.

— Gdzie George?

— Na dziesiątym piętrze, pomaga robić sekcje.

— Ile jak na razie?

— Do za piętnaście dwunasta przyjęliśmy siedmiuset siedemnastu pacjentów, co dziesięciokrotnie przekracza nasze możliwości. Szacując z grubsza, powiedziałbym, że straciliśmy już ponad połowę. Wygląda na to, że umierają szybciej niż na początku.

To jak pożar lasu... im więcej ludzi się zaraża, tym szybciej następuje śmierć. W tej chwili większość umiera w ciągu czterech, pięciu godzin od przyjęcia.

Frank rozejrzał się. Nie wiedział, co powiedzieć. Niektórzy ludzie jeszcze wymiotowali krwią, ale większość leżała blada i drżąca, jakby wiedzieli, co ich czeka, i nie mieli już siły płakać.

— Krwawisz — powiedział Dean.

Frank popatrzył na łokieć.

— Nic poważnego. Jakaś dziewczyna zaatakowała mnie kawałkiem szkła. Na ulicach trwa szaleństwo. Ludzie, którzy próbują się dostać do szpitala, stoją chyba w pięćdziesięciu szeregach.

Dean poszedł przodem, w kierunku swojego gabinetu. Minęli siedzącą na podłodze, opartą o ścianę kobietę i trzy, które leżały na podłodze. Wszystkie dygotały i pomrukiwały pod nosem. Biurko Deana było zasłane zakrwawionymi, wymiętoszonymi papierzyskami.

— Nie ma sensu przyjmować następnych — orzekł, przysuwając sobie fotel. — Nic nie możemy dla nich zrobić, jeśli nie liczyć potrzymania za rękę, kiedy umierają.

— Może to się samo wypali, jak hiszpanka w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku.

— Hiszpańska grypa się skończyła, bo nie miał się kto już zarażać. Nie wiem, Frank... nie mam żadnego pomysłu, co to może być. Nie rozumiem, jak to się rozprzestrzenia i dlaczego sprawia, że ludzie chcą pić ludzką krew.

— Może telewizja się nie myli? Może to naprawdę wampiry?

— Oczywiście. Zespół Nosferatu. Lepiej daj sobie opatrzeć tę ranę na rękę.

Frank zdjął marynarkę i podwinął zakrwawiony rękaw. Dean przetarł cięcie alkoholem i przyjrzał mu się.

— Miałeś szczęście. Pół centymetra w lewo i otworzyłaby tętnicę promieniową. — Założył opatrunek i przymocował plastrem. Jedna z kobiet na podłodze jęknęła. — Tatal nostru...

— Ktoś się dowiedział, co to znaczy? — spytał Frank.

Dean pokręcił głową.

— Nie mamy na nic czasu, Frank. Na nic.

— Ale oni wszyscy to mówią. Każdy, kto zachorował, powtarza te słowa. Nie sądzisz, że trzeba się tym zająć?

— Oczywiście, jak najbardziej, ale nie ja i nie dziś. Frank zostawił Deana w gabinecie i zrobił obchód izby przyjęć oraz sąsiednich oddziałów. W sali dla nowych przyjęć pacjenci wymiotowali i rozpaczliwie krzyczeli albo gorączkowo coś bełkotali, a wymęczone pielęgniarki chodziły od łóżka do łóżka, próbując ich uciszyć i jak najwygodniej ułożyć. Dopóki nie będzie wiadomo, co powoduje epidemię, nie można było wiele więcej zrobić. Frank ostrożnie przechodził przez zakrwawione ciała, leżące pokotem na korytarzach. Większość chorych była praktycznie w agonii i milcząco wbijała wzrok w sufit. Sanitariusze przeczesywali korytarze, sprawdzali, kto jeszcze żyje, potrząsając ludzi za ramiona. Od czasu do czasu któryś z nich dawał znak pracownikom transportu i podnoszono kolejne ciało, kładziono je na łóżku transportowym i odwożono do kostnicy, owinięte zakrwawionym prześcieradłem jak wystawowy manekin.

Smród był tak silny, że Frank musiał przyciskać rękę do nosa i ust. Choć praktykował gastroenterologię od jedenastu lat, nigdy się nie przyzwyczyił do odoru rozkładającego się ludzkiego ciała — w odróżnieniu od George'a, który mógł ciąć oślizgłe, szarozielone zwłoki bez maski na twarzy, śpiewając przy tym Annie Laurie. Frank zawsze był przekonany, że zapach śmierci utrzymuje się na jego rękach i we włosach nawet po trzech albo i czterech prysznicach. Kobiety, które przewinęły się przez jego życie, często przyłapywały go na tym, że obwąchuje sobie czubki palców, nigdy im jednak nie mówił dlaczego to robi. Nie chciał, aby sądziły, że kiedy się z nim kochają, jego dłonie zalatują trupem.

Żołądek podszedł mu do gardła, ale ponieważ był pusty, Frank poczuł w ustach jedynie kwaśną żółć. Tył gardła drapał go, jakby ktoś przejechał po śluzówce zdzierakiem, a skór swędziała. Czuł się, jakby miał gorączkę. Czuł, jak po plecach spływa mu pot i rozchodzi się wokół paska spodni.

Leżący na podłodze mężczyzna z trudem uniósł głowę i wy w niego wzrok. Krew zaschła mu na twarzy, tak że wyglądał jakby miał czerwoną brodę, jego oczy były

całkowicie rozkojarzone.

— De strigoica, de strigoi — powiedział chrapliwie. — Si de case cu moroi.

— Słucham? — zapytał Frank i przykucnął obok. — Co pan chce powiedzieć?

— De deochetori... si de deochetoare... — wycharczał mężczyzna i opadł ciężko na plecy. Wbił wzrok w umierającą obok niego kobietę i walczył o powietrze.

Frank wstał. Nie potrafił się domyślić, w jakim języku mówią ci ludzie, był jednak niemal pewien, że to decydujący trop. Co sprawia, że ludzie zaczynają mówić językiem, którego nigdy się nie uczyli i którego nikt nie rozumie? O ile wiadomo, zdarza się to podobno ludziom opętanym przez demona, lecz w coś takiego akurat nie wierzył.

Boże, ależ chciało mu się pić. Odsunął na bok porzucone wózki inwalidzkie i poszedł do automatu z coca—colą. Wyjął trzy ćwierćdolarówki, zanim jednak wsunął pierwszą do automatu, uznał, że nie chce coli. Sama myśl o przełykaniu coli sprawiła, że zrobiło mu się jeszcze goręcej, a skóra mocniej zaswędziała. Potrzebuję czegoś innego, czegoś, co naprawdę, mnie orzeźwi.

Minął go sanitariusz, pchający łóżko transportowe z młodą blondynką. Był niski i pulchny, pod oczami miał czarne kręgi, ze zmęczenia jego twarz wyglądała jak odlana z wosku. Kombinezon miał tak opryskany krwią, że wyglądał jak rzeźnik.

— Co słychać? — zagadnął Frank.

Sanitariusz stanął i wytarł nos zakrwawionym przedramieniem.

— Nie możemy nic dla nich zrobić, prawda? Możemy tylko patrzeć, jak walą w kalendarz, i wywozić ich do kostnicy.

— Pomogę panu — powiedział Frank, złapał łóżko z przodu i zaczął je pchać. Jeśli nie był w stanie pomóc umierającym, to przynajmniej spróbuje ulżyć żywym.

Pchnął ciężkie wahadłowe drzwi do kostnicy. W środku było chłodno i mroczno, jedna ze świetlówek ciągle gasła i znowu się zapalała. Wszystkie lodówki musiały być pełne, bo ciała owinięte w prześcieradła, tak aby widać było tylko twarz, ciasno zaścielały podłogę. Na dyżurze był tylko jeden pracownik fizyczny — wysoka brunetka w małych owalnych okularkach, z romańskim nosem. Wyglądała na tak samo zmęczoną jak sanitariusz, a na górnej wardze miała pokryte strupem pęcherzyki

opryszczki.

— Przywieźliśmy pani kolejną zmarłą — zakomunikował Frank. — Gdzie ją położyć?

— Każde miejsce będzie dobre — odparła pracownica kostnicy, wskazując na szereg leżących kobiet. — Staram się oddzielać mężczyzn i kobiety.

— Po co? — spytał sanitariusz. — Żeby się po śmierci nie zabawiali?

— Z szacunku. Ale może tego nie uczą w szkole dla sanitariuszy.

Sanitariusz wyszedł, waląc głośno łóżkiem o drzwi. Pracownica kostnicy pochyliła się nad kobietą, którą właśnie przywieźli, popatrzyła na przymocowaną do dużego palca u nogi kartkę.

— Jane Kryzmanski, Zachodnia Trzydziesta Ósma tysięcy sto czterdzieści trzy. Dwadzieścia cztery lata. Boże, co za marnotrawstwo.

Frank rozejrzał się wokół.

— Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny.

— Jest pan lekarzem?

Frank skinął głową.

— Frank Winter, gastroenterologia.

— Miło pana poznać, doktorze. Helen Bryers. Nie wiem jeszcze, czym to jest spowodowane?

— Nie. Cokolwiek to jest, wygląda na trudne do wyizolowania.

— To zły sen — westchnęła Helen Bryers. — Cały czas mam wrażenie, że to tylko zły sen i kiedy się obudzę, wszystko okaże się nieprawdą.

To tak jak ja, pomyślał Frank. Możliwe, że ty też jesteś moim snem i wcale nie istniejesz.

— Ile mamy zwłok?

— Licząc tę młodą damę, trzysta sześćdziesiąt dziewięć. W magazynie w głębi jest ponad sto. Będziemy musieli je szybko stąd zabrać, zanim zaczną zagrażać zdrowiu. Czekałam na jakąś informację o samochodach chłodniach.

Frank chodził między zwłokami. Każde ciało było wielką indywidualną tragedią, teraz jednak zmarli zamienili się w liczby — w coraz bardziej rosnące liczby.

— Mógłby pan coś dla mnie zrobić, doktorze? — spytała Helen Bryers. — Wie pan, od czterech godzin nie miałam czasu iść do toalety...

— Chciałaby pani, żebym tego wszystkiego popilnował?

— Obaj moi koledzy mają wolne, jeszcze ich nie ściągnięto, a nie wolno mi zostawiać kostnicy bez nadzoru.

— Na wypadek gdyby ktoś chciał uciec?

Zdjęła okulary i próbowała się uśmiechnąć.

— To zasada, którą wprowadzono po tych nieprzyjemnych incydentach w zeszłym roku.

— To znaczy?

— Mieliśmy kilka niemiłych przypadków... sprzątacze wykorzystali zmarłych.

Frank nagle uświadomił sobie, że wpatruje się w szyję Bryers i bladobłękitną linię jej tętnicy szyjnej. Bez trudu mógł sobie wyobrazić pompowaną przez serce, pulsującą w jej organizmie ciepłą krew i myśl ta była dziwnie uspokajająca. Pić krew... to musi być jak wejście do ciepłej kąpieli...

Zamrugął.

— A mówi pani o tych przypadkach? — powiedział, kiedy nagle dotarło do niego, co miała na myśli Helen Bryers. — Słyszałem o tym, oczywiście. No tak, są chyba na tym świecie faceci tak nieciekawi, że lecą na nich jedynie trupy.

— Więc nie będzie pan miał mc przeciwko temu, jeśli...

— Nie, proszę iść. Proszę się nie spieszyć. Wygląda pani tak, jakby należała się pani przerwa.

Helen Bryers wzięła torebkę i zostawiła Franka samego. Zastanawiał się, czy nie powinien raczej jej odmówić i wrócić na izbę przyjęć, do Deana, albo iść na górę, by pomóc George'owi, ale wszystko wydawało się takie beznadziejne... Nieważne, co by zrobili, i tak nie wiedzieli, jak uchronić tych ludzi przed śmiercią. Choć może... może nawet lepiej, że umierają? Dla większości ludzi tak było lepiej...

Ujrzał swoje odbicie w oszklonej szafce. Patrzył, jakby siebie nie poznawał. Dla większości ludzi było lepiej, że umierają? Jak mógł coś takiego pomyśleć? Przecież

jest lekarzem. Jego zadaniem jest robić wszystko, co w jego mocy, aby ratować ludzkie życie. Potarł przedramię. Skórę miał nieprzyjemnie rozgrzaną, jakby miał udar słoneczny, i tak bardzo chciało mu się pić, że miał trudności z przełykaniem.

Popatrzył na ciało kobiety w średnim wieku, ubranej w szaro-białą letnią sukienkę, poplamioną krwią. Była dość ładna, miała elegancko przystrzyżone włosy i dobry chirurg zrobił jej lekką korektę oczu. Niewielka z tego korzyść tam, gdzie się wybrała... mogła zaoszczędzić sobie wydatku. Oczy miała szeroko otwarte, ale cały pigment gdzieś zniknął. To, w co się wpatrywała, na pewno nie znajdowało się na tym świecie.

Kiedy się odwracał, w magazynku w głębi kostnicy rozległ się jakiś hałas. Głośny łoskot, potem ostre uderzenie, jakby ktoś przewrócił stołek.

— Jest tam ktoś? — zawołał Frank. Nic sądził, aby to było prawdopodobne. Helen Bryers powiedziała mu przecież, że jest sama, a sanitariusze nic przywieźliby nikogo do kostnicy nie mając stuprocentowej pewności, że nie żyje.

Po chwili ponownie usłyszał hałas, przypominający nieco otwieranie zaklinowanego okna, i poczuł powiew świeżego powietrza. Wycie syren też jakby stało się głośniejsze.

Ruszył w kierunku magazynku, przechodząc przez kolejne zwłoki.

— Hej, jest tam kto? — powtórzył. Może jednak ktoś został przywieziony do kostnicy, zanim nadszedł jego czas? Niechcący stanął jakiemuś trupowi na dłoni i odruchowo powiedział „Przepraszam pana!”, zanim zdążył się powstrzymać. Mężczyzna miał siwe włosy i pękaty nos. Jego ciemnoczerwony mundur z obszytymi złotą lamówką epoletami, którego nie zdążył zdjąć, wskazywał, że za życia był portierem. Nie wyglądał na martwego, raczej na śpiącego.

Kiedy Frank usłyszał kolejny hałas, wszedł ostrożnie do magazynku, ale było tu tak ciemno, że ledwie co widział poza oknem w głębi, które musiało wychodzić na szyb wentylacyjny, bo wpuszczało bardzo niewiele światła. Wysilał oczy i zdawało mu się, że dostrzega jakąś ciemną postać, nie był jednak tego wcale pewien.

— Hej! — wrzasnął, choć drapało go w gardle. — Kim pan jest? Co pan robi w kostnicy?!

Zaczął macać w poszukiwaniu kontaktu i po chwili udało mu się zapalić światło. Świetlówki zamigotały i przez chwilę było bardzo jasno, ale nagle wszystkie pogasły i Frank zastygł bez ruchu, półślepy i kompletnie zdezorientowany.

Przez chwilę jasności zdążył jednak dostrzec coś strasznego: drzwi magazynku były otwarte i wychodziła przez nie dziewczyna w zakrwawionej koszuli nocnej. Patrzyła na niego, wyraźnie więc dostrzegł bladą twarz i zaschniętą wokół ust krew. Miała długie rozczochrane włosy i niemal frunęła w górę, jakby pchał ją potężny podmuch.

Z podłogi wstawał mężczyzna, aby za nią podążyć — jego zielono-biała baseballowa koszulka też była poplamiona krwią. Pomagała mu ciemna, smukła postać, która nie przypominała niczego Frankowi znanego. Była to nie tyle osoba, ile pochyły cień, z wydłużoną, sięgającą sufitu głową i wysokimi, skośnymi ramionami. Opierała się o ścianę pod niemożliwym kątem — mógłby tak robić jedynie cień.

Zanim zgasło światło, stwór odwrócił łeb i Frank ujrzał dwoje czarnych, rozmazanych oczu i rozciągnięte szeroko usta, podobne do kratownicy. W ciemności rozległ się gwałtowny, przepełniony nienawiścią syk, który zabrzmiał jak nagle uruchomione hamulce powietrzne, a następnie przenikliwy pisk — tak straszliwy, że Frank miał wrażenie, iż nie tylko jego oczy oślepyły, ale razem z nimi cały mózg.

ROZDZIAŁ 10

Krwawy siniec

Laticia pomogła mi wciągnąć Teda Buscha do mojego mieszkania. Obcasy jego butów stukały o kant każdego stopnia, podskakiwały także, kiedy ciągnęliśmy go wzdłuż podestu. Zadziwiające, że nikt nie wyszedł na korytarz, aby sprawdzić, co robimy.

Położyliśmy go na kanapie, gdzie spoczął jak marionetka o purpurowej, spękanej twarzy, marionetka, której poprzecinano sznurki, z dziwacznie poprzekrzywianymi rękami i nogami.

— Gdybym ufała glinom, wezwałabym ich... ale pewnie i tak by nie przyjechali.

— Laticio, on próbował poderżnąć mi gardło.

— Musisz zmyć krew z twarzy i przynajmniej nakleić sobie plaster. Jeśli chcesz, mogę to zrobić. A jeżeli będziesz się w nocy bał, no wiesz, mając na kanapie tego koleśia, zawsze możesz przyjść do mnie.

— Laticio, jesteś aniołem, przysłanym kurierem prosto z nieba.

— Sto dwadzieścia pięć za noc, skarbie. Bonusy ekstra.

Wróciła do siebie, a ja stałem jeszcze przez jakiś czas nad ciałem Teda Buscha. Naprawdę było mi przykro i czułem się winny jak cholera.

— Te karty Jeu Noir się co do ciebie nie pomyliły, stary. Ostrzegły cię o natychmiastowej śmierci, ty jednak nic w tej sprawie nic zrobiłeś. Zgoda, śmierć zawsze następuje szybciej, niż myślimy, ale karty ostrzegały cię także przed wodą... Nigdy nie powinieneś był próbować poderżnąć mi gardła w łazience. No tak, w ogóle nigdy nie powinieneś był próbować poderżnąć gardła. *Nemo me impune lacessit*. Kto ukradnie mi rybki w akwarium, ten dostanie kopa w swój chudy tyłek!

Otworzyłem kolejną puszkę guinnessa. Była to ostatnia puszka, ale potrzebowałem się czegoś napić. Nie miałem zielonego pojęcia, co robić dalej. Śpiewająca Skala dał

mi dwie litery: „s” i „t” — przynajmniej tak mi się wydawało, choć mogła to być jedynie sprawka mojej rozgorączkowanej wyobraźni. Nie było sposobu, aby sprawdzić, czy rzeczywiście miał na myśli „s” i „t”. Dodatkowo utrudniał sytuację fakt, że nie wiedziałem, ile jeszcze będzie liter ani czy zrozumie słowo, gdy wreszcie dostanę je całe.

Mimo to byłem niemal pewien, że pragnienie krwi, które ogarnęło tylu ludzi na Manhattanie, jest tej samej natury co pragnienie krwi, które sprawiło, że Ted mnie zaatakował i chciał mi poderżnąć gardło. Tak samo pewien byłem tego, że powodem nie jest ani choroba, ani wirus. Było to masowe opętanie przez ducha, coś w rodzaju Egzorcysty, ale pomnożonego przez osiem milionów osiem tysięcy dwieście siedemdziesiąt osiem. Nie była to jedna dziewczynka, mówiąca głosem Louisa Armstronga i wyrzucająca jezuitów przez okno — były to całe tłumy opanowane przez demony, spirytualne tsunami, zalewające miasto i ludzi, którzy się w nim znaleźli.

Było to przerażające. Jedenasty września, ale o jeszcze większej skali. Jeżeli tyle osób zmarło w ciągu jednego dnia, jak długo uda się przeżyć reszcie?

Podjąłem decyzję. Niezależnie od protestów Bertiego będę musiał porozmawiać z Amelią. Była jedyną osobą, wierzącą w to, że Śpiewająca Skała próbuje mi pomóc z Krainy Wiecznych Łowów, i jedyną, która potrafiłaby przekonać władze miasta, że nie jestem oszustem ani certyfikowanym wariatem.

Na dnie szafy znalazłem stary pled, na którym sypiał mój pies, i wziąłem go, aby przykryć biednego Teda. Kiedy go nakrywałem, ujrzałem na jego szyi srebrny błysk. Był medalion, który dostał od dziewczyny „o rosyjskim wyglądzie” — przedstawiający twarz mężczyzny z oczami, które sprawiały wrażenie, jakby się otwierały. Podniosłem medalion i przyjrzałem mu się. Mężczyzna patrzył na mnie ponuro zdawał się mieć pretensję, że się wtrącam. Wahałem się przez chwilę, odpiąłem jednak medalion i zdjąłem go z szyi Teda. Nie zamierzałem go kraść, po prostu czułem, że może się okazać pewnym śladem — takim samym jak litery „s” i „t”.

Zasłoniłem pledem twarz Teda i nastawiłem klimatyzację na jak najniższą

temperaturę, aby ciało nie zaczęło się zbyt szybko psuć. Potem wyszedłem na korytarz i zapukałem do drzwi Laticii.

— Zmieniłeś zdanie, Harry? Chcesz zostać u mnie na noc? W normalnych warunkach może nawet bym chciał — Laticia miała na sobie ciemnoczerwony prześwitujący biustonosz i takie same majtki ze wstążeczkami po bokach i nie była wcale brzydka — jeśli lubi się Prince’a bez wąsów.

— Nie dziś, Laticio. Muszę wyjść. Chciałem ci tylko powiedzieć, że zostawiam Teda na kanapie.

— Aha... nie będzie mnie napastował?

— Mam nadzieję, że nie. Jeśli tak, zabaw go rozmową, aż wrócę.

Zszedłem na dół i po chwili byłem na ulicy. Pakistańskie delikatesy Khaleda były zamknięte, ochronna stalowa żaluzja opuszczona. Było to niezwykle. Khaled uczynił niemal religię z pracy przynajmniej do pierwszej w nocy, siedem dni w tygodniu — na wypadek gdyby ktoś poczuł nieprzepartą chęć zrobienia sobie murgh masali w tęsknych godzinach przed świtem.

Noc była parna, w powietrzu unosił się kwaśny odór spalenizny — taki sam, jaki było czuć zaraz po jedenastym września—Syreny wyły nieprzerwanie, a gdzieś w oddali ktoś ryczał przez megafon, było to coś w rodzaju: wu-wa-wa-WA-wa-ba-Puj-BA! Szedłem na zachód, co jakiś czas się odwracając, aby się upewnić, czy nikt za mną nie idzie.

Kiedy skręciłem w Siódmą Aleję, zobaczyłem jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą dwie wychudzone kobiety z nastroszonymi włosami, siedzące na chodniku. W pierwszej chwili pomyślałem, że potrzebują pomocy, i ruszyłem w ich stronę szybszym krokiem, zaraz jednak zauważyłem, że między nimi leży potężnie zbudowany mężczyzna z szeroko rozrzuconymi na boki rękami i nogami. Po chodniku płynęło coś ciemnego i błyszczącego — najprawdopodobniej krew. Szybko zawróciłem i zacząłem iść w kierunku, z którego przyszedłem.

Kiedy znalazłem się na rogu Siedemnastej, rzuciłem za siebie okiem. Jedna z kobiet wstawała i patrzyła w moim kierunku. Musiała coś powiedzieć do swojej towarzyszki, bo ta również zaczęła się podnosić. Mężczyzna leżał bez ruchu i

uznałem, że raczej nie ucina sobie drzemki. Kobiety przez chwilę stały niezdecydowane, po czym ruszyły w moim kierunku, a szybki, wyraźny stukot ich obcasów wskazywał, że to ja jestem ich celem.

Skręciłem w Siedemnastą, pobiegłem do Szóstej Alei i poszedłem w prawo. Mógłbym biec dalej prosto, ale kobiety były przynajmniej dziesięć lat młodsze ode mnie i raczej nie pijały regularnie guinnessa. Skręciłem więc ponownie w prawo, w Szesnąstą, pobiegłem zaułkiem za Antycznymi Dywanami Feinmana i schowałem się za pojemnikiem na śmieci. Czekałem. Minęło mnie dwóch mężczyzn, którzy wyglądali na nie mniej zdenerwowanych niż ja.

Dałem sobie jeszcze pięć minut. W zaułku brakowało powietrza, śmierdziało zielskiem, wilgotnym murem i sikami. Po drugiej stronie ulicy, w oknie sklepu ze sprzętem kempingowym, świecił czerwony neon, uformowany w litery RIG. Zapalał się, mrugał i gasł. Najdziwniejsze było to, że czasem był zapalony przez niemal piętnaście sekund, a czasem gasł, ledwie się zapalił. RIG. Ciemność. RIG.

RIG. Może to Śpiewająca Skała dawał mi następny znak trzy kolejne litery do tajemniczego słowa. ST plus RIG równa się STRIG. Co to jednak miało znaczyć? Nie znałem żadnego słowa, które zaczyna się od STRIG. Może była to część jakiegoś anagramu, na przykład słowa „astrologia”, może anagram jakiegoś pojęcia medycznego, na przykład „gastroenterologia”? Śpiewająca Skała nigdy jednak nie zniżał się do czegoś takiego jak żart i zawsze miał pogardliwy stosunek do medycyny białego człowieka, więc najprawdopodobniej chodziło o coś zupełnie innego, na przykład imię.

W końcu uznałem, że mogę już iść. Po wyjściu na ulicę rozejrzałem się na obie strony, by sprawdzić, czy kobiety z nastroszonymi fryzurami zniknęły. Gdzieś z okolicy placu Waszyngtona doleciał potworny huk, po którym kilka razy odbiło się falami echo. Jakby ktoś zdetonował bombę. Jezu, to naprawdę nie było wesołe. Umiałem sobie radzić z normalnymi nowojorskimi nocnymi zagrożeniami — pijakami, złodziejami i zwykłymi świrami — ale to, co działo się wokół teraz, nie przypominało już normalnego Nowego Jorku. Ruszyłem truchtem w kierunku TriBeCa, starając się trzymać w cieniu i uważnie rozglądać, by nie wpaść w łapy ludzi

szukających ludzkiej krwi.

Byłem już tylko kilka przecznic od Christopher Street, przy której mieszkała Amelia, kiedy z cienia wyszedł mężczyzna i zastąpił mi drogę. Miał ogoloną na łyso głowę, ciemne okulary na nosie, kark jak kabel transatlantycki i posturą typowego komandosa piechoty morskiej. Był ubrany w T-shirt w kolorze khaki i kamuflujące spodnie, a na szyi zawiesił sobie ze sto łańcuszków, blaszek identyfikacyjnych i kluczy — nie byłbym zaskoczony, gdyby znalazło się tam także kilka par ludzkich uszu. Usta miał pełne snickersa, którego resztę trzymał w ręku.

— Hej... — zagaił.

Próbowałem przemknąć obok, ale przesunął się i mnie zablokował.

— Przepraszam bardzo, ma pan jakiś problem? — spytał. — Trochę się spieszę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Wiem, co mawiają. Więcej pośpiechu niż tempa.

Chciałem odsunąć się na bok, ale powtórzył mój ruch. Odszedłem dwa kroki wstecz, on też. Zrobiłem krok naprzód, on też.

Próbowałem sprawiać wrażenie, że nie bardzo mnie to zrusza, a jego tańce mnie nudzą, ale serce waliło mi jak rozpędzona lokomotywa i zaczynałem się bać. Przełknął snickersa i wytarł usta grzbietem dłoni.

— Muszę się dowiedzieć, czy jesteś jednym z nich — oświadczył.

— O czym pan mówi? Jakim Jednym z nich”?

— Razem z przyjaciółmi... eee... chronimy tę okolicę i jeżeli jest pan jednym z nich, nie jest pan za tą linią mile widziany.

Popatrzyłem przez ulicę i w cieniu dostrzegłem trzech kolejnych mężczyzn. Przynajmniej jeden z nich miał strzelbę.

— Nazywam się Harry Erskine i jestem wizjonerem ziołowym.

— Kim?

— Wizjonerem ziołowym. Przepowiadam ludziom przyszłość i daję im zioła, które mogą poprawić ich perspektywy życiowe.

— Próbujesz robić sobie ze mnie jaja?

— Skądże znowu. To nie jest praca etatowa, ale ktoś musi ją wykonywać.

— Masz jakiś dokument? Pokazałem mu moje prawo jazdy.

Byłem na pierwszej stronie „Psychic Weekly”, jeśli to cię interesuje. Właśnie idę do znajomej, która też jest medium. Jeżeli pod pojęciem „jeden z nich” masz na myśli to, co sądzę, to nie jestem jednym z nich. Tak naprawdę to próbuję trzymać się od nich z daleka.

— W porządku, Harry. Nie masz nic przeciwko temu, żebym cię przeszukał?

— Chcesz mnie przeszukać? W jakim celu?

— Aby sprawdzić, czy masz coś, czym można by komuś poderżnąć gardło.

Uniosłem ramiona w górę.

— Jak chcesz, to przeszukuj.

Nie zawahał ani przez moment i zrobił swoje bardzo fachowo. Kiedy oklepywał mnie w kroczu, odważyłem się odezwać:

— Jestem tutaj, bo sądzę, że mógłbym zatrzymać tę epidemię.

— Ty? W jaki sposób?

— Ta osoba, do której idę... hm, radziliśmy już sobie z podobnymi sprawami. Pamiętasz budynki, które zawały się w latach dziewięćdziesiątych? Myśmy to przerwali.

— Oczywiście.

— Nie musisz mi wierzyć, ale to prawda. Obecna epidemia też nie jest chorobą somatyczną, jak ptasia grypa, cholera czy coś podobnego. Nie jest to również atak terrorystyczny.

Mężczyzna przestał mnie przeszukiwać i wstał.

— Mów dalej. Nie jestem idiotą. Byłem w Bośni z dywizją Rainbow. Jeśli to nie choroba, to co?

— Moim zdaniem siła spirytualna. Coś w rodzaju manifestacji złej siły z zaświatów.

Mężczyzna przyglądał mi się bez słowa przez minimum dziesięć sekund. Potem powoli pokręcił głową i roześmiał się. Jeden z jego kolegów zawołał przez ulicę:

— Co masz śmiesznego, Gil?

— Mam wariata!

— Wyglądam na wariata? — spytałem.

Gil zlustrował mnie od stóp do głów.

— Tak, Harry. Zdecydowanie.

Wciąż czułem się przeraźliwie winny temu, że wlałem Tedowi chlorox do oczu. Do tego byłem zmęczony, dezorientowany i koniecznie musiałem pokazać komuś, że mam rację co do tej epidemii.

— Udowodnię ci to — oświadczyłem. — Udowodnię jak cholera.

— Udowodnisz mi? A jakim sposobem?

— Jeżeli pójdziesz ze mną do domu mojej znajomej, będzie mogła ci pokazać, że mówię prawdę. Przeprowadzimy seans i sam zobaczysz.

— Seans? Zapraszasz mnie na seans?

— Jesteś chory na powtarzanie? Tak właśnie powiedziałem: seans. Jeżeli ustalimy, który duch spowodował cały ten chaos, będziemy mogli mu przeciwdziałać. Dokonać egzorcyzmu, wypędzić go albo posłać z powrotem tam, skąd przybył.

Gil uśmiechnął się i zrobił krok do tyłu, dając do zrozumienia, że mam przechodzić.

— Idź, Harry. Chyba przydałyby ci się mocna kawa i zimny prysznic.

— A jeśli zostanę zaatakowany przez „któreś z nich”? Albo dwa naraz?

— Harry...

— A jeśli nie będę miał okazji powiedzieć władzom miasta, dlaczego wszyscy ci ludzie podrzynają innym ludziom gardła? Mogą zginąć tysiące osób. Nawet miliony! Posłuchaj, Gil: beze mnie to miasto jest skazane na zagładę. Cała Ameryka jest skazana!

Otworzył i zamknął usta, nic jednak nie powiedział. Minął nas pędzący na sygnale radiowóz, za nim jechał następny i następny. Huknęła kolejna eksplozja — basowe, głucho tąpnięcie, gdzieś znad brzegu rzeki Hudson. Poczulem, jak fala uderzeniowa przechodzi pod moimi stopami, jakby chodnik był dywanem, za który ktoś pociągnął.

— Jak daleko mieszka twoja znajoma? — spytał Gil.

— Cztery przecznice stąd. Christopher Street.

— Niech będzie. Podejdę z tobą do bramy, ochronię cię, ale to wszystko. Nie będę

brał udziału w żadnym seansie.

Poszliśmy w kierunku Christopher Street. Mój towarzysz nazywał się Gil Johnson i pracował w firmie transportującej fortepiany przy Dwudziestej Piątej. Kiedyś, gdy wciągał steina do apartamentowca przy Pięćdziesiątej Siódmej, pękła stalowa lina i fortepian poleciał osiem pięter w dół rozplaszczając gościa, poszukiwanego przez policję za gwałt i napad z bronią w ręku.

— I co, może to była nadprzyrodzona sprawiedliwość?

Gil miał żonę i dwie nastoletnie córki i ponad wszystko kochał NY Jets.

— Uwielbiam ich... — powiedział z rozmarzeniem.

Udało mu się nawet namówić Freemana McNeila, aby został ojcem chrzestnej starszej córki.

— Kiedy dowiedzieliśmy się z telewizji o tych zabójstwach postanowiliśmy z kumplami zająć się ochroną naszej okolicy. Nie ma mowy, aby jacyś chorzy na cokolwiek ludzie poderznęli gardła mojej rodzinie.

Charles Street nadbiegła grupa złożona z mniej więcej dwudziestu mężczyzn i kobiet, stukot ich nóg brzmiał jak oklaski. Bóg jeden wie, dokąd biegli i co zamierzali robić tam, gdzie się wybierali.

— Rozumiesz, co tu się dzieje, Harry? — spytał Gil. — Bo ja nie.

— Wydaje mi się, że rozumiem, ale nie pytaj dlaczego.

— Coś ci powiem, Harry. — Gil pokazał mi lewe przedramię, na którym miał wytatuowaną ponurą czaszkę. — Kiedy byłem w Bośni, nieraz patrzyłem śmierci w oczy. Patrzyłem prosto w jej nagie oczodoły. Widziałem kolegów, którzy padali od kul i byli rozrywani przez granaty... to, co się tam działo, było szaleństwem... przynajmniej jednak wiadomo było, kto z kim walczy. Walczyliśmy z Serbami, rumuńskimi najemnikami i muzułmanami, choć byli kompletnie szaleni, ale to tutaj jest jak walka ze wszystkim i z niczym.

— Doskonale to ująłeś, Gil: to walka ze wszystkim i z niczym.

Odwrócił się i pokazał mi prawy biceps, na którym miał wytatuowaną liczbę dziesięć, owiniętą drutem kolczastym i ociekającą krwią.

— To byliśmy my, Oddział Specjalny Numer Dziesięć. Jedna z najtwardszych jednostek, jaka kiedykolwiek istniała. Naszym zadaniem było przenikanie na pozycje wroga i wyjmowanie oficerów... jeśli się dało, żywcem. Zazwyczaj sprawy się pieprzyły i rozwalaliśmy im łby, ale tym właśnie jestem. Może teraz noszę fortepiany, ale w głowie w dalszym ciągu jestem trepem i myślę jak trep.

Przechodziliśmy w tym momencie obok sklepu z alkoholem i ni stąd, ni zowąd zaczął migać neon z reklamą piwa Michelob i numer dziesięć na bicepsie Gila zatańczył, ale ponieważ odbijał się odwrotnie, wyglądał jak litery OI. Chwilę później nad parkiem Battery strzeliła potężna, wielokolorowa błyskawica, po której tuż nad naszymi głowami huknął głośny jak bomba grzmot.

— Jasna cholera... — mruknął Gil.

Mną też to nieco wstrząsnęło, ale z innego powodu. „O” i „i” — otrzymałem dwie nowe litery, a ponieważ zostało to podkreślone przez grzmot, być może były to dwie ostatnie, więc miałem całe słowo. Zatrzymałem się i zacząłem się rozglądać.

— Śpiewająca Skała! Śpiewająca Skała! To ty?!

Gil czekał na mnie z dłońmi na biodrach.

— Zdecydowanie jesteś świrem, Harry. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

— Chciałbym. Śpiewająca Skała to mój przewodnik duchowy. Próbuje mi powiedzieć, kto wywołał tę epidemię.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Problem w tym, że musi mi podawać imię w kawałkach, ponieważ gdyby wypowiedział albo napisał je całe, ten stwór przyszedłby po mnie i rozszarpał mi gardło albo zrobił coś podobnie nieprzyjemnego.

— Jeśli tak twierdzisz, Harry...

— Gil, nie możesz mi zaufać? Jak na razie miałem pięć liter: „s”, „t”, „r”, „i” i „g”. Teraz, kiedy patrzyłem na twój tatuaż, ten potężny grzmot dał mi do zrozumienia, że patrzę na kolejne. „O” i „i”. — Uniosłem dłoń i zacząłem odliczać palcach. — Mamy więc S–T–R–I–G–O–I, co czyta się...

— Nie mów tego! — wrzasnął Gil tak niespodziewanie aż podskoczyłem.

Popatrzyłem na niego z przerażeniem.

— Co jest? Chciałem tylko...

— Nie mów tego słowa, człowieku! Znam je! Wiem, co oznacza!

— Jak to... wiesz, co oznacza?

— Używali go w Bośni rumuńscy najemnicy. Było to jak przekleństwo, tyle że znacznie gorsze. Nazywali tak kogoś kogo naprawdę się bali.

— Chcesz powiedzieć, że stri...

— Nie mów tego słowa! Na Boga, to nie może być przypadek! Ludzie zabijali innych ludzi i pili ich krew jak wampiry. To właśnie znaczy to słowo. Znaczy: „wampir”.

— Jaja sobie robisz.

— Nie, Harry, przysięgam. Możesz sprawdzić. To słowo znaczy „wampir” i dlatego twój przewodnik duchowy nie chce go głośno wypowiadać. Nawet w Bośni nigdy nie wymawiali go głośno... chyba że wszyscy się naćpali... ale i wtedy nie mówili o nich tak, jakby to były prawdziwe wampiry.

— Prawdziwe... wampiry? Gil, czy to w ogóle możliwe? Wiem, w telewizji nazywają to „wampirzą epidemią”, ale to dlatego, że ludzie piją krew innych ludzi.

— A czemu nie? Sam powiedziałeś, że tę epidemię spowodował jakiś zły duch. Może właśnie wampiry... prawdziwe, żywe wampiry.

— Gil, nie sądzę, bym wierzył w istnienie prawdziwych, żywych wampirów. „Dzieci nocy... cóż za muzykę grają...” — powiedziałem z akcentem Beli Lugosiego.

— Wierzysz w duchy, prawda? — upierał się Gil. — Wierzysz w te sprawy ze Strefy mroku? Człowieku, właśnie mówiłeś, że masz przewodnika duchowego, który nazywa się Śpiewająca Skała.

— Gil, to ty z nas dwóch miałeś być sceptykiem.

— Tak, ale to słowo! Jezu... nie słyszałem go jedenaście lat, kiedy je wypowiedziałeś, włosy od razu stanęły mi dęba.

— No dobrze, zajmiemy się tym. Zapytamy moją znajomą w czasie seansu.

— Ty ją zapytasz, jeśli masz ochotę. Ja już mówiłem: nie idę na żaden seans, zwłaszcza jeśli zamierzasz podczas niego rozmawiać o wampirach.

— Walczyłeś w Bośni i boisz się wampirów?

— Żartujesz sobie? Boję się wampirów właśnie dlatego, że walczyłem w Bośni.

Wkrótce dotarliśmy do mieszkania Amelii przy Christopher Street. Mieszkali z Bertiem w studio na pierwszym piętrze, w jednym z tych eleganckich dziewiętnastowiecznych apartamentowców, wybudowanych na potrzeby przemysłu odzieżowego — z wysokimi oknami i dekoracyjnymi kolumnami. Parter zajmował sklep Christopher Street Cashmere, w którym sprzedawano męskie swetry w truskawkowym kolorze mężczyznom, gotowym zapłacić czterysta dolarów za taki sweterek. Były też sweterki w kolorze cytrynowym. No i w różowym.

Po schodach z boku budynku doszedłem do oliwkowych frontowych drzwi i wcisnąłem błyszczący mosiężny przycisk, obok którego było napisane CARLSSON. Czekałem i czekałem, aż w końcu Bertie rzucił przez interkom:

— Halo?

— Bertie? To ja, Harry Erskine.

— Na Boga, Harry, co pan tu robi? Nie wie pan, która godzina?

— Bertie, muszę porozmawiać z Amelią. To pilne.

Już panu mówiłem, Harry: nie chcę, aby wciągał pan Amelię w swoje problemy, bez względu na to, na czym polegają Proszę odejść.

— Bertie, uwierz mi, nie niepokoiłbym was, gdyby to nie było konieczne, mówimy jednak o tysiącach ludzkich istnień Także o pańskim, Amelii i moim.

— Przykro mi, Harry, ale muszę przede wszystkim dbać o Amelią.

W tym momencie Gil przysunął usta do domofonu i powiedział:

— Przepraszam bardzo, mówi Gil Johnson, czterdziesta druga dywizja piechoty, Gwardia Narodowa Nowego Jorku. Chyba musimy trochę pomóc Harry'emu.

— Gwardia Narodowa? Czego pan chce? Nie rozumiem.

— Chodzi o tę epidemię, sir. Ten dżentelmen uważa, że wie, co ją powoduje, i chciałby uzyskać pomoc pańskiej żony.

— A jeśli odmówię?

Gil popatrzył na mnie i machnął ręką.

— Zgodnie z prawem stanu wyjątkowego mogę aresztować pana za

przeszkadzanie wojsku w wypełnianiu obowiązków i zażądać od pańskiej żony wszelkiej pomocy, jakiej może nam udzielić.

Zapadła długa cisza, po czym zabrzączał sygnał, że drzwi są otwarte. Pchnąłem je i wszedłem do ciemnego korytarza.

— Idziesz ze mną? — spytałem Gila.

Zrobił niewyraźną minę.

— Bo ja wiem... nie jestem pewien, czy chcą być w to zamieszany.

— Gil, pomyśl o swojej rodzinie. Potrzebuję twojego autorytetu. Jeśli nie wejdiesz, on nie uwierzy w prawo stanu wyjątkowego.

Wcisnęliśmy się do windy i pojechaliśmy na pierwsze piętro. Kiedy drzwi się odsunęły, Bertie już na nas czekał — wysoki mężczyzna z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami i eleganckimi okularami na nosie, ze szklami nieobwiedzionymi metalem, w luźnej beżowej koszuli, luźnych beżowych spodniach i sandałach. Musiałem — acz niechętnie — przyznać, że jest przystojny, choć wyglądał, jakby pił jedynie gazowaną wodę mineralną i jadł szwedzki chrupki chleb.

— Więc przyszedł pan, Harry — mruknął, nie próbując ukrywać niezadowolenia. — Najlepiej będzie, jeżeli wejdziecie do środka.

Wyszliśmy z windy i już byliśmy w mieszkaniu. Apartament był bardzo skandynawski — miał bielone drewniane podłogi i meble, na które od samego patrzenia drętwiał tyłek. Na ścianach wisiało kilka ogromnych obrazów, ukazujących skandynawskie plamy, a w rogu stała abstrakcyjna rzeźba, składająca się z czegoś trójkątnego, zwisającego z chudego prostokątnego czegoś. Niełatwo było pogodzić tę starannie zaaranżowaną pustkę ze starym mieszkaniem Amelii w Village, pełnym książek, foteli, zwiniętych dywanów, lampek do czytania, wyblakłych starych rycin — nie wspominając o kilku obowiązkowych brudnych talerzach.

— Gustowne — zauważyłem po rozejrzeniu się.

W tym momencie pojawiła się Amelia. Płynęła nad podłogą w białej sukni, która mogła pochodzić ze snu. Wyglądała na wyższą, niż ją pamiętałem, ale zaraz dostrzegłem, że po prostu ma sandały na obcasie. Była jednak zdecydowanie szczuplejsza i świeżo opalona, a kręcone włosy miała bardzo krótko obcięte. Nie

nosiła już także okularów.

Wyglądała niesamowicie — przynajmniej dziesięć lat młodziej, niż kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Miała jak zawsze wyraziste rysy i wystające kości policzkowe, ale nie zauważyłem ani jednej zmarszczki. Jej piersi wcześniej również były pełne, teraz jednak wydawały się większe i jędrniejsze. Miała mniej więcej dwa tysiące złotych bransoletek na nadgarstkach i naszyjnik, zrobiony z wielkich, nierównomiernych grud złota.

— Harry... jak cudownie znów cię widzieć... — Niemal podfrunęła do mnie i objęła ramionami, po czym pocałowała, raz, drugi i trzeci. Jezu, ale ładnie pachniała! Kobieta i Chanel. Hertie wykrzywił usta, jakby próbował pić z akumulatora kwas solny przez zatkaną słomkę.

Amelio, wyglądasz wspaniale — stwierdziłem. — Nie wiem, czym Bertie cię karmi, lecz wyraźnie ci to służy.

— Bertil — poprawiła mnie. — Tak, Bertil znakomicie się mną opiekuje. Prawda, Bertil?

— Robię, co mogę — odparł Bertie, próbując się uśmiechać choć sądzę, że miał ochotę pobiegać po mieszkaniu, kopiąc' abstrakcyjne rzeźby i wykrzykując szwedzkie przekleństwa

— Założę się, że to dagligt bröd. Nie ma nic lepszego od kanapek z tego chlebka, prawda? Poza tym, jeśli robi się je po europejsku, nie przykrywając drugą kromką, sporo się oszczędza, a kto tak naprawdę potrzebuje kanapki z dwóch złożonych kromek?

— Wyglądasz na zmęczonego, Harry — powiedziała Amelia.

— Jestem zmęczony, wycieńczony, skołowany... wszystko się zgadza. No cóż, o mnie i Karen już wiesz. Było dobrze, póki trwało, ale chyba nigdy nie mieliśmy być ze sobą na wieczność. Zawsze była nieco za luksusowa jak na takiego żebraka jak ja.

— Nie powinienes mówić o sobie gorzej, niż na to zasługujesz, Harry. Masz bardzo duży poziom wrażliwości.

— A tak a propos, poznaj Gila Johnsona z dywizji Rainbow. Gil, to jest Amelia, moja przyjaciółka medium, a to jej mąż Bertie.

— Bertil — poprawił mnie Bertil, podając dłoń Gilowi. — Może drinka? Herbaty, kawy czy wody?

— Oddałbym wszystko za piwo — mruknąłem.

— Mam prippsa.

— Bardzo mi przykro.

— Pripps to najwyższej jakości szwedzkie piwo, warzone w Sztokholmie.

— W takim razie nie mam nic przeciwko temu. Amelio, nie mogę uwierzyć, jak cudownie wyglądasz. Pamiętasz McArthura? Wspaniały facet. Przypominasz sobie tę noc, kiedy biegaliście wokół parku przy placu Waszyngtona w samych papierowych torebkach na głowach? Przez rok nie mogłem potem przełknąć tequili.

Bertie wrócił z dwiema dobrze zmrożonymi butelkami piwa i zmrożoną miną.

— Mógłbyś przejść do rzeczy, Harry?

Usiadłem na ortopedycznym krześle, biedny Gil stał. Wyglądał, jakby było mu mocno nieswojo, ale najwyraźniej uważał, że niegrzecznie będzie walnąć piwko i pójść sobie. Bertie siedział bardzo blisko Amelii, jedną rękę trzymał jak właściciel na jej udzie, od czasu do czasu lekko je ściskając. Przełknąłem piwo, które było tak zimne, że od razu dostałem czkawki.

— Chodzi o tę wampirzą epidemię... jestem w stu procentach pewien, że wywołał ją złośliwy duch. Nie pytaj mnie jak i dlaczego, ale Gil sądzi, że może nawet chodzić o prawdziwego wampira.

— Prawdziwego wampira? — powtórzył Bertie. — Wampiry istnieją tylko w filmach. Nie mogą być prawdziwe.

— Może masz rację i robimy z siebie głupków, ale Śpiewająca Skała przekazał mi jego imię i Gil twierdzi, że to samo imię wypowiadali w Bośni rumuńscy najemnicy, kiedy chcieli kogoś nazwać rzeźnikiem albo krwiopijcą.

— Śpiewająca Skała? — zdziwił się Bertie. — Kim albo czym jest Śpiewająca Skała?

— To indiański szaman, którego oboje z Amelią znaleźliśmy. Odszedł, ale jest w dalszym ciągu moim przewodnikiem duchowym.

— Znaczy się umarł?

— Nie ma go z nami w postaci cielesnej, więc chyba można tak powiedzieć.

— Ten zmarły szaman podał ci imię rumuńskiego wampira i dlatego mam uwierzyć, że Nowy Jork został zaatakowany przez wampiry? — W ustach Bertiego zabrzmiało to jak „zaatakowany”.

— Mhm... tak.

— Jak brzmi to imię? — spytała Amelia.

— Na Boga... — zachnął się Bertie.

Zignorowałem go. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że nigdy przedtem nie miał do czynienia z niczym nadprzyrodzonym a pamiętam, jak sam się kiedyś zachowywałem. Założyłby się o każde pieniądze, że to bujda na resorach.

— Śpiewająca Skala powiedział, żebym nie wypowiadał o głośno, bo duch mnie usłyszy i przyjdzie po mnie, ale jeżeli dasz mi kawałek papieru i coś do pisania...

Amelia podała mi notes z nadrukiem hotelu Martinez w Cannes i złoty automatyczny ołówek. Napisałem STRIGOI i pchnąłem notes po szklanym blacie stolika w jej stronę.

Pochyliła się, by przeczytać, natychmiast jednak się wyprostowała i popatrzyła na mnie, jakbym zrobił coś strasznego.

— O mój Boże... — jęknęła. — Harry... Boże drogi!

ROZDZIAŁ 11

Gorączka krwi

Stwór wył i wył, jakby ktoś jeździł nożem po szkle, nagle jednak przestał i pozostały jedynie dźwięki szpitalne i ryk miasta na zewnątrz.

Frank stał bez ruchu i wytężał wzrok w ciemnościach. Zdawało mu się, że widzi poruszające się przed oknem cienie, ale mogły to być światła przelatującego helikoptera, omiatające szyb wentylacyjny, co wywoływało wrażenie skoordynowanego ruchu.

Po chwili odchrząknął i zawołał:

— Kto tam?! Kimkolwiek jesteś, ostrzegam, że zaraz wezwę ochronę!

Coś, co miał przed sobą, tak go przerażało, że nie był pewien, czy powiedział to wystarczająco głośno, aby ta istota go usłyszała. Przypominała pająka i miała paskudne proporcje — jak coś, co pojawia się jedynie w najgorszych snach. Choć była bardzo rozciągnięta, wyglądała denerwująco ludzko — jakby umiała myśleć czy nawet mówić. Choć Frank patrzył tej zjawie w oczy jedynie przez ułamek sekundy, zdążył w nich dostrzec straszliwą wiedzę. Ujrzał też pogardę, a jak wiadomo, do tego uczucia zdolni są jedynie ludzie.

— Idę wezwać ochronę! — krzyknął. — Słyszysz mnie?! Zaraz cię stąd wywalą!

Kiedy zaczął się powoli wycofywać, świetlówki nagle zrobiły ciche PING i zapaliły się. Frank musiał zamrużyć i zakryć oczy. Okno nadal było otwarte, ale nieznany stwór zniknął. Na podłodze w dalszym ciągu leżały szeregi pozawijanych w prześcieradła zwłok, lecz dziewczyna, która wychodziła przez okno, także zniknęła — wraz z młodym mężczyzną który podążał za nią.

Frank uznał, że powinien wezwać ochronę, ale co miałby powiedzieć — że widział wyciągniętą postać i ożywające trupy? Już i tak czuł się wytrącony z równowagi i był pewien, że dostaje gorączki. Może wszystko mu się śniło, a może był chory i miał halucynacje? Nie potrafił ocenić, co dzieje się naprawdę, a co było

tworem jego wyobraźni. Może tak naprawdę leżał w domu w łóżku i nic z tego się nie wydarzyło, lecz było jedynie teatrem cieni w jego umyśle?

Zaczął ostrożnie podchodzić do okna, co pół kroku przechodząc nad kolejnymi zwłokami. Kiedy do niego dotarł, zajął do szybu wentylacyjnego. Główny budynek miał sześć pięter i trzydziestoczeropiętrową wieżę w północno—wschodnim rogu. Z miejsca, gdzie Frank stał, widać było jedynie oświetlone okna oddziałów i korytarzy po drugiej stronie oraz krzątających się ludzi. Z oddali doleciał pomruk grzmotu. Ta dziwna wyciągnięta postać musiała mu się przyśnić albo ją sobie wyobraził. Tak drapało go w gardle, że ledwie mógł przełykać, a jego skóra zdawała się płonąć.

Właśnie miał się odwrócić od okna, kiedy niebo przeszła jaskrawa błyskawica i powietrze tak się naładowało elektrycznością, że Frank poczuł mrowienie na całej głowie i mimowolnie zazgrzytał zębami. Rozległ się kolejny trzask, potem jeszcze jeden. Frank popatrzył w górę i w tym momencie zobaczył, co się stało ze stworem i dwójką młodych ludzi, którzy razem z nim wyruszyli z magazynku.

Znajdowali się w dwóch trzecich wysokości szybu, a towarzyszyło im z dziesięć lub dwanaście innych osób, również owiniętych w szpitalne prześcieradła. Wspinali się po nagich pionowych ścianach jak wielkie białe pająki, nie korzystając pomocy wystających parapetów ani końcówek rur.

Frank przyglądał się temu w niemym zdumieniu. Ci ludzie nie żyli — dlatego byli zawinięci w prześcieradła — a jednak spinali się w górę szybu wentylacyjnego i po dotarciu na górę znikali za jego krawędzią, wychodząc na dach szpitala. Co powiedziała Susan Fireman? „Na każdą ścianę da wejść — jeśli się umie wspinać”. Także wtedy, jeśli jest się martwym? Kiedy ostatni wspinacz zniknął, Frank zatrasnął okno i przekręcił klucz w zamku. Drżał w niemożliwy do opanowania sposób, a jego skóra zrobiła się tak wrażliwa, że z trudem wytrzymywał dotyk ubrania. Musiał komuś opowiedzieć o tym, co widział, kto go jednak wysłucha — zwłaszcza że na korytarzach umierały setki ludzi, a setki kolejnych czekały pod szpitalem, za wszelką cenę chcąc się dostać do środka?

Wyszedł z magazynku, wrócił do kostnicy i stanął pośrodku owiniętych prześcieradłami trupów jak drżąca mumia. Stał tak, kiedy wróciła Helen Bryers.

— Doktorze? — spytała, marszcząc czoło. — Wszystko w porządku? Nie wygląda pan dobrze.

— Niech pani nie otwiera okna w magazynku — powiedział chrapliwie.

— Słucham? Nie jest otwarte.

— Teraz już nie. Zamknąłem je osobiście i zaryglowałem. Niech tak zostanie, bo dzieje się tu coś dziwnego.

Popatrzyła na niego uważnie.

— Przepraszam, panie doktorze, ale nie bardzo rozumiem.

— Komuś udało się wejść do środka. Prawdopodobnie był to złodziej. Przyłapałem go w magazynku, ale uciekł. Gmerał przy zwłokach.

— Co robił? O czym pan mówi?

Aby utrzymać równowagę, Frank musiał się oprzeć o ławę z nierdzewnej stali. Na jej końcu, przy kranach, leżała otwarta walizka, pełna skalpeli i lancetów. Nie mógł się pozbyć myśli, że musi chwycić skalpel i podciąć Helen Bryers gardło. Jedno głębokie cięcie wystarczy i ciepła, ożywcza krew wytryśnie na zewnątrz. Przytknąłby usta do jej szyi i pił, pił i pił, a ból gardła by zniknął, skóra przestałaby swędzieć i nie czułby tego przerażającego pragnienia.

— Doktorze? Może powinniśmy wezwać ochronę? jeśli naprawdę mamy intruza...

Frank skinął głową.

— Ma pani rację. Może powinniśmy. Pójdę porozmawiać z kimś od nich.

Wyszedł na korytarz. Podłoga pochylała się to na lewo, to na prawo i tak mu się kręciło w głowie, że widział świat jak przez obiektyw trzymanej w dłoni kamery. Słyszał krzyki i klekot łóżek transportowych, ale miał wrażenie, że wszystko to przeżywa ktoś inny.

Kiedy szedł przez izbę przyjęć, usłyszał krzyk Deana:

— Frank! Frank!!! Przydałoby mi się pomoc! Odwrócił się i zobaczył, że Dean podtrzymuje klęczącą na podłodze kobietę, która wyrzuca z siebie fontanny krwi, czuł się jednak zbyt rozgorączkowany i wiedział, że nie da się uratować żadnego z tych ludzi, więc choć Dean znów do niego krzyknął, przebił się do wyjścia i wytoczył w

noc.

Co teraz? Dokąd iść? Może powinien wrócić do łóżka i spróbować się przespać? Koszmar by się urwał, obudziłby się jak należy i okazałoby się, że nic z tego chaosu nie wydarzyło się naprawdę.

Ulice wokół szpitala były pełne walczących ludzi. Część krzyczała, część klęczała, bełkocząc i kiwając się z boku na bok, większość jednak leżała w milczeniu, wpatrywała się nieruchomymi oczami w niebo i ciężko oddychała przez otoczone warstwą zakrzepłej krwi usta.

— Niech pan ratuje moje dziecko! — zawołała do niego jakaś Murzynka, wyciągając ku niemu ręce z bezwładnym chłopcem, ubranym w przesiąkniętą krwią piżamę. — Na miłość boską, proszę pana... nie chce pan uratować mojego chłopca?

Frank uniósł lewą dłoń, aby na nią nie patrzeć. Sądząc po kacie, pod jakim zwisała głowa chłopca, i po ziejącej w jego szyi ranie, było oczywiste, że nie żyje. Odwracając się, Frank potknął się o ciało leżącej na chodniku kobiety i o mało się nie przewrócił. Noc była tak gorąca, że z trudem oddychał, a skóra tak go paliła, jakby materiał koszuli ją zdzierał. Nie mógł jednak znieść myśli o wodzie. Gdyby spryskał się wodą, skóra na pewno zaczęłaby się odrywać od ciała jak po polaniu wrzątkiem. Musi jak najszybciej napić się świeżej, ciepłej krwi.

Szedł jak pijany wzdłuż policyjnych barierek, gdy nagle ktoś złapał go od tyłu za ramię.

— Doktor Winter? Doktor Winter?

Odwrócił się. Przed nim stał porucznik Hayward Roberts. Policjant wyglądał na zmęczonego i niewyspanego, czerwone i niebieskie światła policyjnych kogutów rzucały na jego spoconą twarz jaskrawe błyski. Niedaleko stał detektyw Paul Mancini i rozmawiał przez telefon komórkowy. Biała koszula Manciniego była rozdarta, a lewe oko miał niemal całkiem zamknięte i zasiniaczone.

Aby się przebić przez hałas syren i tłumu, porucznik Roberts musiał prawie krzyczeć.

— Cieszę się, że pana znaleźliśmy, doktorze! Właśnie rozmawialiśmy z pańskim szefem!

— Tak?

— Dowiedzieliśmy się, co to znaczy tatal nostru! Pomyśleliśmy, rozumie pan... że może nam to pomóc uzyskać kilka odpowiedzi.

— I pomogło? — Frank nie mógł zrozumieć, czemu policjant mu to mówi. Przecież on wie, co to znaczy. Co prawda nie umiał przetłumaczyć wszystkiego słowo w słowo, ale wiedział dokładnie, że kiedy porucznik Roberts mu to powie, wcale nie będzie zaskoczony.

Policjant wyjął wilgotną czerwoną chustkę i wytarł nią sobie twarz, po czym przysunął się do Franka.

— Rozmawiałem o tym z jednym z naszych detektywów komisariacie. Jest Rumunem, nazywa się Cioran.

— Ojcie nasz... — powiedział Frank.

Porucznik Roberts wbił w niego wzrok.

— Zgadza się: Ojcie nasz. Skąd pan wie?

— Nie jestem pewien, ale jeśli się zastanowić, to oczywiście Brzmi jak modlitwa, a którą modlitwę wszyscy dobrze znają? Tatal nostru, carele esti in ceruri... Ojcie nasz, któryś jest w niebie...

— Więc pan się domyślił? Mógł nam pan oszczędzić wycieczki.

— Nie bardzo. Wpadło mi to do głowy dopiero przed chwilą, nie wiem, w jaki sposób. Dobrze jednak, że panowie też spróbowaliście się tego dowiedzieć, przynajmniej mamy pewność. — Zatoczył się lekko. Było mu tak gorąco, że skóra na twarzy musiała pokryć się pęcherzami. — Z kim pan rozmawiał?

— Z pańskim szefem, doktorem Pellmanem, i kilkoma innymi lekarzami, ale nic im to nie mówiło. Uznali wręcz, że to jeszcze bardziej gmatwa sprawę. Dlaczego każdy, kto choruje, zaczyna odmawiać „Ojcie nasz”, do tego po rumuńsku? Jak stwierdził doktor Pellman, można złapać ospę wietrzną albo grypę, ale nie da się złapać języka.

— Może to w takim razie masowa histeria — mruknął Frank. Jezu, ale źle się czuł.

— Jeśli tak, też nie jest to zwykła histeria. Zdaniem doktora Pellmana istnieje mnóstwo przypadków, gdy ludzie uważali, że są opętani przez szatana, przeklinali,

gadali bzdury... a wiemy, że tego rodzaju masowa histeria, jeżeli trafi na odpowiedni grunt, potrafi rozpowszechniać się bardzo szybko. Podobno coś takiego miało miejsce w Pensylwanii w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku i w Utah, wśród mormonów. Nigdy jednak nie zaczynano mówić po rumuńsku ani w żadnym innym języku.

— No tak, chyba nie — przyznał Frank. — Też nigdy o czymś takim nie słyszałem, choć nie mam pojęcia, dlaczego teraz z tak się dzieje i jak do tego dochodzi. Ale muszę pana niestety przeprosić... nie najlepiej się czuję i właśnie próbowałem dostać się do domu.

— Nie ma sprawy, doktorze. Możemy pana podwieźć.

— Byłbym bardzo wdzięczny. Chyba już nie wytrzymuję tego stresu.

Porucznik Roberts podszedł do policyjnych barierek i porozmawiał z dyżurnym sierżantem. Sierżant zawołał sześciu albo siedmiu ludzi, by pomogli im przebić się przez tłum do radiowozu. Kosztowało to trochę przeciskania się i kilka razy z oburzeniem na nich nakrzyczano, nikt jednak nie był tak naprawdę agresywny. Po kilku minutach wsiedli do buicka porucznika Roberta i zatrzasnęli drzwi. Ludzie zaglądali do środka, rozmazywali po szybach i całej karoserii krew, ale wyglądali bardziej na zaciekawionych niż nieprzyjaźnie nastawionych, a kiedy detektyw Mancini uruchomił silnik i zaczął powoli jechać przez ciżbę, odsunęli się i przepuścili ich.

— To się coraz bardziej rozprzestrzenia — stwierdził porucznik Roberts. — Dopóki wy, lekarze, nie ustalicie, co jest przyczyną, nie widzę sposobu, jak można by to powstrzymać. Mamy w mieście tyle zabójstw... ludzi z poderżniętymi gardłami... że straciliśmy nad tym wszystkim kontrolę. Na dodatek nie ma w tym żadnej logiki. Żadnej.

Frank pomyślał o Susan Fireman. Ciekawe, czy była jeszcze w jego mieszkaniu (jeżeli w ogóle kiedykolwiek tam była). Ona chyba знаła przyczynę tej epidemii. Mogła wspinać się po pionowych ścianach i wiedziała wszystko o „przechodzeniu na drugą stronę” — bez względu na to, co to znaczyło. Ciemność, cienie i zamknięte skrzynie. Może gdyby porucznik Roberts ją aresztował i przesłuchał, trafiliby na jakiś trop, którym policja mogłaby podążyć.

Dłonie tak go paliły, że aby poczuć choćby minimalną ulgę, musiał ścisnąć je pod pachami.

Porucznik Roberts odwrócił się do niego.

— Wszystko w porządku, doktorze? — spytał. — Wygląda pan nie najlepiej.

— Nic mi nie jest. To chyba tylko przemęczenie.

— Na pewno. Dopóki nie zacznie pan mrużyć pod nosem Tatal nostru...

— Ja? Nic z tego. Jeszcze w aż tak złym stanie nie jestem. — W głowie dudniło mu jednak: Tatal nostru... carele esf in ceruri... sfinteasca-se numele tau... Niemal słyszał wysoki dziecięcy sopran: Si nu ne duce pre noi in inspita... i nie wódź nas na pokuszenie... ci ne scapa de cel rau... ale nas zbaw ode złego. Amin.

Wkrótce dojechali do mieszkania Franka, znajdującego się przy zadrzewionej uliczce w Murray Hill, i detektyw Mancini podjechał do krawężnika.

— Doktorze, jeśli coś panu wpadnie do głowy, proszę dzwonić — zagadnął porucznik Roberts. — Cokolwiek, nawet jeśli wyda się panu głupie.

— Hm... jest coś takiego. Ta Susan Fireman... dziewczyna, która zachorowała jako pierwsza.

— Co z nią?

— Może to sen albo halucynacja, ale wydaje mi się, że zjawiała się w moim mieszkaniu.

— Zjawiała się w pańskim mieszkaniu...

— Po śmierci, tak? — zapytał Mancini.

— Zgadza się.

Porucznik Roberts przez chwilę się zastanawiał.

— Może powinien pan wziąć sobie trochę wolnego, doktorze — powiedział w końcu. — Taka sytuacja jak ta może bardziej wytrącić człowieka z równowagi, niż się wydaje.

— Nie musi mi pan tego mówić, poruczniku. W końcu jestem lekarzem. Być może cierpię na zespół wyczerpania, przeciążenie stresem albo jakieś odchylenie psychiczne, choć wtedy nie miałem wrażenia, aby to było odchylenie od normy

psychicznej. Także w tej chwili go nie mam. Jestem jednak w dziewięćdziesięciu procentach przekonany, że kiedy wejdę na górę, ona będzie tam na mnie czekała.

Porucznik Roberts wydał policzki i znów przez chwilę się zastanawiał.

— Jak mam panu pomóc, doktorze? Panna Susan Fireman jest poszukiwana za podwójne zabójstwo, toteż jeżeli ukrywa się w pańskim mieszkaniu, muszę iść na górę i aresztować ją. Wiem jednak, że panna Susan Fireman nie żyje, dlaczego więc miałbym marnować czas?

— Nie żyje, zgadza się — przyznał Frank. — Byłem na jej sali, kiedy zmarła, ale jakimś sposobem wróciła. Wspięła się do mojego mieszkania, kiedy spałem, i zmusiła mnie...

— Do czego? — spytał Mancini.

— Chyba macie panowie rację... Musiało mi się to przyśnić.

— Do czego pana zmusiła? — powtórzył Roberts.

Frank wahał się, było jednak jasne, że mu nie odpuszczą, jeżeli nie udzieli im jakiejś odpowiedzi.

— Zmusiła mnie do stosunku seksualnego. Ale to pewnie był tylko sen.

Porucznik Roberts wysiadł z samochodu.

— Chyba rozejrzę się po pańskim mieszkaniu, doktorze Winter. Nie wierzę, że panna Fireman tam jest, ale muszę zaspokoić moją bezgraniczną ciekawość.

— Proszę mi uwierzyć, poruczniku...

— Wierzę panu. Wierzę, że pan sądzi, iż panna Fireman odwiedziła pana po śmierci i miała z panem kontakt cielesny, ale chcę się dowiedzieć, dlaczego pan tak uważa.

— Nie ukradłem jej ciała ze szpitala, jeżeli to pan sugeruje. Kiedy wspinała się do mojego mieszkania, była żywa, rozmawiała i miała dość siły na to, aby zmusić mnie do seksu.

— Twierdzi pan, że pana zgwałciła?

— Nie do końca, ale była bardzo przekonująca i bałem się jej. Cóż, każdy by się bał. Miała nie żyć. Nie żyła.

Porucznik Roberts ujął Franka za ramię.

— Chodźmy, doktorze, zróbmy małą inspekcję. Nie potrzebuję nakazu rewizji, bo zaprasza mnie pan do siebie, tak?

— Nie wiem... nie sądzę... naprawdę nie najlepiej się czuję...

— To nie zajmie nawet minuty, doktorze — powiedział porucznik i pomógł Frankowi wejść na schody, mocno trzymając, aby się nie wyrwał. Frank znalazł klucze i otworzył drzwi.

W mieszkaniu było ciemno, więc zapalił halogeny. Porucznik Roberts przeszedł na środek salonu i zaczął się rozglądać podczas gdy detektyw Mancini ruszył do kuchni.

— Bardzo eleganckie mieszkanie — stwierdził porucznik i wziął do ręki małą chromowaną statuetkę nagiej tancerki. — Jon Diavolo. Musiało kosztować kilka wyleczonych wrzodów żołądka.

— Dostałem to w prezencie od siostry.

Porucznik Roberts odstawił figurkę. Wziął do ręki książeczką zapalek z restauracji „Red Bench” przy Sullivan Street — kiedyś knajpy mafii, a teraz miejsca chętnie odwiedzanego przez chcących się czegoś napić mieszkańców SoHo, którzy nie lubią turystów.

— Mówił pan, że którejdy weszła panna Fireman?

— Nie mówiłem, którejdy weszła, ale otwarte było tylko okno w sypialni.

— Pokaże mi pan?

Frank zaprowadził go do sypialni. Pościel w dalszym ciągu była zmięta, a poduszki rozrzucone po podłodze.

— Ciężka noc? — spytał porucznik Roberts. Frank wzruszył ramionami, nic jednak nie powiedział. Nie był w stanie mówić — gardło miał w strasznym stanie, a skóra paliła, jakby poparzył się na słońcu i potem wszedł do wanny z wrzątkiem.

Porucznik Roberts obejrzał okno.

— Nie widzę sposobu, aby ktoś mógł tędy wejść. Nawet człowiek guma.

— Naprawdę muszę się położyć — stwierdził Frank. Może kiedy okręci się prześcieradłem i zwinie w łóżku w kłębek, a przestanie go tak strasznie piec. Boże,

pomóż... Tatal nostru, carele esti in ceruri.

— Chce się nas pan pozbyć? — spytał porucznik. Otworzył szafę i przyglądał się starannie powieszonym koszulom i garniturom. — Ładne materiały. Dobrze jest poznać mężczyznę, który dba o swoje ubrania.

W tym momencie wszedł detektyw Mancini.

— Nikogo? — spytał Roberts.

Mancini pokręcił głową.

— Sprawdziłem nawet w koszu na brudną bieliznę.

— No to świetnie... wygląda na to, że trzeba wracać na komisariat i dołożyć swoje do ogólnego poczucia beznadziei. Dziękujemy za pokazanie mieszkania. Niech pan odpocznie i zje coś porządnego.

Za otwartymi drzwiami sypialni Frank dostrzegł szybkie blade mignięcie. Z początku wydało mu się, że to biel koszuli Manciniego odbiła się w wiszącym w przedpokoju wysokim lustrze, kiedy jednak detektyw odsunął się od lustra, Frank stwierdził z przerażeniem, że to Susan Fireman. Miała na sobie prostą białą tunikę, a jej twarz wyglądała jak posypana mąką. Nie było jej jednak w przedpokoju.

Znajdowała się we wnętrzu lustra — jakby lustro stanowiło wejście do sąsiedniego pokoju.

Detektyw Mancini stał tyłem do lustra, nie mógł jej więc widzieć, choć odległość między jego plecami a lustrem wynosiła nie więcej niż piętnaście centymetrów.

— To co, idziemy, poruczniku?

— Aha... — Porucznik Roberts postanowił jeszcze dla pewności zajrzeć pod łóżko.

Frank zaczął krzyczeć, ale głos miał tak zachrypnięty, że trudno go było zrozumieć.

— Uwaga! Na Boga! Ona tu jest! Za panem! Jest tam!

Susan Fireman popatrzyła na Franka i uśmiechnęła się niego konspiracyjnie.

— Uwaga!

Detektyw Mancini zmarszczył czoło.

— Co? Gdzie?

Zaczął się odwracać, ale ręce Susan już wystrzeliły z lustra i mignęła stal. Silnym ukośnym cięciem poderżnęła mu gardło na całej szerokości szyi i kołnierzyk jego koszuli natychmiast się zaczerwienił. Mancini zrobił niepewny krok do przodu, jakby chciał odzyskać równowagę, potem jeszcze jeden. Był niepomiernie zdziwiony. Jego głowa odchyliła się do tyłu i z szyi trysnęła potężna fontanna krwi, sięgając do sufitu i opryskując ściany w kolorze magnolii. Po chwili osunął się na bok i uderzył o komodę w przedpokoju — waląc twarzą prosto w mosiężne uchwyty szuflad. Znieruchomiał na brzuchu, jedynie jego stopy podrygiwały w rozpaczliwym tańcu.

— Co to ma, kurwa... — wymamrotał porucznik Roberts. Sięgnął za pazuchę, aby wyciągnąć broń, ale był za wolny jak na Susan Fireman. Wyszła z lustra i — błysk światła — już stała pośrodku pokoju, wyglądała jednak, jakby sfilmowano ją specjalną kamerą, pokazującą równocześnie kilkanaście tych samych, nałożonych na siebie z lekkim przesunięciem postaci. Porucznik zaczął odwracać się ku niej, pistolet miał już do połowy wyciągnięty z kabury, ale znów błysnęło i Susan znalazła się za jego plecami.

— Susan! — krzyknął Frank, było już jednak za późno. Dziewczyna tak szybko poderżnęła porucznikowi gardło, że nie było widać ruchu. Spod brody Roberta trysnęła krew i natychmiast zaczerwieniła koszulę.

Susan Fireman pchnęła porucznika na kolana, przytrzymując go przy tym za kołnierz, aby nie upadł na twarz. Popatrzyła na Franka bladobłękitnymi oczami, które niemal wyskakiwały jej z orbit.

— Masz! — zawołała. — Tego potrzebujesz! Od razu poczujesz się lepiej.

Złapała garść skręconych siwych włosów porucznika Roberta i odciągnęła jego głowę do tyłu, poszerzając ranę na szyi. Cięcie było bardzo głębokie — przecięło mięsień mostkowo–obojczykowo–sutkowy oraz żyłę tętnicę szyjną.

Frank patrzył z przerażeniem to na ranę, to na Susan. Jej twarz niemal świeciła z podniecenia.

— Popatrz na to! — powiedziała. — Pozwolisz się temu zmarnować?! Boże drogi, Frank, jeśli ty nie wypijesz, sama to zrobię!

Jako lekarz, Frank przysięgał, że nigdy nikomu nie zrobi krzywdy. Przede

wszystkim nie wolno mu było udawać Boga, ale porucznik Roberts prawdopodobnie stracił już przytomność i nie było najmniejszej szansy na uratowanie mu życia. Skóra Franka płonęła coraz bardziej. Czuł się, jakby polano go benzyną i podpalono, a gardło tak mu wyschło i ścisnęło się, że struny głosowe na pewno zostały uszkodzone.

Było coś jeszcze. Rosła w nim potężna potrzeba, niemożliwa do powstrzymania jak wypływający na powierzchnię oceanu rekin, przyciągany zapachem krwi. Frank nigdy dotychczas nie zdawał sobie sprawy z tego, jak intensywnie pachnie krew. Czuł to teraz. Była ciepła, metaliczna, pulsująca życiem. Mimo cierpienia — choć może właśnie z jego powodu — zaczął mu sztywnieć członek, a w ustach zebrała się ślina.

Boże, wybacz mi. Jeszcze przez chwilę się wahał, ukląkł jednak, lewą ręką ujął podbródek porucznika Roberta, a prawą dłoń położył płasko na jego klatce piersiowej, by móc jeszcze dalej odchylić mu głowę. Krew sikała z tętnicy szyjnej policjanta przynajmniej na dwadzieścia centymetrów i kiedy Frank się pochylił, ochlapała mu najpierw policzek, potem nos. Przez ułamek sekundy wierzył jeszcze, że znajdzie w sobie siłę, aby się odwrócić, ale krew chlusnęła na jego usta i kiedy odruchowo ją zlizął, jej smak kazał mu zapomnieć o wszystkim innym. Z chciwym stęknieniem przycisnął wargi do rany na szyi porucznika i krew wtryskiwała mu sama w głąb ust. Jej zapach był niesamowity, a smak był mieszaniną smaku żelaza, melasy, surowego mięsa, ostryg i soków podnieconych kobiet. Kiedy ją połknął, niemal natychmiast jego gardło zaczęło się otwierać i poczuł niezwykle przyjemny chłód, który pojawił się na czubku głowy i spływał niżej, jakby ktoś o chłodnych dłońią głaskał go powolnymi ruchami z góry na dół. Połykał i połykał. Nie był w stanie połknąć naraz tyle, ile by chciał. Członek tak mu zeszywniał, że aż zaczął boleć, a kiedy strumień krwi z tętnicy szyjnej porucznika Roberta zaczął słabnąć i Frank musiał ssać, aby jeszcze trochę wyciągnąć, wytrysnął i jego majtki wypełniły się lepkiem gorącym nasieniem.

Pił jednak dalej i pił, łapczywie chwytając powietrze, aż nagle łyknął za dużo, zachłysnął się i zwymiotował ostatnią porcję tego, co wypił, zalewając krwią przód marynarki Roberta.

Powoli uniósł głowę. Susan Fireman patrzyła na niego z wyrazem twarzy, jakiej

nigdy przedtem nie widział u żadnej ludzkiej istoty. Przypominał grymas na twarzy skośnej cienistej istoty, którą widział w kostnicy. Była to mieszanka pogardy, współczucia i ulgi — jakby Frank był synem marnotrawnym, który w końcu postanowił jednak wrócić do domu.

ROZDZIAŁ 12

Bracia krwi

— Nie mogę ci pomóc, Harry — powiedziała Amelia. — To nie twój wujek Walter, który próbuje się na tobie zemścić, bo sprzedałeś jego cenną kolekcję znaczków.

— Amelio, nigdy nie miałem wujka Waltera.

— Oczywiście, że nie miałeś. Chcę ci jedynie powiedzieć, że to za wysoka półka jak dla mnie.

— Ale przecież jesteś najlepsza! Jesteś asem asów!

Amelia energicznie pokręciła głową.

— Kiedy chodzi o rzeczy na małą skalę, takie jak czyjś zmarły kuzyn, nadają się. Z czymś takim umiem sobie poradzić. Żona umiera, mąż poznaje kogoś nowego i żeni się. Żona nie żyje, ale jest w dalszym ciągu zazdrosna, więc zaczyna rzucać po kuchni garnkami i patelniami albo kiedy jej mąż chce się kochać z nową wybranką, rozsiewa w sypialni niemiłe zapachy. Z takim duchem mogę rozmawiać, negocjować, uspokoić go. Mogę sprawić, aby zrozumiał, że życie toczy się dalej... nawet jeśli jego już nie ma na tym świecie. Ale to, z czym mamy teraz do czynienia, to coś całkowicie innego. Tego rodzaju istoty to jeden z powodów, dla których zrezygnowałam z jasnowidzenia. Harry, to bardzo głębokie wody i łatwo w nich utonąć.

Odstawiłem na stolik butelkę z piwem, z której już miałem zamiar upić łyk.

— Amelio, byłaś wspaniała, kiedy Misquamacus się inkarnował. Był najlepszym indiańskim czarownikiem w historii, a ty okazałaś się od niego znacznie lepsza. Gdyby nie ty, nie dowiedzielibyśmy się, kim on jest ani co uknuł.

Bertie odchrząknął.

— Harry, jeżeli moja żona uważa, że nie da rady ci pomóc, musisz się z tym pogodzić.

— Ale ona może nam pomóc. Musi. Kto inny byłby w stanie?

Amelia wzięła do ręki kartkę z napisanym na niej słowem STRIGOI.

— Twój przyjaciel Gil ma całkowitą rację. To jest jedno z rumuńskich słów, określających wampira. Nie wiem wiele na ich temat... tylko tyle, ile mi powiedział mój przyjaciel Razvan Dragomir. Ale są to podobno prawdziwe, żywe wampiry, nie wampiry z baśni, i do dziś większość Rumunów się ich boi... i to nie tylko chłopci, ale także mieszkańcy miast, wykształceni ludzie, doktorzy, profesorowie uniwersyteccy i prawnicy.

— Więc miałem rację, że chodzi o inwazję wampirów?

— To absurdalne! — zawołał Bertie. — Tylko dlatego, że się czegoś nie rozumie, nie można od razu zakładać, że to nadprzyrodzone! Wampiry! Czyżbyśmy byli dziećmi? Nie ma czegoś takiego jak wampiry!

Nikt się nie odzywał, patrzyliśmy jedynie po sobie z Amelią jak uczniowie, czekający, aż rozzłoszczony nauczyciel przestanie się wydzierać.

— Mam nadzieję, że za kilka dni lekarze odkryją, iż ta choroba jest spowodowana przez patogen, który zaraża ludzi apetytem na krew ich bliźnich. Kiedy ten patogen zostanie wyizolowany, fachowcy sporządzą antidotum. Wszystko odbędzie się naukowo, przyjacielu, i nie będzie miało nic wspólnego z czosnkiem, krzyżami i wbijaniem kołków w serce.

— Tak sądzisz? W takim razie dlaczego Śpiewająca Skala dał mi litery, które oznaczają po rumuńsku wampira? To nie było zbyt naukowe.

— Nie — przytaknął Bertie. — To była twoja rozgorączkowana wyobraźnia, rozpędzona jak mysz w obrotowym młynku.

— Daj spokój, Bertie...

— Harry, on nie wierzy w duchy, demony i tego typu sprawy — wtrąciła się Amelia. — Uważa, że są spowodowane przez zakłócenia w pracy mózgu.

— Przez aberracje funkcjonowania jądra migdałowatego — sprecyzował Bertie. — To ośrodek ludzkiego strachu.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

— Amelia nie opowiadała ci o Misquamacusie?

— Oczywiście, że opowiadała. Opowiadała mi o wszystkim, co się z nią działo,

zanim się poznaliśmy.

— Misquamacus nie był aberracją dalajlami. Był indiańskim czarownikiem sprzed trzystu lat i reinkarnował się na karku kobiety, mojej żony. Widzieliśmy to na własne oczy. Ja widziałem, Amelia widziała. Misquamacusowi niemal udało się zebrać najpotężniejsze siły, jakie znał pradawny świat: burze, błyskawice, trzęsienia ziemi. Mógłby obrócić Manhattan w perzynę. Gdyby nie Amelia i Śpiewająca Skała... no cóż, Bóg wie, co by się stało. Wszystko odbyło się jednak naprawdę.

Bertie pokiwał głową.

— Jestem przekonany, że postrzegaliście to jako prawdę.

— Zaprowadzić cię do doktora Hughesa? Był w Sisters of Jerusalem, kiedy Misquamacus się reinkarnował, i stracił wtedy przez niewidzialnego jaszczura trzy palce. Może jemu powiesz, że sobie to wyobraził? Zginęło jedenastu policjantów. Może powiesz ich rodzinom, że to wszystko im się tylko wydawało? Szkoda, że ich dzieci nie są w stanie postrzegać, jak ich ojcowie wracają do domów.

Bertie wstał.

— Harry, nie zamierzam dyskutować z tobą o naturze rzeczywistości. Mówię jedynie, że niezależnie od tego, czy masz rację, czy nie, Amelia nie weźmie w tym szaleństwie udziału.

Popatrzyłem na Amelię. Taki wyraz twarzy widział u niej dotychczas tylko raz. Był w nim smutek, że coś odeszło i nigdy nie da się już tego odzyskać. Może chodziło o młodość, może o szczęście, może o odwagę. A może o wszystko razem?

— No to świetnie — mruknąłem. Miałem ochotę spytać Amelię, jakie jest jej zdanie w tej sprawie, ale to nie byłoby fair. Kiedyś może była Amelią Crusoe, jasnowidzem i medium z kręconymi włosami i dzwoniącymi kolczykami, teraz jednak była panią Amelią Carlsson i nie miałem prawa żądać od niej nielojalności wobec męża, nawet jeśli okazał się kompletnym dupkiem.

— Idź do Razvana — odezwała się. — Na pewno będzie potrafił ci pomóc. Napisał kilka książek o rumuńskich siłach nieczystych i jest chyba najlepszym znawcą legend o wampirach poza Bukaresztem. Jest też bardzo wrażliwy. Poznaliśmy się na konferencji mediumistycznej w White Plains.

— To nonsens — oświadczył Bertie ze zgryźliwym uśmieszkiem. — Po co marnować czas Harry’ego na takie bzdury?

Amelia napisała na kartce notesu nazwisko i adres, oderwała ją i podała mi. Bertie zrobił pogardliwe PFFFT!, ale nie próbował jej przeszkodzić.

— Dzięki — powiedziałem, po czym zwróciłem się do Bertiego: — Przepraszam, nie powinienem był przychodzić. Nie zamierzałem cię zdenerwować.

— Nie ma sprawy. To stąd, że wychowano mnie pragmatycznie i wierzę w naukę, a nie w przesady. — Objął żonę ramieniem. — Kiedy poznałem Amelię, uznałem, że moim życiowym wyzwaniem jest pokazać jej, iż niezależnie od tego, jak dziwne rzeczy się zdarzają, nie da się ich wyjaśnić za pomocą magii, kart albo kryształowej kuli.

Odprowadził nas do drzwi.

— Dzięki za piwo — rzekł Gil i kiwnął Amelii głową. — Dziękuję pani. Dziękuję, że pani spróbowała.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy, stanął i popatrzył na mnie.

— Harty — zaczął z wielką powagą. — Wierzę ci.

— W co?

— Ta epidemia. To wampiry, prawda?

— Tak sędzę. Albo inna nadprzyrodzona siła.

— Jestem gotów się o to założyć. Widziałeś twarz tej facetki, kędy pokazałeś jej kartkę? To była mina człowieka, który naprawdę do głębi się przestraszył. Znam się na tym. Widziałem takie miny w Bośni.

— Jestem pewien, że gdyby mężulek jej pozwolił, przekonałbym ją, aby nam pomogła.

— Nie wiem tego, ale jestem przekonany, że nie udawała. Zobaczyła to słowo i zbielała. Dlatego ci wierzę. Byłoby jej znacznie łatwiej, gdyby skłamała, bo mąż nie wierzy w wampiry i dokucza jej z tego powodu, ale powiedziała prawdę, a jeśli ona uważa, że epidemię powodują wampiry, i ty uważasz, że epidemię powodują wampiry, to ja też tak uważam.

W tym momencie zadzwonił mój telefon komórkowy. Amelia.

— Harry? Posłuchaj... przykro mi, że nie mogłam więcej pomóc, ale Bertil... no cóż, bardzo mnie chroni i jest też trochę zazdrosny o ludzi, których znałam, zanim mnie spotkał.

— Nie przejmuj się. Idziemy właśnie z Gilem do twojego rumuńskiego znajomego. Będę cię informował na bieżąco, co się dzieje, może dasz nam jakąś przydatną wskazówkę.

— Harry?

— O co chodzi?

Nie wiem, dlaczego powiedziałem „o co chodzi?”, bo doskonale wiedziałem, co ma na myśli. To tak jak wtedy, gdy człowiek spotyka byłą dziewczyną z młodości, podnosi w górę jej tłustego dzieciaka i mówi: „Jest naprawdę wspaniały” — ale tak naprawdę chciałby powiedzieć: „Pamiętasz, jak leżeliśmy na trawie, słońce świeciło przez drzewa i poza nami nie istniało nic na świecie?”.

Gil popatrzył na zegarek.

— Wiesz co? Pójdę na chwilę do chłopaków, sprawdzę u nich, i powiem, co robię.

— Możesz zadzwonić do nich z mojego telefonu.

— Mam własny, ale muszę im chyba osobiście powiedzieć, co jest grane. Poza tym chcę się zobaczyć z rodziną. Z żoną i dziewczynkami. Muszę się upewnić, że są bezpieczne.

— W takim razie idź, jasne. Ja pójdę do tego Rumuna i spotkamy się u niego, co?

— Popatrzyłem na kartkę od Amelii. — Leroy Street sześćdziesiąt jeden, to trzy przecznice stąd. Powinieneś ją bez trudu poznać — kręceno tam plenery do Cosby Show. Wpisz do telefonu mój numer, żebyśmy byli w kontakcie.

Gil ruszył w stronę domu. Ledwie przeszedł kilkaset metrów, kiedy usłyszałem pokrzykiwania i pojękiwania oraz tupot kilkudziesięciu nóg. Po chwili zza rogu wyskoczyło pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt osób o tępym wzroku, umazanych krwią i machających rękami jak wiatraki. W większości byli to mężczyźni, w całej grupie było może siedem kobiet, z których szczególną uwagę zwracały dwie — jedna miała włosy sztywne od zaschniętej krwi i postawione pionowo, co sprawiało, że wyglądała

jak indiańska szamanka, a druga miała nagi tors i piersi pocięte licznymi krwawymi liniami.

Pędzili prosto na Gila, który natychmiast zawrócił na pięcie i zaczął biec w moim kierunku. W biegnącej grupie migwały noże, więc nie zastanawiając się, też zacząłem biec — w stronę Gila.

— Harry! — wrzasnął do mnie.

Nie potrzebował wiele czasu, żeby się przy mnie znaleźć. Był przynajmniej pięć lat młodszy ode mnie i wątpię, czy wypijał siedem irlandzkich ciemnych piw dziennie. Pobiegliśmy z powrotem Christopher Street, a wrzeszczący motłoch biegł za nami. Byłem tak spanikowany, że ledwie mogłem złapać powietrze.

Skręciliśmy na południe w Bedford Street, przecięliśmy Street i Barrow Street, cały czas biegnąc ile sił. Niestety, z każdą minutą się zbliżał. Nie odwracałem się, słychać było jednak odbijające się od budynków charakterystyczne plaskanie stóp o asfalt i podejrzewałem, że ścigających dzieli od nas już tylko jakieś sto pięćdziesiąt metrów.

— Może... powinniśmy... się... rozdzielić? — wydyszałem.

— Nie! Musimy stanąć do walki!

— Oszalałeś? Posiekają... nas jak... marchewkę.

— Tam! Budowa! — krzyknął Gil.

— Co?!

Gil nie odpowiedział, zamiast tego przeciął ulicę i pobiegł na róg Houston i Morton, gdzie odnawiano fasadę dziewiętnastowiecznego magazynu. Budynek był obstawiony rusztowaniami i billboardami, ogłaszającymi powstanie nowego sklepu odzieżowego TradeWinds, a na ulicy stały dwa kontenery na odpadki budowlane.

Gil skoczył na jeden z nich i wyciągnął kawał rury.

— Masz! — krzyknął i rzucił mi go. Potem wyciągnął półtorametrową belkę, owiniętą na jednym końcu drutem kolczastym. — Musimy stanąć plecami do siebie! I nie myśl o nich jak o ludziach! Chcą nas zabić i jeżeli my nie zrobimy tego pierwsi, nie zawahają się nawet przez chwilę!

Stanęliśmy plecami do siebie pośrodku Morton Street i czekaliśmy na tłumek.

Machałem rurą na boki i robiłem nią eleganckie ósemki jak Tom Cruise w Ostatnim samuraju. Gil stał spokojnie na szeroko rozstawionych nogach, trzymał belkę oburącz i wyglądał, jakby mógł stanąć do walki nawet z połączonymi armiami Czyngis–chana i Attyli.

— Cokolwiek zrobisz, nie oddalaj się — przykazał mi. — Nie pozwól tym świtom wejść pomiędzy nas, bo wtedy nas wykończą.

Tłumek zbliżał się powoli i bardzo ostrożnie. Każdy członek grupy miał nóż, maczetę albo sierp i wszyscy mieli tępy wzrok. Wszyscy byli także bardzo bladzi — jakby odciągnięto z nich całą krew. Niektórzy jęczeli, inni pochlipywali z bólu i pomyślałem, że muszą odczuwać to samo pieczenie, które doprowadziło do szaleństwa Teda Buscha — jakby palili się żywcem.

— Posłuchajcie! — krzyknął do nich Gil. — Wiemy, że bardzo źle się czujecie i chce wam się krwi, ale popełniacie błąd! Razem z moim przyjacielem szukamy dla was lekarstwa, sposobu, jak zwrócić wam normalne życie! Nie widzieliście nigdy żadnego filmu o wampirach? Jeśli nas zabijecie, będziecie musieli do końca świata pić krew!

Nie wiem, czy go rozumieli, w każdym razie jego przemowa nie zrobiła na nich najmniejszego wrażenia. Posuwali się dalej naprzód z uniesionymi nożami i sierpami i obserwowali nas uważnie, spodziewając się, że stracimy nerwy i zaczniemy uciekać. Pomijając ochlapane krwią ubrania i tępy wzrok, wyglądali jak zwykli ludzie z ulicy. Jeden z mężczyzn — w czerwonej koszulce polo i okularach — przypominał mojego księgowego, obok niego stał mężczyzna około pięćdziesiątki w mundurze kierowcy autobusu. Jedna z kobiet wyglądała jak nauczycielka ze szkoły, do której chodziła Lucy, inna miała na sobie białą jedwabną bluzkę i sznur pereł na szyi. Wszyscy byli zwykłymi nowojorczykami, których normalnie minęłoby się na ulicy, nie zwracając na nich uwagi, to jednak, że wyglądali tak zwyczajnie, sprawiało, że przerażali dziesięć razy bardziej niż zombi w pleśniejących frakach czy wampiry owinięte porwanymi całunami.

— Jak to rozegramy, Gil? — spytałem, próbując brzmieć w miarę spokojnie.

— Jest tylko jeden sposób, Harry: my albo oni.

— Hmm... my albo oni. Wiesz co? Nigdy nie bardzo rozumiałem, co to znaczy. No wiesz — jeśli „oni”, czy to znaczy, że oni wygrają? A co będzie, jeżeli „my”?

— Wal po prostu drani, aż przestaną się ruszać — odparł Gil. — Gramatyką będziesz się martwił później.

Mężczyzna w czerwonym polo i okularach nagle wrzasnął i ruszył na nas biegiem. Nigdy nie uczyłem się sztuk walki, ale kucnąłem i zamachałem rurą jak mieczem kendo, drąc się przy Hai! Ahaki! Ahaki-waki-baki!, po czym huknąłem napastnika w łokieć uniesionej wysoko ręki.

Może miałem po prostu szczęście, ale facet dostał tak mocno, że nóż wypadł mu z ręki. Chyba mu ją złamałem. Przewrócił się na bok na asfalt i zapiszczał jak przejechana wiewiórka.

— Załatw go! — krzyknął Gil.

— Nie trzeba! Już jest załatwiony!

— Załatw go! Jeśli tego nie zrobisz, pozostali pomyślą, że nie mamy jaj!

— Na Boga! Nie mogę go zamordować!

— Trzymaj się do mnie plecami!

— Co?!

Gil pchnął mnie mocno lewym ramieniem i zaczęliśmy się obracać, aż znalazł się naprzeciwko mężczyzny w czerwonym polo. Nie miałem wyboru, aby chronić Gilowi plecy, musiałem okręcać się razem z nim. Gil bez wahania uniósł belkę i uderzył nią mężczyznę prosto w twarz. Rozległ się głuchy, tępy huk i obrzydliwy trzask, prawdopodobnie pękającej czaszki. Gil ponownie uniósł belkę i drut kolczasty oderwał mężczyźnie pół twarzy, z prawym okiem i ustami włącznie. Gość wił się na jezdni, wrzeszcząc przeraźliwym falsetem, ale Gil uderzał, uderzał i uderzał, rozrzucając krwawe resztki w promieniu kilku metrów.

Byłem przerażony, nie miałem jednak czasu na zastanawianie się, bo machając wściekle nożem, ruszył ku mnie łysy mężczyzna w przepoconym szarym podkoszulku, a tuż za nim szła kobieta z kręconymi włosami i otwartą brzytwą w ręku. Wywijałem rurą na boki, próbując groźnie wyglądać, ale oni skoczyli na mnie, wspierani przez dwóch następnych mężczyzn, z których jeden machał wielkim nożem.

Zrozumiałem, co Gil miał na myśli, mówiąc „my albo oni”. Wrzasnąłem: hakamundo! i walnąłem kobietę w skroń. Krzyknęła i uklękła na jednym kolanie, a wokół jej zmiążdżonego ucha zaczęła się rozlewać krew. Łysy cofnął się zaskoczony, ja zaś, wykorzystując okazję, z całej siły spuściłem mu moją rurę na czubek głowy. Metal zadzwonił jak dzwon i aż do stawów barkowych poczułem impet uderzenia.

Mężczyzna padł przede mną na twarz, nóż z kościaną rączką, który wypuścił z ręki, zagrzechotał głośno o asfalt.

Skoczył na mnie jeden z pozostałej dwójki, ale machałem rurą jak szalony. Napastnik uderzył w nią czubkiem swojego noża, który zadzwonił jak kamerton. Mężczyzna cofnął się i wraz z nim zaczęła się cofać cała grupa.

Gil wciąż machał belką, lecz na widok tego, co zrobił z mężczyzną w czerwonym polo, grupa wyraźnie straciła apetyt na naszą krew. Kawałek nosa ofiary Gila zwisał z drutu kolczastego na jego belce i bez względu na to, jak ci ludzie cierpieli i jak bardzo chcieli im się krwi, uznali, że nie warto tracić z tego powodu nosa. Cofnęli się ostrożnie — tylko kawałek, jeden krok, lecz kiedy Gil krzyknął: „No chodźcie! Podchodźcie, świry! Weźcie, co chcecie!” i zrobił w ich kierunku trzy kroki, wszyscy się odwrócili i ruszyli truchtem Houston Street, plaskając nerwowo stopami o asfalt. Na rogu ulicy jedna z kobiet wydała z siebie przerażające, zwierzęce wycie, myślę jednak, że nie z rozczarowania, ale z bólu. Ci ludzie tak bardzo cierpieli, że szkoda im było marnować czas na mnie i Gila: potrzebowali krwi, i to szybko, zanim pieczenie stanie się całkiem nie do zniesienia.

Gil rzucił belkę na chodnik.

— Dobra robota, Harry.

Pociłem się i trząsałem i mało brakowało, abym się przewrócił. Jeszcze nigdy w życiu tak nie walczyłem. I chyba nigdy nikogo nie uderzyłem — odkąd w drugiej klasie walnąłem Jimmy’ego Ruggio. Wykonałem moją rurą ostatnią buntowniczą ósemkę i rzuciłem ją na chodnik, w który uderzyła z głośnym brzęknięciem.

— My albo oni, Gil. My albo oni.

Było już po jedenastej.

— Idź do domu, zobacz się z rodziną — zaproponowałem. — Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz wychodził z mieszkania. Jeśli tego Rumuna nie będzie w domu albo nie zechce ze mną rozmawiać, nie będziesz niepotrzebnie ryzykował, że znów natkniesz się na te żywe trupy.

Gil złapał mnie za ramię tak mocno, że zaboląło, nie zaprotestowałem jednak. Nigdy nie miałem wielu przyjaciół, zwłaszcza takich, którzy umieją rozwalić komuś łeb, ale tej nocy chyba takiego znalazłem. Jego bezpośredniość i całkowity brak cynizmu naprawdę mi się podobały. Mógł być prototypem wzorowego żołnierza, najbardziej chyba jednak polubiłem go za to, iż pokazał mi, że i ja jestem w razie potrzeby w stanie rozbić komuś łeb. Sprawił, że poczułem się odważny.

— No dobra, to złapiemy się później — powiedział, po czym ruszył w kierunku Siódmej Alei, a ja w kierunku Leroy Street — choć przedtem musiałem wyciągnąć koszulę ze spodni i wytrzeć sobie twarz.

Każda szyba wystawowa była tu rozbita i migotał tylko jeden neon — przed Hudson Street Grill, były na nim jednak tylko trzy litery: „l” z „Grill” i „up” z „kupuj”.

Stanąłem na chwilę i zastanawiałem się, ale Śpiewająca Skała dał mi już to, co chciałem, nie sądziłem więc, aby „lup” miało jakiegokolwiek znaczenie.

Dom Razvana Dragomira był wysoką wąską budowlą z ciemnego piaskowca, stojącą między Washington Street i Greenwich Street. Na frontowych schodach rosły w wielkich donicach dwa przyszczyżone drzewa laurowe, zabezpieczone łańcuchami, którymi można by przycumować „Mauretanię”. Opatrzyłem na dwa szeregi wypolerowanych mosiężnych Przycisków i na samej górze znalazłem karteczkę z napisanym jasnoniebieskim atramentem nazwiskiem R. DRAGOMIR. Nacisnąłem guzik.

Ponieważ nikt nie odpowiadał, nacisnąłem ponownie. Jeżeli okaże się, że znajomy Amelii wyjechał, będzie to typowy przykład mojego niefartu. Kiedy na filmach ludzie próbują ratować świat, każdy, kogo chcą poprosić o pomoc, zawsze jest w domu, w życiu rzadko jednak tak bywa.

Właśnie się odwracałem, aby odejść, kiedy domofon trzasnął, a z głośnika doleciał kobiecy głos z wyraźnym obcym akcentem:

— Da? Kto tam jest?

Skoczyłem z powrotem do drzwi.

— Och! Halo! Przepraszam, że przeszkadzam! Nazywam się Harry Erskine, jestem przyjacielem Amelii Crusoe. Znaczy się, teraz Amelii Carlsson. Szukam pana Razvana Dragomira.

— Rozumiem. Pani Carlsson dzwoniła, że pan przyjdzie. Przykro mi, ojciec pojechał na dwa tygodnie do Bukaresztu.

— No cóż... można się z nim jakoś skontaktować? Bardzo potrzebuję jego porady.

— Pani Carlsson wszystko wyjaśniła. Chodzi o epidemię. Ludzie umierają. Mogę pomóc.

— Może mi pani pomóc? Naprawdę?

— Jestem jego córką. Co wie ojciec, wiem też i ja. Zaczeka pan, już wpuszczam. Górne piętro, proszę wjechać windą.

Zabuczał brzęczyk w drzwiach, pchnąłem je i wszedłem do środka. Hol był dość mroczny i pachniało w nim lawendową pastą, stęchłym starym tynkiem i pleśnią. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że stoi przede mną obszarpany żebrak, zanim jednak dostałem zawaha, skojarzyłem, że to tylko moje własne odbicie w wiszącym w niszy lustrze.

Na końcu korytarza znajdowała się mocno rozklekotana winda z rączką, którą należało przełożyć, jeśli się chciało jechać w górę. Powoli zawiozła mnie na trzecie piętro i po drodze gotów byłbym przysiąc, że słyszę pękające jedna po drugiej stalowe nitki w linie nośnej. Kiedy z trudem otworzyłem drzwi i wysiadłem, znalazłem się w wielkim mieszkaniu, skąpo oświetlonym mosiężnymi lampami o perforowanych kloszach. Nikt na mnie nie czekał.

Żebrak, którego spotkałem w holu na dole, musiał wjechać przede mną, był tu bowiem znowu — w kolejnym wysokim lustrze. Lustro oprawiono w ciemną mahoniową ramę, na której wyrzeźbiono wszelkie możliwe rodzaje warzyw i owoców, jabłek, ogórków i kabaczków.

— Halo? — zawołałem. Czuję zapach goździków, zwietrzałego tytoniu i czegoś nieprzyjemnie słodkiego — jakby ktoś przypalił skondensowane mleko.

Zatrzasnąłem drzwi windy. Mieszkanie Dragomirów wyglądało jak rumuńskie muzeum ludowe. Było zapchane krwistoczerwonymi aksamitnymi kanapami i krzesłami z haftowanymi podnóżkami. Wszystkie ściany pozawieszano lustrami w złożonych ramach, orientalnymi dywanami, między które wpychały się olejne obrazy, ukazujące mężczyzn o zmarszczonych czołach i wspaniałych wąsach, w kapeluszach z pawimi piórami, oraz ciemnookie kobiety w chustach z białej koronki na głowach i bogato zdobionych bluzkach. Wolne miejsca na podłodze zapełniały błyszczące stoliki z blatami z mosiądzu, zastawione bibelotami i rodzinnymi fotografiami, wypolerowane na wysoki połysk mosiężne bociany i pierzaste paprocie w mosiężnych wazonach.

— Halo? — powtórzyłem.

— Witam, panie Erskine — powiedział głos z obcym akcentem. Zza aksamitnej zasłony, zawieszanej na jednych z drzwi, wyszła córka Razvana Dragomira, co przypominało scenę rodem z horroru z lat trzydziestych dwudziestego wieku.

Była wysoka, w butach miała ponad metr osiemdziesiąt, czyli prawdopodobnie wyższa ode mnie, i miała krótkie, czarne, błyszczące włosy, obcięte surowo wokół twarzy, w stylu Vidala Sasoon. Miała skośne i głęboko osadzone oczy, kości policzkowe wysokie i wyraźnie zaznaczone, a do tego wojowniczo wydęte usta. Ubrana była w czarną minisukienkę z czerwoną obwódką i bufiastymi krótkimi rękawkami, które podkreślały jej szerokie ramiona i nogi po same pachy. Jej piersi były bardzo duże, ale tak ciężkie i tak skomplikowanie się poruszały, że musiały być naturalne. W zagłębieniu dekoltu wisiała pięcioramienna złota gwiazda, ozdobiona granatami.

Wyciągnęła do mnie dłoń z pierścionkami na każdym palcu — z kciukiem włącznie.

— Nazywam się Jenica Dragomira, ale oczywiście proszę mi mówić Jenica.

— Harry Erskine, ale proszę mi mówić Harry.

— Mister Harry, zranił się pan w twarz. Krwawi.

— Och, to drobiazg. — Dotknąłem plastra, który przykleiła mi Laticia. Był przesiąknięty krwią i do połowy oderwany. Rana musiała się otworzyć, kiedy walczyliśmy z Gilem na ulicy.

— Mister Harry, proszę. — Jenica odsunęła zasłonę i wskazała dłonią, abym szedł pierwszy. Kiedy ją mijałem, musnąłem ramieniem jej piersi i poczułem zapach perfum, przypominających mieszankę zmiądzonych róż, Turkish Delight i piżmowego zapachu ciepłych włosów. Chyba nie mógłbym się spotykać z Jenicą — nawet gdyby zechciała się ze mną umówić — bo musiałbym przez cały wieczór ukrywać, że mi stoi.

— Tędy. — Jenica poprowadziła mnie wąskim wytapetowanym korytarzykiem. Na końcu były drzwi, które otworzyła, po czym wzięła mnie za rękę jak dziecko. Znalazłem się w najbardziej niezwykłej łazience, jaką kiedykolwiek widziałem. Była urządzona jak mauretańska świątynia — pełna kolumn, łuków i błękitnej ceramicznej mozaiki, w okna wstawiono zielone matowe szyby z namalowanymi czaplami i skaczącymi rybami — i było w niej echo. Jenica otworzyła bogato rzeźbioną apteczkę i wyjęła kilka bawełnianych płatków oraz buteleczkę żółtego płynu odkażającego.

— Jest pan odważny? — spytała.

— Trochę bólu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Nasmarowała ranę płynem, który tak piekł, że syknąłem.

— Musi pan być bardzo, bardzo odważny, jeśli chce walczyć ze strigoi — mruknęła.

Popatrzyłem na nią uważnie.

— Powiedziała pani to słowo. Na głos.

— Oczywiście. Niektórzy ignoranci myślą, że mówienie go jest niebezpieczne, ale niebezpieczne jest wymawiać tylko imię konkretnego strigoi.

— Rozumiem. — W tym momencie dotarło do mnie, że nie otrzymałem pełnej informacji. Śpiewająca Skała powiedział, że mam szukać wampira, ale nie powiedział którego.

Patrzyliśmy na siebie z Jenicą i oboje wiedzieliśmy, że patrzymy sobie w oczy, a spoglądamy w przepaść.

ROZDZIAŁ 13

Krwawe polowanie

Nie mógł powstrzymać dygotu. Termostat klimatyzatora w sypialni wskazywał trzydzieści pięć stopni Celsjusza, Frank był jednak przemarznięty do szpiku kości, jakby wyjęto mu szkielet, przetrzymano go przez noc w zamrażalniku, a potem włożono z powrotem. Nawet jego zęby sprawiały wrażenie zamrożonych.

Nie miał pojęcia, która jest godzina, ale wiedział, że stało się coś koszmarnego. Kiedy przelykał, czuł posmak metalu, a jego podniebienie było śliskie, jakby pokrywała je gruba warstwa tłuszczu. Pamiętał mgliście krzyki, krew i walkę, ale jego mózg nie chciał się skupić na szczegółach. Może uczestniczył w jakimś poważnym wypadku i doznał szoku?

Nie wiedział, że umiera.

Próbował usiąść. Po dwóch próbach udało mu się podeprzeć łokciem. W tym momencie ujrzał siedzącą w nogach łóżka Susan Fireman. Obserwowała go. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, ale miasto wydawało się spokojniejsze — nie słyszał terkotu helikopterów ani tak wielu syren.

— Zimno mi — wycharczał.

Susan Fireman wstała, płynnym krokiem podeszła bliżej opatrzyła na niego z uśmiechem na ustach.

— To już długo nie potrwa — powiedziała. — Ty zająłeś się mną, teraz ja zajmę się tobą.

— Tak mi zimno... dlaczego jest mi tak zimno?

— Zaraz przestanie ci być zimno, Frank.

Położył się z powrotem.

— Co się ze mną dzieje?

Pogłaskała jego zakrwawione czoło opuszkami palców, po czym possała je.

— Przeżyłeś największą przygodę, jaka może się komuś przydarzyć.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz, Frank, kiedy przejdziesz na drugą stronę, zrozumiesz. Wszystko stanie się dla ciebie całkiem jasne: tak, jakby wzeszedł księżyc.

— Księżyc?

— Oczywiście. Już nigdy nie zobaczysz słońca.

Frank spał i śniło mu się, że biegnie po wydmach w Hyannis, na Cape Cod, gdzie mieszkał w dzieciństwie. Wiatr szarpał go za uszy, a długie trawy smagały po łydkach. Zdawał sobie sprawę, że coś jest nie tak, nie umiał jednak określić co. Odwrócił głowę, by zobaczyć, kto za nim biegnie, ale był sam. Były tylko wydmy, chmury i powoli krążące mewy.

Niebo było tak ciemne, że aż prawie czarne — jak w nocy.

Kiedy wspinał się na wydmy, kierując się w stronę drogi, ujrzał jaskrawy błysk światła. Po chwili błysnęło ponownie — tak mocno, że musiał osłonić oczy dłonią. Przebijał się z trudem przez głęboki, miękki piach, aż doszedł do białego płotu. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej stał stary czarny mercury marquis o bokach pobrudzonych smarem. Przypominał samochód, który kiedyś należał do jego dziadka, ale po chwili Frank uświadomił sobie, że to karawan, i z tyłu leży trumna z szarego metalu. Na fotelu kierowcy siedział jednak dziadek Stephen z siwymi włosami tak zaczesanymi, że wyglądały jak aureola i wpatrywał się w ocean.

Tuż przed samochodem stała Susan Fireman. Była naga jedynie na głowie miała czarny kapelusz, który wyglądał, jakby zrobiono go ze sztywnego czarnego papieru. Trzymała lustro z sypialni Franka i Susan ustawiała je tak, aby odbijało światło i raziło go w oczy.

Doszedł do asfaltu i ruszył w jej kierunku. Pod nogami chrzęścił mu piasek.

— Co tu robisz? — krzyknął do niej, ale jego głos był cichy i stłumiony, jakby krzyczał do metalowego wiadra.

Nie odpowiedziała, lecz kiedy podszedł do niej, uniosła głowę i uśmiechnęła się. Miała ciemnoczerwone oczy.

— Co się dzieje? — spytał.

— Nie możesz już wychodzić na słońce, więc pomyślałam, że pewnie będziesz chciał zobaczyć jego odbicie, aby je zapamiętać.

Odwrócił się. Za plecami miał noc. Niebo było ciemne, a ocean zamienił się w cienką, fosforyzującą linię piany. Ale w lustrze było jasno i Frank widział błyszczący piasek.

— Co się dzieje? — powtórzył.

— Nie wiesz? Przechodzisz na drugą stronę. Tutaj zaraz wszędzie słońce. Wejź do lustra, będziesz tam bezpieczny aż do zapadnięcia ciemności.

— Co to znaczy: „wejź do lustra”?

— Lustro to wrota, Frank, nie ściana. Lustro to przejście.

— Nie mogę w nie wejść. To niemożliwe.

— Chodź, Frank. Jesteś teraz jednym z bladych. Możesz robić wszystko, na co tylko masz ochotę. Możesz wspinać się po ścianach i wchodzić do wnętrza luster.

Obeszła go i stanęła naprzeciwko lustra. Popatrzyła na Franka, po czym weszła do wnętrza lustra i połączyła się z własnym odbiciem jak w kalejdoskopowej ruchomej mozaice. Frank wyraźnie widział, że stoi w lustrze, w promieniach słońca a nie obok niego, w ciemności. Roześmiała się, ale jej śmiech brzmiał, jakby dolatywał zza zamkniętego okna. Rozejrzał się zaniepokojony. Wiatr się wzmagął, a on był sam. Dziadek też zniknął. Czarny karawan był pusty, jego boki okrywała rdza, a szyby zmętniały.

— Chodź, Frank — powiedziała Susan Fireman. — Wystarczy jeden krok.

— Nie chcę.

— Musisz, Frank. Nie masz wyboru.

— Powiedziałem: nie chcę!

W tym momencie ujrzał coś na linii brzegowej, jakieś osiemset metrów za Susan Fireman, dokładnie na skraju wody. Było wysokie i kanciaste i szło prosto na nią. Przypominało mu to scenę z Lawrence’a z Arabii — ubranego w czarną tunikę Araba, idącego do Lawrence’a przez pustynię, ale zbliżająca się do Susan Fireman postać była tak bardzo wyciągnięta i nieproporcjonalna, że przypominała raczej niezgrabne

połączenie człowieka i konia albo coś całkiem innego, coś potwornego.

Po chwili Frank rozpoznał w niej istotę, z którą miał do czynienia w magazynku za kostnicą w Sisters of Jerusalem. Dostrzegł twarz, najpierw pochyloną w jedną stronę, potem w drugą, i ciągle zmieniające się oczy — w jednej chwili były to kamienne oczy ogrodowego pomnika, a w następnej szkliste bursztynowe oczy leżącej na podłodze tygrysiej skóry.

Dziwna postać zbliżała się do Susan Fireman z ogromną prędkością, rosnąc coraz bardziej i bardziej i wzbijając za sobą wysoko w górę smugę piasku, którą rozwiewał wiatr.

— Frank, pospiesz się! — zawołała Susan. — On będzie cię ścigał bez względu na to, co zrobisz!

Odwrócił się. Najchętniej by uciekł, ale wiedział, że śni, a w snach nigdy nie potrafił szybko biegać. Ciemna wyciągnięta Postać była tak blisko, że prawdopodobnie go dogoni, zanim zdąży dotrzeć do wydm.

Mógł zrobić tylko jedno. Cofnął się trzy kroki i podniósł z ziemi kawał pękniętej cegły. Podszedł z nią do lustra i uderzył z całej siły prosto w miejsce, gdzie widać było twarz Susan Fireman. Lustro pękło, uderzał jednak dalej, aż nie pozostało nic poza migoczącą kupką szkła i pustą owalną ramą.

Upuścił cegłę i cofnął się. Było mu tak zimno, że ledwie był w stanie myśleć, ale miał wrażenie, że się uratował — przynajmniej na chwilę. Stał i patrzył, jak wschodzi księżyc, okolony pustą owalną ramą jak twarz dawno zmarłego przyjaciela.

Otworzył oczy. Sypialnię wypełniało rozmazane dzienne światło. Leżał długo bez ruchu, gapiąc się tępo w sufit i próbując odepchnąć przepełniające jego ciało, paraliżujące ruchy zimno. Bał się, że gdy się poruszy, pękną mu łokcie i kolana, a palce rozkruszą się na kawałki. Nadal jednak żył.

W końcu słońce przesunęło się na skraj łóżka. Kiedy dotknęło palców jego stóp, poczuł się, jakby mu je przypalano. Skóra natychmiast dostała bąbli, a w górę uniosły się cienkie strużki dymu, ale przynajmniej zrobiło mu się cieplej.

Zdawał sobie sprawę, że wszystko, co mu się przydarzyło, było realne. Susan

Fireman, epidemia picia krwi, zapełniona trupami kostnica. Owinięci prześcieradłami ludzie, wspinający się w górę szybu wentylacyjnego i wychodzący na dach szpitala. Ciemna, kanciasta istota o oczach, które zmieniały się z kamienia w szkło. Wszystko to naprawdę się wydarzyło, a on w tym uczestniczył.

Przypomniał mu się ostatni sen — plaża w Hyannis i rozbite lustro. Powoli, z jękiem bólu, uniósł nieco głowę i popatrzył w kąt pokoju.

— Jezu... — szepnął. Z antycznego lustra generała Granta pozostała pusta owalna rama, z której wewnętrznego brzegu wystawały małe kawałeczki szkła. Pod ścianą leżało ciężkie pudełko z czarnego onyksu, które dostał od Christiny na trzydzieste drugie urodziny — jedyny otrzymany w życiu prezent, jaki naprawdę mu się podobał.

Przesunął się, aby móc zajrzeć przez otwarte drzwi sypialni przedpokoju. Z początku nie rozumiał, na co patrzy, ale po chwili pojął, że ktoś leży na dywanie. Widać było błyszczące czarne buty, ciemne nogawki spodni i dłoń z grubym sygnetem na palcu. Uniósł jeszcze kawałek głową i stwierdził, że to porucznik Roberts, którego krew pił — ciepłą i gęstą, prosto z rany na jego szyi.

— Hhrrgh... — wycharczał. To nagłe wspomnienie sprawiło, że jego żołądek się skurczył i zaczął nim wstrząsać odruch wymiotny, raz za razem, aż gardło tak go zabolalo, że musiał przestać.

Głowa opadła mu ciężko na poduszkę i leżał bez ruchu przez przynajmniej godzinę, wyczerpany i rozgorączkowany. Muszę wstać, myślał. Muszę stąd wyjść. Muszę poszukać pomocy. Jeżeli tego nie zrobi, minie kolejny dzień, ciemność powróci i znów przyjdzie po niego Susan Fireman. I znów przyprowadzi ze sobą tę kanciastą, pochyloną istotę.

Powoli i z wielkim bólem, jak człowiek dwa razy starszy, usiadł i opuścił nogi z łóżka. Łóżko wyglądało jak jakiś niesamowity egzemplarz iluminacyjnej instalacji. Prześcieradła pokrywała warstwa zeskorupiałej krwi i były poskręcane w dziwaczne kształty, przypominające twarze torturowanych ludzi. Frank złapał za wezglowie i podciągnął się do pionu. Przez chwilę miał wrażenie, że cała krew odpłynęła mu z głowy i zaraz zemdleje, wziął jednak kilka głębokich oddechów i uspokoił się.

Wyszedł sztywno z sypialni i przeszedł przez ciało porucznika Roberta. Rana w

jego szyi była tak wielka, że widać było przez nią otwartą tchawicę. Oczy porucznika patrzyły tępo w przestrzeń, a jego twarz była szara, jakby posypano ją popiołem z krematorium. Frank popatrzył na niego.

— Przepraszam, stary. Spoczywaj w pokoju. — Nie wiedział, jakiego Roberts był wyznania i nie przyszło mu do głowy nic innego.

Kawałek dalej leżał detektyw Mancini. Miał zamknięte oczy, ale na jego twarzy malowało się przerażenie. Ręce i nogi były porzrzucone pod dziwnymi kątami, a usta wykrzywione jakby udusił się ością. Także i jego szyję rozplątano, a barwa skóry na twarzy wskazywała, że wyssano z niego całą krew. Na podłodze Frank zobaczył rozpryski krwi, więc pewnie była to sprawka Susan Fireman.

Zrobiło mu się niedobrze. Poszedł do kuchni, zwiesił głowę nad zlewem i zwymiotował skrzepnięte grudki na wpół strawionej krwi. Były ciemnoczerwone, jak surowa wątroba, i zsunęły się przez otwór odpływowy jak żywe. Stał nad zlewem niemal przez pięć minut, mięśnie brzucha kurczyły się i rozkurczały, w końcu jednak udało mu się wyprostować, oderwać płachtę papierowego ręcznika i otrzeć usta.

Jezu... lekarzu, lecz się sam. Nie chciał umierać, zwłaszcza jeżeli miało to oznaczać odrodzenie się w takiej postaci jak Susan Fireman czy inni ludzie, biegający po mieście w poszukiwaniu ludzkiej krwi. Wiedział, że jest bardzo chory, ale jeżeli to była choroba, może można ją było jakoś wyleczyć?

Przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim przy kuchennym stole. Bolał go język, jakby przetarto go papierem ściernym, ale na samą myśl o wodzie dostawał dreszczy.

Troll Śmierci nie miał racji. To nie była odmiana dengi. Przypominało to raczej wściekliznę — podobnie jak wścieklizna, zaczynało się od drażliwości i gorączki i wkrótce potem zakażony zaczynał mieć senne koszmary i niczym nieuzasadnione stany lękowe. Tak samo jak w przypadku wścieklizny, pojawiała się irracjonalna niechęć do wody, z powodu której wściekliznę czasami nazywa się wodowstrętem.

Ale w odróżnieniu od wścieklizny ta choroba nie rozpowszechniała się przez ugryzienia, zarażenie następowało poprzez wymianę płynów ustrojowych — jak w przypadku HIV.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób Susan Fireman nakłoniła go do stosunku. Pamiętał

z tamtej sytuacji jedynie poszarpane sceny jakby rodem z filmu porno, jakoś jej się jednak to udało i podczas kopulacji wbijała mu paznokcie w mosznę, zakażając ten sposób. Na koniec — dla pewności — zmusiła go do połknięcia kropli własnego zakażonego nasienia. Podejrzał, że każdy zarażony mężczyzna mógł zakazić u te w podobny sposób — przez spowodowanie otarć błony śluzowej pochwy albo przez wytrysk nasienia w usta.

W krótkim czasie po zakażeniu ofiary zaczynały odczuwać bardzo silne pieczenie całej skóry i nieprzepartą chęć napicia ludzkiej krwi. Zaczynały też następować gwałtowne zmiany ich przemianie materii. Stawali się „bladymi ludźmi”, tak naszpikowanymi adrenaliną, że mogli wspinać się po ścianach i dowolnie wyginać ciało — jak Susan Fireman — zaplatając je w niemożliwe supły. Zaczynali też mieć senne koszmary, że są zamknięci w skrzyniach, i mówić w obcym języku — choć Frank nie był sobie w stanie wyobrazić, jak to możliwe.

Ale mimo iż ich pragnienie ludzkiej krwi było tak silne, „bladzi” nie mogli jej spożywać w zbyt dużych ilościach, bo prowadziło to do wymiotów. Dopiero kiedy umierali i „przechodzili na drugą stronę” — jak to określiła Susan Fireman — mogli pić dowolną ilość krwi.

Frank popatrzył na swoje dłonie. Skóra tak boleśnie piekła, że musiał zwijać palce i zagryzać wargi, aby nie zacząć głośno łkać. Płacz nic tu nie pomoże. Musi się zastanowić. Myśl, Frank! Był lekarzem. Musiał się dowiedzieć, skąd ta choroba pochodzi i w jaki sposób w tak szybkim tempie się rozprzestrzeniła. Musiał się także dowiedzieć, jak się wyleczyć, zanim „przejdzie na drugą stronę”. Musiał też znaleźć sposób zaszczepienia pozostałych mieszkańców miasta.

Na początek musiał się jednak pogodzić z nieprawdopodobnym faktem, że ludzie zakażeni tą chorobą mogli po śmierci chodzić i mówić. Susan Fireman umarła, ale udało jej się wejść po ścianie do jego mieszkania i zabić porucznika Roberta oraz detektywa Manciniego. Ulice muszą być pełne takich jak ona. Martwych — z medycznego punktu widzenia — a jednak żywych. Przeszukał całe mieszkanie. Otwierał każdą szafkę i szufladę, zajrzał nawet pod zlew. Nigdzie nie było śladu Susan Fireman, więc musiała wyjść. Co ona takiego powiedziała w jego śnie?

Wrócił do przedpokoju i nagle mu się przypomniało.

„Wejź do lustra... będziesz tam bezpieczny...”.

Susan Fireman była wewnątrz lustra. Nie jej odbicie — cała była wewnątrz szkła. Detektyw Mancini stał do niej plecami a ona wyciągnęła ręce z lustra i poderżnęła mu gardło.

Frank podszedł do ciała porucznika. Na dywanie zobaczył pełno krwawych smug, ciągnących się we wszystkie strony. Było ich tyle, że nie widział odcisków stóp — z wyjątkiem sypialni, wokół miejsca, w którym Susan poderżnęła porucznikowi gardło. Na podłodze była jeszcze wilgotna plama krwi, przecięta łańcuszkami drobnych śladów — na jej skraju kierowały się prosto na rozbite teraz lustro, gdzie się kończyły.

Dygocząc z bólu, Frank ukląkł na dywanie i podniósł kilka kawałków rozbitego szkła. Pod szkłem też były ślady stóp Susan, musiało więc zostać rozbite już po tym, jak do niego podeszła. Nie było śladów odchodzących od lustra.

Więc może jego sen wcale nie był tylko snem? Może Susan Fireman faktycznie weszła do lustra generała Granta i namawiała go, aby zrobił to samo? Może cegła nie była cegłą, ale onyksowym pudełkiem?

Wampiry nie mogą żyć w świetle słońca, prawda? Przynajmniej tak jest w legendach. Dlatego, kiedy świta, wracają do trumien. A co robią, jeżeli nie mogą schować się w trumnie albo w jakimś innym całkowicie ciemnym miejscu?

Wydawało się to niemożliwe, ale może właśnie tu znajdowała się kryjówka wampirów? Miejsce zawsze jasne, do którego jednak światło nie ma wstępu. Świat luster.

Frank poszedł do kuchni, otworzył szufladę i wyjął tłuczek do mięsa. Potem obszedł mieszkanie i rozbił wszystkie znajdujące się w nim lustra — nawet lusterko do golenia w łazience. Może tracił rozum, ale jeżeli miał rację, mogło okazać się to sposobem uchronienia się przed Susan Fireman i jej cienistym towarzyszem. Jeżeli ukrywali się w ciągu dnia wewnątrz luster, rozbijanie ich było tak samo dobre jak zamurowywanie drzwi.

Popatrzył na prostokątny włoski zegar w salonie. Siódma trzydzieści siedem rano.

Wiedział, że powinien pójść do szpitala i powiedzieć Trollowi Śmierci, co odkrył. Był pewien, że jeżeli zespół patologów dowie się, z czym ma do czynienia, szybciej wyizoluje przyczyną epidemii. Uniósł ramię i powąchał się pod pachą. Śmierdział krwią i starym potem, ale nie było możliwości, aby wziął prysznic. Wrócił do łazienki i zaciągnął zasłonę. Zdjął ubranie i starannie wytarł ciało frotową rękawiczką, którą nasączył płynem po goleniu Dolce & Gabbana — zwłaszcza twarz, szyję i pachy. Gdy dotknął zadrapań na mosznie, jęknął z bólu, ale musiał czuć się czysto.

Kiedy skończył, posmarował twarz grubą warstwą kremu do opalania z filtrem ochronnym, który kupił w zeszłym roku przez wyjazdem do Vail na narty. Włożył czarne džinsy, czarny golf i rękawiczki. Na koniec wciągnął na głowę czarną narciarską czapkę, zakrywającą twarz, i założył okulary przeciwsłoneczne. Wyglądał jak Niewidzialny Człowiek.

Zanim otworzył drzwi, opierał się o nie przez długą chwilę i głęboko oddychał, aby opanować ból. Cała jego skóra płonęła i tak bardzo pragnął napić się krwi, że czuł się jak narkoman na głodzie, których przywożono czasami do Sisters of Jerusalem — trzęsący się i niemal pozbawiony człowieczeństwa z powodu uzależnienia. Tacy ludzie byli gotowi zabić za kolejną porcję narkotyku, a Frank był teraz w takim stanie, że najchętniej zapomniałby o szpitalu i zrobił to samo.

— Tatal nostru... — wyszeptał. — Carele esti in ceruri.

Gdy schodził frontowymi schodami, światło oślepiło go, choć miał okulary przeciwsłoneczne. Nie wyobrażał sobie, że tak bardzo będzie go parzyć mimo ubrania. Udało mu się jednak dostać do cienia, rzucanego przez dom naprzeciwko, i stwierdził, że jeżeli nie stoi bezpośrednio na świetle, pieczenie da się wytrzymać.

— Tatal nostru, carele esti in ceruri — powtórzył. Z jakiegoś powodu te słowa dawały mu nadzieję, że wszystko zmieni się na lepsze, a jego cierpienie wkrótce się skończy.

Murray Hill było puste. Zdawało mu się, że w oddali, na północy, widzi biegnących Trzecią Aleją ludzi i ostry błysk światła, odbitego od samochodowej szyby, a od West Side dochodzi ostre WIK–WIK–WIK policyjnych syren. Tutaj

jednak, w połowie Manhattanu, ulice były nieme i nie widać było żywej duszy. W poprzek ulicy stał wypalony leksus, dwie przecznice dalej na chodniku leżały chyba zwłoki, otoczone dziobiącymi je wronami, ale słońce świeciło zbyt jaskrawo, aby można było to stwierdzić.

— Tatal nostru.. — wymamrotał.

Przebiegł Trzecią Aleję, Lexington i Park Street. Czuł się, jakby był jedyną żywą osobą, pozostałą w Nowym Jorku. Pomijając kilka cirrusów na północnym zachodzie, niebo było bezchmurne. Niektóre leżące na ulicy przedmioty były bardzo dziwne. Na środku Lexington stało wielkie pianino, a na Park Street natknął się na stertę rzuconych na chodnik fraków. Wyglądało to tak, jakby ktoś napadł na orkiestrę symfoniczną.

Kiedy dotarł do Piątej Alei, był bliski omdlenia. Skóra na jego nogach pękała, a usta miał tak spieczone, jakby całował rozpalone żelazko. Może powinien wrócić? Może uda mu się znaleźć kogoś, czyją krew mógłby wypić. Może to okaże się ktoś, czyja śmierć nie będzie miała znaczenia. W końcu był ważniejszy od jakiegoś kloszarda, prawda? Jeżeli umrze, ludzie nie dowiedzą się prawdy o epidemii i zginą dalsze tysiące ludzi.

Na wysokości Trzydziestej Trzeciej niemal przekonał sam siebie, że powinien poszukać kogoś, komu mógłby poderżnąć gardło. Kiedy wyszedł z za rogu, nagle ujrzał przed sobą dwa radiowozy, przy których stało kilku policjantów z psami.

— Stać! — krzyknął jeden z nich. — Na chodnik, twarzą w dół!

Frank odwrócił się i zaczął uciekać. Wiedział, co by się stało, gdyby go złapali. Ściągnęliby mu okulary i czapkę i słońce spaliłoby go na ich oczach. Jeśli najpierw by go nie zastrzelili.

Biegł co sił, skręcał na każdym skrzyżowaniu i gdzie tylko się dało, skracał sobie drogę przez zaułki na tyłach budynków. Jeden z radiowozów przez jakiś czas go gonił, piszcząc oponami na ostrych zakrętach. Kiedy Frank przecinał Dwudziestą Ósmą, widział go kątem oka, na szczęście udało mu się wskoczyć do pralni, gdzie przycupnął, próbując odzyskać oddech. Po chwili uznał, że może bezpiecznie wyjść.

— Tatal nostru — wydyszał. Z jego rękawów leciał dym. — Tatal nostru... nu ne

duce pre noi in ispita... i uchron' nas ode złego. Amen.

Znów zaczął biec.

Przez chwilę biegł obok niego jakiś pies i szczekał jak oszalały, ale kiedy przy placu Waszyngtona zobaczył wałęsającą się sukę, pognął za nią między drzewa.

Frank zwolnił i zaczął iść. Tak bardzo go wszystko bolało, że przestało go obchodzić, czy zostanie złapany. Może powinien umrzeć i dołączyć do Susan Fireman w świecie luster i ciemności? Wszystko będzie lepsze od tego, co czuł teraz. Ale nawet gdyby odkrył jakieś antidotum, nie miał gwarancji, że się wyleczy.

Szedł, potykając się jak pijany, mijając ulicę za ulicą. Nie miał pojęcia, jak dojść do Sisters of Jerusalem, ale już go to nie interesowało. Chciał tylko, aby przestało boleć.

Na środku Barrow Street opadł na kolana i zamarł z opuszczoną głową, próbując zebrać siły. Ojciec nasz, uratuj mnie... Powoli zaczęło do niego docierać, że ktoś przed nim stoi. Podniósł głowę i ujrzał potężnie zbudowanego młodego człowieka w koszuli koloru khaki i spodniach, jakie noszono podczas operacji Pustynna Burza. Mężczyzna trzymał w ręku stylisko siekiery i powoli uderzał nim o wnętrze drugiej dłoni.

— Chyba dalej nie pójdziesz, kolego — powiedział.

Frank zaczął kaszleć i wypluł kilka skrawków krwi.

— Nie sędę, żeby mi się to udało, nawet gdybym próbował.

— Ten teren jest zamknięty dla krwio pijców. Może twój problem nie jest twoją winą, ale nie chcemy tu takich jak wy. Proponuję więc, abyś zawrócił i poszedł tam, skąd przyszedłeś.

— Jestem lekarzem.

— Że jak?

— Jestem lekarzem. Złapałem wirusa, ale jeszcze nikomu nie podciąłem gardła i jeśli będę miał szczęście, nie dojdzie do tego.

Próbował wstać, młodzieniec jednak pchnął go styliskiem siekiery w mostek i Frank opadł na kolana.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, dobrze? Słyszysz mnie? Trzymaj się z daleka. Nie chcę tego złapać.

— Nie sędę, aby to było prawdopodobne — wymamrotał Frank. — To choroba płciowa. Przechodzi z człowieka na człowieka poprzez wymianę płynów ustrojowych.

— Jak AIDS?

— Dokładnie tak, jak AIDS.

— Skąd wiesz?

— Bo jestem lekarzem i dlatego, że właśnie tak się zaraziłem.

— Poprzez seks?

— Właśnie, poprzez seks. Teraz staram się dostać do Sisters of Jerusalem. Nie mogę zadzwonić, bo telefony nie działają, moja komórka nie działa, tak samo komputer. Ale ktoś musi się dowiedzieć, co odkryłem.

— Jeśli próbujesz się dostać do Sisters of Jerusalem, to trochę zboczyłeś z drogi. Wiesz, gdzie jesteś?

Frank rozejrzał się. Oślepiało go słońce, a w głowie tak mu pulsowało, że ledwie mógł myśleć.

— Bo ja wiem... na Siódmej, niedaleko Dwudziestej?

— Jesteś w West Village. Hudson Street przy Barrow.

Frank zaczął się podnosić z ziemi.

— Muszę się dostać do Sisters of Jerusalem...

— Nie obchodzi mnie, stary, gdzie musisz się dostać, jeśli tylko grzecznie się odwrócisz i pójdziesz, skąd przyszedłeś.

— Boże, nikt nic nie rozumie! To wampiry... prawdziwe, najprawdziwsze wampiry. Nazywają się strigoi.

Młody człowiek przyjrzał mu się uważnie.

— Powiedziałeś właśnie to, co mi się zdawało, że usłyszałem?

Frank był zdezorientowany. W głowie pulsowało mu coraz boleśniej i był przekonany, że czuje swąd palonych włosów.

— Że jak? Nie wiem, co powiedziałem.

— Powiedziałeś strigoi. Wiesz coś o strigoi?

— Niewiele, ale wiem, że istnieją, i odkryłem, gdzie się chowają, kiedy wszędzie

słońce. Przynajmniej tak mi się wydaje. I chyba wiem też, jak je powstrzymać przez przyjściem do nas, kiedy robi się ciemno.

— Ale sam jesteś jednym z nich.

— Jeszcze nie. Zgadza się, jestem zakażony, ale jeszcze nie przeszedłem na drugą stronę.

Młody człowiek zdawał się nie wiedzieć, jaką decyzję podjąć. Rozejrzał się na boki, po czym powiedział:

— Nie możesz iść do Sisters of Jerusalem.

— Dlaczego?

— To nie ma sensu. Słyszałem, że mają tam przepełnienie i zaczął się pożar.

— Mimo wszystko muszę znaleźć kogoś z władz. Z władz sanitarnych albo z CDC.

— Nie wiem, czy ci się to uda... całe miasto zamieniło się w dom wariatów.

Frank wykaszlał jeszcze trochę krwi. Młodzieniec przez chwilę go obserwował.

— Posłuchaj — powiedział końcu — spotkałem gościa, który wie coś o strigoi. Chyba najlepiej będzie, jak się z nim spotkasz.

— Na pewno?

— Nie mam pojęcia, ale co możemy innego zrobić?

Frank zasłonił oczy dłonią i popatrzył na niego.

— Pewnie wie pan, że mam wielką ochotę napić się ludzkiej krwi. Nie udaję, że nie. Moja skóra zdaje się płonąć i jeżeli mnie pan ze sobą zabierze, nie mogę gwarantować, że nie spróbuję poderżnąć panu gardła, by wypić pańską krew.

— Jak się nazywasz? — spytał młodzieniec.

— Frank Winter, doktor Winter.

— A ja się nazywam Gil Johnson i jestem członkiem Gwardii Narodowej, weteranem dywizji Rainbow i jeśli choćby tylko spojrzysz na moje gardło, wezmę ten kawałek drewna, który trzymam w ręku, i rozwalę ci mózg.

Frank wstał z trudem.

— Uwierz mi, Gil... to prawdopodobnie byłaby wielka ulga.

ROZDZIAŁ 14

Krew Draculi

Jenica naląa dwa kieliszki słodkiego białego rumuńskiego wina i zaproponowała mi migdałowe ciasteczka, które smakowały jak drobny piasek. Siedziała obok mnie na obitej aksamitem kanapie, na tyle blisko, że nasze kolana się ze sobą stykały.

— Ojciec dzwonił z Bukaresztu, zaraz po tym jak usłyszał, co się dzieje w Nowym Jorku. Pierwsze jego słowo brzmiało: strigoi.

Zakrztusiłem się ciasteczkiem.

— Śpiewająca Skąa ostrzegł mnie, że nie powinienem wypowiadać tego słowa. Wie pani, jeśli to „coś” usłyszy swoje imię, przyjdzie po mnie. Mówił, że rozerwie mnie na kawałki.

— Nie, nie — powiedziała uspokajająco Jenica. — Samo słowo strigoi nie jest niebezpieczne. To ogólne określenie wampira, a nie imię jednego z nich. Twój przewodnik duchowy ostrzegał cię przed nimi, ale musiał ci jeszcze podać imię...

Pokręciłem głową.

— Jeżeli mi je dał, to tego nie zauważyłem.

— Skoro ci go jeszcze nie powiedział, to na pewno wkrótce powie — oświadczyła Jenica. — Jeśli w Nowym Jorku na ulice nagle wyszło tyle wampirów, muszą wychodzić z gniazda.

— Nie bardzo rozumiem.

— Gniazdo to miejsce, gdzie ukrywa się wiele strigoi, może to też być miejsce zamknięte przez myśliwych wampirów. Tkwią tam przez setki lat i czekają na moment, kiedy będą mogły uciec. Ojciec badał strigoi w Rumunii, na uniwersytecie w Babes-Bolyai. Zawsze był przekonany, że w Nowym Jorku jest gniazdo. Szukał go przez całe lata, od samego przyjazdu do Ameryki. Był w wielu bibliotekach, badał stare mapy i pamiętniki, ale nie udało się mu zlokalizować gniazda.

Wzięła moją dłoń i zaczęła rysować na niej jakieś wzorki, co miało bardzo

erotyczny podtekst.

— Gniazdo strigoi zawsze jest pilnowane przez bardzo silnego ducha wampira zwanego svarcolaci. Po angielsku svarcolaci to chyba „martwy wampir”. Nie ma cielesnej postaci jak strigoi.

— Svarcolaci. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. No, ale w końcu do tej pory nie słyszałem także o strigoi.

— W rumuńskich legendach ludowych svarcolaci to także „zbieracz wampirów”. Jeśli strigoi z gniazda zarazi ludzi, Zbieracz Wampirów zaczyna ich szukać i sprowadza do gniazda. Tam uczy ich życia w nocy, aby stały się strigoi. Twój duch przewodni na pewno ostrzegł cię przed svarcolaci, bo Zbieracz Wampirów słyszy swoje imię, nieważne jak z daleka, nawet w szepcie... nawet wymawiane we śnie. Czasem wystarczy je tylko pomyśleć, a on już przychodzi.

— A... jak oni wyglądają, ci Zbieracze Wampirów?

— Mają różne kształty, Harry, różne twarze. Najczęściej ludzie nazywają ich Skośnymi, bo wyglądają jak odsuwające się od światła cienie. Pokażę ci.

Przeszła przez pokój i przyniosła małą, oprawioną w skórę książkę. Otworzyła ją i pokazała mi fragment tekstu. Był po rumuńsku, ale ilustracja nie potrzebowała podpisu. Ukazywała dwoje śpiących dzieci, przy których łóżku paliła się kapiąca świeca. Nad dziećmi stała skośna, ciemna, niesamowicie wyciągnięta postać, dokładnie taka jak ta, która pojawiła się u mnie w mieszkaniu, kiedy przepowiadałem przyszłość Tedowi Buschowi. Poczułem w żołądku dziwny chłód i ucisk — taki sam, jaki pojawia się, kiedy człowiek uświadamia sobie, że sprawy poszły nie po jego myśli i pozostaje mu już tylko siedzieć i czekać na najgorsze.

— Widziałem go — powiedziałem, oddając książkę Jenicy — Widziałem tego łobuza. Pokazał mi go Śpiewająca Skała, w moim mieszkaniu. To on albo coś bardzo podobnego.

— Więc mamy pewność, z czym mamy do czynienia — stwierdziła Jenica. Przez chwilę przyglądała się rysunkowi, po czym zamknęła książkę, położyła ją na stole i postawiła na niej ciężki szklany przycisk do papierów, jakby Zbieracz Wampirów mógł wyskoczyć spomiędzy kartek. — Jest wiele svarcolaci i chyba ojciec wszystkie

zna, ale niestety nie będzie z nim kontaktu, póki nie naprawią telefonów.

— Twój ojciec naprawdę uważa, że w Nowym Jorku jest gniazdo strigoi!

— Na sto procent. Znalazł listy przewozowe firmy transportowej z dziewiętnastego wieku. Niektóre z nich napisano kodem, ale dał się złamać.

Dolała mi wina. Nie miałem ochoty pić więcej, zwłaszcza że smakowało jak przepocony pasek od zegarka. Minęła już druga w nocy i czułem się wykończony, tęskniłem za łóżkiem, a mój mózg był w dalszym ciągu rozedrgany. Ale może wino zadziała jak środek uspokajający i powstrzyma sny. Uwierzcie mi, ostatnią rzeczą, jaką chciałem, były sny.

— W tysiąc osiemset sześćdziesiątym dziewiątym roku dwoma najbogatszymi ludźmi w Nowym Jorku byli Charles Redding z New England i Gheorghe Vlad z Cluj-Napoca w Rumunii — powiedziała Jenica.

— Słyszałem o nich. O Charlesie Reddingu na pewno. Założył Redding's Department Store, prawda? I zbudował niesamowitą posiadłość w greckim stylu tuż obok Astorów, przy Piątej Alei.

— Zgadza się. Charles Redding i Gheorghe Vlad byli partnerami biznesowymi. Wspólnie zarobili miliony dolarów na imporcie luksusowych dóbr z Europy i Bliskiego Wschodu: modnych ubrań dla kobiet, mebli, dywanów, szkła. Charlesowi Reddingowi wystarczył Nowy Jork, ale Vlad uważał, że staną się sto razy bogatsi, jeżeli otworzą sklepy w całej Ameryce — najpierw w Denver, a potem w Kalifornii. Pojechał do Denver i znalazł miejsce na nowy sklep, po czym posłał po żonę i szóstkę dzieci. Kiedy rodzina Vlada jechała przez Plains, została zaatakowana przez Siuksów Teton i wszyscy zginęli, nawet jego najmłodszy synek. Vlad przysiągł wtedy przed Bogiem, że zemści się na Indianach i wybiję Siuksów... wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci... tak jak oni zniszczyli jego rodzinę. Zabrał szczątki swoich bliskich do Rumunii i pogrzebał je tam. Ale ojciec odkrył też, że zrobił coś jeszcze innego: pojechał do wsi niedaleko Borsa w Transylwanii i kazał wziąć dwieście trumien z krypt w kościołach, gdzie były zamknięte od tysiąc siedemset sześćdziesiątego siódmego roku. Listy przewozowe, które ojciec znalazł, świadczą o tym, że w trumnach były strigoi, a w sarkofagu svarcolaci. Gheorghe Vlad zamierzał przewieźć

je do Ameryki i przetransportować na terytorium Siuksów, żeby te stwory zlikwidowały każdego Indianina, jakiego udałoby się im znaleźć.

— Jezu... straszliwy plan. Myślisz, że uszłoby mu to na sucho? No wiesz, chyba każdy, kto chciałby wwieźć na terytorium Indian dwieście trumien, byłby podejrzany.

— Oczywiście, ale są pewne dokumenty, świadczące o tym, że Gheorghe Vlad otrzymał pomoc ze strony armii USA, nawet miał od niej dostać wagony. Amerykańska armia uważała, że to świetna okazja, by pokonać jedno z najgroźniejszych indiańskich plemion bez ryzykowania życia choćby jednego swojego żołnierza.

— Ale wypuszczenie tych strigoi na wolność... czy to nie było ryzykowne? Czym by się żywili po wybiciu Indian? W dalszym ciągu szukaliby krwi, prawda?

— Nie wiem na pewno, ale może Gheorghe Vlad znalazł sposób, co zrobić z tymi wszystkimi strigoi, kiedy zemsta się dokona. Może zresztą nie pomyślał o tym, musisz jednak pamiętać, że miałyby nad nimi kontrolę przez svarcolaci. Zbieracz Wampirów to martwy wampir i nie mógłby powrócić do życia, dopóki Gheorghe Vlad nie przeprowadziłby odpowiednich rytuałów reinkarnacyjnych, a potem musiałyby słuchać jego rozkazów, niezależnie od tego, jakie by były. To jak opowieść z Baśni tysiąca i jednej nocy o duchu w lampie. Ktokolwiek ożywia Zbieracza Wampirów, panuje nad wszystkimi wampirami.

— Ale Gheorghe Vlad nie wybił Siuksów. Zrobiła to armia amerykańska.

— Hm... masz rację. Statek z trumnami dopłynął bezpiecznie do portu w Nowym Jorku, ojciec znalazł zapis o tym, niestety, Gheorghe Vlad zmarł na udar godzinę przed zacumowaniem statku. W ładowniach leżały więc trumny, ale nikt nie wiedział, co w nich jest ani po co przywieziono je z Rumunii. Wiedzieli o tym tylko klerycy w Borsie i dwóch albo trzech wysokich rangą oficerów amerykańskich. Kiedy Vlad zmarł, żaden z nich nie zamierzał przejmować trumien. Nie wiedzieli, jak ożywiać strigoi... poza tym ktoś z dowództwa na pewno by zapytał, po co im to, i musieliby się przyznać, że zamierzali dokonać aktu ludobójstwa.

— Co się stało z trumnami?

— Charles Redding kazał je złożyć w piwnicy Redding's Department Store, do

chwili aż się wyjaśni, dlaczego jego wspólnik kazał je przywieźć zza Atlantyku. Myślał może, że są w nich szczątki jego rodziny, że Vlad chciał wszystkich swoich bliskich pochować w Ameryce, gdzie mógłby opiekować się ich grobami. Wysłał listy do Bukaresztu, ale nie dostał odpowiedzi, a pięć miesięcy później, w zimie tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku, sam zmarł na zapalenie płuc. Po jego śmierci Redding's Department Store o mało nie zbankrutował, najpierw kupił go Green, potem Bloomberg i nikt nie wie, co się stało z trumnami. Prawdopodobnie zamurowano je pod fundamentami, kiedy w tysiąc dziewięćset siódmym roku zburzono Redding's Department Store.

— Wygląda jednak na to, że teraz znowu wypłynęły.

— Właśnie. Ojciec i ja uważamy, że strigoi wyszły z gniazda, ale kto je ożywił? Musiał je odkryć ktoś, kto wiedział, jak ożywić Zbieracza Wampirów.

— Wiele ludzi może to wiedzieć.

— Oczywiście, ale nie wiemy, kto to był. Może ktoś, kto zna stare rumuńskie legendy.

— Więc jaki jest plan?

— Nie wiem. Jeżeli chcemy zatrzymać tę epidemię, musimy odnaleźć gniazdo, Zbieracza Wampirów i tego, który go ożywił.

— No i chyba powinniśmy się dowiedzieć, dlaczego go ożywił? No wiesz, ten, kto potrafił to zrobić, musiał wiedzieć, jakie będą tego konsekwencje.

— Oczywiście. Może szukamy terrorysty, może czegoś jeszcze gorszego.

— To zachęcające.

Spróbowałem ponownie zadzwonić z komórki, nie reagowała jednak. Wsłuchałem się w odgłosy za oknami, ale miasto wydawało się dziwnie spokojne. Nie było syren, helikopterów, odgłosów samochodów.

— Chcesz iść do łóżka?

— Słucham...?

— Jeśli chcesz, możesz spać w łóżku ojca. Dziś wieczorem nic już nie zrobimy.

— No tak... byłoby świetnie. Przydałaby mi się też szczoteczka do zębów, jeśli masz zapasową. Mam wrażenie, jakbym się całował z pancernikiem.

Jenica uśmiechnęła się.

— To przez to rumuńskie wino. Mawiamy, że daje mężczyźnie oddech, którym może przewracać mury.

Obudziłem się, bo jakaś ręka dotknęła mojego ramienia. Z początku pomyślałem, że to Karen. — Chcę spać... — zaprotestowałem.

— Mister Harry, przyniosłam herbatę.

Otworzyłem jedno oko i próbowałem wyostrzyć obraz. Stała nade mną Jenica — w bardzo luźno zawiązanym różowym jedwabnym szlafroku. Rozejrzałem się wokół i przypomniałem sobie, że leżę na twardym jak cement, ozdobionym czterema kolumnami łóżku jej ojca, stojącym w mrocznym ludowym muzeum, i nie licząc butów, jestem całkowicie ubrany.

Usiadłem i zobaczyłem swoje odbicie w pokrytym plamami lustrze. Moje włosy stały, jakbym nazywał się Erskine Szalony, a lewy policzek był wyrzeźbiony w orientalne zawijasy, które odcisnęły się od poduszki. Z dziury w skarpetce na mojej prawej nodze wystawał duży palec.

— Która godzina?

— Szósta.

— Szósta? Wspaniale. Prawie trzy i pół godziny snu.

— Ale słońce jest tak jasne, że możemy zacząć szukać strigoi.

Strigoi. Dopiero świtało, a ona już chciała zaczynać szukać strigoi. Postawiła szklankę na stoliku obok łóżka.

— Chcesz śniadanie? Mam jogurt, miód i farinę z suszonymi morelami.

— O nie, dziękuję bardzo. Mam zasadę, aby nie wkładać do ust nic stałego, dopóki się na dobre nie obudzę, a zwykle ma to miejsce dopiero koło południa.

Wziąłem szklankę i upiłem łyk herbaty. Nie jestem miłośnikiem herbaty, ponieważ uważam, że napój powinien obudzić albo przyprawić o utratę przytomności, i dlatego trzymam się mocnej czarnej kawy, guinnessa i jacka danielsa. Herbata to jedynie woda o smaku liści, a czegoś takiego można się napić w lesie z kałuży.

Jenica wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

— Przejrzałam książki w bibliotece ojca i znalazłam książkę o wszystkich svarcolaci. Została napisana pod koniec osiemnastego wieku przez Czarnych Czyścicieli, bractwo zakonników. W tamtych czasach wampiry rozprzestrzeniały się w Transylwanii i na Wołoszczyźnie szybciej niż dżuma, więc biskupi rumuńskiego Kościoła prawosławnego zażądali oczyszczenia okolicy z każdego svarcolaci, strigoi i moroi. Czarni Czyściciele przeszukiwali wszystkie piwnice i wieże i nabijali na pal każdego wampira, którego znaleźli, obcinali im głowy, palili je żywcem albo zamykali w trumnach i sarkofagach. W książce są rysunki i imiona wszystkich znanych svarcolaci których udało im się dopaść.

— To wspaniale. Daj mi kilka minut na wyostwienie wzroku, żebym mógł obejrzeć te rysunki.

— Chcesz jeszcze herbaty? To bizonowa trawa. Podobno dodaje mężczyznom wigoru.

— Nie chciałbym być niewdzięczny, ale czy mam szansę na coś innego do picia?

— Oczywiście. Umyj się, a ja zaparzę kawę. Pokuśtykałem do mauretańskiej łazienki i wlałem pod prysznic. Był tu cały szereg staromodnych kranów i zanim udało mi się nastawić ciężki ciepły deszcz, trzy razy oblałem się lodowatą wodą.

Kiedy się wycierałem, Jenica weszła do łazienki w tak naturalny sposób, jakbyśmy byli małżeństwem.

— Chcesz ciasta?

— Nie, poproszę samą kawę.

— Zawsze myślałam, że gniazdo strigoi w Nowym Jorku to nieprawda, choć ojciec był tego pewien. Kto by uwierzył? Kto uwierzyłby, że będziemy we dwoje polować na strigoi?

— Nie musimy na nie polować. Możemy się zabarykadować i zaczekać, aż sobie pójdą.

— Tracisz chyba nerwy...

— Oczywiście, że nie. Mówię tylko, że nie jesteśmy zobowiązani do ich szukania. Nikt źle o nas nie pomyśli, jeżeli tego nie zrobimy.

Jenica pokręciła głową.

— My sami źle o sobie pomyślimy. Poza tym strigoi nie odejdą, dopóki nie wypiją ostatniej kropli krwi w Nowym Jorku. Wtedy zrobi się tu miasto ciemności i w dzień nie będzie nikogo. Kiedyś tak było w Rumunii, w Tirgu Mures, i może powtórzyć się tutaj.

Problem polegał na tym, że miała rację. Wydawało się niemożliwe, aby najważniejsze miasto Stanów Zjednoczonych zostało opanowane przez krwiopijców z Epoki Ciemności. Wydawało się to wręcz chore, ale przecież jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku dwa najwyższe budynki w Nowym Jorku zostały zniszczone przez wariatów, którzy zabili kilka tysięcy ludzi — a kto wyobrażałby sobie dzień wcześniej, że to możliwe?

Zawsze trudno jest uwierzyć, że ktoś może aż tak bardzo nienawidzić, do tego bez powodu. Kiedy się ubrałem, poszedłem do salonu, gdzie Jenica przeglądała kolejną książkę z biblioteki ojca. Była to cienka książeczka, oprawiona w jasną spękaną skórę, która wyglądała jak ludzka, z dziwnym symbolem z przodu — owalem i okiem pośrodku. Na każdej stronie znajdowała się rycina przedstawiająca twarz mężczyzny i kilka akapitów gęstego tekstu.

— Twoja kawa — powiedziała Jenica i podała mi porcelanową filiżaneczkę, którą musiała ukraść z domku dla lalek. Zajrzałem do środka: była wypełniona zaledwie w jednej trzeciej, ale napój miał bogaty orzechowy aromat i gdy wypłem go jednym haustem, poczułem się, jakby wyrosła mi gęsta czarna broda. — Może Śpiewająca Skala poda ci wkrótce imię twojego Zbieracza Wampirów.

— Mógłbym go chyba o to zapytać, choć wątpię, czy udzieli mi odpowiedzi. Możliwe, że już mi podał to imię, lecz ja tego nie zauważyłem, a on nie lubi robić niczego dwa razy.

— Jego imię to dla nas najważniejsza sprawa. Musimy wiedzieć, którego svarcolaci szukamy, ponieważ do każdego trzeba zastosować inny rytuał. Ten rytuał to zmuszenie svarcolaci do powrotu do trumny i zaplombowanie jej.

Patrzyłem na stronicę, którą pokazywała, choć nie tylko nie rozumiałem ani słowa, ale nawet nie umiałbym ich wymówić. Ci, ii dracul cu dracoaica, striga cu strigoiul, deochiu cu deochitorul, pocitura cu pocitorul, potca cu potcouil...

Przyjrzałem się uważniej rysunkowi. Był na nim uśmiechający się mężczyzna z zamkniętymi oczami. Jego twarz otaczał ozdobny szlaczek z ropuch, wążek i drobnych kwiatków. Choć twarz była inna i szlaczek inny, przypominał rysunek na medalionie, który zabrałem Tedowi Buschowi. Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i wyciągnąłem go.

— Proszę bardzo — powiedziałem, unosząc medalion. — Zabrałem to chłopakowi, o którym ci wczoraj opowiadałem.

Jenica wzięła go i uważnie mu się przyjrzała. Potem popatrzyła na mnie swoimi ciemnymi oczami jak na wiejskiego kretyna.

— Dlaczego nie pokazałeś mi go wcześniej?

— Nie wiem. Zapomniałem.

— Jak mogłeś zapomnieć? To jeden ze svarcolaci.

— Teraz wiem. Odwróciła medalion.

— Napis z tyłu to ochrona. „Od wampirów i od domu z wampirami, od tych, co rzucają złe spojrzenie, ochroń mnie”.

— Biedak powiedział, że dostał go od dziewczyny, która wyglądała na Rosjankę.

— Mhm... Mogę się założyć, że była Rumunką i strigoica, która go zaraziła. Dała mu ten medalion do ochrony przed innymi wampirami, które chciałyby podciąć mu gardło i wypić krew. Musiała go lubić i chciała, aby został strigoi, jednym z jej kochanków.

— A co z twarzą?

— Musimy przejrzeć książkę.

Stałem za nią i patrzyłem, jak przerzuca kartki. Było ponad osiemdziesięciu svarcolaci i w większości byli podobni do siebie — przystojni na słowiański sposób, o szczupłych twarzach i spiczastych nosach, choć kilku wyglądało bardzo śniado, a niektórzy mieli wielkie wąsy i brody. Może pili taką kawę, jaką robiła Jenica. Ale każdy miał wokół twarzy inny szlaczek — od śpiewających ptaków poprzez brzytwy po liście morwy.

— Jest! — zawołała nagle Jenica. — To jest, moim zdaniem, nasz Zbieracz Wampirów.

Chyba miała rację. Mężczyzna na drzeworycie miał na głowie pasiasty turban i kunsztowny kolczyk w uchu, ale zdecydowanie był to osobnik z medalionu Teda Buscha. Szlaczek był taki sam — posplatane ze sobą węże i gwiazdy. Svarcolaci miał ponurą minę, jakby wkurzało go, że został odkryty.

Imię pod spodem brzmiało VASILE LUP. Jenica natychmiast zakryła je ręką.

— Nie czytaj głośno. To może być imię, przed którym ostrzegał cię twój przewodni duch.

— Moje usta są zaplombowane.

Jenica odsunęła dłoń i zaczęła tłumaczyć.

— Jego imię oznacza „wilk”. Tu jest napisane, że był kuzynem Vlada Tepesa, znanego jako Vlad Wbijający na Pal albo Draculea.

— Żartujesz sobie. Draculea jak w Draculi?

— Właśnie. Ale Draculea był tylko bardzo okrutnym człowiekiem, wojewodą Wołoszczyzny.

— Czym czego?

— Czymś w rodzaju księcia, na południu Rumunii. Nigdy nie był jednak wampirem.

— A ten był?

— Zgadza się. — Palce Jenicy przesuwają się po rumuńskim tekście. — Pod koniec września tysiąc czterysta pięćdziesiątego siódmego roku, kiedy polował w górach na niedźwiedzia... chyba za każdym razem powinnam nazywać go po prostu „Wilkiem”... no więc podczas tego polowania Wilk beznadziejnie się zgubił i był zmuszony spędzić kilka nocy w lesie. Każdego wieczoru zaraz po zmierzchu okrążały go strigoica. To wampiry–kobiety, szukający mężczyzn–kochanków, aby zmieniać ich w strigoia. Było tyle strigoica, że wysiłki Wilka, aby utrzymać je z dala, nic nie dały. W końcu został żywym trupem. Kiedy odnalazł drogę do zamku Draculei, nie powiedział o tym, co mu się przydarzyło, choć po powrocie z lasu nigdy nie widziano go za dnia i zaczął prowadzić bardzo skryte życie.

— Nic dziwnego. Jeśli nie żył, musiał być dyskretny.

Jenica popatrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem. Tak poważnie podchodziła

do wszystkiego, co miało związek ze strigoi, iż trudno było nie uwierzyć, że to wszystko prawda, choć mówiliśmy o Draculi i prawdziwych żywych trupach sprzed pięciu i pół wieku.

— „W celu zabicia Draculei i przejęcia stanowiska wojewody Wilk zaczął zbierać wokół siebie niezadowolonych dworzan”. Musisz wiedzieć, że w owych czasach skrytobójstwo było zwykłym sposobem przejmowania władzy, synowie zabierali w ten sposób władzę ojcom, a brat bratu. „Draculea miał jednak wielu szpiegów i odkrył, co Wilk knuje. Kiedy wyciągnięto Wilka z łóżka i wystawiono na działanie światła dnia, Draculea natychmiast zrozumiał, że jest on jednym z żywych trupów, i kazał wbić go na pal — zawsze karał tak zdrajców, kłamców i ludzi, którzy przestali mu się podobać. Kiedyś w ciągu jednego dnia kazał nabić na pale tysiąc ludzi. Pal był tępy i dobrze nasmarowany, żeby Wilk nie umarł od razu, i wpychano mu go między pośladki, aż wyszedł przez usta. Potem postawiono pal pionowo, w cieniu zamkowych murów, aby Wilka nie spaliły promienie słońca i aby cierpiał przez wiele dni”.

Miałem ochotę powiedzieć coś o tym, że czasami nie warto mieć za dużo w dupie, ale się powstrzymałem. Jenica odwróciła kartkę.

— „Kochance Draculei, Lenucie, byłej żonie Wilka, któremu Draculea odebrał ją siłą, zrobiło się go jednak żal. Tak długo świeciła na niego trzymanym w ręku lusterkiem z murów obronnych, że słońce go zapaliło i spopieliło, uwalniając od cierpienia. Wilk stał się w ten sposób martwym wampirem — svarcolaci. Ale Draculea odkrył, co zrobiła jego kochanka, rozplątał jej brzuch, żeby wszyscy poznali jego władzę. Aby się zemścić, Wilk musiał czekać wiele lat, w końcu jednak dokonał swego. Drugiej nocy bitwy o Bukareszt, w grudniu tysiąc czterysta siedemdziesiątego szóstego roku, pięć strigoi weszło do namiotu Draculei. Poderżnęli mu gardło i wypili krew, po czym obcięli mu głowę i wbili ją na pal, żeby zwycięscy Turcy ujrzeli ją od razu rano, kiedy wszędzie słońce”.

— Nie jest to lektura do poduszki, co? Piszą tam, jak zakonnicy złapali Wilka?

— Tylko bardzo ogólnie. W tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym roku Czarni Czyściciele wysłedzili Wilka i jego gniazdo strigoi w domu niedaleko Borsy w Transylwanii. Zbudowali zaporę na strumieniu i rozdzielili jego nurt, tak żeby woda

otoczyła dom ze wszystkich stron, bo wampiry nie mogą przejść przez wodę, po czym zburzyli dom, aby wystawić wampiry na działanie słońca. Wilka nie dało się oczywiście zabić, ale tu jest napisane, że „został owinięty miłą srebrnego drutu i zamknięty w trumnie wyłożonej srebrem, która została zaplombowana woskiem z kościelnych świec, zmieszany z gniecionym czosnkiem”. Choć może raczej...

Zmarszczyła czoło i jeszcze raz przeczytała zdanie.

— Coś nie tak? — spytałem.

— Nie do końca to rozumiem. Wcale nie wynika z tego, że to Wilka owinięto drutem i zamknięto w trumnie. Jeżeli przetłumaczy się dosłownie, oznacza to: „jego doskonały obraz”. Albo „jego dokładną podobiznę”.

— No wiesz, nie był żywym trupem, ale duchem, a duchy mogą przybierać różne dziwne postacie. Kiedy Śpiewająca Skala sprowadził go do mojego mieszkania, był wyciągnięty... nie wyglądał jak człowiek, lecz jak cień. Może zakonnicy chcieli powiedzieć, że niezależnie od tego, jaki przybrał kształt, na pewno był to on. „Jego dokładna podobizna”.

— Nie jestem pewna, w każdym razie zabrano trumnę do Borsy i zamurowano ją w kryptach kaplicy Świętego Bazyla. Właśnie tam musiał ją znaleźć Gheorghe Vlad.

— Więc to jest ten Zbieracz Wampirów, którego musimy szukać?

— Zgadza się. Choć nie wiem, gdzie możemy go znaleźć. Svarcolaci są wyszkoleni w ukrywaniu się w taki sposób, że nawet najlepsi Czyściciele nie umieją ich znaleźć.

— Może powinienem spróbować wypowiedzieć prawdziwe imię Wilka? Wtedy to on zacznie mnie szukać.

— Nie! Nie wiesz, co proponujesz, Hany. Jeżeli svarcolaci się dowiaduje, że ktoś go ściga, zabija tego człowieka, zanim znów wzejdzie słońce. Twój duch przewodni ma rację... zostałbyś rozerwany na strzępy.

— No dobrze. Jaki jest więc plan B?

— Przejrzę książki ojca i zobaczę, może gdzieś zapisano, w jaki sposób Czarni Czyściciele odkryli, gdzie Wilk się ukrywa.

— Doskonały pomysł. Jesteś nie tylko wspaniałą kobietą...

Wbiła we mnie wzrok, jakby czekała na coś jeszcze.

— Co chcesz, żebym ci powiedział? Uważam, że jesteś piękna i jeśli sama o tym nie wiesz, patrzyłaś dotychczas w nieodpowiednie lustra.

— Mister Harry, szukamy Zbieracza Wampirów.

— Oczywiście. Przepraszam, pomyślałem tylko, że powinienem dać ci do zrozumienia, że nie jestem całkowicie nieczuły. No wiesz, na twój wygląd. To łaskotanie, które mi robiłaś na dłoni, no i kiedy weszłaś do łazienki, gdy brałem prysznic...

Jenica sprawiała wrażenie kompletnie zaskoczonej. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaką poczułem ulgę, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

ROZDZIAŁ 15

Zimna krew

Zaciągnęliśmy jak najdokładniej aksamitne zasłony. Pomijając kilka trójkątnych plamek światła, było tak ciemno, że ledwie się widzieliśmy, ale doktor Winter nie mógł przestać drzeć. Gil podstawił mu złożone krzesło o prostym oparciu, biedak jednak stał zgięty wpół z bólu. Twarz posmarował grubo żółtawym kremem przeciwsłonecznym, a wokół ust miał zaschniętą krew, co wyglądało jak dziwaczna broda. Jego czarne spodnie były brudne, jeden z rękawów został oderwany.

— Może nie powinienem był go tu przyprowadzać — mruknął Gil.

— Nie, sądzę, że dobrze zrobiłeś — odparłem.

Jenica chodziła po pokoju.

— A jeżeli Wilk go przysłał, żeby rozszarpał nas na kawałki? Skąd mamy wiedzieć, że nie zaatakuje nas, nie podetnie nam gardeł i nie wypije naszej krwi?

Odpowiedź na te pytania brzmiała, że... hm... oczywiście, nie możemy tego wiedzieć, ale z jakiegoś powodu czułem, że możemy temu człowiekowi ufać — przynajmniej trochę. Nie miał tak tępego spojrzenia jak ludzie, z którymi walczyliśmy z Gilem na ulicy. Był bez wątpienia bardzo chory, ale można było też zauważyć, że bardzo stara się nie pozwolić, aby choroba go pokonała. Poza tym był lekarzem. Kiedyś przysiągł, że będzie ratował ludziom życie — niezależnie od wszystkiego. Usiadłem obok niego na kanapie.

— Frank, tak, doktorze?

Uniósł nieco głowę i spróbował się uśmiechnąć.

— Dziękuję, że zabraliście mnie z ulicy. Gdybyście tego nie zrobili, chyba bym już nie żył.

— Gil mówi, że jest pan zarażony.

— Zgadza się. Zrobiła to moja pacjentka, Susan Fireman. Umarła, a przynajmniej tak mi się wydawało. Dzień po tym, jak zabrano ją do kostnicy, weszła po ścianie do

mojej sypialni. Mieliśmy stosunek.

— Martwa dziewczyna weszła do pańskiej sypialni i udało wam się odbyć stosunek? Rany... na pańskim miejscu byłbym już w drodze do kanadyjskiej granicy, rozmazując za sobą brązową smugę...

Frank zakaszłał i kiwnął głową.

— To było jak sen. No, może raczej jak senny koszmar. Nie umiem wyjaśnić, jak do tego doszło, ale jestem pewien, że wampiry przekazują zakażenie poprzez wymianę płynów ustrojowych. Doskonały sposób... najszybszy sposób na rozprzestrzenienie epidemii. Wystarczy sobie przypomnieć, jak szybko w Indiach rozpowszechnił się wirus HIV... przez kierowców tirów, korzystających z usług przydrożnych prostytutek. Zostało zakażonych milion ludzi. W ciągu kilku miesięcy było już pięć milionów zakażeń na całym kontynencie. To samo będzie tutaj, z tą chorobą.

— Uważa pan, że to wirus?

— Coś w rodzaju zakażenia wirusowego. Nasi patologowie w Sisters of Jerusalem próbowali go wyizolować, ale z tego, co mówił mi pana przyjaciel...

— Ostatnie, co słyszałem, to że w Sisters of Jerusalem wybuchł pożar — powiedział Gil. — Także w Saint Vincent i Bellevue.

Odwróciłem się ponownie do Franka.

— Jak się pan czuje? Sądzi pan, że uda się panu pokonać tę istotę?

— Nie wiem. Moja skóra płonie. Prawdę mówiąc, czuję się jak pieczona na rożnie świnia. Tak bardzo chce mi się pić, że ledwie przełykam, ale sama myśl o wodzie przyprawia mnie o mdłości. Jestem w stanie myśleć jedynie o ludzkiej krwi. To gorsze niż pragnienie u alkoholika na głodzie.

— Co z jedzeniem? Kiedy jadł pan po raz ostatni?

— Nie pamiętam. Chyba wczoraj wieczorem.

— Sądzi pan, że udałoby się panu coś zjeść?

— Nie wiem. Może trochę surowego mięsa.

— Jenica? — spytałem.

— Mam w lodówce trochę siekanej wątróbki — odparła, choć nawet nie próbowała ukryć niesmaku.

— Zmieszamy więc trochę surowej wątróbki z rumuńskim winem i zobaczymy, czy pan na tym pociągnie. Może jeśli nie napije się pan ludzkiej krwi, uda się panu pokonać zakażenie...

— Spróbuję — jęknął Frank.

Wyskrobałem kurzą wątróbkę z zakrwawionego papieru i wrzuciłem ją do miksera. Dolałem pół butelki fetasca neagra i zrobiłem z tego gładką ciemnobrązową maź. Pachniało to przerażająco — jak królik, który zdechł po weekendowym pijaństwie, ale Frank musiał coś zjeść i nie byłem w stanie wymyślić nic innego, co mógłby zatrzymać w żołądku.

Kiedy szykowałem tę miksturę, do kuchni przyszedł Gil, więc opowiedziałem mu wszystko, czego dowiedzieliśmy się z Jenicą o strigoi i svarcolaci.

— Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że udało nam się odkryć imię Zbieracza Wampirów, który jest w Nowym Jorku. W Rumunii nazywali go Wilkiem.

— Jak się nazywa?

Wylałem maź na miseczkę i zacząłem grzebać w szufladzie w poszukiwaniu łyżeczki.

— Nie wolno nam wymawiać głośno jego imienia, bo może usłyszeć i przyjść po nas, a z tego, co mówi Jenica, on nie bierze jeńców.

— Cholera, musimy coś zrobić! — powiedział Gil. — I to szybko. Na ulicach trwa wojna. Wszędzie leżą ciała... mężczyzn, kobiet i dzieci. Jest gorzej niż w Kosowie.

Podczas pobytu w domu Gilowi udało się wziąć prysznic i ogolić, przebrał się też w świeży T-shirt i spodnie, miał jednak pod oczami ciemne kręgi i widać było, jak bardzo jest zmęczony.

— Z rodziną wszystko gra? — spytałem. Skinął głową.

— Zabarykadowałem ich w domu, mają dość jedzenia i wody w butelkach. Zostawiłem Marii broń, a wie, jak jej używać.

— To dobrze.

— Mimo to musimy coś zrobić. Nie możemy tylko siedzieć na tyłkach i rozmawiać!

— Nie będziemy — zapewniłem go. — Na początek poszukamy gniazda.

— I rozwalimy drani, tak?

— Nie sądzę, aby dało się pokonać te stwory rozrywaniem ich na kawałki. Pamiętaj, to żywe trupy, a to znaczy, że już i tak nie żyją. Musimy znaleźć trumnę Zbieracza Wampirów, bo on rzędzi resztą. Jenica ma książkę, w której opisany jest rytuał, jak go zamknąć. Jeśli zrobimy to za dnia, kiedy Zbieracz Wampirów się w niej chowa, może uda nam się sprawić, aby już nigdy nie mógł się wydostać.

— Gdzie zaczniemy szukać?

— Sam dokładnie nie wiem. Może doktor będzie miał jakiś pomysł. W końcu jest już w połowie strigoi, no nie?

— A jeśli nie będzie miał? Jeżeli stary Jenicy po tylu latach poszukiwań nic nie zdziałał, to jaką my mamy szansę?

— Nie wiem, Gil. Może po prostu powinniśmy zaufać Bogu.

Zaniosłem brązową paciaję do salonu. Frank wziął miskę do ręki, powąchał jej zawartość i dźgnął ją łyżeczką. Spróbował odrobinę i udało mu się ją zatrzymać w żołądku.

— No i jak?

— Niech pan nigdy nie próbuje otwierać restauracji, ale chyba dam radę to zjeść.

Usiadłem obok niego i patrzyłem, jak przełyka. Wzbudzał we mnie podziw. Było widoczne gołym okiem, że przechodzi piekło, ale robił, co mógł, aby zachować człowieczeństwo, a nawet poczucie humoru. Równocześnie jednak w jego oczach było coś, co wskazywało na to, że walka, którą toczy, jest przegrana. Jakby zaglądał we własne wnętrze. Widywałem takie spojrzenie u ludzi, którzy wiedzieli, że wkrótce umrą. Coś w jego wzroku mówiło: „Jak świat może być tak bardzo pozbawiony serca, aby mnie zostawić?”.

— Musimy odnaleźć miejsce, gdzie przetrzymywane są wampiry trumny — oświadczyłem. — Zastanawiałem się, czy ma pan jakiś pomysł, Frank.

— Mój ojciec zawsze uważał, że to gdzieś na południu Manhattanu, nie mamy jednak na ten temat żadnych dokumentów — powiedziała Jenica. — Może intuicja coś panu podpowiada?

Frank spróbował się uśmiechnąć.

— Jeszcze nie jestem żywym trupem, ale coś wam powiem: do ukrywania się za dnia strigoi wcale nie potrzebują trumien. Właśnie o tym chciałem powiedzieć patologom z Sisters of Jerusalem. Brzmi to pewnie dziwnie, ale mogą się chować w lustrach.

— Gdzie?

— Umieję wchodzić w lustra jak w drzwi i pozostawać w nich do zmroku.

— Jak to robią?

— Nie wiem, ale pierwsze badania w szpitalu wykazały, że mają we krwi enzym zawierający srebro. Oznacza to, że ich procesy przemiany materii są związane ze srebrem i może właśnie to pozwala im przeniknąć warstwę odbijającą światło i przejść na drugą stronę. — Zakaszał. — A może i nie. Może to sprawa czarnej magii, kto wie?

Udało mu się przełknąć kolejną łyżeczkę wątróbki z winem.

— To naprawdę obrzydliwe — stwierdził.

— Przykro mi, ale powinno podtrzymać pana trochę na siłach — odparłem.

Frank opowiedział nam, co się stało w jego mieszkaniu. O tym, jak Susan Fireman — choć martwa — weszła do jego sypialni, a potem wyciągnęła ręce z lustra, by podciąć gardło detektywowi.

— Wszędzie była krew.

— Nie miał pan... żadnej ochoty? — spytała ostro Jenica.

— Ochoty? — Frank pokręcił głową, rzucił mi jednak przy tym ukradkowe, niespokojne spojrzenie, które świadczyło o tym, że kłamie. Kim jednak byłem, aby go osądzać? Został zarażony wirusem, który zamienił setki ludzi w krwiopijcze bestie, i nikt nie wiedział, jak ich wyleczyć. Także był ofiarą.

— Śniło mi się, że Susan Fireman weszła do lustra, które mam w sypialni — powiedział Frank. — Może był to sen, a może miałem halucynacje, w każdym razie nie poszedłem za nią. Rozbiłem lustro, aby nie wróciła po mnie ani ona, ani Zbieracz Wampirów, a kiedy się obudziłem, okazało się, że lustro jest naprawdę rozbite. Chyba tylko to mnie uratowało. — Dostał kolejnego napadu kaszlu. — Chciałem się dostać

do Sisters of Jerusalem, żeby porozmawiać z chemikami. Jeżeli uda im się znaleźć coś, co rozbija ten zawierający srebro enzym, może moglibyśmy szczepić tych ludzi, kiedy pojawią się pierwsze objawy infekcji.

— Czy to ich powstrzyma przed zostaniem strigoi! — spytała Jenica.

— Wątpię, ale może nie pozwoli im uciekać w lustra. Kiedy wzejdzie słońce, nie będą się mieli gdzie ukryć i spłoną. W którymś momencie przestaną się rozpowszechniać, co da nam czas na wyszukiwanie ich i uzyskiwanie nad nimi kontroli.

— Dość radykalne rozwiązanie — mruknąłem. — Coś jak gaszenie pożaru lasu za pomocą karczowania go.

— Ma pan lepszy pomysł?

— Jak mówiłem, moim zdaniem musimy znaleźć miejsce, gdzie te stwory się ukrywają, i tam uderzyć. To na początek. Musimy się poza tym dowiedzieć, kto i dlaczego ożywił strigoi i jego też się musimy pozbyć.

— Oczywiście, Harry, to optymalny plan, ale nie będzie go łatwo zrealizować — stwierdziła Jenica. — Ojciec przez całe życie szukał Zbieracza Wampirów i jego gniazda strigoi i nie udało mu się to. Poza tym musimy zachować zdrowy rozsądek. Pamiętaj o tym, że strigoi otaczają liczne mity i legendy, nie fakty.

— Tak sądzisz? — mruknął Gil. — Moim zdaniem ci wszyscy ludzie na ulicach nie zginęli od mitów i legend, a jeśli tak, muszą to być bardzo prawdziwe mity i legendy. Jak mówi doktor, jest to albo skomplikowana biochemia, albo czarna magia. Martwi ludzie nie wspinają się po ścianach i nikt nie chowa się w lustrach, żywy czy umarły, ale strigoi nie tylko istnieją, lecz także to robią. Nawet więc jeśli wszystkim, co posiadamy, są legendy i mity, lepsze to niż nic. Kiedyś, w Bośni, miałem dziwne przeczucie, że Serbowie założyli w ośrodku dla dzieci pułapki, i właśnie to dziwne przeczucie uratowało mi dupsko. — Przerwał i popatrzył na Jenicę. — Nie masz jakiegoś batona?

— Słucham?

— Chyba spada mi poziom cukru.

— Hm... mam rumuńską czekoladę. Rumunia jest sławna ze swej czekolady.

— Wszystko jedno co. Dziś rano zjadłem na śniadanie cztery snickersy i to wszystko. Zawsze, kiedy się stresuję, muszę jeść słodczyce.

Nasza sytuacja wyglądała gorzej niż całkowicie beznadziejnie. Była z nas banda klaunów — co mogliśmy zrobić, aby ratować Nowy Jork? Czwórka nieszczęśników, siedzących w środku dnia przy zaciągniętych zasłonach w zagraconym mieszkaniu na dolnym Manhattanie. Przetrzepany, Podsypiacz, Przesądny i Piękna.

Frank: twarz biała jak papierowa maska, dygoczący i kaszlący, pojękujący i skarżący się, że płonie mu skóra. Był lekarzem, fakt, ale w tej akurat chwili jego wiedza medyczna nie była nikomu przydatna, najmniej jemu samemu. Gil: doskonale wyszkolony żołnierz, tak jednak zmęczony i zestresowany tym, czego się naoglądał na ulicach, że siedział bez słowa i z zamkniętymi oczami jadł czekoladę. Ja: miałem co prawda niejaki doświadczenie ze złymi istotami z zaświatów, ale zupełnie nie wiedziałem, jak radzić sobie z prawdziwymi wampirami, i wcale nie byłem pewien, czy mam dość odwagi lub jestem na tyle zaangażowany w ratowanie amerykańskiego społeczeństwa, aby wyjść na ulice Nowego Jorku i spróbować swoich sił. Jenica: no cóż, była nafaszerowana wiedzą spirytystyczną i bardzo seksowna, ale na moje oko obfity biust i doktorat to nieco za mało, aby załatwić liczącego sobie pięćset pięćdziesiąt lat svarcolaci.

Czy którekolwiek z nas miało siłę, przebiegłość lub techniczne możliwości stanięcia do walki z tym, kto wyciągnął Wilka z trumny, i pokonanie go? Albo „to” czy cokolwiek to było. Nie zapominajcie, że kiedyś widziałem, jak nagle znikąd pojawia się mityczny jaszczur i odgryza człowiekowi palce — byłem więc gotów uwierzyć we wszystko, a wy też powinniście, ponieważ tego rodzaju rzeczy się zdarzają, niezależnie od tego, czy chce się w to wierzyć, czy nie.

Ale Gil miał rację: może i byliśmy klaunami, musieliśmy jednak coś zrobić, bo wszystko wskazywało na to, że nikt w Nowym Jorku nie dysponuje takim połączeniem specyficznej wiedzy i doświadczenia w kontaktach ze światem duchowym jak my.

Odłamałem kawałek czekolady, którą Gil trzymał w dłoni i jadł z zamkniętymi

oczami.

— No dobra — powiedziałem. — Gdzie zaczynamy szukać? Jeżeli te stwory mogą się chować w lustrach, nie mamy szansy, dopóki nie rozbijemy wszystkich lusterek na Manhattanie.

.— Musimy znaleźć gniazdo — odparła Jenica. — Strigoi muszą się od czasu do czasu zbierać. Są bardzo złe, ale ich energia emocjonalna jest krucha. Pamiętajcie, że są tysiące mil od ojczyzny i przeżyli wszystkich przyjaciół i członków swoich rodzin o stulecia. Ojciec zawsze mówił, że są bardzo niebezpieczne, ale także bardzo samotne... być może zresztą to właśnie samotność sprawia, że są takie niebezpieczne.

— Zastanówmy się przez chwilę. Dlaczego twój ojciec nie mógł znaleźć gniazda?

— Miał kilka pomysłów. Zawsze był przekonany, że kiedy burzono Redding's Department Store w tysiąc dziewięćset siódmym roku, trumny nie mogły zostać zabrane daleko. Byłoby to za drogie, a poza tym kto chciałby płacić za nieznaną zwłokę? W żadnej z gazet nie ma wzmianki o wywiezieniu tylu trumien z Nowego Jorku albo odesłaniu ich do Rumunii, a byłoby to na pewno warte wzmianki.

— Może wywieziono je na cmentarz i spalono?

— Może. W New Jersey jest rumuński cmentarz prawosławny, ale księgi nie wspominają o podobnym zdarzeniu. Żaden cmentarz w promieniu stu kilometrów od Nowego Jorku nie wspomina w swoich rejestrach, żeby jednego dnia pochowano tyle trumien... nawet Potter's Field na Hart Island, gdzie grzebano miejskich nędzarzy.

— Co można by zrobić z dwustoma trumnami? — zastanawiałem się głośno. — Jeżeli nie chce się ich palić ani zakopywać, to gdzie można by je schować?

— Musimy przyjrzeć się mapie — powiedziała Jenica. Podeszła do regału i wróciła z bardzo dokładną, przypominającą sztabówkę mapą Manhattanu z tysiąc dziewięćset czternastego roku, którą rozłożyła na stoliku do kawy. Papier był pożółkły ze starości, a zgięcia wzmocniono taśmą samoprzylepną, aby całość się nie rozpadła. Nad częścią, ukazującą Wall Street i park Battery, był przymocowany arkusz kalki kreślarskiej, na którym ojciec Jenicy zaznaczył ołówkiem lokalizację Redding's Department Store przy Cortland Street. Podobne arkusze kalki były umocowane w miejscach, o których sądził, że mogą ukrywać trumny. — Oczywiście mapa ta została

sporządzona siedem lat po przeniesieniu trumien, więc wiele budynków mogło wtedy stać inaczej. W owych czasach w dzielnicy handlowej bardzo szybko burzono i natychmiast budowano coś nowego. Ulice niemal stale wypełniał gruz. Każdy bank chciał mieć większą siedzibę, każdy makler giełdowy chciał mieć wyższe biuro. Domy prywatne znikwały i przenosiły się coraz bardziej na północ miasta, otwierano i zamykano coraz to nowe fabryki.

— Jeżeli tak często burzono budynki, to trumny nie mogły być schowane w magazynie ani na strychu. Bardzo szybko by je wtedy znaleziono.

— Myślisz więc, że to była piwnica? — zapytał Gil, nie otwierając oczu.

— Piwnica, piwniczka na wino, może burzowiec. W każdym razie pod ziemią. Tak sądzę. Nawet kiedy burzono konstrukcję naziemną, piwnica powinna pozostać nienaruszona.

Frank wstał z krzesła, podszedł do kanapy i usiadł obok mnie. Wpatrywał się długo w mapę i hamował kaszel.

— Co to jest? — powiedział w końcu. — Kościół Świętego Stefana?

— Tak — potwierdziła Jenica. — Rumuński kościół prawosławny pod wezwaniem Świętego Stefana przy Cedar Street. Otwarto go w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, lecz ponieważ stał tuż przy World Trade Center, kiedy zawaliła się południowa wieża, został całkowicie zniszczony.

— Pamiętam, oczywiście, widziałem w telewizji. Ulice na tej mapie tak się różnią od dzisiejszych, że z początku się nie zorientowałem, że to ten sam kościół. Ale „święty Stefan”... to dziwne.

— Co jest dziwne?

— W moim śnie widziałem dziadka. Siedział w starym czarnym mercurym marquisie, tyle że przerobionym na karawan. Zauważyłem, że włosy dziadka świeciły jak aureola i pomyślałem: Boże, on wygląda jak święty.

— To było w tym śnie z Susan Fireman? Kiedy próbowała pana przekonać, żeby wszedł pan do lustra?

Frank zakaszłał i odchrząknął.

— Tak, ale zaczynam sądzić, że to wcale nie był sen. To było coś bardziej

przypominającego trans hipnotyczny. Susan Fireman była w mojej głowie, jak hipnotyzer. Przywoływała moje wspomnienia z dzieciństwa, abym uważał, że wszystko jest w porządku i nie ma się czym martwić. Mógłbym przejść przez lustro, umrzeć, zamienić się w strigoi i wszystko byłoby wspaniale. To wyglądało jak mój świat, było jednak całkowicie pod jej kontrolą.

— Nie nadążam — mruknąłem.

— Wszystko w tym śnie miało określone znaczenie. Plaża, lustro... wszystko. Co robił tam mój dziadek? Dlaczego siedział w karawanie? Dlaczego miał aureolę? Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że Susan Fireman próbowała mi coś pokazać. Moje wspomnienia, ale jej znaczenia. Spotkasz kogoś starszego, będziesz go szanować tak samo, jak szanowałeś dziadka, i pokochasz go.

— Pański dziadek wyglądał jak święty... — Jenica pokiwała głową, jakby zaczynała rozumieć, do czego Frank dąży. Była znacznie dalej niż ja. — Jak dziadek miał na imię?

— W tym właśnie rzecz. Stephen.

— A więc widział pan we śnie Stephena, który wyglądał jak święty i siedział w karawanie?

— Zgadza się.

— Czy w karawanie leżała trumna?

Frank zamknął oczy i przez chwilę się zastanawiał.

— Tak... tak, była. Duża, szara, metalowa. Była jednak bardzo poplamiona i skorodowana, jakby leżała całe wieki pod ziemią.

— Leżały wokół niej kwiaty?

— Nie, nie było kwiatów, ale coś było wokół niej owinięte. Coś jakby gałęzie... srebrne i zielone, tyle że błyszcząły i mogę przysiąc, że się ruszały.

— Wężę — mruknęła Jenica.

— Wężę? — zdziwiłem się.

— Oczywiście. Ta młoda strigoica próbowała nakłonić Franka, aby dołączył do niej tam, gdzie ukrywają się strigoi, prawda? Myślała o tym tak intensywnie, że jej myśli pojawiły się w śnie Franka, transie czy co to tam było, w każdym razie pojawiły

się tak, jak zawsze myśli pojawiają się w snach: jako symbole, zagadki.

— Więc dziadek Franka wyglądał jak święty? — W dalszym ciągu niewiele rozumiałem. — A święty szukał trumny ze Zbieraczem Wampirów w środku.

— Tak, ale „święty” Stephen. Święty Stefan to nie człowiek, lecz budynek. To rumuński kościół prawosławny Świętego Stefana.

— Przecież jedenastego września został zrównany z ziemią.

— Zgoda, ale może lochy pod nim pozostały nietknięte.

— Czy twój ojciec przeszukiwał kiedykolwiek kościół Świętego Stefana? — spytałem Jenicę. — Wygląda na to, że to jedno z pierwszych miejsc, w jakie powinien się udać. Zwłaszcza że to tylko trzy przecznice od Redding’s Department Store.

— Oczywiście. Szukał tam w latach sześćdziesiątych, pod pretekstem, że studiuje architekturę. Niestety, niczego nie znalazł. Wspomniał mi o tym, kiedy Święty Stefan został zniszczony. Powiedział, że próbował tam szukać ponownie w latach siedemdziesiątych, gdy zobaczył w telewizji film dokumentalny o budowie World Trade Center. Pokazano w nim kopanie fundamentów i ojciec zauważył, jak miękka jest tam ziemia, co wcale nie było dziwne, bo na tamtejszych terenach składowano kiedyś odpady i kopało się tam bardzo łatwo. Pamiętam, jak się zastanawiał, czy Święty Stefan ma może lochy pod lochami, jak niektóre stare kościoły w Transylwanii i na Wołoszczyźnie. Pod większością z nich budowano tunele i katakumby, biegnące głęboko pod Karpatami. Za czasów imperium otomańskiego ukrywano tam kosztowności i dzieła sztuki. Ojciec poprosił władze kościelne o zezwolenie na poszukiwania, ale ponieważ wiadano z prasy, że zamierza szukać strigoi, odmówiono mu. Zwierzchnik Kościoła prawosławnego w Nowym Jorku nie zamierzał dopuścić do tego, aby media zaczęły trąbić, że wpuścił na swój teren poszukiwacza wampirów!

— No cóż, może się mylę — powiedziałem — ale jeśli twój ojciec uważał, że warto się jeszcze raz przyjrzeć kościołowi Świętego Stefana, to chyba powinniśmy to zrobić.

Frank zakaszłał i skinął głową.

— Intuicja mi mówi, że może mieć pan rację.

— Jak się pan czuje? — zapytałem go. — Zrobić panu jeszcze jeden koktajl z wątróbki?

W odpowiedzi pokręcił energicznie głową.

— Wolałbym umrzeć... — wykaszłał w końcu.

Po krótkiej i kłótlivej dyskusji ustaliliśmy, że wszyscy pójdziemy szukać gniazda wampirów. Jenica uważała, że zabieranie Franka jest zbyt ryzykowne. Argumentowała, że ponieważ jest bardzo chory, będzie nas spowalniał, poza tym nie wiemy, czy nie jest bardziej zakażony wirusem strigoi, niż sądzi, i co będzie, jeżeli wciągnie nas w pułapkę? Gil był jednak przekonany, że poradzi sobie z Frankiem — nawet jeśli prowadzi podwójną grę. Sam Frank bardzo chciał być przy nas, wolał to od samotnego czekania, aż Zbieracz Wampirów po niego przyjdzie.

— Co o tym sądzisz, Harry?

— Moim zdaniem, jeśli Frank uważa, że da radę, powinien iść z nami. Nasza sytuacja jest już tak bardzo samobójcza, że gorzej być nie może.

Na ulicach było jeszcze ze dwadzieścia razy goręcej. Niebo przybrało przedziwny odcień zieleni, jaki mają podsuszone liście laurowe, i człowiek czuł się jak na innej planecie. Nigdzie nie było cieni — jakby i one pochowały się przed wampirami. Jeszcze zanim zeszliśmy z frontowych schodów domu Jenicy, miałem przepoconą na plecach koszulę i musiałem ciągle ścierać pot z czoła zwiniętą w kulkę chusteczką higieniczną. Frank ukrył ręce w kuchennych rękawicach, głowę schował pod kapturem, a twarz posmarował jeszcze grubszą warstwą kremu do opalania. Aby dokładniej osłonić go przed światłem, Jenica owinęła mu głowę firanką, toteż wyglądał jak średniowieczny trędowaty. Nawet tak przygotowany, kiedy zrobił pierwszy krok na słońce, wciągnął głośno powietrze i przez chwilę sądziłem, że się odwróci i ucieknie z powrotem do budynku.

— Frank? Frank?! Poradzi pan sobie?

— Harry, jeśli do tej pory udało mi się przeżyć... niech się pan nie martwi o mnie. Nie umrę. A poza tym... — zakaszłał głośno — niech mnie cholera weźmie, jeśli pozwolę na to, aby moja cholerna żona zabrała mi wszystkie rzeczy!

Odwróciłem się do Gila.

— To chyba pierwszy wampir, który bardziej martwi się podziałem majątku w wyniku rozwodu niż tym, czy zdoła napić się świeżej krwi — powiedziałem.

— Z tego co słyszałem, te rzeczy niewiele się różnią. Jenica w dalszym ciągu się dąsała, ale tak się składa, że lubię marudne kobiety. Włożyła krótką sukienkę z surowego lnu, ozdobioną wzdłuż karczka żółtymi i niebieskimi kwiatami, oraz buty z kremowej skóry. Na ramię zarzuciła haftowaną torbę z zestawem do połowu wampirów w środku. Był w nim duży krucyfiks, wysadzany bursztynem i heliotropem — kamienie te ojciec Jenicy dostał od prawosławnych mnichów z rumuńskiego klasztoru Maramures — który zawsze zabierał ze sobą, kiedy szukał strigoi. Do tego dochodziła okrągła mosiężna butelka ze święconą wodą, kilka pałeczek bladozielonego laku i zakręcany słoik z pastą czosnkową, zmieszaną z opiłkami srebra, otrzymanymi od artysty, zajmującego się stwarzaniem ikon. Ale najważniejszym elementem była książka o svarcolaci i zawarte w niej słowa, które mogły zamknąć zbieracza Wampirów z powrotem w jego trumnie — miejmy nadzieję — na następne sto pięćdziesiąt lat.

Gil również przyniósł ze sobą sprzęt, choć nieco innego rodzaju. Większość rzeczy zawiesił sobie wokół pasa: dwie latarki, długi śrubokręt, nóż myśliwski i kij baseballowy.

Na ulicach było upiornie cicho, trochę jak w opuszczonych przez ekipę dekoracjach filmowych, wszędzie jednak leżały ciała, które przy panującej temperaturze i wilgotności już zaczynały śmierdzieć. Co przecznice stały zbite w kupę, wypalone samochody osobowe i ciężarówki — w niemal każdym pojeździe znajdowały się zwłoki, albo spalone, albo rozdęte od zbierających się pod skórą gazów i wyglądające jak dmuchane lalki. Na jednym ze skrzyżowań stał autobus pełen takich dmuchanych lalek — wszystkich możliwych ras.

Na chodniku obok śmietnika leżała trójka dzieci — trzymały się za ręce, a ich ciała migotały od much. Obok hydrantu zobaczyłem zwiniętą w kłębek kobietę w czerwonożółtej sukience. Z początku zdawało mi się, że do mnie mruga, kiedy jednak podeszliśmy bliżej, okazało się, że to złudzenie, wywołane przez robaki, spadające jej

z czoła do pustego oczodołu.

— Nie mówiłem? — mruknął Gil. — To wygląda jak koniec tego cholernego świata.

Szliśmy dalej, choć mój żołądek wydawał z siebie paskudne bulgoczące odgłosy i dałbym wszystko za możliwość powrotu do mieszkania Jenicy, zatrzaśnięcia za sobą drzwi, zaryglowania ich i zaczekania, aż ktoś ogłosi komunikat, że można bezpiecznie wyjść na ulicę.

Niemal wszyscy leżący na ulicy ludzie mieli poderżnięte gardła — niektórzy tak głęboko, że ich kręgosłupy były prawie przecięte — ale na chodnikach było niewiele krwi.

— To robota strigoi — stwierdziła Jenica. — Podrzynają gardła i wypijają prawie całą krew. Widzicie, ile jest ciał? Muszą się bardzo szybko mnożyć.

Choć wiele sklepów miało rozbite okna wystawowe i wyłamane drzwi, były puste. Przed niektórymi leżały porzucane towary, nie sprawiało to jednak wrażenia, jakby wiele ukradziono. Strigoi szukały ludzkiej krwi, a nie kuchenek mikrofalowych.

Zajrzeliśmy do greckiego sklepu spożywczego. Na wyłożonej czarnymi i białymi kafelkami podłodze leżały zwłoki młodej kobiety. Twarz miała zakrytą podciągniętą wysoko sukienką, nogi szeroko rozłożone.

— Zaczekajcie chwilę — powiedział Gil. Stanęliśmy, on zaś wszedł do środka. Pochylił się nad zwłokami i obciągnął sukienkę, po czym przykrył kobiecie twarz kraciatą ściereczką i przeżegnał się.

Kiedy wyszedł, nic nie powiedział, ale w tym momencie zrozumiałem, dlaczego pomaga nam szukać wampirów. Po prostu wierzył w godność człowieka i znał prawdziwą wartość ludzkiego życia. Widział na własne oczy, co się dzieje, kiedy ludzie zmieniają się w diabły.

Przeszliśmy sześć przecznic, nie widząc śladu życia. Jediną rzeczą, jaka się poruszała, były zasłony falujące w oknie na czwartym piętrze. Nie było ruchu ulicznego, syren, helikopterów, trąbiących w porcie statków. Nie było nawet psów. Jedyne trupy — z tego wiele tak zmasakrowanych, że trudno było dopatrzeć się w nich ludzkich kształtów. Widzieliśmy mężczyznę, któremu wbito głowę w odartą z

ciała klatkę piersiową w taki sposób, że wyglądał, jakby miał z przodu dziwny garb. Ujrzeliśmy może trzyletniego chłopca, przejechanego przez ciężarówką, z głową rozwałkowaną na asfalcie na szerokość ponad pół metra.

W końcu dotarliśmy do Strefy Zero, gdzie zawaliły się wieżowce World Trade Center i gdzie zaczęto już budować Freedom Tower. Także tutaj nikogo nie było — przynajmniej nikogo żywego. Baraki ekip budowlanych zostały opuszczone, ciężki sprzęt — koparki, buldożery i betoniarki — stały w bezruchu. Sześć, może dziewięć metrów nad nami z dźwigu zwisało ciało mężczyzny, jakby go zlinczowano. Trupa dziobały mewy.

Kiedy przyszedłem tutaj po jedenastym września, miejsce to wzbudzało gwałtowne emocje, ale wrzała tu praca, panował hałas i wszędzie ktoś coś robił. Teraz jednak było upiornie pusto, cała okolica zamieniła się w opuszczony plac budowy w mieście zamieszkiwanym jedynie przez zaczynające gnić trupy i żywe trupy, które mogą wyjść na ulice dopiero po zmroku. Dźwig klekotał metalicznie, skrzypiały poskręcane blachy, a jedna z mew, czymś zdenerwowana, zaskrzeczała.

— Gdzie jest pieprzony rząd federalny? — warknął rozłoszczony Gil. — Gdzie są ekipy ratunkowe? Piechota morska? Nie mówcie mi, że zostaliśmy spisani na straty. Nie da się zostawić całego miasta na pastwę losu!

Frank oparł się o barierkę i zakaszłał.

— Można, jeżeli panuje w nim epidemia.

— Chcesz powiedzieć, że zatrasnęli okiennice i zostawili nas na pewną śmierć?

— A co ty byś zrobił? Jak mówi Harry, to się może rozprzestrzenić na Wschodnim Wybrzeżu jak pożar stepu.

— Ale nie ma nawet helikopterów!

Frank znów zakaszłał.

— Prawdopodobnie nie chcą nam robić niepotrzebnych nadziei.

— Jest! — krzyknęła w tym momencie Jenica, ale jej głos zabrzmiał głucho, jak głos człowieka, którzy krzyczy przez sen. — Święty Stefan!

Znajdowaliśmy się na Cedar Street sto pięćdziesiąt pięć, gdzie kiedyś był kościół Świętego Stefana. Zmieniono przebieg ulicy i wszędzie ustawiono metalowe płyty,

leżało pełno gruzu, wiły się poskręcane rury i stały przenośne generatory prądu. Wzdłuż ulicy wykopano wąski rów, w którym układano rury i przewody. Był w kilku miejscach zarzucony ciałami, choć nie dało się od razu policzyć, ile ich było, a nie chciałem się zbytnio przyglądać. Twarz jednego z mężczyzn już lekko spływała.

Frank wyprostował się i pociągnął nosem, jakby można było wyczuć strigoi po zapachu.

— No i? — dopytywałem się.

— Coś czuję, ale nie jestem pewien. Jakby pustkę.

— Pustkę? Co masz na myśli?

— To trochę tak, jak przy przewodzce: człowiek ostatni raz się rozgląda, aby się upewnić, czy niczego nie zostawił, tak naprawdę jednak stara się zapamiętać wszystko, co w tym domu robił, ale... nie może...

— Co ze strigoi? — przerwał mu Gil.

— Nie wiem. Coś tu jednak na pewno jest. Moja skóra płonie. Bolą mnie zęby. Uwierzcie mi, naprawdę bolą, aż do korzeni.

Nawet przez firankę owiniętą wokół jego głowy widać było, że cierpi.

— Chcesz wrócić? — spytałem.

— Nie. Jestem pewien, że gniazdo jest tutaj. Znajdźmy tych drani i załatwmy ich.

ROZDZIAŁ 16

Temperatura krwi

Przecisnąłem się wokół metalowego płotu i wszedłem na plac budowy. Święty Stefan był niedużym budynkiem, zajmował jedynie piętnaście metrów ulicy i sięgał najwyżej dwadzieścia kilka metrów w głąb. Usunięto wszystko do poziomu ziemi, pozostawiając podłogę z mozaiki, którą sprzątnięto i pokryto ochronną przezroczystą folią. Kiedy spojrzałem w dół, przez winyl popatrzył mi prosto w oczy święty Stefan — śniadolicy, ze smutnymi oczami i pokrytą patyną aureolą.

Budynki po obu stronach kościoła nie zostały aż tak bardzo zniszczone, więc miejsce to przypominało dziurę po wyrwanym zębie i staliśmy w głębokim cieniu.

Gil i Jenica poszli za mną na tył budynku. Znajdowały się tu dwa podesty, na których kiedyś stał ołtarz, a po lewej stronie była w mozaice mniej więcej metrowa przerwa — musiało tam się znajdować wejście do katakumb. Prowadzące w dół schody były zakryte zardzewiałą blachą, wydawało się jednak, że jest na tyle uniesiona, aby mógł się do środka dostać ktoś bardzo szczupły. Albo wydostać na zewnątrz.

Podszedł do nas Frank.

— Czuję tę pustkę jeszcze mocniej. Jest bardzo... nie wiem, Jak to określić... ponura.

— Dobra, zejdźmy na dół i zobaczmy, co Święty Stefan przez te wszystkie lata przed nami ukrywał.

Choć zasłaniająca schody blacha zdawała się ważyć pół tony, a po jej podniesieniu ugięły się pode mną nogi, udało nam się z Gilem ją zdjąć. Schody były drewniane i bardzo zakurzone. Po sześciu lub siedmiu stopniach skręcały ostro w prawo, ku tyłowi budowy, i znikwały w ciemności. Gil zapalił większą latarkę.

— Ja idę pierwszy. Jenica, ty chyba powinnaś iść druga. Masz cały sprzęt do polowania na wampiry. A ty, Harry, idź ostatni.

— Nie ufasz mi? — spytał Frank.

— Jestem trepem — odparł. — Trepy nikomu nie ufają. Nigdy.

— Powinniśmy być bezpieczni — odezwała się Jenica. — Strigoi teraz śpią. Jak już jednak mówiłam, nasza wiedza o nich opiera się na mitach i legendach i nie możemy być całkiem pewni, czy nas nie zaatakują.

— To ryzyko musimy podjąć — stwierdziłem. — Mamy do czynienia z rzeczami nadprzyrodzonymi, a w takim przypadku nie ma gwarancji producenta.

Jenica popatrzyła na mnie i w jej oczach pojawiło się coś, co sprawiło, że poczułem się, jakby grunt usuwał mi się spod nóg.

— Oczywiście — odrzekła. — Życie jest pełne nieoczekiwanych nieszczęść.

Gil sprawdził najwyższy stopień.

— Wygląda na to, że jest w porządku — powiedział, po czym zszedł na drugi i trzeci. — Trochę trzeszczą, ale chyba są stabilne. — Po chwili zniknął za zakrętem, choć nadal słyszeliśmy jego głos. — Jest tu dość sporo kurzu, ale sucho. Schody znowu skręcają, mam przed sobą łukowate przejście. Schodzicie?

Jenica odwróciła się ode mnie i poszła za Gilem. Jej obcasy głośno i wyraźnie stuknęły na każdym stopniu... TAK... TAK... TAK...

— Poradzisz sobie? — spytałem Franka.

Kiwnął głową.

— Nie mam wyboru. Jeżeli nic nie zrobię, umrę. Gorzej... umrę i będę dalej żył.

— Walcz, Frank.

— Próbuję, Harry, wierz mi. Wiesz co? Leczyłem pacjentów z rakiem żołądka, którzy łapali mnie za rękaw i błagali, abym ich zabił. Błagali mnie ze łzami w oczach: „Zabij mnie, doktorze! Zabij mnie!”. — Przerwał, po czym dodał: — Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cierpią. Aż do dziś. Nie można się jednak zemścić na raku, prawda? Sądzę, że gdyby ci ludzie mogli żyć, chcieliby żyć... niezależnie od tego, jaki cierpieli ból.

— Jeżeli to dla ciebie zbyt trudne...

— Harry, jestem lekarzem. Wiem, kiedy nadchodzi czas, aby wyciągnąć wtyczkę, ale nie, dziękuję.

— No dobrze. W takim razie chodźmy.

Frank ruszył pierwszy, ja szedłem tuż za nim. Szybko rozejrzałem się po placu budowy, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje. Naoglądałem się zbyt wielu filmów, w których Van Helsing wchodzi do piwnicy Draculi, aby wsadzić mu do trumny krucyfiks i garść czosnku, i wracający właśnie z nocnego picia krwi wampir go łapie.

Aby minąć zakręt schodów, musieliśmy pochylić głowy. Były wąskie, a sufit bardzo niski. Jak ostrzegł Gil, po chwili czekał nas kolejny zakręt i znaleźliśmy się w piwnicy o sklepieniach i podłodze z czerwonej cegły. Widać było, że niedawno sprzątnięto ją do czysta — prawdopodobnie zrobił to Wydział Ochrony Środowiska Nowego Jorku po jedenastym września. Czuć było jedynie zapach ceglanego pyłu i niczego tu nie było — żadnych skrzyń, religijnych elementów, i zdecydowanie nie było trumien.

Gil poszedł w głąb piwnicy, gdzie musiał się pochylić pod łukiem sklepienia. Zapalił latarkę i poświecił nią na boki. Po chwili wrócił.

— Wygląda na to, że nie trafiliśmy. Nie widzą żadnych ukrytych drzwi. Może wampiry kiedyś tu były, ale teraz na pewno ich nie ma.

— Czują je — oświadczył Frank.

— Czujesz pustką — przypomniałem mu jego poprzednie słowa. — Cokolwiek o tym powiesz, mamy tu pustką.

— Tak czy siak, musimy się zastanowić — powiedziała Jenica. — Jeśli ich tu nie ma, to gdzie są? Gdybym mogła porozmawiać z ojcem... miałby na pewno więcej pomysłów, gdzie warto by sprawdzić.

Pożyczyłem od Gila zapasową latarkę i zacząłem powoli obchodzić piwnicą. Zaglądałem w każdą szparę między cegłami.

— Marnujesz czas, Harry — mruknął Gil. — Jeżeli pod tą piwnicą jest kolejny loch, to musiał zostać zamknięty przed wiekami. Pamiętaj, że ta część miasta jest dość często zalewana przez powódzie. Dlatego World Trade Center musiał zostać zbudowany w czymś na kształt betonowej wanny.

Prawie kończyłem obchód, kiedy zauważyłem, że cień po lewej stronie jednego z

łuków jest jakby nieco szerszy od pozostałych. Gdyby przeszukiwać piwnicą powierzchownie, człowiek nigdy by tego nie dostrzegł. Na pewno by się tego nie ujrzało, gdyby się nie szukało ukrytego wejścia.

Jenica już wracała do schodów.

— Zaczekaj! — zawołałem.

— Masz coś? — spytał Gil.

Dopiero kiedy podszedłem bardzo blisko, zrozumiałem, dlaczego cień jest szerszy. Była tu nisza — szeroka na nie więcej niż pół metra i sprytnie zakryta przez wystające cegły. Kiedy poświeciłem latarką, okazało się, że wchodzi za łuk. Niecałe dwa metry dalej zaczynały się wąskie ceglane schody. Schodziły ostro w dół i skracały w prawo, znikając pod graniczącym z byłym kościołem budynkiem.

— Jest! — krzyknąłem. — Jest zejście na dół!

Podszedł do mnie Gil.

— Jezu, ale wąsko. Nikt powyżej siedemdziesięciu kilogramów nie ma co próbować.

— I nikt z klaustrofobią.

Dołączyli do nas Frank i Jenica. Ponieważ na dole nie było dziennego światła, Frank zdjął z głowy osłonę z firanki i kaptur. — Wiedziałem — mruknął.

— Bądźmy realistami — powiedział Gil. — Jeżeli zejdziemy i wpakujemy się w pułapkę, nie będzie łatwo wyjść.

— A mamy wybór? — spytałem.

— Może ja zejść pierwszy? — zaproponował Frank. — Jeżeli nie znajdziemy tych drani, i tak umrę. Może pomyślą, że jestem jednym z nich, i mnie nie zaatakują. Prawie jednym z nich.

— To mnie właśnie przeraża — oświadczyła Jenica. — A jeżeli od początku wciągałeś nas w pułapkę?

— Nie zamierzam się narzucać — odparł Frank. — Chcę tylko powiedzieć, że jeżeli chcecie, abym poszedł pierwszy, to pójdę.

— Ja mu ufam — oświadczyłem. Tak naprawdę wcale nie byłem tego pewien, ale nie zamierzałem iść pierwszy.

Gil wzruszył ramionami. Wyjął z kieszeni paczkę owocowych dropsów, wysypał sobie kilka na rękę i wepchnął do ust.

— Dla mnie może być — stwierdził.

Dałem Frankowi latarkę i wsunął się do niszy. Musiał się wciskać bokiem i wciągnąć brzuch. Światło latarki oświetlało mu twarz, która wyglądała upiornie.

— Nie jest tak źle — orzekł, po czym dostał napadu kaszlu i musiał się zatrzymać.

— Chcesz wrócić? — zapytałem, ale pokręcił głową.

— Nic mi nie jest. Poradzę sobie.

Przesuwał się centymetr po centymetrze w kierunku schodów i powoli zniknął nam z oczu. Widzieliśmy tańczące po cegłach światło latarki i słyszeliśmy drapanie podeszew o cegły, ale to wszystko. Po chwili światło znikło i zapadła cisza.

— Frank!

Cisza.

— Frank, jesteś tam? Co widzisz?

Po kolejnej długiej chwili ciszy rozległ się niewyraźny, zwielokrotniony echem głos.

— To niesamowite! Nie...sa...mo...wi...te! Musicie tu zejść!

— Frank, wszystko w porządku?

— Chodźcie zobaczyć!

— Są strigoi? — spytała Jenica.

— Chodźcie zobaczyć!

— To pułapka — uznała Jenica. — Jestem pewna, że Frank chce nas wciągnąć w pułapkę.

— A ja mu w dalszym ciągu wierzę — odparłem. — Nie brzmiał, jakby miał kłopoty.

Gil uniósł kij baseballowy.

— Ja zejdem pierwszy. Jeśli usłyszycie, że krzyczę, uciekajcie stąd jak najszybciej.

Wcisnął się w niszę i przesuwając bokiem, zaczął schodzić schodami. Muszę przyznać, że mam lekką klaustrofobię — kiedy miałem cztery lata, siostra zamknęła

mnie w bieliźniarce i przez trzy dni się darłem. No, przynajmniej matka twierdziła, że miała wrażenie, jakby to trwało trzy dni. Ale to było jeszcze gorsze. Najpierw musiałem wypuścić powietrze, potem głęboko wciągnąć brzuch, lecz nawet wtedy przecięnięcie się kosztowało mnie sporo wysiłku. Cegły drapały moją sprzączkę paska i zacząłem się poważnie obawiać, że utknę i umrę z głodu. Niezbyt pomagało mi też to, że zacząłem hiperwentylować.

— Pospiesz się — ponagliła mnie Jenica. Może i była piersiasta, ale w sumie znacznie szczuplejsza ode mnie.

— Robię, co, mogę.

— A jeśli będziemy musieli uciekać?

Nie odpowiedziałem. Za bardzo byłem zajęty walką z zakrętem. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak spanikowany — nawet wtedy, gdy Misquamacus sprowadził z zaświatów stada szczurów — a szczurów nienawidzę tak samo jak ciasnych przestrzeni.

Kiedy jednak minąłem róg, zaczęło się robić luźniej, także sufit się podwyższał. Ostatnie dwadzieścia stopni było bardzo stromych i prowadziły do wielkiej ciemnej krypty, podpieranej przez potężne żelazne kolumny. Gil i Frank machali latarkami, próbując jak najwięcej zobaczyć.

Między kolumnami leżały setki trumien — setki — i wszystkie miały pootwierane wieka. W głębi krypty światła latarek ukazały lustro wody — część pomieszczenia zaląa woda, w której pływały trumny.

— Strigoi... — szepnęła Jenica, kiedy do nas dołączyła. Frank podszedł do najbliższej trumny. Wyglądała na dębową i kiedyś musiała być pomalowana na czarno, teraz jednak farba złuszczyła się i wyblakła. Materiał w środku pożółkł, pokrywały go plamy i pleśń i można było wyraźnie dostrzec odcisk ciała. Na poduszce leżało nawet kilka suchych ciemnych włosów. Frank podniósł je i potarł między palcami.

— Frank?

Odwrócił się do mnie. Nawet pod grubą warstwą kremu widać było, że jest zdruzgotany.

— To prawda... — wymamrotał. — One naprawdę istnieją. Żywe trupy... Nie śniłem.

Nie wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć. Zaczął chodzić od trumny do trumny, jakby szukał dowodu, że wszystko jest tylko jedną wielką mistyfikacją. Niektóre trumny miały tabliczki z nazwiskami i Frank zaczął je czytać.

— Naum Ciomu... Valeriu Erhan... Ioan Stefanescu...

Kiedy Jenica to usłyszała, natychmiast krzyknęła:

— Harry! Każ mu przestać! Niektóre strigoi mogą go usłyszeć!

— Frank... — powiedziałem, ale on podniósł rękę.

— Słyszałem ją. — Wrócił i stanął przy mnie. — Nie ufa mi, prawda?

— Nie ufa, wie jednak o wampirach znacznie więcej od nas i może generalną zasadą jest, aby im nie ufać.

— Harry, ja nie jestem wampirem i nie zamierzam nim zostać.

Jenica przechodziła nad kolejnymi trumnami, Gil szedł tuż za nią.

— Kto wie, może ma złe doświadczenia z wampirami?

— Ona ma złe doświadczenia z wampirami?

Popatrzyłem na niego. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Mogłem się jedynie domyślać, jakie katusze cierpi.

— Kto by pomyślał, że to wszystko prawda? — spytał. — Te wszystkie komiksy z przerażającymi opowieściami, które czytaliśmy w dzieciństwie... filmy z Draculą, opowieści o wampirze Lestacie... cały czas wszystko było prawdą.

W tym momencie Gil zamachał latarką, a Jenica zawołała.

— Harry! Harry, znaleźliśmy! Jest tu trumna Wilka!

Trumna Zbieracza Wampirów była ogromna, przypominała limuzynę z lat czterdziestych i ustawiono ją na ceglach, aby nie zetknęła się z wodą. Dokładnie jak trumna, którą Frank widział we śnie, była zrobiona z żelaza i pokrywały ją grube płyty brudu i rdzy. Miała sześć wielkich uchwytów w kształcie wilczego łba z kółkiem w paszczy, a boki bogato zdobione splątanymi wężami.

Tak samo jak w przypadku reszty trumien, wieko było podniesione i odchyłone na

bok, choć sama trumna stała na tyle wysoko, że nie dało się zobaczyć, czy ktoś jest w środku.

Gil natychmiast pochylił się przede mną i splótł dłonie.

— Podniosę cię.

— Zaraz, zaraz! A jeśli jest w środku?

— Nie wiem. Wbijesz mu w serce osikowy kołek.

— Nie mamy osikowego kołka.

— I tak nic by to nie dało — powiedziała Jenica. — Wilk już nie żyje. Jego serce jest pochowane na Wołoszczyźnie.

— Jeśli go tu nie ma, to co ja mam robić?

— Nic nie mów. Nie odzywaj się. Przeżegnam go krzyżem i święconą wodą, a następnie przeczytam z książki o svarcolaci odpowiednią formułę i zapieczętuujemy trumnę lakiem.

.— I to go zamknie na dobre?

— Jak sam powiedziałeś, Harry, to siły nadprzyrodzone i nie ma gwarancji producenta.

Wsadziłem stopę w złożone dłonie Gila i złapałem go za ramiona.

— Gotów? — zapytał, zanim jednak zdążyłem potwierdzić, uniósł mnie. Aby się utrzymać, zamachałem wściekle ramionami.

Straciłem jednak równowagę i musiałem zeskoczyć na podłogę, lecz udało mi się na ułamek sekundy zajrzeć do trumny. Wilka nie było w środku — za co gorąco podziękowałem wszystkim świętym Wołoszczyzny. Była jedynie brudna szara poduszka i płatki łupieżu, które ze starości zrobiły się żółte.

— Chcesz jeszcze raz spróbować? — spytał Gil.

— Daj sobie spokój. Jest pusta.

— Prawdopodobnie chowa się gdzieś w lustrze — stwierdził Frank. — Założę się, że oni wszyscy to robią.

— Chciałabym zajrzeć do trumny — powiedziała Jenica.

— Jasne — odparł Gil i ukląkł. Jenica wstawiła stopę w jego splecione ręce, a ja złapałem ją za łokieć, aby nie straciła równowagi. Gil uniósł ją i we dwóch

próbowaliśmy nie wgapiać się w jej białe koronkowe podwiązki. Zajrzała do trumny.

— Zgadza się, zniknął. — Kiedy Gil chciał ją opuścić, dodała: — Zaraz, chwileczkę! Coś tu jest!

Gdy zeszła na dół, trzymała w ręku coś, co przypominało brązową pałkę długości trzydziestu centymetrów, zakończoną po obu stronach zgrubieniami. Dopiero kiedy Gil poświecił, zrozumieliśmy, co to jest — bardzo stara kość, ozdobiona licznymi zygzakami, z przewierconą na jednym końcu dziurą, przez którą przewleczone były pióra.

Frank zakaszłał.

— To ludzka kość. Piszczel — oświadczył.

— Jesteś pewien?

— Jestem przecież lekarzem.

Wziąłem kość od Jenicy i uważnie jej się przyjrzałem. Nie wiem dlaczego, ale coś przywodziła mi na myśl — jak zapach którego się dawno nie czuło, albo piosenka, którą się nie bardzo pamięta.

— Wiesz, do czego służyła? — spytałem Jenicę. — To jakiś element wampirzego rytuału?

Pokręciła głową.

— Nie sądzę, aby była rumuńska.

— No to co robi w trumnie Zbieracza Wampirów?

Frank podszedł do żelaznej skrzyni i dotknął jej opuszkami palców.

— Prawie go czuję... — powiedział chrapliwie. — Ta pustka, o której mówiłem... jest... bardzo... bardzo silna. — Przeciągnął palcami po skorodowanej płytce, umocowanej na końcu trumny. — Są tu chyba jakieś litery...

Poświeciłem latarką i Frank zaczął powoli czytać:

— N-U-M-E-L-E... M-E-U-E-S-T i jeszcze E... co to znaczy?

— Możesz powtórzyć? — poprosiła Jenica.

— N-U-M...

— Już rozumiem — przerwała mu. — Numele meu este. To oznacza: „nazywam się”.

— Vasile Lup... — dokończył szeptem Frank. Popatrzyliśmy na niego zaskoczeni.

— Powiedziałeś... — jęknął Gil.

— Co?

— Powiedziałeś, człowieku. Pieprzone imię! Miałeś go nie wymawiać, bo złapie je swoim radarem i będzie wiedział, że go szukasz!

Frank wyglądał na zrozpaczonego.

— Wiem, wiem, nic chciałem, przysięgam, tylko...

— Nie chciałeś? — syknęła Jenica. — Harry, mówiłam od razu, że nie można mu ufać! Wypowiedział nazwisko Zbieracza Wampirów i on już wie, że próbujemy go znaleźć! Na pewno znajdzie nas pierwszy i wszystkich pozabija!

— Posłuchajcie, naprawdę nie zamierzałem powiedzieć tego głośno — próbował przeproszać Frank. — Nie wiem... po prostu mi się wysnęło.

— Myślisz, że jesteśmy głupi? Już jesteś jednym ze strigoi? Chciałeś zostać z nami tylko po to, aby wciągnąć nas w pułapkę, żebyśmy zginęli rozszarpani na kawałki!

Frank zaczął kasłać.

— Nie chciałem powiedzieć tego cholernego imienia, jasne? Jeszcze bardziej niż tobie zależy mi na tym, aby ten skurwiel dostał za swoje!

— Twoje życzenie spełni się szybciej, niż myślisz.

— Hej, Jenica, spokojnie — wtrąciłem się. — Sama mówiłaś, że większość wiedzy o wampirach to mity i legendy. Może więc mitem jest też to o wymawianiu jego imienia. Gil sądził na początku, że ściąga ich samo wypowiedzenie słowa strigoi. Poza tym jak ten Wilk miałby usłyszeć szept Franka, skoro jesteśmy tutaj, a on tkwi nie wiadomo gdzie, może nawet ze dwadzieścia przecznic stąd, na jakimś wielopoziomowym parkingu, gdzie ukrywa się w czymś wstecznym lusterku?

Jenica nie zamierzała się jednak uspokajać.

— Jest mnóstwo historycznych dowodów — powiedziała, chodząc nerwowo po krypcie. — Ludzie wypowiadali imię strigoi albo svarcolaci i następnego dnia ich ciała leżały rozrzucone po polach, na pastwę kruków! Sławnemu historykowi Alexandru Dutu przydarzyło się to w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym

roku w Bukareszcie! Wygłaszał na uniwersytecie wykład i powiedział głośno imię svarcolaci. Mówi się, że w nocy jego krew spadła na Presei Libere jak deszcz!

— Zgoda, ale nawet jeśli Frank wypowiedział to imię specjalnie, w co nie wierzę, może zaoszczędzi to nam szukania. Prędzej czy później musimy stanąć z tym stworem twarzą w twarz.

— W ciągu dnia, kiedy mamy przewagę. Ale potem...

— Wiem: w nocy, w ciemności.

— Drażnisz się ze mną, Harry.

— Jenico, nie śmiałybym.

W tym momencie usłyszeliśmy plusk i szybki, ostry tupot. Trzy lub cztery unoszące się na wodzie w głębi krypty trumny zaczęły o siebie stukać — niczym kajaki na stawie. Gil po świecił na nie latarką. Znowu rozległ się tupot i plusk. Zakołysały się kolejne trumny.

— Boże... — szepnęła Jenica. — Patrzcie...

Również uniosłem latarkę i w tym momencie ujrzałem szczury — musiały być ich tysiące — które zalewały trumny niczym wielkie szare wszy. Niektóre tonęły, wypchane do wody przez następne, które biegły po ich grzbietach. Ich ślepia migotały jasnożółto i w ciągu kilku sekund cała krypta wypełniła się ich piskami.

Czułem też ich zapach — mdlący odór stęchłego, długo zamkniętego powietrza. Śmierdziały ściekami i czymś jeszcze gorszym.

— Chyba powinniśmy stąd iść — stwierdził Gil.

Nie musiał tego powtarzać. Jenica już wchodziła na schody, Frank tuż za nią.

— Ruszaj, Harry — ponaglił mnie Gil i uniósł kij baseballowy. — Zatrzymam je.

Zawahałem się, ale zaraz się odwróciłem i zacząłem uciekać.

— Chodźcie, gryzonie! — wrzasnął Gil. — Chodźcie, to powybijam wam zęby!

Po kilku sekundach minąłem zakręt schodów, w miejscu gdzie się zwięzały i przechodziły w niszę. Kiedy spojrzałem za siebie, ciała szczurów zakryły już wszystkie trumny i sunęły na Gila jak tsunami brudnego szarego futra.

Jenica precyzyjnie przeszła przez niszę, ale Frank utknął. Kaszlał i sapał z bólu i przerażenia i nie był w stanie się poruszyć.

— Frank! — krzyknąłem. — Spróbuj się rozluźnić! Weź kilka oddechów!

— Nie mogę... nie mogę... oddychać...

Znów spojrzałem za siebie. Szczury już dotarły do nóg Gila, który walił w nie z lewa i prawa kijem baseballowym. Zabił kilkanaście, ale trzy wspinały się mu na plecy, a kolejne zaczęły wchodzić na nogi. Wciąż machał kijem i po krypcie fruwały zakrwawione kawałki szczurów, lecz jednemu z gryzoni udało się capnąć zębami rękaw i bujał się na boki, nie puszczając. Kolejne szczury skakały, by się go złapać i wleźć na Gila.

— Frank! — krzyknąłem. — Jeśli się nie uwolnisz, wszyscy zginiemy! Wysil się, na Boga!

Ale on nie mógł przestać kaszleć, jego twarz była purpurowa. Oparłem się o niego ramieniem i zacząłem pchać, wciskając go w niszę, po czym krzyknąłem do Jenicy:

— Złap Franka za rękę! Przeciągnij go! Ma napad paniki!

Nie był jedyny. Mnie również serce waliło jak szalone i słyszałem w głowie dudnienie krwi. Gil szaleńczo rozdawał razy, ale szczury poprzyczepiały mu się do rąk i wspięły na ramiona, co sprawiło, że wyglądał jak garbaty. Z każdym jego uderzeniem wokół rozpryskiwała się szczurza krew, w pewnej chwili zostałem trafiony szczeciniastym szczurzym łbem, krypta była jednak nadal wypełniona gryzoniami, które falowały od ściany do ściany i wspinały się na łuki, pchane napierającymi od dołu kolejnymi masami. Było pewne, że lada chwila nas zaleją.

— Gil! Wchodź na schody!

Odwrócił się i popatrzył na mnie, równocześnie zrzucając z ramion dwa szczury. Jeden z nich przegryzł mu już małżowinę ucha, a następne trzy wdrapywały się po plecach i darły podkoszulek. Gil próbował wspiąć się na schody, potknął się jednak i przewrócił na bok i szczury natychmiast dostrzegły swoją szansę. Fala zaczęła się nad nim zamykać i po chwili Gil został cały zasłonięty przez szczury. Były tak ciężkie, że ledwie mógł się utrzymać na nogach. Próbował jednak. Wyglądał jak wielki szczuro-człowiek, pokryty szarym futrem i wijącymi się ogonami. Krzyknął coś niewyraźnie, może było to: „Mamo!” i przewrócił się ponownie. Natychmiast opadło go tyle szczurów, że nie można było zobaczyć gdzie leży.

Szczury ruszyły na mnie. Frank zniknął w niszy i mogłem się jedynie modlić, żeby się z niej wydostał. Boże, nigdy Cię o nic nie prosiłem, ale spraw teraz, żeby nie tkwił w niszy! Jeżeli nadal był uwięziony, szczury zaraz rozerwą nas na strzępy. Może Jenica miała rację. Może Vasile Lup właśnie w ten sposób zamierzał nas zniszczyć — rozrywając na tyle strzępków, że nie warto nas będzie grzebać?

Podbiegł do mnie wielki szary szczur i wgrzył się w nogawkę spodni. Kopnąłem go kilka razy, a kiedy to nic nie dało, zamachnąłem się na niego kością — piszczelem, który Jenica znalazła w trumnie Zbieracza Wampirów. Nawet nie dotknąłem szczura, ale mimo to gwałtownie się przewrócił. Zamierzałem zamachnąć się ponownie i rozwalić mu łeb, stwierdziłem jednak, że zwierzę nie żyje. Przynajmniej tak wyglądało. Miało zamknięte ślepia i leżało na stopniu brzuchem do góry. Z odbytu ciekła mu krew.

Zaatakowały mnie kolejne dwa szczury. Machnąłem kością i oba fiknęły do góry nogami i sturlały się ze schodów. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zacząłem wywijać kością na boki i szczury padały całymi tuzinami. Ciach — załatwiłem całą grupę z prawej. Ciach — zlikwidowałem kilkadziesiąt z lewej. Spadały do pustych trumien, uderzając głucho o stare drewno, albo prosto do wody.

Wszedłem między szczury, machając kością i spowodowałem masakrę.

Kiedy doszedłem do sterty gryzoni, które opadły Gila, miałem wokół siebie tyle szczurzych trupów i dogorywających egzemplarzy, że ledwie mogłem utrzymać równowagę. Dalej jednak wywijałem kością. Szczury spadały z Gila jak wielkie płyty i po chwili go ujrzałem. Klęczał, zakrywając twarz dłońmi. Całą głowę miał zakrwawioną, miał też rozerwane uszy, ale żył i łapał powietrze.

— Gil! Gil, to ja, Harry! Wstawaj!

— Harry? — Powoli oderwał dłonie od twarzy i popatrzył mnie z niedowierzaniem. Górną wargę miał tak przeciętą, że ledwie mógł mówić. — Co się stało?

Uniosłem kość. Nie musiałem już nią wywijać. Szczury uciekały między trumnami i skakały do wody. Zanim minęły dwie minuty, wszystkie żywe zniknęły, a na placu boju pozostało jedynie kilkaset martwych. W krypcie zapadła cisza. Oczy

łzawiły mi od odoru ciał zabitych szczurów.

— Chyba posiadam moc wudu — oświadczyłem.

ROZDZIAŁ 17

Krwawy księżyc

Po powrocie do domu Jenica opatrzyła nas. Poobklejała głowę Gila plastrami, udało jej się nawet nylonową nitką przyszyć mu oderwany kawałeczek prawego ucha. W czasie tej operacji siedział na krześle i gwizdał niemelodyjnie przez zęby, tylko kiedy zawiązywała nitkę na supełek, pozwolił sobie na krótkie: „Cholera jasna...”.

Ja i Gil byliśmy jedynie podrapani, posiniaczeni i pokąsani przez szczury, natomiast znacznie gorzej było z Frankiem. Poszedł do jednej z gościnnych sypialni Dragomirów i położył się w ciemności, dygocząc i pojękując z bólu. Miał wysoką gorączkę, gałki oczne wywracały mu się do góry i zaczęliśmy się obawiać, że nie dociągnie do rana.

Prąd całkowicie wyłączono, nie mogliśmy więc zrobić sobie niczego ciepłego do jedzenia. Otworzyłem puszkę parówek i podałem je z krakersami, serem oraz przejrzałymi bananami. Woda z kranów jeszcze płynęła i wyglądała na czystą, ale na wypadek gdyby krany wyschły, napełniłem wannę.

Kiedy zjedliśmy, usadowiliśmy się w zbyt głębokich fotelach w przeładowanym meblami i bibelotami salonie i Jenica naląła nam po kieliszku owego dającego śmiertelny oddech rumuńskiego wina. Słońce zaczynało zachodzić nad wybrzeżem Jersey i oblewało jej twarz jasnopomarańczowym światłem, upodabniając ją do średniowiecznego portretu. Święta Jenica od Wampirów.

— Niechętnie o tym mówię — zaczął Gil — ale co będzie, jeżeli Frank walnie w kalendarz?

Moje myśli krążyły wokół tego samego tematu.

Jenica osłoniła oczy przed słońcem.

— Jeżeli umrze od tego zakażenia, stanie się oczywiście strigoi. Będziemy musieli rozczłonkować jego ciało i spalić je, a serce włożyć do słoja ze święconą wodą.

— Będziemy musieli go pociąć na kawałki? — Wzdrygnąłem się. — Boże, nie

potrafię ściągnąć skóry z kurczaka, nie wymiotując.

— Nie będziemy mieli wyboru. Harry — nie tylko dla naszej ochrony, ale także dla jego dobra. Zostać żywym trupem to... największe przekleństwo, jakie może kogoś spotkać. To, co Frank mówił o „pustce”... wszyscy żywi martwi to czują, bo nie mają już nikogo, kogo kochali, domu, do którego mogliby powrócić, i z każdym przemijającym wiekiem coraz bardziej tęsknią za życiem, które utracili.

Gil łyknął wina i pociągnął nosem.

— Kiedy tak mówisz, prawie robi mi się ich żal...

— Nie ma powodu. Wydaje ci się, że zmarli nas nienawidzą? Żywi zmarli nienawidzą nas jeszcze bardziej. Czują do nas urazę tak wielką, że trudno to sobie wyobrazić, i nigdy nie mają wyrzutów, że piją naszą krew.

Kość piszczelowa, którą Jenica znalazła w trumnie Zbieracza Wampirów, leżała na stoliku przede mną. Wziąłem ją do ręki i zacząłem machać nią na boki.

— A co to, waszym zdaniem, jest... oprócz tego oczywiście, że okazało się najlepszym środkiem do usuwania szcurów, jaki zna ludzkość? Jeżeli przeżyjemy całą tę historię, opatentuję ten wynalazek. Niewiarygodny Likwidator Szcurów Erskine’a, dwa za czternaście dolarów i dziewięćdziesiąt centów i będę go sprzedawał za pośrednictwem telewizji. Ciekawe, czy działa na myszy i robactwo.

— To nie jest pochodzenia rumuńskiego — zauważyła Jenica. — Nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego.

— Ale co robiło w trumnie Wilka? Wygląda dość rytualnie, nie? Może to było użyte podczas ceremonii, która go ożywiła?

— Nie sądzę. W książce o svarcolaci jest napisane, że ducha martwego wampira ożywia się za pomocą soli, srebra i kropel krwi oraz wypowiedzenia Siedmiu Czerwonych Modlitw. Nie ma żadnej wzmianki o kościach ani piórach.

Dokończyłem wino i poszedłem rzucić okiem na Franka. Starliśmy mu z twarzy krem do opalania, ale miał tak bladą twarz, że przez chwilę sądziłem, iż umarł. Kiedy usiadłem obok niego, otworzył oczy i spróbował skoncentrować na mnie wzrok.

— Chyba się kończę, Harry.

— Mowy nie ma. Zostajesz z nami.

Poruszył leciutko głową na boki. Dałbym głowę, że spod kołnierzyka wyleciało mu nieco dymu.

— Płonę, Harry. Spalam się żywcem. Teraz rozumiem, dlaczego ci ludzie skakali.

— Jacy ludzie?

— Jedenastego września. Ludzie, którzy wyskakiwali z okien palących się gabinetów. To nie do wytrzymania, Harry. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że istnieje taki ból.

Chciałem dotknąć jego dłoni, ale odsunął ją.

— Przejdiesz przez to, Frank — powiedziałem. — Musisz tylko zacisnąć zęby i wytrzymać.

— Nie sądzę. Może dostaję to, na co zawsze zasługiwałem.

— O czym ty mówisz? Nikt na coś takiego nie zasługuje.

— Nie wiem. Zawsze byłem taki arogancki... uważałem, że moja opinia jest najważniejsza... Zawsze się zachowywałem, jakbym był Bogiem...

— Cóż, Frank, jesteś lekarzem. Dla niektórych ludzi jesteś Bogiem.

Obliznął wargi i odkaslnął nieco krwi.

— Chciałbym ci coś obiecać — wychrypiął. — Nieważne, co się ze mną stanie, przysięgałem chronić ludzkie życie. Jeżeli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebował i potrafię ci jakoś pomóc, to na pewno pomogę.

— Doceniam to, Frank, ale jestem pewien, że wyzdrowiejesz. Ani się obejrzysz, jak staniesz na nogach.

Niemal udało mu się uśmiechnąć.

— Nie próbuj oszukiwać oszusta. Wypowiadałem takie same słowa częściej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Gdy lekarz mówi, że twój stan się poprawi... zapamiętaj sobie moje słowa... wtedy najwyższy czas zacząć panikować.

Kiedy zasnął, zaczęliśmy z Jenicą przeszukiwać regały z książkami Razvana Dragomira, próbując znaleźć coś związanego z wampirami i lustrami. Słońce zachodziło i wkrótce w salonie zrobiło się tak mroczno, że ledwo się widzieliśmy. Jenica pozapalała ciemnoczerwone świece, które paląc się, wydzielają mocny

korzenny zapach.

Strigoi może i porzuciły swoje trumny w Świętym Stefanie, ale w książkach ojca Jenicy nie było nic, co by wskazywało na to, że Frank miał rację i że zamiast w trumnach, wampiry ukrywają się w lustrach.

Jeśli chodzi o zjawiska nadprzyrodzone, kiedyś byłem dość sceptyczny. W końcu z nich żyłem. Gdy jednak dotarło do mnie, że świat duchowy to fakt, a takie rzeczy jak demony rzeczywiście istnieją, przyjąłem do wiadomości wszelkie dziwne zjawiska bez większego krytycyzmu. Jenica wierzyła w wampiry tylko dlatego, że ojciec przedstawił jej wystarczająco mocne dowody na ich istnienie, ale generalnie biorąc, była znacznie bardziej sceptyczna ode mnie — i bardziej analityczna. Uważała, że wampiry mogą się ukrywać w piwnicach albo tunelach metra — wszędzie tam, gdzie nie dociera światło dzienne. Zasugerowała nawet, że mogą przedostawać się do domów pogrzebowych i zamykać w ciągu dnia w przygotowanych do sprzedaży trumnach.

Ale lustra?

— W rumuńskich legendach nie ma nic o ukrywaniu się strigoi w lustrach — oświadczyła.

Skończyłem przeglądać Legendy Mołdawii i zacząłem kartkować starą zakurzoną książkę z tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku, zatytułowaną Rumuńskie wierzenia ludowe. Zamieszczono w nim dziesiątki rycin, przedstawiających nagie kobiety, co sugerowało, że jest to jakaś praca antropologiczna. Rzeczywiście była to akademicka cegła, ale mniej więcej w połowie natknąłem się na rysunek łoża śmierci z leżącą na nim koszulą nocną. Była pięknie ułożona, jakby kobiecie, do której należała, udało się wyjść z niej w taki sposób, że koszula zachowała kształt jej ciała. Wyszywane rękawy były skrzyżowane na „tułowiu”, a na nich położono białe lilie.

Najbardziej zaskakujący był rysunek przedstawiający samą kobietę — była całkowicie naga i wchodziła w wielkie lustro, wiszące nad kominkiem. Jedną ręką już schowała się w szkło i widać było jej niewyraźne odbicie w głębi. Kobieta patrzyła za siebie z żalem i mówiła: „Żegnaj, moja śmiertelna postaci”.

Umieszczony na kartce obok tekst informował: „W wiejskich okolicach Rumunii,

kiedy członek rodziny umierał w wyniku pewnych określonych dolegliwości, odwracano wszystkie lustra do ściany, aby po śmierci duch nie próbował osiągnąć nieśmiertelności cielesnej poprzez wkroczenie do świata zwierciadlanych odbić, ale natychmiast skierował się do nieba. Uważano, że w świecie zwierciadlanych odbić człowiek może żyć wiecznie, ceną tego jest jednak wieczne cierpienie, ponieważ przebywający tam duch nie może wychodzić na światło dzienne i nie może odnaleźć doskonałego spokoju oraz duchowego zadowolenia, jakie może dać jedynie Pan”.

Kiedy skończyłem czytać ten fragment, Jenica wzruszyła ramionami.

— To o niczym nie świadczy.

— Może i nie, ale sugeruje, że zmarli mogą przejść przez lustro. A przynajmniej niektórzy... w zależności od tego, z jakiego powodu zmarli.

— Może, nie ma tu jednak żadnej wzmianki o strigoi.

— Nie ma, ale użyto określenia „w wyniku pewnych określonych dolegliwości”. Może jedną z nich jest zakażenie przez wampira? — Harry, może i tak, ale na tym właśnie polega problem z mitami i legendami. Bardzo łatwo użyć ich do poparcia dowolnej teorii.

— Ale Frank widział, jak ta Susan Fireman wychodzi z lustra, a co mamy tutaj? Kobieta wchodzącą w lustro.

— Nie twierdzę, że się mylisz, Harry. Może kobieta na rycinie to strigoica, ale to tylko domysł. Poza tym nic się tu nie mówi na temat tego, w jaki sposób można stwierdzić, czy strigoi ukrywa się w lustrze ani jak je powstrzymać przed wyjściem z niego, ani czy możliwe jest wejście za nim w świat lustrzanych odbić, ściganie go tam i zniszczenie.

— To książka o ludowych wierzeniach, nic więcej, wskazuje jednak wyraźnie, że istnieje legenda o wchodzących do lustra ludziach. A ty mówisz o podręczniku technik zwalczania wampirów, czegoś w rodzaju instrukcji do egzorcyzmów, jaką mają katolicy.

Pokręciła głową.

— Wątpię, czy coś takiego kiedykolwiek napisano. Większość kleru rumuńskiego neguje istnienie strigoi... mimo wielu dowodów. Duchowni wolą pomijać tę sprawę

milczeniem. Przy podtrzymywaniu legend o wampirach obstaje jedynie Rada Turystyki Rumunii, ale ich działania są absurdalne, bo polegają głównie na organizowaniu lotów balonem nad górami Transylwanii i śniadań z szampanem w miejscu, gdzie urodził się Dracula.

— Mimo wszystko uważam, że Frank mówił prawdę, a Susan Fireman rzeczywiście wyszła z lustra.

— Nie byłbym tego taki pewien — wtrącił Gil. — Nie chce twierdzić, że z rozmysłem kłamał, ale sam musisz przyznać, że mógł majaczyć. Widywałem coś takiego w Bośni. Ludzie gadali o najdziwniejszych rzeczach.

— Jest chory, zgoda, ale...

— Jest znacznie więcej niż chory — przerwała mi Jenica. — Jest jednym z błądzących ludzi... jeszcze nie umarł, ale już jest półstrigoi.

— I dlatego mu wierzę. W każdej chwili mógł nas zaatakować, prawda? Płonie cały i zrobiłby wszystko, aby napić się naszej krwi, walczy z tym jednak. Może i jest półstrigoi, ale w połowie nadal pozostaje człowiekiem i bardzo się stara. Dlaczego ostrzegł nas przez chowającymi się w lustrach wampirach? Nie chce, aby nas zaskoczyły. Próbuje nas chronić. Uważa, że to ostatni ludzki gest, na jaki powinien się zdobyć, zanim przejdzie na drugą stronę i zostanie jednym z nich.

Za oknami ostatnie błyski szkarłatu połknęła ciemność, jakby przykryła je peleryna Beli Lugosiego. Gil popatrzył na złocony zegar.

— Wpół do dziesiątej — mruknął. — Chyba już wkrótce dowiemy się, co jest naprawdę prawdziwe, a co nie.

Jenica otworzyła torbę i wyjęła swój zestaw do walki z wampirami: krucyfiks, święconą wodę i pastę czosnkową.

— Możemy się teraz tylko modlić o to, aby legenda się myliła i żeby swardolaci nie słyszeli, jak wypowiada się ich imię.

— A może zabawimy się w „załatwmy ich”? — spytał Gil.

Nie pamiętam, kiedy usnąłem, nagle jednak coś mnie wyrwało ze snu. Wszystkie świece poza jedną już się wypaliły, ale ta także już filowała i zamierzała zgasnąć.

Popatrzyłem na złocony zegar — za pięć wpół do drugiej.

Byłem przekonany, że nie obudziłem się przypadkiem, kiedy jednak zacząłem się wsłuchiwać w ciemność, stwierdziłem, że jest całkowicie cicho.

— Gil? — szepnąłem.

Spał w fotelu i chrapał jak mors. Jenica leżała na kanapie. Sukienka podciągnęła jej się tak wysoko, że w świetle świecy widać było nagie biodro.

Wstałem z fotela i poszedłem do salonu po latarkę. Zapaliłem ją i skierowałem światło na dywan. Dopóki nie było to konieczne nie chciałem budzić Jenicy i Gila.

Miasto na zewnątrz również było pogrążone w ciemnościach. Budynki sprawiały wrażenie nagrobków na gigantycznym cmentarzu. Wilgotność powietrza była tak wysoka, że z trudem oddychałem, a z końca nosa kapał mi pot. Po raz pierwszy od chwili wybuchu tej wampirzej epidemii zaczęło mnie ogarniać przeczucie, że — prędzej czy później — wszyscy zginiemy.

Poszedłem na palcach do pokoju Franka. Leżał na plecach i wpatrywał się w sufit. Poświeciłem mu w twarz latarką.

— Frank? Jesteś jeszcze z nami?

Nie odpowiedział i nie poruszył się. Podeszedłem bliżej i stwierdziłem, że nie żyje. Nie patrzył w sufit — patrzył w nieskończoność.

— Bezpiecznej podróży, Frank — powiedziałem. — Mam nadzieję, iż Bóg ci wybaczy, że bawiłeś się w Niego. To lepsze od bawienia się w diabła.

— Słodkie słowa — odezwał się za moimi plecami kobiecy głos.

Serce skoczyło mi w piersi tak gwałtownie, że miałem wrażenie, jakby uderzyło mnie w podbródek, i wypuściłem latarkę z ręki.

— Jenica! Przestraszyłaś mnie na śmierć!

Natychmiast jednak uświadomiłem sobie, że to nie Jenica. Głos brzmiał inaczej, Jenica nie była ubrana na białło i miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Złapałem latarkę i poświeciłem kobiecie prosto w twarz.

Nawet nie spróbowała zasłonić oczu. Była drobnokoścista, bardzo blada, a jej ciemne włosy były potargane i poplątane. Miała na sobie prostą białą sukienkę, bardzo podobną do całunu.

Z przodu materiał był pokryty brązowymi i żółtymi plamami poprzyczepiały się do niego rzepy i osty — jakby przeciskała się przez jakieś krzaki.

— Co pani tu robi? — wybełkotałem. — Jak się pani tu dostała?

— Proszę się nie bać — odpowiedziała i uśmiechnęła się. — Przyszłam po Franka, to wszystko.

— Po kogo? Frank nie żyje.

— Nie, nie... po prostu przeszedł na drugą stronę.

— Niech pani posłucha: nie wiem, kim pani jest, ale musi pani stąd natychmiast wyjść.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że Frank o mnie nie wspomniał? Jestem Susan Fireman. Byliśmy z Frankiem zaprzyjaźnieni.

Obszedłem ostrożnie łóżko, cały czas świecąc kobiecie latarką w oczy. Susan Fireman... cholera! Nawet nie zamrugała.

— Jenica! — krzyknąłem.

— O co chodzi? — spytała Susan Fireman. — Nie powinieneś się bać. Nic złego ci nie zrobię.

— Tak jak nie zrobiła pani nic złego Frankowi?

— Frank był uparty. Gdyby nie był tak bardzo nieposłuszny, wcale by nie cierpiał.

— Jenica!

Susan Fireman dotknęła opuszką palca warg i w ułamku sekundy — BLINK — przeniosła się spod drzwi i stanęła przede mną. Nie zauważyłem, żeby się poruszyła.

— Nie ma sensu wzywać pomocy — oświadczyła. — Jest nas zbyt wiele i z każdą chwilą robi się coraz więcej.

— Co pani zamierza, panno Fireman? Wypić moją krew?

— Oczywiście, że nie! — Zamilkła na chwilę, po czym dodała niemal uwodzicielsko: — Chyba że chcesz...

— Jenica! Potrzebuję cię tu natychmiast! Jenica!

Susan Fireman odwróciła się i znów — BLINK — stała po drugiej stronie łóżka, pochylała się nad Frankiem i głaskała go po czole.

— Frank... — szepnęła. — Frank, to ja, Susan... przyszliśmy, aby zabrać cię do domu...

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Jenica. Była niemal tak samo blada jak Susan Fireman. Gil szedł tuż za nią z kijem baseballowym w dłoniach.

— Kto to jest? — spytała Jenica.

Susan Fireman nawet na nią nie spojrzała. W dalszym ciągu głąskała Franka po czole i dmuchała mu na twarz.

— Obudź się, Frank... cały twój ból minął... właśnie zaczęła się długa noc...

Jenica zrobiła dwa kroki i znów stanęła.

— Harry, kto to jest? Co ona tu robi? Jak się tu dostała?

— To Susan Fireman — wyjaśniłem. — Frank nie żyje, a ona twierdzi, że przyszła zabrać go do domu.

— Strigoica... — szepnęła Jenica, po czym głośno krzyknęła: — Strigoica! Wynoś się z mojego domu!

Susan Fireman popatrzyła na nią.

— Cicho! Nie musisz histeryzować. Tylko pogarszasz swoją sytuację.

— Zaczekajcie chwilę — powiedział Gil.

Kiedy zniknął, słychać było, jak chodzi z pokoju do pokoju i zatrząskuje drzwiami.

— Nie chcę wam zrobić nic złego — oświadczyła Susan. — Chcę tylko wyjść stąd z Frankiem, to wszystko. Czeka na niego nowe życie... nie odbierajcie mu go.

Wrócił Gil.

— Okno w kuchni. Tamtędy weszła, choć Bóg wie, jak się tam wspięła. Do ziemi jest przynajmniej dwadzieścia pięć metrów i nie ma nawet rynny, której można by się przytrzymać.

Powoli podszedłem do łóżka.

— Proszę posłuchać, panno Fireman. Frank tego nie chciał. Ciężko walczył, aby do końca pozostać człowiekiem, a kiedy jest się człowiekiem, martwy to znaczy martwy. Jedyne miejsce, dokąd się uda, to krematorium.

— Nie masz o niczym pojęcia, prawda? — syknęła Susan Fireman.

— Wiem jedno: nie pozwolę pani zabrać Franka.

Z kuchni doleciał głośny hałas — jakby ktoś zrzucił garnek. Gil odwrócił się.

— Jezu! Jest ich więcej!

W korytarzu za jego plecami pojawił się wysoki blady mężczyzna w bardzo zakrwawionym T-shirtcie. Tuż za nim szła młoda kobieta z dziko potarganymi rudymi włosami i kolejny mężczyzna — ogolony na łyso, w brudnym kombinezonie mechanika. W ich dłoniach błysnęły noże.

Gil bez chwili wahania oparł się o ścianę i uderzył bladego mężczyznę kijem baseballowym. Mężczyznę odrzuciło do tyłu i zderzył się z idącą za nim dziewczyną, a kiedy spróbował odzyskać równowagę, Gil uderzył ponownie, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Rozległ się głośny trzask i czaszka mężczyzny pękła. Na tapetę trysnęła krew.

Złapałem rękaw Jenicy i pociągnąłem ją tak, aby schowała się za mnie, po czym gorączkowo zacząłem rozglądać się za czymś, czego by można użyć jako broni. Jediną rzeczą, jaka się nadawała, był trzynożny stół, więc go złapałem i uniosłem nad głowę, aby się zamachnąć. Jedna z nóg uderzyła mnie w czoło i niewiele brakowało, bym sam się znokautował.

Susan Fireman — BLINK — znów znalazła się po przeciwległej stronie łóżka. Klęczała na podłodze i obejmowała głowę Franka. Nie było jednak czasu na zajmowanie się Frankiem. Bładolicy mężczyzna przewrócił się na dywan, ale ruda dziewczyna podskakiwała do Gila z wielkim kuchennym nożem w ręku, a mechanik „przeblinkował się” do sypialni i zamierzał się na mnie. W naszą stronę szedł kolejny mężczyzna i dwie kobiety—jedna siwa, o wściekłym spojrzeniu, niczym oszalała Gloria Steinem^[4], a druga tak pokryta zaschniętą krwią, że jej włosy sterczały w górę jak u punka.

Wszyscy wydawali z siebie basowe, pożądliwe pomruki — URRRHHHHH... URRRHHHHH... URRRHHHHH... — jakby nie mogli się doczekać chwili, kiedy poderzną nam gardła i będą mogli wypić naszą krew.

Po części ze złości, ale głównie z przerażenia, zacząłem tracić panowanie nad sobą. Bez trudu uniosłem stół nad głowę i huknąłem mężczyznę w kombinezonie

roboczym w ramię. Wypuścił z ręki nóż i wtedy walnąłem go ponownie — prosto w nasadę nosa. Waliłem i waliłem, aż opadł na kolana. Na koniec przyłożyłem mu z całej siły w skroń, a on — BLINK — wyleciał z sypialni i zaczął pełznąć korytarzem do kuchni.

Wrzeszcząc z wściekłości i przerażenia, zaczęliśmy razem z Gilem spychać strigoi w kierunku kuchni. Wampiry dyszały, ogarnięte obłąkańczym pragnieniem naszej krwi, ale nas też ogarnęło coś w rodzaju szału i wątpię, aby w tym momencie cokolwiek mogło nas zatrzymać — zwykłego czy nadprzyrodzonego. Huknąłem „Glorię Steinem” prosto w twarz, a gdy zatoczyła się do tyłu, pociągając za sobą swoją zakrwawioną towarzyszkę, rzuciłem się na obie i biłem je po rękach i nogach, aż zaczęły wrzeszczeć z bólu.

Kiedy dotarliśmy do kuchni, okazało się, że wypełnia ją dwadzieścia, może trzydzieści strigoi, a kolejne wślazą przez okno. Było uchylone nie więcej niż na kilka centymetrów, ale jakimś sposobem się prześlizgiwały.

— Drzwi! — wrzasnął Gil. Kopniakami odrzuciliśmy od nich dwoje strigoi, zatrasnęliśmy je i Gil przekręcił klucz. Wampiry natychmiast rzuciły się na drzwi — z taką siłą, że chrupnęły wypełniające je płyty. Było jasne, że nie zatrzymamy ich zbyt długo, ale dwie minuty pozwoliłyby nam uciec.

Jenica była tuż za nami.

— Co się stało z Frankiem? — spytałem.

— Nie wiem! Nie widziałam! Musimy uciekać i znaleźć jakąś kryjówkę! Ściga nas Zbieracz Wampirów.

— Nie wyjdę bez Franka!

— On nie żyje, człowieku! — krzyknął Gil. — Nie możesz już nic dla niego zrobić!

Z drugiej strony z takim impetem uderzano w kuchenne drzwi, że całe się trzęsły, a ościeżnica zaczęła oddzielać się od muru. Nagle usłyszałem nowy dźwięk. Ten sam „katedralny” szept, który dolatywał z mojej sypialni, kiedy Śpiewająca Skąła przywołał dla mnie Zbieracza Wampirów. Mnóstwo głosów — setki — i wszystkie żądne krwi.

— Wiejmy stąd! — wrzasnął Gil.

— Nie, na zewnątrz będzie ich znacznie więcej! — zaproponowała Jenica. — Nie będziemy mieli szansy!

— Więc co?

— Potrzebuję mojego krucyfiks, świec i książki o svarcolaci! Te strigoi to jedynie dzieci Vasile Lupa, ale on sam zaraz też się zjawi i naszą jedyną szansą jest odesłanie go do trumny!

TRZASK! Kuchenne drzwi pękły, a z sufitu opadł tynk. TRZASK! Jedna z płyt drzwiowych wypadła i natychmiast w pozostałe elementy wbiły się kolejne noże.

Kiedy odwróciliśmy się w kierunku sypialni, pojawiła się przed nami Susan Fireman. Stała w korytarzu i było w niej coś, co przeszło mnie przerażeniem jak prąd. Wpatrywała się w nas szeroko otwartymi oczami, których tęczówki były tak blade, jakby jej oczy składały się z samych białek. Triumfowała.

— Chodź! — powiedziała i zrobiła dłonią przyzywający gest. Nie do nas — w kierunku sypialni.

— Jezu... — jęknął Gil. — Powiedzcie mi, że to nieprawda. Musieliśmy jednak uwierzyć.

Z sypialni szedł ku nam Frank — taki sam jak za życia. Jego policzki były pozbawione wszelkiej barwy, podobnie jak u Susan Fireman, spojrzenie błędne, ale szedł i był najwyraźniej przytomny.

— Frank... — wymamrotałem. — Frank, słyszysz mnie?

Odwrócił ku mnie głowę. W tym samym momencie — TRZASK! — kuchenne drzwi znów zadygotały i wyrwano z nich kolejną płytę. W otworze pojawiło się kilka rąk, które zaczęły macać w poszukiwaniu klucza.

— Słyszę cię, Harry. Może i umarłem, ale nie ogłuchłem. — Jego głos brzmiał podobnie jak za życia, tyle że było w nim coś pustego, jakby czytał wypowiedane słowa z kartki i nie do końca rozumiał ich znaczenie.

— Frank, powinieneś tu zostać. Strigoi chcą cię zabrać, ale uwierz mi, lepiej dla ciebie będzie, jeżeli pozostaniesz martwy.

— Muszę iść, Harry. Nie mam wyboru.

— Moja książka... — wyszeptała Jenica. — Moja książka, mój krucyfiks i woda święcona...

Pobiegła do salonu. Wampiry wykopały kolejną płytę z drzwi. Gil zaczął walić w pchające się przez dziurę stopy kijem, ale było jasne, że strigoi zaraz pokonają ostatnią przeszkodę i wtedy będzie po nas. Było ich zbyt wiele i za bardzo pragnęły naszej krwi.

— Chodź ze mną — powiedziała Susan Fireman do Franka, biorąc go za ramię. — Vasile czeka na nas. Chodź.

Zrobili krok w naszą stronę i w tym momencie cały korytarz został zalany oślepiającym dziennym światłem. Rozjarzyło wszystko — zasłony, obrazy, zakurzone kandelabry. Odwróciłem się i stwierdziłem, że wielkie lustro, wiszące naprzeciwko drzwi wejściowych, nie ukazuje niczyjego odbicia, ale słoneczną plażę z jasnym piaskiem, smaganą wiatrem trawę, białe letnie domki i chmury.

— Cholera, to jednak lustro... — mruknął Gil. — Frank mówił prawdę.

Susan Fireman prowadziła Franka obok siebie. Zagroziłem im drogę.

— Stać! — rzuciłem groźnię.

Susan Fireman się uśmiechnęła.

— Nie możesz nas zatrzymać. Nie teraz. Powinieneś o tym wiedzieć. Zwłaszcza ty.

— Ja? Dlaczego ja?

— Ponieważ to ty dałeś Vasile moc, aby mógł powrócić.

— Ja mu dałem moc? W jaki sposób? Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie odpowiedziała. Spoglądała za mnie, w kierunku lustra i brzegu morza. Popatrzyłem na obraz w lustrze i ujrzałem w dali ciemną postać, idącą w naszym kierunku długim zdecydowanym krokiem. Była to ta sama postać, którą Śpiewająca Skała pokazał mi w mojej sypialni. Pochylona i rozmazana, zdawała się odchyłać od słońca, jakby była tylko zbiorem cieni.

Widziałem jej twarz — czy może raczej twarze, które zmieniały się z każdym krokiem postaci. W jednej chwili był to wąski wilczy pysk, w drugiej biały owal ze szparkami zamiast oczu. Zbliżała się coraz szybciej i szybciej, a ja jeszcze nigdy w

życiu nie widziałem czegoś tak przerażającego.

Odwróciłem się do Franka, ale nagle zarówno on, jak i Susan Fireman znaleźli się przed lustrem. Piasek wewnątrz niego zwiewał wiatr, trawy śpiewały, a morze było wzburzone, w mieszkaniu jednak nie czuło się najmniejszego podmuchu, nie było też słycać odgłosu przyboju. W korytarzu było duszno i gorąco, a wszystko zagłuszał łoskot kija baseballowego Gila, trzask łamiącej się ościeżnicy i gorączkowe szepty spragnionych krwi strigoi.

— Frank! — zawołałem, po czym dodałem nieco ciszej: — Frank, nie rób tego...

Rozejrzał się. Nie potrafiłem ocenić, czy odczuwał żal, czy rezygnację. Zrobił krok w kierunku lustra i wszedł w szkło, jakby w jego miejscu było powietrze. Jego sylwetka zafalowała, jakby zasłoniła go woda, i zaraz potem stanął na piasku, jakiś metr w głębi lustra, z rozwianymi wiatrem włosami. Ciemna, pochyła istota była oddalona od niego nie więcej niż trzydzieści metrów i cały czas się zbliżała.

Susan Fireman przez chwilę się wahała.

— Sprowadź go z powrotem — poprosiłem.

— Nie mogę. Jest teraz jednym z nas i zawsze będzie. Jest mój.

— Lubisz go, prawda?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się do mnie plecami i weszła w lustro. Obraz zafalował i znalazła się obok Franka. Przez chwilę wydawało mi się, że lustro zaraz pociemnieje i z powrotem zamieni się w zwykłe lustro, ale wciąż pozostawało rozświetlone. Susan i Frank zaczęli szybko odchodzić w kierunku wydm i letnich domów, a Vasile Lup, Zbieracz Wampirów, był coraz bliżej nas.

Nagle przypomniałem sobie, co mówił nam Frank: że Susan Fireman wyszła z lustra i poderżnęła gardła policjantom. A więc wampiry mogły przechodzić przez lustra w obie strony, jakby to były drzwi — a ten arcywampir, svarcolaci, szedł prosto po nas. Zostało mu jeszcze jakieś dziewięć metrów i wyraźnie przyspieszył. Prawie biegł. Zaraz nas dorwie.

— Jenica! — Skoczyłem do sypialni i niemal się z nią zderzyłem. Szła z krucyfiksem, butelką święconej wody i książką, otwartą na stronie z Vasile Lupem.

— Harry, pomóż mi! — zaczął wrzeszczeć Gil. — Przebijają się!

Strigoi wyrwały z drzwi wszystkie płyty i cała konstrukcja trzymała się tylko na środkowych poprzeczkach. Gil rozpaczliwie walił po wyciągających się ramionach, ale nie zostało mu już wiele czasu.

Złapałem najbliższą broń, jaka mi się nawinęła pod rękę — kość puszczelową z trumny Zbieracza Wampirów. Wróciłem do korytarza, w momencie gdy Zbieracz Wampirów materializował się w pokoju. Wielki, ciemny i pochyły, miał setki twarzy i był tak zimny, że mimowolnie jęknąłem. W ciągu kilku sekund temperatura w korytarzu musiała spaść o dwadzieścia stopni.

Jenica uniosła krucyfiks. Domyślałem się, że jest nie mniej przerażona ode mnie, ale na jej twarzy widać było euforię, jakby urodziła się właśnie po to, by rozprawić się z tym svarcolaci.

— Zwalniam cię, Vasile Lup! Odsyłam cię z powrotem do sarkofagu! Niech ziemia weźmie z powrotem ciało, które ci dała, niech wiatr weźmie z powrotem oddech, który ci dał a rzeki zabiorą twoją krew! Niech popioły twojej duszy zostaną rozrzucone jak popioły twojego ciała!

Stwór otworzył jedno usta, potem drugie i trzecie. Ujrzałem czarne żebrowane podniebienia i szeregi ostrych jak brzytwa zębów. Rozległ się przerażający odgłos, jakby całe życie na świecie zostało zmiażdżone, jęk, który sprawił, że poczułem się, jakby każdy mój narząd wewnętrzny został przemieszczony i jakbym zaczynał dostawać obłądu.

ROZDZIAŁ 18

Brat krwi

Oszołomiony, opadłem ciężko na ościeżnicę, a Gil zasłonił uszy dłońmi, ale Jenica się trzymała. Zbieracz Wampirów unosił się nad nią, jego pochyła głowa niemal dotykała sufitu, a twarz wyglądała tak, jak w książce o svarcolaci... była przystojna, lecz bardzo rumuńska, z cienkim haczykowatym nosem i oczami o ciężkich powiekach.

— Zwalniam cię, Vasile Lup! — powtórzyła Jenica i chlusnęła w niego wodą święconą, robiąc przy tym znak krzyża. — Oby pamięć o tobie rozwiała się wraz z pyłem, a twoje imię zostało zapomniane przez języki tych, którzy je kiedykolwiek wypowiadali! Niech gwiazdy zapomną, że kiedykolwiek przepowiadały twój los, a księżyc niech zaprzeczy, że kiedykolwiek chodziłeś w jego świetle!

Vasile Lup odrzucił głowę do tyłu tak daleko, że zniknęła w cieniu ramion, i wydał z siebie kolejny straszliwy jęk. Tym razem dołączyły się do niego zgromadzone w kuchni strigoi, które zaczęły kopać i walić w resztki drzwi, aż w końcu puściły. Zakrwawione i brudne postacie wysypały się do salonu — kobiety i mężczyźni uzbrojeni w noże, brzytwy i kawały szkła.

Gil cofał się, machając oburącz kijem. Strigoi sunęły powoli naprzód, dysząc swoje URRRHHHHHH... URRRHHHHHH... URRRHHHHHH... aż Gil przycisnął się do mnie, a ja do Jenicy. Rozejrzała się szybko wokół, nie popatrzyła jednak na mnie ani nie dała znaku, że się boi. Była za bardzo skupiona na Vasile Lupie.

— Pieczęć, którą cię zapieczętowano, była czymś więcej niż zamknięciem z wosku — wyrecytowała, ale głos zaczynał się jej łamać. — Była to pieczęć duchowa i jej działanie pozostaje. Siedem modlitw, które wypowiedziano, aby cię uwięzić, były czymś więcej niż słowami i ich działanie pozostaje. Jesteś odczarowany, Vasile Lup, aż do Dnia Sądu i dopiero wtedy twoja dusza będzie mogła przybrać kształt, abyś mógł wznieść oczy do Pana i ofiarować Mu posłuszeństwo.

— To jakieś głupoty, człowieku — jęczał Gil. — Głupoty. Te skurwiele zaraz rozwałą nas na kawałki. Cofnąć się! — wrzasnął i skoczył w kierunku najbliższego strigoi.

Kij baseballowy głośno szczęknął o ostrze noża. Wampiry uniosły ręce w obronnym geście, ale zaraz znów zaczęły napierać. Zaatakowało nas dwóch wyglądających całkiem zwyczajnie mężczyzn w podartych i zakrwawionych koszulach. Jeden z nich był kierowcą autobusu, a drugi prawdopodobnie urzędnikiem. Razem z nimi nacierała dziewczyna o rozdętej twarzy, która przypominała mi pracownicę kawiarni koło mnie za rogiem.

— Powiedziałem: cofnąć się! — powtórzył Gil i walnął kierowcę kijem w ramię. Tamten odpowiedział machnięciem noża i przeciął Gilowi nadgarstek. — Skurwy... synu! — zaklął Gil i zaczął okładać wampira kijem z lewa i z prawa. Krew natychmiast opryskała tapetę.

Zbieracz Wampirów zdawał się rosnać. Jego cień zakrył sufit, a w korytarzu zrobiło się tak zimno, że z ust leciała nam para. Jenica cofnęła się o krok. Unosiła wysoko krucyfiks, ale z ciemności leciała na nią zamarzająca para, która pokrywała ją drobinami lodu. Białe kryształki zaczęły okrywać jej włosy, brwi, wargi. Trochę ich spadło na mnie — sprawiało to wrażenie, jakby na człowieka dmuchał niedźwiedź polarny: było zimno, mokro i śmierdząco.

— Zwalniam cię, Vasile Lup! — krzyczała Jenica. — Zwałam cię w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Drobiny lodu leciały coraz gęściej, oślepiając nas. Po chwili poczułem, że mam na głowie lodową czapkę. Zbieracz Wampirów rozkładał ramiona — czy może raczej skrzydła — pochylał się do Jenicy, jakby chciał ją objąć. Nie były to ani ramiona, ani skrzydła, ale cienie, nietrudno się było jednak domyślić, co się stanie, jeżeli obejmą Jenicę. Wyciągnąłem w kierunku Zbieracza Wampirów kość.

— Zostaw ją, ty draniu! — wrzasnąłem. — Jesteś wyegzorcyzmowany!

W tym momencie wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Poczułem, jakby kość podłączono do gniazdka. Popłynął przez nią prąd, ożyła i niemal zahuczała. Trzymałem ją wysoko i miałem wrażenie, że trzymam najpotężniejszą w świecie broń,

znacznie potężniejszą od wszelkich mieczy. Nagle przestałem się bać. Byłam spokojny, silny i znałem wroga.

Usłyszałem własny głos. Należał do mnie, ale słowa formułował kto inny. Było to niezwykle. Mój język poruszał się, jakby nie należał do mnie, i nie wiedziałem, jak będą brzmiały następne słowa.

— Udało ci się więc powrócić do nas, wielki magu, i tu się ukrywałeś! Duch ukryty wewnątrz innego ducha, wewnątrz lustrzanego odbicia! Powinienem był się domyślić, że to ty! Tylko ty możesz być tak mściwy. Tylko ty możesz tak bardzo pragnąć krwi!

Jenica odwróciła się i wbiła we mnie zdumione spojrzenie. Pokręciłem głową.

— To nie ja — wyjaśniłem jej.

Znów zaczęła patrzeć na Zbieracza Wampirów. Deszcz lodowych kryształków słabł, a stworzony z cieni stwór jakby się odsuwał. Jego twarz zmieniła się w pozbawioną wyrazu maskę, jakie noszą aktorzy w japońskim teatrze Noh, po czym zaszło w niej dwadzieścia albo i trzydzieści zmian — tak szybkich, że mój wzrok ledwie je rejestrował.

— Nie warto się ukrywać — mówiłem dalej. — Teraz kiedy wiem, kim jesteś, wiem, jak cię ścigać i pokonać. Dokonałem już tego i dokonam ponownie, ale tym razem zadbam o to, abyś zniknął z powierzchni Ziemi na wieczność!

Kiedy Zbieracz Wampirów znów jęknął, zdawało się, że wszystkie okoliczne budynki się poruszyły, każda cegła potarła o sąsiednie cegły, każda deska podłogowa próbowała złamać sąsiednią deskę, każda spoina chciała się rozerwać. Jenica kręciła głową na boki, a Gil wrzeszczał:

— Ucisz go! Na Boga, ucisz go!!!

Nagle zapadła cisza. Zbieracz Wampirów okręcił się wokół własnej osi, przemieszczając w skomplikowany sposób swoje składowe cienie, a potem wpadł w lustro, stanął na piasku i zaczął szybkim krokiem odchodzić. Niebo nad nim — wewnątrz lustra — pociemniało. Znad oceanu, niczym na puszczanym w przyspieszonym tempie filmie, nadpłynęły ciemne chmury, a wiatr szarpał mewami jak płachtami gazet.

Za moimi plecami zaczęto mamrotać, zaszurały stopy i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że strigoi wycofują się do kuchni. Gil popychał je swoim kijem, nie żałując razów, a one przeciskały się przez kuchenne drzwi jak spanikowany tłum, który zaraz zacznie się tratować. Warczały wściekle na Gila, ale z jakiegoś powodu straciły apetyt na naszą krew i zapął do walki.

Jenica złapała mnie za nadgarstek.

— Patrz! — powiedziała.

W lustrzanym świecie Zbieracz Wampirów zatrzymał się i uważnie się nam przyglądał.

Jego cień pochylał się coraz bardziej na bok, jakby zwiewał go wiatr. Czterdzieści pięć stopni, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Żadna ludzka istota nie byłaby w stanie utrzymać równowagi w takiej pozycji. Kiedy był już bardzo pochylony, wyszła z za niego wysoka, wyprostowana postać.

— O Boże... — szepnąłem.

— Co jest? Kto to?

Podszedłem krok w stronę lustra, potem jeszcze jeden — ale jedyne, co mogłem zrobić, to stać i wpatrywać się w świat, do którego nigdy nie będę miał wstępu, w istotę, która zamieniła moje życie w pasmo bólu i chaosu.

Wyglądał dokładnie jak na zdjęciu zrobionym w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku nad jeziorem Pyramid. Jego twarz była jak wykuta z granitu, policzki miał pocięte rytualnymi bliznami, a oczy zimne i migoczące jak zawsze. Miał na głowie pełny wojenny rynsztunek — olbrzymią konstrukcję z czaszki bizona, obwieszanej piórami kruków i sznurami paciorków, po której łążyły błyszczące czarne żuki — tysiące żuków — spadające mu na ramiona i pełzające po całym ciele.

Na jego szacie naszyte były setki kruczych czaszek i wysuszone kawałki ludzkiego ciała — kawałki, które jego wyznawcy sami sobie powycinali i dali mu jako wyraz czci. Były tam uszy, fragmenty mięśni udowych, palce, nawet męskie członki — wszystko pokurczone i pociemniałe ze starości.

Był bardzo wysoki, ale silny wiatr wywoływał wrażenie, że lekko buja się na boki — jakby unosił się kilka centymetrów nad ziemią.

Bałem się go. Nie mogłem udawać, że się nie boję. Widziałem, jak bardzo umie być okrutny i bezwzględny i wiedziałem, że jego nienawiść do ludzi, którzy zajęli ziemię jego przodków, jest mroczna i bezgraniczna — tak bezgraniczna jak świat śmierci pod naszymi nogami: Kraina Wiecznych Łowów.

Nie odzywał się. Nie musiał jednak. Choć nie miałem pojęcia, jak udało mu się ożyć, wiedziałem, po co przyszedł i co chce zrobić. Chciał cofnąć historię o sześćset lat. Chciał, aby każde amerykańskie miasto opustoszało i zapełniło się trupami — niezależnie od tego, czy zamieszkiwali je biali, czarni, Latynosi czy Azjaci. Chciał, aby krążyły nad nimi tylko kruki, dziobiąc nasze kości.

Jego głównym celem było doprowadzenie do tego, aby po równinach znów pędzili na koniach Indianie, aby mogli wjechać na szczyt wzgórza, smaganego przez przyginający trawy wiatr, rozświetlanego tańczącymi na dalekich wzgórzach błyskawicami, i aby wiedzieli, że ten kraj znów do nich należy — cały na zawsze.

Był prawdopodobnie ostatnim rdzennym Amerykaninem który nie chciał przyznać, że nie ma czegoś takiego jak „zawsze”. Nazywał się Misquamacus i był największym czarownikiem, jaki kiedykolwiek żył, zmarł, ożył i został unicestwiony. Pojawił się jednak ponownie i mimo tych wszystkich odważnych słów, które w magiczny sposób wydobyły się z moich ust wiedziałem, że mamy przechłapane.

Niebo w lustrze ciemniało coraz bardziej i wkrótce patrzyłem już tylko na własne odbicie. Kiedy się odwróciłem, przede mną stała Jenica. Jej twarz wyrażała sześć różnych emocji naraz.

— Kto to był? Znasz go?

Z kuchni wyszedł Gil i położył kij baseballowy na stoliku.

— Wszystkie strigoi sobie poszły. — Głowę miał owiniętą ścierką, przez którą przesączała się krew.

— Pozwól, że obejrzę twoją ranę — zaproponowała Jenica.

— Nic mi nie jest. — Gil popatrzył w stronę kuchni, jakby nie mógł uwierzyć w to, czego był przed chwilą świadkiem. — Powinniście byli widzieć, jak wypełzają przez okno... jak robaki, kiedy zapali się światło. Szły prosto w dół po ścianie,

głowami w dół. Jak można schodzić ze ściany głową w dół?

— W pierwszej wersji powieści hrabia Dracula umiał to robić — powiedziałem.

— Strigoi nie podlegają sile grawitacji, bo nie żyją — wyjaśniła Jenica.

Uniosłem kość i przyjrzałem jej się uważnie. Nie miałem pojęcia, skąd pochodzi ani co znaczą wyryte na niej symbole, ale zdecydowanie tkwiła w niej jakaś niezwykła siła, w dodatku raczej nie rumuńska.

— Przydałoby mi się coś mocniejszego — stwierdził Gil. — Co powiecie na kolejną butelkę oddechu śmierci?

— Przedtem muszę jeszcze coś zrobić — oświadczyła Jenica. Wzięła kij baseballowy Gila, podeszła do lustra i uderzyła w nie z całej siły. Pierwsze uderzenie tylko wstrząsnęło szkłem, zamachnęła się jednak ponownie i tym razem szkło poleciało na podłogę, tworząc niewielką błyszczącą kupkę, a w ramie pozostała sama deska. — Chyba Frankowi należą się moje przeprosiny. Tobie też, Harry... za to, że w ciebie wątpiałam.

— Obawiam się, że jeśli chodzi o Franka, jest to nieco spóźnione.

Poszliśmy do salonu i usiedliśmy.

— Ojciec chyba by zrozumiał, gdybym otworzyła jego palinkę.

— Słucham?

Uniosła w górę butelkę z białego szkła.

— Wódka ze śliwek z Transylwanii. Bardzo mocna.

Nalała nam po sporej miarce i wypiliśmy w milczeniu.

— Boże drogi... — sapnął Gil. — Można by w tym rozpuszczać diamenty.

— Ojciec twierdzi, że każdy, kto pije palinkę, staje się w głębi serca Rumunem, niezależnie od tego, co ma napisane w paszporcie.

Upiłem kolejny łyk. Nie wiem, jaki wpływ miał ten napój na moją narodowość, ale na pewno znakomicie działał na moją męskość. Oceniałem, że po wypiciu połowy butelki mógłbym walczyć z legionem strigoi i dowolnym svarcolaci, którego by sprowadziły.

— Co tak naprawdę się tu stało? — spytał Gil. — Nie rozumiem, dlaczego te strigoi nagle podkuliły ogony.

— Ja też nie bardzo to rozumiem — przyznała Jenica. — Wypowiadałam rytualne słowa, mające odczarować Zbieracza Wampirów, i wydawało mi się, że nie działają. A potem nagle się odwrócił i wszedł ponownie do świata w lustrze, i kiedy to zrobił, wszystkie strigoi uciekły.

Mówiąc to, cały czas patrzyła na mnie, chciała się dowiedzieć, kim była postać w wojennym stroju, i domyślała się, że to wiem.

— Ten stwór... — zacząłem — ta postać z cieni... wygląda jak Vasile Lup i tkwi w nim duch Vasile Lupa... głównie jego, ale to jakby ktoś opanowany przez demona. Pamiętacie Regan z Egzorcysty? Wydaje się, że to ktoś, kogo znamy... bo tak wygląda, ale ten ktoś zupełnie nie panuje nad swoją osobowością. Tak naprawdę to demon, który decyduje o tym, co dana osoba mówi i robi.

— Chcesz nam powiedzieć, że duch Vasile Lupa został opanowany przez innego ducha? — spytał Gil. — Jak to możliwe?

— Duchy są jak zwykli ludzie. Jedne są przywódcami, a inne wykonawcami.

— Ale Vasile Lup musi mieć dość dominujący charakter, inaczej nie udałoby mu się zebrać tylu wampirów. Nie tylko je obudził, sprawił także, że w niespełna dwie doby zajęły całe miasto. Zastanówcie się nad tym. Kilkuset wampirom udało się dokonać tego, czego nawet al-Kaida nie byłaby w stanie... nawet mając bombę atomową. Zabiły tysiące ludzi i namówiły dalsze tysiące, by zrobiły to samo, więc zabijanie rozprzestrzeniało się w postępie geometrycznym.

— Zgadza się, ale nie sam Vasile Lup to rozpoczął. Ktoś musiał go obudzić, czyż nie? Dlatego uważam, że został opanowany przez jakiegoś ducha, jeszcze potężniejszego niż on sam.

— Wiesz, kim był ten stwór, prawda? — powiedziała Jenica. — Istota w rytualnym stroju na głowie, którą widzieliśmy w lustrze.

— Wiesz, kto to był? — zawtórował jej Gil.

Skinąłem głową.

— To indiański czarownik Misquamacus. Był największym szamanem swoich czasów... a nawet wszech czasów. Miałem z nim kilka starć. Wydawało mi się, że go zniszczyłem... aż cztery razy mi się tak wydawało. Trzy razy wracał, ale ostatnim

razem byłem naprawdę przekonany, że sprawa została ostatecznie rozwiązana.

— Indiański czarownik... — powtórzył powoli Gil, jakby chciał zapytać w obcym języku: „Proszę mi powiedzieć, gdzie jest najbliższa toaleta”. — A w jaki sposób doszło do tego, że musiałeś z nim walczyć?

Wypiłem następny łyk palinki.

— Po części przypadkowo, ale głównie w wyniku przepowiadania przyszłości. Nie mam w tym kierunku naturalnych zdolności, przynajmniej nie w tym stopniu co Amelia, lecz nawet największy tępak świata ma odrobinę wrażliwości parapsychicznej. Choć nie bardzo w to wierzyłem, tak długo zajmowałem się tarotem i tyle razy wróżyłem z fusów, że w końcu naprawdę zacząłem mieć kontakt ze światem duchowym.

— A ten Misquamacus? O co mu chodzi?

— Najogólniej mówiąc, nie podoba mu się, że Ameryka jest zajęta przez białych ludzi... czy w ogóle jakichkolwiek innych ludzi poza Indianami. Aby się nas pozbyć, próbował wzywać swoich pradawnych bogów, nic to jednak nie dało. Potem próbował niszczyć nowojorskie budynki, ale i to nic nie dało. Tym razem wygląda na to, że aby się nas pozbyć, zamierza wykorzystać jeden z naszych przesądów. To jak duchowe karate: wykorzystaj do walki z przeciwnikiem jego własną siłę. Tak jak al-Kaida użyła naszych samolotów. Tyle że to, co on chce zrobić, będzie milion razy gorsze.

— Ale wrócił do lustra — stwierdziła Jenica. — Właśnie miał mnie złapać, ale się odwrócił. Jeżeli jest Indianinem, a nie Rumunem, jak mogło mi się udać odesłać go do lustra za pomocą rytuału przeznaczonego dla svarcolaci?

— Sądzę, że twój rytuał osłabił ducha gospodarza, choć moim zdaniem najwięcej zrobiła ta kość. Pomachałem mu nią, a z moich ust wydobyły się słowa, których wcale nie mówiłem. Kość buczała, a ja czułem się jak Luke Skywalker ze świetlnym mieczem.

Gil wziął kość do ręki.

— Może to jakaś czarodziejska różdżka?

— Prawdopodobnie coś w tym rodzaju. Podejrzewam, że Misquamacus użył jej do obudzenia Vasile Lupa i zostawił i w jego trumnie z jakiegoś określonego powodu.

— Jeżeli masz rację, to może udałoby się nam zrobić temu czarownikowi to, co on próbuje zrobić nam — powiedziała Jenica. — Użyć przeciwko niemu jego własnej broni.

Wziąłem kość do ręki.

— Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, czym ta kość jest i w jaki sposób trzeba jej używać.

— A jak to zrobimy?

— Zapytamy fachowca. Mojego przewodnika duchowego, Śpiewającą Skałę.

Gil popatrzył na mnie zdumiony.

— Mówisz poważnie?

Zapaliłem trzy korzenne świece Jenicy i na największą z nich nałożyłem bransoletkę Śpiewającej Skały. Niemal skończyliśmy palinkę i choć Jenica otworzyła paczkę rumuńskich herbatników, trzymałem się na nogach nieco niepewnie — jakbym płynął do Staten Island po dość wzburzonych wodach zatoki.

Przygotowywałem stół, a Gil obchodził całe mieszkanie i rozbijał każde napotkane lustro — lecz przy antykach w złożonych ramach zadrżała mu ręka. Jenica wyjęła mu kij z dłoni i sama je rozbiła.

— Lepiej, aby mój ojciec po powrocie do domu ujrzał rozbite lustra niż martwą córkę.

— To rozumiem — powiedziałem z uznaniem. — Może jeszcze trochę palinki, abyśmy nabrali nieco rumuńskiej odwagi?

— Jedno muszę ci przyznać, Harry — mruknął Gil — nie wylewasz za kołnierz.

— Miałem niezbyt radosne życie. To dlatego.

— Wiesz, na czym polega twój problem, stary? Za dużo oczekujesz. Ja nigdy nie oczekuję niczego, więc wszystko, co mi się przytrafi, jest nagrodą. Rozumiesz?

— Gil; ja też nigdy niczego nie oczekuję i dokładnie to dostaję: nic.

Usiedliśmy wokół stołu. Wyglądaliśmy na dość wykończonych. Adrenalina, która nas napędzała, kiedy ścigaliśmy strigoi, zużyła się, a nie mieliśmy się okazji wyspać. Musiałem jednak porozmawiać ze Śpiewającą Skałą — choćby po to, aby otrzymać

potwierdzenie, że to Misquamacus narozrabiał w Nowym Jorku, i dowiedzieć się, czy rzeźbiona kość, którą zdobyliśmy, naprawdę ma taką moc, jak mi się wydawało.

Złożyłem dłonie i zacząłem mówić.

— Śpiewająca Skąło, wiem, że w ostatnim czasie dużo od ciebie chciałem, ale naprawdę potrzebuję porady. Wygląda na to, że to Misquamacus ożywił te wszystkie wampiry i jeśli to prawda, mamy znacznie większe kłopoty, niż sądziłem na początku, a cała sprawa jest znacznie poważniejsza. No wiesz, jeżeli Misquamacus jest tak silny jak każdy przeciwnik, którego można sobie wyobrazić.

Gil zmarszczył czoło, ale Jenica lekko pokręciła głową, dając mu do zrozumienia, żeby się nie wtrącał. Wiedziała, że przy wzywaniu duchów nie trzeba się kierować logiką. Liczy się przede wszystkim skupienie, wiara.

— Śpiewająca Skąło, wiem, że prawdopodobnie bardzo niechętnie staniesz naprzeciwko Misquamacusa. W końcu cię zabił, ale musi być jakiś sposób na to, aby go jeszcze raz pokonać, i jestem gotów wziąć to na siebie, tyle że potrzebuję jakiejś porady.

Kontynuowałem tak przez piętnaście minut, przypochlebiając się Śpiewającej Skale i błagając go o pomoc. Im dłużej to trwało, tym bardziej traciłem cierpliwość.

— Dobra, nie pomagaj mi! Mam to w nosie! Jestem białym człowiekiem i każ mi walczyć samemu z twoim indiańskim demonem! Nie potrzebuję od ciebie pomocy!

Jenica ujęła mnie za dłoń.

— Nie przyjdzie, prawda? Nieważne, prześpijmy się i potem się zastanowimy, co z tym fantem zrobić.

— Dajmy sobie spokój — przyłączył się do niej Gil. Dokończmy butelkę i przekimajmy się.

— Jak uważacie. Może macie rację. Prawdopodobnie niedobrze mu się robi na myśl, że miałby mi pomagać.

Dopiliśmy palinkę. Gil zaczął opowiadać długą i skomplikowaną historię o tym, jak próbowali uczyć Bośniaków grać w baseball, i wkrótce całkiem stracił wątek. Pomogłem mu dotrzeć do łóżka — choć sam byłem tak pijany, że niemal zwałem się

na nie obok niego.

Jenica nie położyła się razem z nami — powoli wracała do równowagi po wszystkich dziwacznych wydarzeniach dzisiejszego dnia i niewiele się odzywała.

Zanim poszła do łóżka, pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w czoło.

— Chyba muszę ci podziękować. Gdyby nie ty, ten stwór pewnie by mnie zabił.

— Byłaś bardzo dzielna. Gdyby nie ten twój rytuał, zabiłby nas wszystkich. Misquamacus ukrywa się we wnętrzu Vasile Lupa, a jeżeli Vasile Lup musi wracać do trumny, to co wtedy zrobi Misquamacus?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia o indiańskiej magii.

— Jest bardzo dziwna. Czerpie siłę z żywiołów: z wody, wiatru, ziemi i ognia.

— Przykro mi, że twój przewodnik duchowy nie przyszedł.

— Mnie też. Prawdopodobnie się dąsa. Nie martw się jednak, coś wymyślimy.

— Harry?

Nie wiem, co chciała mi powiedzieć, ale kiedy ludzie są pod wpływem stresu albo strachu, często mówią rzeczy, których tak naprawdę nie mają na myśli. Przynajmniej tak bywało w moim życiu. Tak więc jedynie uścisnąłem jej dłoń.

— Śpij dobrze.

ROZDZIAŁ 19

Pakt krwi

Otworzyłem oczy. Była trzecia czterdzieści siedem rano i niebo na wschodzie zaczynały rozjaśniać pierwsze promienie słońca. Uniosłem głowę znad przypominającej worek z piaskiem poduszki Razvana Dragomira i ujrzałem, że na krześle w przeciwnym rogu pokoju ktoś siedzi. Śpiewająca Skała.

— Śpiewająca Skała?

— Oczywiście, mały bracie. Chyba nie pomyślałeś naprawdę, że zostawię cię, abyś sam walczył z Misquamacusem?

Przesunąłem się ku nogom łóżka na pupie, jak dziecko.

— Wiedziałeś, że to Misquamacus? Od początku?

— Nie. Bardzo dobrze się ukrył. Wyczułem jego woń, kiedy twoja przyjaciółka odmawiała rytualną formułę i duch, w którym się ukrył, zaczął słabnąć.

— To Vasile Lup, Zbieracz Wampirów.

— Zgadza się. Duch bardzo silnego człowieka, wojownika, ale tylko człowieka, a nie czarownika, jak Misquamacus.

W kącie, w którym siedział Śpiewająca Skała, było tak ciemno, że widziałem jedynie zarys jego sylwetki — refleksy na okularach, szesane do tyłu włosy, kontur naszyjnika z kości bizona, który zawsze nosił.

Sądziłem, że pozbyliśmy się Misquamacusa na dobre — powiedziałem. — Myślałem, że został całkowicie rozproszony podzielony między żywioły.

— Tak też było, ale jeden żywioł jest potężniejszy od wszystkich pozostałych: ogień. Ogień może wysuszyć wodę sprawić, aby pękła skała, zabrać powietrze, którym człowiek oddycha. Ogień ożywił też Misquamacusa... znów stopił jego duszę w całość.

— Ogień? Jaki ogień?

— Ogień, który zabił wielu ludzi, ale miał też znacznie poważniejsze

konsekwencje. Ogień, który miał temperaturę siedmiuset pięćdziesięciu stopni Celsjusza i był dość silny, aby ściągnąć z niebytu fragmenty jego ducha.

— Masz na myśli... jedenasty września? Wieże World Trade Center?

— Rozmawiałem z duszami wielu ludzi, którzy wtedy zginęli. Każda z nich pamięta wielki błysk, wielki podmuch i słowo, wypowiedziane w języku, którego nie znają. Niektóre uważały, że to islamska modlitwa, odmawiana przez oddających się opiece Allacha terrorystów. Słowo to brzmiało Ma'iitsoh.

— Ma'iitsoh? Co to znaczy?

— W języku Nawajów „wilk”. To Misquamacus wzywał ducha Vasile Lupa do powstania, aby mógł go opanować. Kiedy Misquamacus został rozproszony po wszystkich żywiołach, stracił spójną substancję duchową, więc nie mógłby zjawić się w świecie ludzi bez ducha Vasile Lupa, w którego mógł się odziać... jak w pożyczony garnitur.

Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Niebo robiło się coraz jaśniejsze i wyobrażałem sobie jak wszystkie strigoi, od których roił się Manhattan, uciekają do trumien i luster, czy gdzie tam przeczekiwały dzień.

— Trzeba było mnie ostrzec przed Vasile Łupem — powiedziałem. — Ostrzegłeś mnie przed strigoi, ale nic nie było o Lupie.

— Było, tylko że kiedy twoja przyjaciółka powiedziała ci o strigoi, przestałeś szukać znaków. Pamiętasz, jak przechodziłeś obok grilla przy Hudson Street?

Walnąłem się w czoło.

— No pewnie! Hudson Street Grill z palącym się tylko jednym „l” i „up” z „kupuj”. Lup. Przepraszam, ale i tak prawdopodobnie bym nie zrozumiał, o co chodzi.

— Nie ma to teraz znaczenia. Odkryłeś, kto jest twoim prawdziwym wrogiem, i wiesz, że jest znacznie niebezpieczniejszy od Vasile Lupa.

— Ale skoro Misquamacus nie może się pojawić w realnym świecie bez wykorzystania Lupa, czy to znaczy, że jeżeli zamkniemy Lupa w trumnie, Misquamacus nie będzie się mógł wydostać?

— Misquamacus daje duchowi Vasile Lupa znacznie większą odporność na rytuały twojej przyjaciółki, niż miałyby normalnie. Vasile Lup ma własną moc, lecz

Misquamacus przekazał mu także siłę Wielkich Starców. Rytuał twojej przyjaciółki mógł osłabić Vasile Lupa do momentu ujawnienia się Misquamacusa, nie wystarczył jednak do zmuszenia go, by powrócił do trumny.

— Co więc powinniśmy zrobić?

— Musisz podążyć za Vasile Lupem i dowiedzieć się, gdzie się ukrywa za dnia. Ale nawet z pomocą rytuału twojej przyjaciółki nie dasz rady odesłać go do trumny, bo Misquamacus na to nie pozwoli. Będziesz go musiał całkowicie zniszczyć, aby Misquamacus nie miał ducha, w którym mógłby się ukryć.

— Rozumiem, ale Vasile Lup chowa się w lustrach. Jak mam go zapędzić w kozi róg, bez konieczności rozbicia wszystkich lusterek w Ameryce?

— Nie mam pojęcia. Znam się na magii indiańskiej, lecz nic nie wiem o svarcolaci.

— Bardzo mi pomogłeś.

— Zawsze chętnie udzielam ci porady, mały bracie, nie mogę jednak powiedzieć ci tego, czego sam nie wiem.

Usiadłem na łóżku. Robiło się coraz jaśniej i kontur Śpiewającej Skąły bladł. Ledwie go widziałem.

— Przepraszam. Wiem, że nie ma tu łatwych odpowiedzi.

— Mogę ci w jednej sprawie pomóc. Mogę ci pomóc walczyć ze strigoi, a jeżeli zostaną pokonani, Vasile Lup nie będzie miał armii, która by go chroniała.

Podniosłem głowę.

— Możesz to zrobić? Jak?

— Słyszałeś kiedyś o Zmiennej Kobiecie?

— Nie. Poza tym, że mogłoby to pasować do każdej kobiety, z jaką byłem związany.

— Opowieść o Zmiennej Kobiecie to opowieść Nawajów o Stworzeniu. W czasie przed początkiem czasu światem rządzą Wielcy Starcy, czyli bogowie chaosu i destrukcji. Właśnie ich Misquamacus wezwał, aby zniszczyli białego człowieka, i cały czas dają mu siłę. — Śpiewająca Skąła mówił powolnym, uroczystym głosem, jakim zawsze opowiadał indiańskie legendy, byłem jednak zbyt zmęczony, aby go ponaglać,

poza tym, jeżeli wiedział o czymś, co mogło pomóc nam pobić strigoi, chciałem to poznać. — W owych czasach świat terroryzowały potwory, zwane przez Nawajów binaayee' i był on miejscem ciemności oraz straszliwej przemocy. Niemal cała ludzka rasa została wyrżnięta, poza Pierwszym Mężczyzną i Pierwszą Kobieta oraz dwojgiem ich dzieci. Pierwszy Mężczyzna i Pierwsza Kobieta byli jednak za starzy na to, aby urodzić więcej dzieci, a ich dzieci były ze sobą zbyt blisko spokrewnione. Pewnego dnia nad górą Ch'ooli'i'i pojawiła się ciemna chmura i wokół jej szczytu zaczęło błyskać i grzmieć. Pierwszy Mężczyzna wspiął się na górę i znalazł na niej turkusową figurkę. Była wielkości niemowlaka, ale wyglądała jak dorosła kobieta. Zaniósł tę figurkę Pierwszej Kobiecie, która nie wiedziała jednak, co z nią zrobić, i zaproponowała, żeby ją zanieść z powrotem na szczyt góry. Na szczycie, podczas burzy, Wiatr Nilchi przemienił figurkę w dwie żywe boginie — Zmienną Kobietę i Kobietę o Białej Powłoce. Zmienna Kobieta i Kobieta o Białej Powłoce czuły wielki pociąg do żywiołów. I tak pewnego dnia Zmienna Kobieta położyła się nago na zboczu góry, szeroko rozłożyła nogi i palcami rozchyliła wargi sromowe, aby wędrujące po niebie Słońce mogło świecić prosto do jej wnętrza. Kobieta o Białej powłoce zrobiła to samo w strumieniu, wpuszczając w siebie wodę. Po czterech dniach obie kobiety stwierdziły, że są brzemiennie, i po czterech kolejnych powiły chłopców. Syn Kobiety o Białej Powłoce został nazwany Wodnym Dzieckiem, a syn Zmiennej Kobiety Zabójcą Potworów. Cztery dni później, kiedy syn Zmiennej Kobiety był już dorosły, wezwał swojego ojca Słońce, aby pomógł mu zniszczyć binaayee'. Tak samo jak strigoi, binaayee' giną od słonecznego światła, więc kiedy syn Zmiennej Kobiety czuł ich zapach, wykopywał je z ciemnych kryjówek w ziemi i świecił na nie oczami, spalając na popiół. Zabił w ten sposób wszystkie binaayee' i świat stał się miejscem, w którym można było bezpiecznie żyć. Wszystkie dzieci syna Zmiennej Kobiety również rodziły się jako zabójcy potworów, toteż wkrótce wytepli potwory z czasu przed rozpoczęciem czasu. Dzieci Zabójcy Potworów nazywano Ludźmi-ze-Słońcem-w-Oczach. Zabójca Potworów miał stałość ojca i zmienność matki. Jego oboje rodzice bardzo różnili się od siebie, ale istnieli w harmonii, czyli w sposób, w jaki powinni żyć wszyscy Nawajowie. Zmienna Kobieta powiedziała do Słońca: „Jesteś mężczyzną, a ja kobietą. Ty jesteś z Nieba, a ja z Ziemi. Ty jesteś stały

w swej jasności, a ja muszę się zmieniać wraz z porami roku. Ty poruszasz się stale na obrzeżach Raju, a ja jestem przywiązana do jednego miejsca. Pamiętaj jednak, że choć jesteśmy tak różni, łączy nas jeden duch. Ponieważ tak bardzo się różnimy, nie będzie równowagi we wszechświecie, dopóki nie będzie harmonii między nami”. Zmienna Kobieta pocierała skórę w różnych miejscach swego ciała i za każdym razem tworzyła dwóch dorosłych mężczyzn i dwie dorosłe kobiety, którzy ustanawiali własne klany: Bit’ahnii, czyli Klan Ludzi Pod Jego Ochroną, T–d’ch’nii, czyli Klan Gorzkiej Wody, Hashtu ‘ishnii, czyli Klan Błota, i wiele innych. Potem zabrała tych wszystkich ludzi na zachód, gdzie żyli w pokoju i dobrobycie. Było to przed wiekami, w czasie gdy czas dopiero się zaczął. Zmienna Kobieta żyje jednak do dziś, ponieważ odmładza się z każdą kolejną porą roku. Kiedy nadchodzi zima staje się pomarszczoną staruszką. Wiosną, opierając się na lasce ozdobionej białymi muszelkami, kuśtyka do położonej na wschodzie sali i nabiera sił. Potem bierze turkusową laskę udaje się do sali na zachodzie i wychodzi z niej jako dumna młoda kobieta. Na koniec idzie do sali z widokiem na północ i wychodzi z niej jako tak piękna dziewczyna, że ludzie z zachwytem skłaniają przed nią głowy. Jest cyklem ludzkiego życia. Podąża za porami roku i obrotami Słońca, ale wędruje w przeciwnym kierunku: od starości ku młodości. Rozumiesz to, mały bracie?

— No cóż... — powiedziałem niezbyt pewnie. Była to fascynująca legenda, jeszcze zabawniejsza od opowieści o Adamie, Ewie i Wężu, nie bardzo jednak wiedziałem, jak mogłaby nam pomóc zniszczyć strigoi.

Śpiewająca Skała chyba musiał czytać w moich myślach. Otworzył lewą dłoń i wysunął ją wnętrzem ku górze w moją stronę, potem zrobił to samo z prawą.

— Harry Erskine, z jednej strony masz demony chaosu i ciemności, które próbują cię zniszczyć, z drugiej potęgą życia, płodności i światła. Musisz poprosić Zmienną Kobietę, aby ci pomogła. Tylko ona może wezwać swojego syna Zabójcą Potworów i Ludzi–ze–Słońcem–w–Oczach, którzy będą mogli zabić strigoi.

— To wszystko? Nic więcej nie muszę robić? Jedynie porozmawiać z Matką Stworzenia?

Śpiewająca Skała skinął głową.

— I co mam jej powiedzieć, oczywiście jeśli uda mi się z nią skontaktować? Droga Zmienna Kobieto, bardzo bym się cieszył, gdybyś mogła podesłać mi kilku swoich chłopców, żeby w moim imieniu skopali dupy paru strigoi?

— Czemu sobie z tego żartujesz?

— Bo jestem zdezorientowany, boję się jak jasna cholera i nie sądzę, żebym poradził sobie z przywołaniem Zmiennej Kobiety czy jakiegokolwiek innego bóstwa. Oczywiście wierzę w to, że wierzysz w te historie o Matce Ziemi i zabójcach potworów, i wierzę, iż to wszystko gdzieś istnieje, w jakiejś rzeczywistości. Widziałem część tych rzeczy i w końcu rozmawiam z tobą, a przecież wedle wszelkich zwykłych kryteriów nie istniejesz. Ale to nie jest moja kultura. Nie jestem z tym związany duchowo, więc moja wiara nie jest zbyt silna. To tak, jakbyś kazał mi porozmawiać z Buddą.

— Nie potrzebujesz wiary, Harry Erskine. Zmienna Kobieta jest prawdziwa. Na pewno zauważyłeś, że zimą robi się coraz zimniej i ziemia robi się coraz bardziej zmęczona, ale mimo to wiosna zawsze wraca, a zboże znowu wyrasta. Zmienna Kobieta wędruje w przeciwnym kierunku, krążyłeś jednak wokół niej i widziałeś ją... nawet jeśli tylko przez ułamek sekundy. Nie widziałeś jej na polach? Na ulicach miast? Na pewno wiesz, że gdzieś tu jest.

Przez chwilę wydawało mi się, że rozumiem, o czym mówi. Sami pewnie dobrze wiecie, jak to jest, kiedy ulicą idzie ładna dziewczyna i słońce rozświetla jej twarz, dziewczyna patrzy na ciebie i choć nie wiesz dokładnie, o co chodzi, masz wrażenie, że wydarzyło się coś ważnego. Śpiewająca Skala chciał mi powiedzieć, że Zmienna Kobieta chodzi między ludźmi — może jako duch zmiany — i choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, wszyscy ją kiedyś widzieliśmy.

— W porządku. Może jest prawdziwa. Może ją widziałem, ale nie wiem, jak z nią rozmawiać.

— Oczywiście, że wiesz. Zmienna Kobieta zawsze szuka harmonii. Jest bardzo zmartwiona, kiedy wypędza się ludzi z ich ziem, ale wie, że wszystko musi się zmieniać, a w świecie istnieje zarówno brutalność, jak i współczucie. Ze śmierci wyrasta nowe życie. Z okrucieństwa rodzi się zrozumienie. Zmienna Kobieta

rozpacza, ale nigdy nie szuka zemsty... w odróżnieniu od Misquamacusa. Jeżeli walczysz o harmonię wysłucha cię i pomoże.

— No dobrze, ale jak? Co mam zrobić?

— Do kogo byś poszedł, gdybyś chciał rozmawiać z duchem?

Okno wypełniło się nagle światłem słońca i widziałem już tylko blask oczu Śpiewającej Skały.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Masz mało czasu. Pospiesz się.

— Śpiewająca Skała..

— Nie, Harry Erskine. Dałem ci więcej rad, niż powinienem. Żywi nie mogą stale polegać na martwych, bo się w nich zamieniają.

— A jeśli będę cię jeszcze potrzebował?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Śpiewająca Skała zniknął.

Chciałem iść sam, ale Gil stwierdził, że nawet w dziennym świetle ulice są zbyt niebezpieczne. Strigoi mogą siedzieć w trumnach i lustrach, ale po mieście będą krążyć szabrownicy i wariaci, nie wiadomo także, co z wojskiem, które może mieć rozkaz najpierw strzelać do każdego, a dopiero potem grać w koło fortuny.

Na wypadek gdybyśmy zostali zatrzymani i nie mogli wrócić przed zmrokiem, Gil dwa razy sprawdził, czy wszystkie okna są zaryglowane, a lustra zbite, żeby Jenica była bezpieczna.

Jenica miała się czym zająć. Odkryła w biurku ojca ukraińską książkę o martwych wampirach pod tytułem Opera i pamflet z Transylwanii Opowieści o siscoi (siscoi to lokalna nazwa żywych martwych). Znalazła także siedem tomów pamiętników ojca w ciemnoczerwonej skórze, zaczynających się od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku.

— Nic mi się nie powinno stać — oświadczyła. — Nie martwcie się. Mam jeszcze jedną butelkę palinki, więc niczego nie będzie mi brakować do szczęścia.

— Szczęśliwa i nieprzytomna — mruknął Gil, kiedy wychodziliśmy. — Mam kaca giganta. Sama myśl o tej wódzie boli.

Wyszliśmy na ulicę i znaleźliśmy się w filmie science fiction lat siedemdziesiątych. Szliśmy przez brązowy, powstały na skutek nadmiernej fotosyntezy smog, mijaliśmy porzucane wszędzie samochody i śmieci oraz rozdziobywane przez kruki trupy. Panowała całkowita cisza. Sporo ludzi musiało przeżyć — prawdopodobnie tysiące — ale musieli się ukrywać w mieszkaniach, podobnie jak my. W odróżnieniu od nas nie wiedzieli jednak, iż aby powstrzymać strigoi przed wejściem do domów, muszą porozbijać lustra, a nie było sposobu ich ostrzec.

— Powinieneś zobaczyć się z żoną i córkami — powiedziałem, kiedy szliśmy wzdłuż Hudson Street zasypanym szkłem chodnikiem.

— Zrobię to, ale najpierw sprawdzimy, czy uda nam się skontaktować z tą Zmienną Kobiętą. Przynajmniej jest szansa, że zaczniemy im oddawać.

— Jak uważasz.

Kiedy przecinaliśmy Morton Street, ujrzeliśmy w oddali czterech, może pięciu ludzi. Klęczeli na chodniku, machali rękami jak szaleni i wyli jak wilki. Gil popatrzył na nich przez lornetkę i podał mi ją.

Zobaczyłem, że to trzech mężczyzn i dwie kobiety — nadzy lub częściowo nadzy. Ich ciała były pokryte wielkimi czerwonymi pęcherzami, a z włosów leciał dym.

— Błdzi ludzie — stwierdził Gil. — Wszyscy płoną jak Frank.

— Chodźmy stąd, zanim nas zobaczą. Wiemy przecież, że chcą tylko jednego: krwi.

Przed dotarciem do Christopher Street nie zobaczyliśmy już nikogo więcej. Nikogo żywego, bo na rogu Barrow Street leżała sterta zwłok, falująca od żerujących w nich robaków.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, wcisnąłem należący do mieszkania Amelii mosiężny przycisk. Otarliśmy pot z twarzy grzbietem dłoni.

— A jeśli jej nie będzie? — spytał Gil. Nie dodał: „albo nie żyje”, bo nie musiał. Byłem równie zaniepokojony jak on.

Nacisnąłem ponownie i niemal natychmiast rozległ się głos Bertiego:

— Kto tam?

— To ja, Bertie. Harry Erskine.

— Harry! Czego chcesz, do pioruna?

— Muszę porozmawiać z Amelią. To ważne.

— Idź sobie i zostaw nas w spokoju.

— Bertie, jeżeli nas nie wpuścisz, wyłamiemy drzwi i tak czy owak wejdziemy.

Zapadła długa cisza i w końcu drzwi się otwały.

W mieszkaniu państwa Carlssonów było gorąco i duszno i wokół latały muchy — jak wszędzie. Bertie miał na sobie szlafrok w żółte i niebieskie pasy — szwedzkie barwy narodowe — ale jego twarz była purpurowa. Z sypialni wyszła Amelia w luźnej białej sukience, wyszywanej w białe kwiaty.

— Harry i... Gil, zgadza się?

— Tak jest, proszę pani.

— Znalazłeś Razvana?

— Razvan jest w Bukareszcie, ale widzieliśmy się z jego córką, która wie o strigoi nie mniej od niego.

— Wypowiedziałeś głośno to słowo...

— Które? Strigoi? Tak, ale zdaniem Jenicy to nie ma znaczenia, jeżeli nie są bardzo blisko, za oknem lub pod łóżkiem, i nie są zbyt spragnione. Trzeba tylko uważać, żeby nie wymieniać ich indywidualnych imion.

— To wielka ulga — wycedził Bertie. — Zwłaszcza że nie jestem z żadnym wampirem po imieniu.

— Nie żartuj sobie z tego, Bertie. Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że znowu was widzę. Te strigoi dostają się niemal wszędzie.

— Tu się nie dostaną — oświadczył Bertie. — Nikt się tu nie dostanie. Mój system alarmowy jest najwyższej klasy.

— Chyba lepiej będzie, jeżeli usiądziecie — zasugerowałem.

Opowiedziałem im w skrócie, jak odkryliśmy trumny w krypcie pod kościołem Świętego Stefana, o tym, jak Gil spotkał Franka i przyprowadził go do mieszkania Dragomirów oraz co Frank powiedział o lustrach. Opowiedziałem także, jak strigoi

wspinały się po murze i wchodziły przez uchylone okno, a w korytarzu pojawił się Vasile Lup.

— Ale duch Vasile Lupa został ożywiony przez jeszcze potężniejszego ducha — dodałem. — Przez Misquamacusa.

Amelia popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

— To jakiś żart, prawda?

— Chciałbym, żeby tak było, ale widziałem go na własne oczy. W rytualnym nakryciu głowy i pełnym bojowym rynsztunku...

Amelia wstała i podeszła do okna. Na parapecie stał wazon z niebieskiego szkła z pięcioma wyschniętymi liliami, otoczony opadłymi z kwiatów płatkami. Spojrzała na ulicę w dole z wyrazem twarzy, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widziałem — wyrazem twarzy osoby, która próbowała uciec przed swoim przeznaczeniem, ale jej się nie udało.

— To ten sam Misquamacus, z którym kiedyś walczyliście? — spytał Bertie.

— Obawiam się, że istnieje tylko jeden Misquamacus.

Amelia odwróciła się.

— Rozumiem, że rozmawiałeś ze Śpiewającą Skałą?

— To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłem.

— I co mówił?

Opowiedziałem o Zmiennej Kobiecie, jej synu, Zabójcy Potworów i Ludziach–ze–Słońcem–w–Oczach. Amelia cierpliwie słuchała, a potem zapytała:

— Dlaczego on sam się z nianie skontaktuje? W końcu jest Indianinem i szamanem.

— Tak, ale są dwa poważne problemy... Po pierwsze, jest Siuksem, a nie sędzę, aby Nawajowie i Siuksowie byli przyjaciółmi od serca. Po drugie, jest mężczyzną, a Zmienna Kobieta nie rozmawia z mężczyznami.

— Oszaleję od tego wszystkiego... — jęknął Bertie.

— Lepiej oszaleć, niż zostać wyssanym — stwierdziłem.

— Harry, nie sędzę, że mi się uda — powiedziała Amelia. — Czytałam sporo o Zmiennej Kobiecie i nie jest to ktoś w rodzaju ducha ciotki Mildred. To bogini.

— Wiem, ale z tego, co o niej mówił Śpiewająca Skała, wynika, że jak na boginię jest bardzo sympatyczna. Poza tym sprzyja życiu... nie jest miłośniczką podrzynania gardeł i wysysania ludzi.

Bertie wstał, podszedł do Amelii i ujął jej dłonie w swoje.

— Amelio, powinnaś spróbować.

— Sądziłem, Bertie, że nie wierzysz w te głupoty — odparowałem zdziwiony.

— W obecnej chwili nie bardzo się liczy, w co wierzę — odrzekł z godnością. — Wystarczy wyjrzeć przez okno, aby zobaczyć, że miasto umiera, a władze pozostawiły nas na pastwę losu. Jeżeli nikt nie zamierza nam pomóc, musimy pomóc sobie sami. Jeżeli jedynym sposobem jest... no cóż, musimy spróbować.

— Nie wiem, Bertil — odparła Amelia. — Naprawdę uważam, że moje siły parapsychiczne są niewystarczające...

— Skąd możesz to wiedzieć, dopóki nie spróbujesz? Przecież już walczyłaś z tym Miskym Markusem i posłałaś go do diabła, prawda? Jeśli udało ci się raz, uda ci się i drugi.

Amelia popatrzyła na mnie, ale mogłem tylko wzruszyć ramionami.

— Twoja decyzja, moja droga.

Usiedliśmy przy szklanym stole w jadalni, który stał pod skandynawskim kandelabrem, zrobionym z dziesiątków trójkącików niebieskiego i białego matowego szkła. Dochodziło południe i wilgotność powietrza tak wzrosła, że każdy z nas ociekał potem. Bertie zaczął się wachlować podkładką pod talerz i szkiełka kandelabru zagrzechotały. — Nie, kochanie... nie zakłócaj powietrza — poprosiła Amelia. — Więc mam się rozpuścić?

— Pomyśl o zmrożonym prippsie — zaproponowałem. Amelia kazała nam się wziąć za ręce i zamknęła na chwilę oczy.

— Wzywam każdego ducha, który może mi pomóc — powiedziała po chwili.

Kiedy wypowiada to zdanie, zawsze czuję mrowienie pod włosami. Jej głos brzmi wtedy tak, jakby nie było jej w pobliżu, a stała w pokoju obok. Niezależnie od tego, ile razy rozmawiałem ze Śpiewającą Skałą czy próbowałem wzywać duchy, nigdy nie udawało mi się sprawić, aby mój głos brzmiał podobnie.

— Wzywam każdego ducha, który może mnie zaprowadzić do Zmiennej Kobiety. Wzywam każdego ducha, który może dotknąć jej ramienia i poprosić ją, aby ze mną porozmawiała.

Czekaliśmy w milczeniu, dłonie pociły się nam coraz bardziej. Czułem, jak z czubka mojego nosa spada kropla potu i uderza o stół, a za nią tworzy się następna, ale nie mogłem temu zaradzić. Nie wolno było zerwać połączenia naszych dłoni.

— Proszę o to, by zaprowadzono mnie do Zmiennej Kobiety, abym mogła złożyć jej wyrazy szacunku i błagać ją o przysługę w imieniu tych, którzy dali jej życie: Sa ‘ah Naaghahi i Bik ‘eh H-zh-...

Po raz kolejny musiałem przyznać, że Amelia zna się na rzeczy. Powiedziała ot tak mimochodem, że „sporo czytała” o Zmiennej Kobiecie, ale znając ją, oznaczało to prawdopodobne, że summa cum laude ukończyła studia z zakresu mistycyzmu Nawajów.

— Zmienna Kobieto, podziwiam cię i szanuję. Zmienna Kobieto, Zmienna Kobieto, błagam cię o rozmowę.

Sądząc po wyrazie spoconej, purpurowej twarzy Bertiego mąż Amelii zaczynał się czuć coraz bardziej nieswojo, szanował jednak umiejętności Amelii — nawet jeśli trudno mu było uwierzyć w istnienie duchów i wampirów. Kiedy go poznałem, pomyślałem co prawda, że jest ostatnim dupkiem, ale tylko dlatego, że byłem zazdrosny. Cholera jasna, on ją kochał!

— Zmienna Kobieto, porozmawiaj ze mną! Potrzebuję twojej energii życiowej i siły oraz twojej mądrości. Proszę cię, abyś mi dała moc Słońca, żebym mogła przepędzić ciemność z naszego miasta. Potrzebuję twojego syna, Zabójcy Potworów, oraz synów twojego syna i jego córek.

Nagle zebrało mi się na kichanie. Wykrzywiłem twarz, ale swędzenie w nosie nasilało się, aż doszło do punktu, w którym miałem do wyboru albo puścić rękę Gila, albo prychnąć Bertiemu prosto w twarz.

W tym momencie powietrze za krzesłem Amelii zadrżało i chęć kichania przeszła mi jak ręką odjął. Powietrze wyglądało, jakby się marszczyło — jak w upalny dzień nad blaszanym dachem. Dokładnie przede mną zaczęła się materializować stara

kobieta — z początku była przezroczysta, ale z każdą chwilą robiła się wyraźniejsza. Była drobna i zgarbiona, miała zaplecione w warkocze siwe włosy i tak wysuszoną twarz, że bardziej przypominała małpę niż człowieka. Odziana była w jasnoszarą wełnianą pelerynę, a w rękę trzymała błyszczącą turkusową laskę.

Amelia miała cały czas zamknięte oczy i wciąż wzywała duchy, aby jej pomogły. Nie wiedziałem, czy krzyknąć coś w rodzaju: „Popatrz za siebie!”, ale z moich dotychczasowych kontaktów z zaświatami wiedziałem, że nie wolno przerywać seansu. Mogło to przepłoszyć duchy, było również niebezpieczne.

— Zmienna Kobieto, potrzebuję twojej odwagi. Zmienna Kobieto, potrzebuję twojego ciepła. Zmienna Kobieto, potrzebuję twojej życzliwości.

Teraz zaczęło także migotać powietrze za Bertiem. W ciągu kilku sekund pojawiła się kolejna kobieta — tym razem około czterdziestki. Miała na głowie strój z suchych liści, była owinięta brązowym kocem z surowego płótna, a jej policzki pokrywała czerwona farba. Stała po mojej prawej stronie i patrzyła na mnie nad głową Bertiego — miała całkowicie czarne oczy, jakby jej czaszka była w środku pusta.

Gil otworzył oczy i mocniej ścisnął mnie za rękę, aby dać znak, że również widzi kobiety.

— Nic nie mów... — szepnąłem.

Ścisnął jeszcze mocniej moją dłoń i przechylił głowę do tyłu.

— Za... tobą... — powiedział, poruszając bezgłośnie wargami.

— Co?

Znów przechylił głowę i zrozumiałem, że musiał się za mną zmaterializować kolejny duch. Bardzo powoli odwróciłem głowę i kątem oka ujrzałem młodą kobietę, ubraną we fluoryzującą białą sukienkę, ozdobioną ciemnoczerwonym zygzakiem. Nie mogłem odwrócić się na tyle, aby dostrzec jej twarz, ale jeżeli mina Gila mogła być jakąś wskazówką, trzecia kobieta była nie mniej przerażająca jak ta stojąca za Bertiem.

— Zmienna Kobieto, wysłuchaj mnie. Przybądź do mnie ze wszystkich stron świata. Ze wschodu, gdzie słońce i wszystko inne się rodzi. Z południa, gdzie wszystko rośnie i dojrzewa. Z zachodu, gdzie słońce zapada za horyzont po

wypełnieniu swojego codziennego obowiązku. I z północy, gdzie wszystko umiera.

Teraz powietrze poruszyło się za krzesłem Gila. Przez chwilę falowało jak przepływająca nad głazami czysta woda, a potem stopniowo zaczęło przybierać kształt dziewczyny — całkowicie nagiej, jeśli nie liczyć sznurów białoczerwonych paciorków, owiniętych wokół nadgarstków i kostek, oraz skomplikowanych wzorów, namalowanych na jej ciele brązową farbą. Srebrzystoczarne włosy sięgały jej do połowy pleców.

Gil siedział po północnej stronie stołu i kiedy pojawiła się czwarta postać, było oczywiste, że Amelii udało się przywołać Zmienną Kobietę. Śpiewająca Skala powiedział przecież, że podąża ona w odwrotnym kierunku. Na północy, zwykle symbolizującej zimno i śmierć, pojawiła się najpiękniejsza dziewczyna, przynosząc nadzieję na płodność i nowe życie.

Amelia powoli otworzyła oczy.

— Jesteś... — wyszeptała i uśmiechnęła się.

— Wzywałeś mnie — odpowiedziały jej cztery głosy naraz. W pokoju było tyle energii parapsychicznej, że powietrze aż trzaskało. Kiedy Zmienna Kobieta się odezwała, po brzegu stołu przeleciała ścieżka z iskier, a wszystkim nastroszyły się włosy. Elektryczna gąsienica przepełzła nawet po blaszkach identyfikacyjnych Gila i srebrnym łańcuszku, który miał na szyi.

— Zmienna Kobieto, potrzebujemy twojej pomocy — oświadczyła Amelia. — Czarownik Misquamacus wrócił w płaszczu pożyczonego ducha. Ożywił plemię żywych trupów z za wschodniego oceanu. Zamordowali już tysiące ludzi i jeżeli ich nie zniszczymy, zło rozprzestrzeni się po całym kraju.

— Wiem o tym — odparła Zmienna Kobieta. Kiedy mówiła, buczały mi zęby, a skóra piekła, jakby pełzały po mnie czerwone mrówki.

— Więc nam pomożesz? Potrzebujemy zabójców potworów, którzy będą mogli odkryć, gdzie chowają się żywi martwi, i spalić ich słońcem świecącym z ich oczu.

— Mówisz o klanie mojego syna?

— Nie znamy nikogo innego, kto mógłby nas uratować. Cztery kobiety zaczęły powoli obchodzić stół, aż najmłodsza znalazła się za mną, a najstarsza za plecami

Bertiego, naprzeciwko mnie. Gil spoglądał na mnie nerwowo, nie wiedziałem jednak, jak go uspokoić.

— Wiesz, co zamierza Misquamacus?

— Wiem — odparła Amelia. — Chce usunąć z tego kraju wszystkich poza Indianami.

.— Potrafiłabyś wymieni ć jakiś powód, dla którego powinnam mu w tym przeszkodzić? Dziesiątki tysięcy moich ludzi zginęły z rąk białego człowieka z powodu jego chciwości, a po naszych świętych miejscach chodzą teraz obcy różnych wyznań.

— Wiem, że biali ludzie uczynili wam wiele krzywd. Mogę jedynie zaapelować do twojego humanitaryzmu.

Cztery kobiety ponownie zmieniły pozycje. Popatrzyłem na nie ukradkiem, próbując się zorientować, czy Zmienna Kobieta zechce nam pomóc. Ale twarze wszystkich czterech postaci były obojętne, nie do rozszyfrowania — zwłaszcza twarz najstarszej, ledwie przypominająca ludzką.

— Jestem córką Sa'ah Naaghahi i Bik 'eh H-zh- — oświadczyła Zmienna Kobieta. — Sa'ah Naaghahi to sposób, w jaki wszystko, co żyje, uzyskuje nieśmiertelność poprzez reprodukcję. Bik'eh H-zh- jest pokojem i harmonią, niezbędną, aby trwało życie. Ponieważ jestem córką Sa'ah Naaghahi i Bik 'eh H-zh-, pomogę ci pozbyć się plemienia żywych martwych.

Nigdy w życiu nie słyshałem słów, które, że tak powiem, bardziej dodałyby mi czadu. Amelia uśmiechnęła się.

— Dziękuję ci, Zmienna Kobieto, i bądź błogosławiona.

Nawet Bertie nie mógł się powstrzymać od wyszczerzenia zębów.

— No to teraz możemy skopać kilka tyłków — stwierdził Gil.

Atmosfera w jadalni była tak naładowana elektrycznością, że między krzesłami przeskakiwały iskry, a szklane trójkąćiki kandelabra pobrzękiwały jak chińskie dzwoneczki. Najmłodsza z widmowych postaci — naga dziewczyna — podeszła do młodej kobiety w białej sukience. Przez chwilę stały obok siebie, a potem zaczęły na siebie nachodzić i zlewać się w jedno. Kiedy w miejscu dwóch była już tylko jedna

postać, podeszła do kobiety w średnim wieku i również się z nią złąła.

— Prawem natury jest, aby wszystko się starzało i umierało — powiedziały jednocześnie dziewczyna i stara kobieta.

Wszystko też musi się odradzać. Nie ma na tym świecie miejsca dla tych, którzy są martwi i żywi równocześnie.

Po tych słowach dziewczyna stopiła się ze staruszką i była już tylko najmłodsza — naga, przepiękna, z włosami unoszącymi się nad ramionami, jakby poruszał je niewyczuwalny wiatr.

— Wezwę mojego syna i jego dzieci. Wezwę klan Ludzi–ze–Słońcem–w–Oczach. Wezwę ich, aby odszukali członków plemienia żywych martwych i zniszczyli ich wszystkich.

Zmienna Kobieta zaczęła podśpiewywać wysokim głosem jakieś powtarzające się zaklęcie, co trwało niemal pięć minut. Równocześnie zaczęła się rozplływać — tak samo jak Śpiewająca Skała, aż w końcu widać było już tylko blade, tańczące nitki rozwiewanych przez wiatr włosów.

Gil puścił moją dłoń i wstał.

— Nie, Gil, jeszcze nie! — krzyknęła Amelia. Rozległ się trzask, jakby pękło potężne drzewo, i błysnęło oślepiające światło. Kandelabr eksplodował i zasypał nas szkłem, po chwili rozprysnął się także szklany blat stołu. Obrazy zaczęły spadać ze ścian, a wrzecionowata rzeźba Bertiego pofrunęła w powietrzu. Jedna po drugiej pękały szyby w oknach — z takim hukiem, że nie słyszeliśmy swoich krzyków.

Pod tymi hałasami zaczął się krystalizować nowy dźwięk. Był taki niski i wibrujący, że nie tyle go słyszałem, ile czułem. Jakby w pobliżu włączono potężny generator albo tysiąc głosów mrucało basso profundo.

— Co się dzieje? — spytał Bertie. — Zdawało mi się, że mają nam pomóc.

— Bertil... proszę, zaczekaj.

Nie musieliśmy czekać zbyt długo. Pomruk narastał, a wszystkie rozbite w drobny mak przedmioty zaczęły się zbierać pośrodku salonu — szkło, kawałki mebli, rozbite rzeźby, kamyki i ziemia z przewróconych doniczek, czasopisma, listy i suche liście.

Po chwili uniosły się i cała ta zmieszana masa — migocząca i kotłująca się w

powietrzu — zaczęła układać się w ciemny kształt, jakby człowieka z dymu. Był ogromny — miał prawie siedem stóp — i pachniał dymem jak paląca się w upalny letni dzień trawa.

Ponieważ nie miał ciała — w końcu był duchem — wykorzystywał śmieci do ukazania nam swej postaci.

Najpierw ukształtowała się jego głowa. Wyglądał, jakby miał na niej rytualny strój z rogów bizona, co nadawało mu sataniczny wygląd, ale jego magia nie miała nic wspólnego ani z szatanem, ani z Bogiem. Był to Zabójca Potworów Nawajów, którego matką była Zmienna Kobieta, a ojcem Słońce.

— Matka poprosiła mnie, abym wam pomógł — powiedział głosem huczącym jak wpadający do komina płomień. — Mówiła, że chcecie, abym odszukał istoty z plemienia żywych martwych i spalił je.

— Twoja pomoc byłaby dla nas zaszczytem, Zabójco Potworów — odparła Amelia.

Zabójca Potworów uniósł wysoko ręce.

— To, o co poprosi mnie matka, jest dla mnie rozkazem.

— Niech pan jednak będzie ostrożny — przestrzegł z nieoczekiwaną zuchwałością Gil. — Istoty z tego plemienia nie są głupie, jest ich mnóstwo i poruszają się jak jaszczurki na gorącym kamieniu.

Zabójca Potworów odwrócił swoją wielką dymiącą głowę i otworzył oczy. Z obu oczodołów wystrzeliły jaskrawe promienie światła, tak intensywnego, że musiałem się odwrócić. Promienie trafiły w ścianę, przepaliły farbę, tynk i mur i z hukiem przebiły się do kuchni. W powietrzu rozszedł się swąd dymu.

Zabójca Potworów zamknął powieki i wszystko pociemniało, tylko przed oczami latały mi żółtozielone powidoki. Kiedy zacząłem odzyskiwać wzrok, dostrzegłem, że Zabójca Potworów robi najpierw jeden, potem drugi krok w tył. Z każdym jego ruchem kawałki porozbijanych rzeczy, które wykorzystał, aby pozwolić nam siebie zobaczyć, wydawały odgłos, jakby ktoś przerzucał szuflę żwir. CHSZU... CHSZU... CHSZU... Gil tarł oczy i przyglądał się dziurze w ścianie.

— Jezu... ten gość nie potrzebuje porad z zakresu walki wręcz...

Zabójca Potworów odchodził powoli i po chwili dym, który otaczał jego postać, rozwiął się, a śmieci z grzechotem opadły na podłogę.

Kiedy zniknął, Amelia uniosła ramiona i zamknęła oczy.

— Błogosławię twoje imię, Zmienna Kobieto! — zawołała wysokim, śpiewnym głosem. — Oby Wielki Manitou pozwolił ci korzystać ze wszystkich swoich sztuczek, jakich będziesz potrzebowała.

— Amen — skwitował Gil.

ROZDZIAŁ 20

Strumień krwi

Pojawienie się Zabójcy Potworów tak dokładnie zniszczyło apartament Amelii i Bertiego, że pomogliśmy im się przenieść do urządzonego w kolonialnym stylu mieszkania piętro wyżej, którego właściciele pojechali na wakacje na wyspy Turks i Caicos. Próbowałem przekonać samego siebie, że Zabójcy Potworów i jego klanowi uda się wyłapać i spalić wszystkie strigoi, ale uznałem, że nie będzie dla Amelii i Bertiego zbyt bezpiecznie, jeśli pozostaną w mieszkaniu bez szyb w oknach.

Zanim wyszliśmy, sprawdziliśmy z Gilem wszystkie pokoje i rozbiliśmy wszystkie lustra.

— Kiedy Nigel to zobaczy, chyba wykluczy nas z grona swoich przyjaciół — mruknęła Amelia.

— Nie martw się, na pewno nie będzie się przejmował lustrami. Ucieszy się, że przeżyliście.

— Chcecie coś zjeść? — spytał Bertie. — Nie mamy oczywiście nic ciepłego, ale jest kilka puszek zupy i szwedzki żytni chleb.

— Nie trzeba — odparłem. — Najlepiej będzie, jeśli wrócimy do Jenicy. Nie chcę, żeby była sama.

Amelia podeszła do mnie i ujęła obie moje dłonie.

— Kolejna dziwna przygoda — powiedziała. — Dlaczego takie rzeczy przydarzają się akurat nam, Harry?

— Bo jesteśmy mediami. To nasza robota. Kto coś takiego załatwi, jeśli nie my?

— Myślisz, że to zadziała? Wezwanie Zabójcy Potworów?

— Nie wiem. Mam nadzieję. Ale muszę jeszcze znaleźć Misquamacusa i unieszkodliwić go.

— Pokażesz się potem? Nie chciałabym, abyś zniknął bez wieści.

Bertie robił się trochę nerwowy, więc pocałowałem ją tylko w czoło.

— Znasz mnie. Erskine Niezniszczalny. Chodź, Gil, najlepiej będzie, jak się stąd wyniesiemy.

Gil zostawił mnie na rogu Leroy Street i poszedł do domu, sprawdzić, co z żoną i córkami. Kiedy szedłem przez miasto, było cicho, ale gdy wchodziłem po schodach w domu Dragomirów, dałbym sobie uciąć rękę, że usłyszałem krzyk mężczyzny. Zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać, lecz krzyk się nie powtórzył. Wszedłem do mieszkania i dokładnie zamknąłem za sobą drzwi.

Jenica spała na kanapie. Na dywanie leżał jeden z tomików dziennika jej ojca. Gdy potrząsnąłem ją za ramię, otworzyła oczy i popatrzyła na mnie, jakby mnie nie poznawała.

— Och... miałam taki dziwny sen...

— Nic nie może być dziwniejszego od tego, co właśnie zrobiliśmy.

Jenica usiadła i przeciągnęła się.

— Jak poszło? Seans się udał?

— Czy się udał? Wywołaliśmy najpaskudniejszego myśliwego wampirów, jakiego możesz sobie wyobrazić. Zabójcę Potworów! Jest jak... składa się z dymu i pyłu, ale trzeba go było zobaczyć! Ma rogi jak demon, a z jego oczu wystrzeliwuje jaskrawe światło. Jak promienie śmierci. ZZZAP! BAM! — i w ścianie zrobiła się wielka dziura.

— Będzie dla nas walczył ze strigoi!

— Szkoda, że cię tam nie było, Jenica. Pojawiła się Zmienna Kobieta, która składała się z czterech różnych kobiet, choć była to ta sama osoba, ale w różnym wieku. Potem wezwała Zabójcę Potworów. Całe mieszkanie Amelii zostało zdemolowane, no wiesz... wszystko, co nie było przymocowane, rozpadło się w kawałki. To było tak niesamowite...

— Harry, czy ten Zabójca Potworów będzie dla nas walczył ze strigoi!

Zacząłem się uspokajać.

— Tak, będzie walczył. Możemy tylko czekać i patrzeć.

— To dobrze, prawda? Czyli misja zakończyła się sukcesem?

— Chyba tak. Przynajmniej taką mam nadzieję. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Jenica podniosła dziennik ojca.

— Kiedy cię nie było, dużo się dowiedziałam.

— Tak?

— Posłuchaj mnie uważnie, Harry... Dowiedziałam się o sprawach, których przedtem nie rozumiałam. Na przykład, dlaczego ojciec miał obsesję na punkcie tropienia strigoi.

— Chętnie bym się czegoś napił.

— Dowiedziałam się też czegoś o sobie...

Nalałem sobie kieliszek palinki i właśnie zamierzałem go wychylić do dna, kiedy dotarło do mnie, że Jenica próbuje mi powiedzieć coś ważnego.

Wbiłem w nią wzrok.

— Jesteś wzburzona.

— To był szok. Nigdy bym się tego nie domyśliła.

— Opowiedz.

— W dzienniku ojciec pisze, że poznał matkę w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy studiował na uniwersytecie w Rumunii, a ona pracowała w kawiarni, w której często przesiadywał. Zakochali się w sobie i chcieli wziąć ślub, ale kiedy powiedzieli jej ojcu o swoich planach, Wpadł we wściekłość i zakazał im się widywać. Po wielu kłótniach mój ojciec zabrał matkę do Stanów Zjednoczonych i potajemnie wzięli ślub tutaj, w Nowym Jorku.

— No i?

— Byli bardzo szczęśliwi i nie mogli pojąć, dlaczego jej ojciec tak bardzo nie chciał, żeby zostali małżeństwem. Trzy lata później, kiedy matka była w ciąży ze mną, ojciec zabrał ją do Rumunii, aby pogodziła się z moim dziadkiem. Razvan jest bardzo honorowy i uważał, że nie może uniemożliwiać ojcu kontaktu z własnym dzieckiem i wnukami.

— Jak na razie nadażam. — Znowu napiłem się palinki i otrząsnąłem się jak pies pasterski. — Ale dlaczego mam wrażenie, że to szczęśliwe zjednoczenie rodziny nie

okazało się aż tak bardzo szczęśliwe?

— Ponieważ z powodu ciąży matki dziadek musiał wyjaśnić moim rodzicom, czemu był tak bardzo przeciwny ich związkowi. Powiedział im, że kiedy moja babcia Ecaterina była w ciąży, pojechała odwiedzić rodzinę, mieszkającą w górach, w miejscowości Horezu. Po drodze zepsuł się autobus i kierowca wraz z siedmiorgiem pasażerów musieli przenocować na odludziu niedaleko Caciulata. Rano się okazało, że kierowca i sześciu mężczyzn nie żyje... mieli poderżnięte gardła... żyła tylko moja babcia, choć została tej nocy wielokrotnie zgwałcona. Kilka dni później dostała wysokiej gorączki... jak Frank. Urodziła mamę przedwcześnie i umarła. Została zakażona przez strigoi i stała się bladym człowiekiem. Dziadek dał matce na imię Mariana, co oznacza „gorzka łaska”.

Podala mi oprawiony w miękką skórzaną okładkę dziennik ojca, pokazując palcem akapit na górze.

— Czytaj.

Styl Razvana Dragomira był bardzo uporządkowany i równocześnie gwałtowny — był to styl człowieka, który ma do opowiedzenia straszne rzeczy, ale chciałby zostać dobrze zrozumiany.

„Nicolai powiedział mi, że po śmierci Ecateriny zaprosił go do swojego gabinetu jeden z najstarszych i najznamienszych ginekologów z kliniki w Pitesti. Lekarz oświadczył, że wyjaśni mi, co się stało z Ecateriną i co może się stać z Marianą, kiedy dorośnie, nie wolno tego jednak nikomu zdradzić pod groźbą ściągnięcia na siebie uwagi żywych martwych.

Powiedział, że choroba, która kosztowała moją babcię życie, nie powinna się odbić na zdrowiu małej Mariany, choć w jej krwiobiegu zawsze będzie krążył wirus strigoica, którego nie da się usunąć nawet za pomocą pełnego przetoczenia krwi. Wirus ten będzie zawsze przekazywany wszystkim kobietom w rodzinie. Ale w odróżnieniu od pełnokrwistej strigoica Mariana nie będzie nadwrażliwa na światło słoneczne i nie będzie odczuwać pragnienia ludzkiej krwi, będzie jednak miała różne cechy bladych ludzi — na przykład umiejętność wyginania ciała w niemożliwy sposób czy wspinania się na mury. Poza tym ginekolog powiedział, że zawsze, kiedy zechce,

będzie mogła przechodzić przez »srebrne drzwi«, choć nie wyjaśnił ojcu Mariany, co to takiego”.

— Srebrne drzwi... Czy może tu chodzić o lustra? — zapytałem. — Nie mów, że twoja matka umiała przez nie przechodzić.

— Czytaj dalej. To jeszcze nie wszystko.

„Ginekolog jednoznacznie stwierdził, że jeżeli Mariana kiedykolwiek urodzi córkę, będzie ona również zainfekowana wirusem strigoica. Synowie nie zostaną zakażeni — tak samo mężczyźni, z którymi Mariana będzie miała kontakt płciowy — chyba że odprawi przedtem rytuał Samodivy. Rytuał ten sprawi, że krew jej partnera będzie podatna na zakażenie wirusem i mężczyzna niemal na pewno się zarazi”.

Odłożyłem dziennik.

— Twój ojciec pisze tu, że twoja babcia przekazała wirusa strigoica twojej matce, a twoja matka tobie i jeżeli będziesz miała kiedyś córkę, ona również będzie zainfekowana. Boże, Jenico, jesteś półwampirzycą! I ojciec nigdy ci o tym nie powiedział? Rany...

Oczy Jenicy błyszczały od łez.

— Całe życie robił wszystko, abym trzymała się z dala od chłopaków.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że nigdy...

— Nie, oczywiście, że nie. Jak mógłby mnie powstrzymać? Zawsze jednak, kiedy sądził, że mam jakiegoś przyjaciela, robił się zimny i wrogi i nigdy mi nie pozwalał przyprowadzać nikogo do domu. Mówił, że jedynym mężczyzną, którego potrzebuje dziewczyna, jest ojciec. Myślałam, że jest nadmiernie opiekuńczy, ale on chciał tylko, żebym nie miała dzieci. Dziewczynek.

— To się robi coraz bardziej szalone. Czy podejrzewał, że twoja matka może przechodzić przez lustra? Myślisz, że ona o tym wiedziała?

— Nie sądzę. Z tego, co ojciec napisał w dzienniku, nie przypuszczam, aby rozumiał lepiej od dziadka, czym są „srebrne drzwi”. Legendy nie mówią o tym, że strigoi mogą ukrywać się w lustrach. Nawet po latach badań mógł się tego nie domyślać.

Nie bardzo mieściło mi się to wszystko w głowie i doskonale rozumiałem,

dlaczego Jenica jest tak bardzo rozbita. Odkrycie, że jest się spokrewnionym z wampirami, nie mogło być zbyt miłe — nie wspominając już o tym, że jej własny ojciec wiedział o tym i nic nie mówił.

Nalałem sobie kolejny kieliszek palinki — napełniłem go aż po wręby, dolałem też Jenicy.

— Popatrz — powiedziała i wygięła kciuk do tyłu, aż dotknął przedramienia przy samym nadgarstku. — Zawsze potrafiłam coś takiego zrobić. Ale myślałam, że to normalne.

Było to groteskowe, choć równocześnie fascynujące.

— Szkoda, że nie mamy już żadnego lustra. Mogłabyś spróbować przejść przez srebrne drzwi.

— Nie sądzę, abym miała na to ochotę Kto wie, jaki jest tamten świat... po drugiej stronie lustra. Kto wie, czy mogłabym wrócić? A jeżeli przebywają tam za dnia strigoi, musi to być przerażające miejsce...

— Mimo to byłoby ciekawe sprawdzić, czy umiałabyś wsadzić mały palec u ręki w lustro.

Jenica przez chwilę milczała. Zanim się odezwała, otarła oczy.

— Jesteś głodny? Musisz być głodny. Mam chyba trochę makaronu w puszce.

Przygotowała dla nas posiłek z zimnego spaghetti po bolońsku i solonych krakersów. Kiedy siedzieliśmy w zbierającym się w salonie mroku, opowiedziałem jej ze szczegółami o Zmiennej Kobiecie i seansie u Amelii. Nie pytałem o dziennik jej ojca. Potrzebowała czasu, aby przemyśleć tę sprawę.

— Więc jak zamierzasz odszukać tego Misquamacusa? — spytała w końcu.

— Mam nadzieję, że Zabójca Potworów znajdzie Vasile Lupa i spali go. Jeśli to zrobi, Misquamacus nie będzie miał ducha, w którym mógłby się schować.

— Ale ten Misquamacus wygląda na bardzo wytrwałego. Ożył, choć jego duch był rozbity na atomy.

— Nie spocznie, póki się nie zemści.

— Za to ty powinieneś odpocząć. Wyglądasz na wycieńczonego.

Wstałem i wziąłem nasze talerze.

— Odpocznę, kiedy to wszystko się skończy. Może gdzieś razem pojedziemy? Mogłabyś mi pokazać Rumunię.

— Rumunię? Nigdy nie wrócę do Rumunii. Bez rumuńskich zabobonów nic z tego by się nie wydarzyło. Tam są sami głupcy i chłopci. Jak sądzisz, dlaczego tak długo znosili Ceaucescu?

— Nie pytaj. My wcale nie byliśmy lepsi... wybraliśmy na drugą kadencję Clintona

Brudne i żółte słońce, podobne do jajka z rozlanym żółtkiem, już zachodziło, a Gil ciągle się nie zjawiał. Stałem w otwartym oknie, wyglądałem i próbowałem skorzystać z powiewów dusznej, zmęczonej bryzy. Za piętnaście jedenasta było już niemal zupełnie ciemno, ale brakowało jeszcze dwóch godzin do wschodu księżyca, więc wpatrywałem się w kompletną czerń. Od czasu do czasu wydawało mi się, że widzę jakiś pochylony cień, przemykający ulicą. Mogli to być bladzi ludzie, mogły to być strigoi, ale mogło to też być jakieś złudzenie optyczne. Znów skądś doleciał wrzask, chyba od strony parku Jamesa Walkera, potem jeszcze jeden, gdzieś od Clarkson Street, a po mniej więcej dwudziestu minutach zapłonęło sześć lub siedem małych ognisk.

Dałbym głowę, że w powietrzu czuć zapach hysterii, choć może to był jedynie efekt mojego zmęczenia. Miałem nadzieję że zabójcy potworów wyszli już na miasto i przeganiali strigoi, ale w miarę upływu czasu moja wiara, że przyjdą nas uratować, coraz bardziej słabła. Czy Indianie dotrzymują słowa? Prawdopodobnie tak — ale czy dotrzymują także słowa danego białemu człowiekowi?

Właśnie zamierzałem zamknąć okno, kiedy na ulicy w dole rozległ się wrzask i o asfalt załomotały czyjeś stopy. Wychyliłem się, ale nikogo nie było widać. Potem ktoś w dole zaczął wywijać latarką, jakby biegł.

— Harry! Otwórz drzwi! Harry! Te dranie mnie gonią!

— Trzymaj się! — odkrzyknąłem.

Skoczyłem przez kanapę, wpadłem do korytarza i wyprysnąłem z mieszkania.

— Co się stało? Harry! — zawołała za mną Jenica.

Gil walił we frontowe drzwi i krzyczał:

— Harry! Na Boga, otwórz drzwi!

Zbiegałem schodami po siedem stopni naraz. Kiedy znalazłem się na drugim podeście, potknąłem się i skręciłem kostkę. Wykonałem skomplikowany piruet i odzyskałem równowagę. Skoczyłem na dół, przekuśtykałem ostatni odcinek drogi i otworzyłem drzwi.

Gil rzucił się na mnie i obaj upadliśmy na podłogę. Uderzyłem się boleśnie w łopatkę. Miałem krew na rękach, na twarzy i na koszuli. Spojrzałem ponad ramieniem Gila i ujrzałem trzech bladych mężczyzn, oświetlanych od dołu przez światło latarki Gila. Jeden miał na sobie przesączoną krwią bawełnianą bluzę, jakby pracował w rzeźni, drugi, półnagi, miał obwisły brzuch i wielkie sine obrzęki na twarzy, trzeci był ubrany w podarty garnitur i wyglądał jak grabarz albo kloszard. Wokół nas migotały noże i słychać było gardłowe, spragnione HHHRRR... HHHRRR... HHHRRR.

— Gil, do cholery, złaż ze mnie!

Otworzył oczy i popatrzył na mnie. Zakaszłał mi prosto w twarz, ale po chwili udało mu się podciągnąć na tyle w górę, że klęczał na jednym kolanie. Wywinąłem się spod niego, przekręciłem na bok i kopnąłem z całej siły pierwsze strigoi, które spróbowało wejść do środka.

Gil wstał i choć miał ręce śliskie od krwi, podciągnął mnie do pionu. Odwróciliśmy się do strigoi, tym razem jednak byłem przekonany, że to koniec. Trzej mężczyźni sunęli na nas z wysoko uniesionymi nożami. Grabarz miał wielki rzeźniczy nóż, pokryty brązowymi jak rdza plackami zaschniętej krwi.

Strigoi w bluzie — BLINK — przeniosło się na naszą prawą stronę. Gil kopnął je i wymierzył mu cios karate w szyję, ale mężczyzna odchylił się pod nieprawdopodobnym kątem, po czym wrócił do pionu i zaczął machać nożem z taką prędkością, że wydawało się, iż ma dwadzieścia noży. Dłonie i przedramiona Gila były całe zakrwawione i miał otwartą ranę w prawym barku.

— Cholerne... krwiopijcze... skurwiele... — dyszał. Grabarz pochylił głowę i w ułamku sekundy znalazł się za mną. Objął mnie ramieniem, aby móc poderżnąć mi gardło. Złapałem go za nadgarstek i walnąłem nim o balustradę, potem o stół, potem

znów o balustradę i na koniec rzuciłem się całym ciężarem ciała do tyłu. Poczułem, jak grabarzowi pękają żebra.

Kiedy miałem się odwrócić, aby wsadzić mu palce w oczy, przeniósł się na bok i znów biegł na mnie z uniesionym nożem.

Gil walczył z pozostałą dwójką strigoi i tak wrzeszczał, że nic nie słyszałem.

Grabarz machnął nożem w lewo, potem w prawo. W jego oczach niczego nie było. Nie było wściekłości, nienawiści, szaleństwa. Niczego, zdawałem sobie jednak sprawę, że się nie cofnie i jest zdecydowany mnie zabić, poderżnąć mi gardło i wypić moją krew, tryskającą prosto z szyi.

Nagle... eksplodował. Stał kilkanaście centymetrów przede mną i po prostu eksplodował. Rozległ się cichy trzask i rozerwało mu wnętrzności. Głowa oderwała się i poleciała na bok, a tułów buchnął gwałtownym płomieniem. Po chwili leżał na podłodze i płonął jak krzyż w filmach o Ku-Klux-Klanie.

Dwa pozostałe strigoi rozejrzały się, ale nie pozostało im dość czasu, by mogły zrozumieć, co się stało. Zaraz potem także eksplodowały i przez kilka sekund korytarz wypełniały latające i płonące części ciała: dłonie, stopy, fragmenty kości, płuca i zwoje gwałtownie kurczących się trzewi.

Wyjrzelśmy z Gilem na ulicę. Stało tam sześć milczących, bardzo ciemnych cieni. Było je widać tylko dzięki płonącym na progu strigoi. Zdawało mi się, że zobaczyłem rogi i naszyjniki, przez ułamek sekundy widziałem nawet otwarte oczy, wąskie jak szparki w masce hutnika, i białe światło, zbyt jasne, aby na nie patrzeć.

— Zabójcy potworów — powiedziałem. — Ludzie-ze-Słońcem-w-Oczach.

— Po raz pierwszy Indianie przybyli białym na ratunek — mruknął Gil i kichnął, opryskując mnie krwią.

— Wytrzymaj jeszcze chwilę. — Kopnięciami zrzuciłem płonące resztki strigoi na chodnik. Jelita były najgorsze, bo kleiły mi się do butów i owijały wokół kostek, a gdy próbowałem je odplątywać, skwierczały jak smażony kotlet. Szybko oczyściłem korytarz. Pozostała w nim jedynie czaszka grabarza, paląca się na wycieracze. Pchnąłem ją czubkiem buta i podskakując na schodach, cały czas płonąc jaskrawo, sturlała się na ulicę, przetoczyła przez nią i zatrzymała dopiero na przeciwległym

krawężniku.

Kiedy zamykałem frontowe drzwi, ozdobionych rogami postaci zabójców potworów już dawno nie było. Miałem nadzieję, że wyruszyli w pościg za kolejnymi strigoi. W końcu to był ich kraj — kraj wnuków Zmiennej Kobiety — i dlatego mogli korzystać ze wszystkich jego bogactw i siły duchowej. Sądząc po tym, co się stało na progu domu Jenicy, strigoi będą musiały sobie poszukać dobrych ciemnych kryjówek.

Ręce Gila były pokryte krzyżującymi się cięciami i mocno krwawił z barku, poza tym jednak nie wyglądał najgorzej. Gdy pomagałem mu wstać, obaj spojrzeliśmy w stojące na korytarzu lustro. Wyglądaliśmy jak ranni żołnierze, wracający z wojny.

— Zapomniałeś to rozbić — powiedział Gil, wskazując na lustro. — Nie chciałbym, żeby te stwory weszły tędy do budynku.

— Chodźmy na górę. Potem tu wrócę i zrobię z tym porządek.

Wspinaczka okazała się męczarnią. Gil co chwila musiał się zatrzymywać i łapać oddech.

— Miałeś wrócić przed zmrokiem — wysapałem.

Oparł się o ścianę.

— Wiem, ale muszę się do czegoś przyznać. Próbowałem wywieźć żonę i córki do Jersey.

— Dlaczego?

— Kiedy wróciłem do domu, przeraziłem się, bo strigoi próbowały włamać się do naszego mieszkania trzy albo cztery razy. Kazałem więc dziewczynom spakować się i poszliśmy do tunelu Holland. Pomyślałem, że może mnie przepuszczą, bo byłem żołnierzem. Ale nic z tego... Poustawiali barykady z drutem kolczastym. Mieli rozkaz strzelać bez ostrzeżenia do wszystkich, którzy próbowaliby się przedostać. Nie miałem więc wyboru, musiałem zaprowadzić żonę i córki z powrotem do domu i zabarykadować je tam.

— Mogłeś z nimi zostać. Powinieneś był to zrobić. Zrozumiałbym.

Starł krew z górnej wargi.

— Jestem żołnierzem, Harry. Wiem, czym jest obowiązek.

— Doceniam to, że wróciłeś. Przynajmniej wiemy teraz, że zabójcy potworów są

na mieście i robią, co obiecali. Widziałeś tego gościa, który wybuchł obok mnie? To było coś, no nie?

— Harry! — zawołała Jenica z góry. Jej głos odbił się echem w klatce schodowej.
— Wszystko w porządku?

— Poobijany, ale nieugięty! — odkrzyknąłem. Zarzuciłem sobie ramię mojego towarzysza na plecy i przetaszczyłem go przez ostatni odcinek schodów. Jenica czekała na nas i pomogła mi zaprowadzić Gila do salonu, gdzie położyliśmy go na kanapie. Dopiero wtedy zobaczyłem, że jest znacznie poważniej ranny, niż sądziłem. Przód jego T-shirtu był przesączony krwią, a kiedy Jenica mu go ściągnęła, okazało się, że ma nie tylko rany cięte na rękach. Tuż pod klatką piersiową była rana kłuta, z której przy każdym oddechu wylatywały pęcherzyki powietrza.

— Przyniosę środek dezynfekujący i bandaże — powiedziała do mnie Jenica. — Przez ten czas uciskaj mu tę ranę, aby nie tracił krwi.

— To nic takiego — mruknął Gil. — W Bośni dostałem szrapnelem w nogę. Założyli mi wtedy trzydzieści siedem szwów.

— Co powiesz na drinka? — spytałem. — Na ukojenie bólu nie ma nic lepszego od palinki, nieważne, czy to ból fizyczny, czy psychiczny.

— Czemu nie? Kiedy to wszystko się skończy, otworzę przy Siódmej Alei bar z palinką i nazwę go „Amnezja”.

Jenica przyniosła plastikową miskę, do której nabrała wody z wanny. Gąbką obmyła Gilowi brzuch i bark i opatrzyła mu rany czystymi bawełnianymi chusteczkami. Potem pomogliśmy mu pokuśtykać do sypialni i ułożyliśmy go na łóżku.

— Potrzebujesz snu. — Jenica, pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło.

— Frank umarł w tym łóżku! — zaprotestował Gil.

— Tak i nie. Przecież właściwie jeszcze nie umarł do końca.

— Dzięki za pocieszenie.

Wróciliśmy z Jenicą do salonu. Mnie też przydałoby się nieco snu, wiedziałem jednak, że nie uda mi się zamknąć oczu. Poza tym musiałem iść na dół, by rozbić

lustro. Wątpliwe, aby strigoi spróbowaly tu dziś wrócić po tym, jak pojawili się zabójcy potworów, uznałem jednak, że lepiej być nadmiernie ostrożnym, niż zostać wysanym przez świrusa o martwym wzroku.

Jenica wzięła do ręki zdobioną kość, którą znaleźliśmy w trumnie Vasile Lupa.

— Wiesz, cały dzień o niej myślę. O tym, skąd się wzięła i dlaczego ma taką moc.

— Widziałem już kiedyś coś podobnego... nawet w podwójnym wydaniu. Były to kości z nóg czarownika, którymi stukano się o siebie, jakby ich właściciel biegł, i wtedy można było dostać się za nim do świata duchowego. Należały do Białego Byka, szamana Szalonego Konia.

— I co, skutkowało?

Nie bardzo chciałem o tym mówić, ponieważ wspomnienie nie było przyjemne, ale skinąłem głową.

— Skutkowało. Ale inaczej niż ta kość... — Wziąłem ją od Jenicy i uniosłem. — Kości Białego Byka były używane do przeprowadzania świętego rytuału, a ta... sprawia wrażenie, jakby miała własną, wewnętrzną siłę...

— Ale dlaczego leżała w trumnie Zbieracza Wampirów?

— Kto wie? Może nie było szczególnego powodu? Może po tym, jak Misquamacus ożywił Zbieracza Wampirów, nie potrzebował już jej i zostawił ją tam, gdzie była?

— Coś o takiej mocy? Nie sądzę. Twój czarownik musiał zostawić kość w trumnie Zbieracza Wampirów z określonego powodu. Pamiętaj, że kiedy mu nią pomachałeś, odszedł bardzo szybko, jakby kryła się w niej moc, której nie był w stanie pokonać.

Przyjrzałem się uważnie kości. Na całej jej długości wyryto ludzkie figurki, które splatały się ze sobą. Ale wszystkie postacie były ubrane jak biali.

— Zastanawiam się, w jaki sposób Misquamacus zdobył tę kość — powiedziała Jenica. — Wiemy od twojego przewodnika duchowego, Śpiewającej Skały, że ogień o bardzo wysokiej temperaturze z jedenastego września spoił na nowo porozprasane cząstki jego manitou. Ale w dalszym ciągu nie miał substancji, prawda? Tego, co dziewiętnastowieczne media nazywały ektoplazmą. Jak więc, skoro jego duch nie miał postaci, udało mu się znaleźć tę kość, i jak zaniósł ją do trumny Vasile Lupa, aby

tamten go ożywił?

— Nie mam pojęcia. To niemożliwe, prawda?

Oczy Jenicy błyszczały w świetle świec.

— Czegoś w tym równaniu brakuje. Czuję, że za kulisami tego, co tu się dzieje, kryje się jeszcze ktoś.

ROZDZIAŁ 21

Krwiobieg

Na intarsjowanym stoliku, między pudełkami na biżuterię i ozdobnymi przyciskami do papieru, znalazłem małą figurkę uśmiechającego się rumuńskiego gнома z brązu. Był malutki, ale bardzo ciężki, miał spiczasty kapelusz i doskonale nadawał się do rozbijania luster. Ścisnąłem go w dłoni i pokuśtykałem w dół.

Na klatce schodowej unosił się wywołujący mdłości smród tłącego się dywanu i spalonych ciał — najobrzydliwszego grilla, jakiego można by urządzić — i zanim udało mi się przełknąć ślinę, do gardła podeszło mi nieprzetrawione spaghetti po bolońsku.

Złapałem gнома za podstawę i podszedłem do własnego odbicia w lustrze. Spróbowałem przybrać w miarę zdecydowaną minę i uniosłem wysoko figurkę. Kiedy już miałem rozbić lustro, ujrzałem w nim odbicie widokówki, leżącej na stoliku obok. Gdy walczyliśmy ze strigoi, na pewno jej tu nie było.

Odwróciłem się i wziąłem widokówkę do ręki. Było na niej zdjęcie dużego białego domu, w tle błękitne niebo, ciemnoczerwone klony i małe okrągłe jezioro. Kensico County Inn, Valhalla, stan Nowy Jork. Odwróciłem kartkę. Nie było znaczka ani adresu, jedynie trzy litery: TUF.

TUF? Co za sens pisać na widokówce nazwę skały wulkanicznego pochodzenia?

Rozejrzałem się. Kto położył tu tę kartkę? Drzwi frontowe były zamknięte i zaryglowane. Sam je zamykałem, a poza nami w budynku nikogo nie było. Wszyscy mieszkańcy albo wyjechali na wakacje, albo gdzieś powychodzili i nie wrócili. Być może zostali złapani przez białych ludzi lub zabici przez strigoi.

Podszedłem do drzwi mieszkania na parterze. Były zamknięte. Spróbowałem otworzyć drzwi na końcu korytarza, które musiały prowadzić na podwórko z tyłu. Również były zamknięte i zaryglowane od środka. Był tylko jeden sposób dostania się do budynku — przez lustro.

Podszedłem do niego powoli i przycisnąłem czoło do szkła. Wpatrywałem się w nie, ale widziałem jedynie własne odbicie. Tylko strigoi potrafiły przejść przez lustro, jeśli to jednak zrobiły, dlaczego nas nie zaatakowały, a jedynie zostawiły pocztówkę?

Nagle w mojej głowie zapaliło się zielone światełko. Frank! Pocztówkę zostawił Frank. Czyż mi nie powiedział, iż nigdy nie zapomni przysięgi, że będzie chronił ludzkie życie? TUF oznaczało „tu” i „f”. Frank pokazywał mi w ten sposób, gdzie ukrywa się Misquamacus.

Kiedy wpatrywałem się w lustro i zastanawiałem, czy je zbić, z góry doleciał przenikliwy wrzask, huknęły zatrzaskiwane drzwi i załomotały przewracane krzesła.

— Harry! — wrzasnęła Jenica. — Harry, szybko!

Może i kuśtykałem, schodząc, ale w górę schodów pogałem jak kozica górską z wetkniętym w tyłek fajerwerkiem. Drzwi mieszkania Dragomirów były szeroko otwarte, a przerażona Jenica stała przy balustradzie i osłaniała się kością. W połowie korytarza zobaczyłem chudego mężczyznę, z którego oczu wyzierało szaleństwo — w luźnym, zakrwawionym kaftanie.

Miał włosy do ramion — mokre, jakby właśnie wyszedł z kąpieli — i potarganą, nieuczesaną brodę. W ręku trzymał maczetę, z której kapła krew.

— Chyba zabił Gila... — wykrztusiła Jenica.

— Ale skąd się tu wziął? Nie otwierałaś okien?

— Oczywiście, że nic! Oszalałeś? Nie wiem, skąd się wziął. Poszłam sprawdzić, co u Gila, i zobaczyłam, że ten facet stoi nad jego łóżkiem. Wszędzie była krew. Chyba obciął Gilowi głowę...

Mężczyzna wbijał w nas wzrok, ale się nie zbliżał. Wyglądał na zdenerwowanego i niezdecydowanego. Dyszał chrapliwie, sprawiał jednak wrażenie, jakby się bał nas zaatakować.

— To kość — powiedziałem do Jenicy. — Boi się kości.

— Co?

— Daj mi ją. Spróbuję czegoś.

Jenica podała mi kość. Uniosłem ją i wyrecytowałem jedyne zdanie w narzeczu

Siuksów, jakie znałem:

— Hau! Wicasa cikala! He ‘cu sni yol Lo wa ‘cin!

Ale mężczyzna nadal stał bez ruchu. Zrobiłem krok w jego stronę i powtórzyłem moją indiańską recytację. Pomachałem kością, a potem dźgnąłem nią powietrze.

— Wakatanka Itakan nitawa!

Intruz uniósł maczetę. Serce waliło mi jak szalone, zrobiłem jednak kolejny krok w jego stronę. Wpatrywał się we mnie, wykrzywiając usta w straszliwej parodii uśmiechu. Przez chwilę sądziłem, że wie, co znaczą wypowiedziane przeze mnie słowa, zaraz jednak odwrócił się i ruszył w kierunku łazienki. Kiedy wchodził do niej, zahaczył kurtką o klamkę.

Rzuciłem się za nim, ale wyrwał kurtkę i zanim zdążyłem go złapać, przebiegł przez łazienkę i skoczył głową naprzód do wypełnionej wodą wanny. Po chwili zniknął pod lustrem wody, rozpląnął się w nicości. Nawet nie plusnęło. Woda nawet nie zafalowała.

Trzymając kość przed sobą, podszedłem do wanny. Była w niej tylko woda. Jedyne cienki wir krwi zdradzał, że uciekło tędy strigoi. Podeszła do mnie Jenica, rozejrzała się i spytała zdziwiona:

— Gdzie on jest?

— Założę się, że tam, skąd przyszedł.

— Nie rozumiem.

— Właśnie dowiedzieliśmy się czegoś nowego o strigoi. Mogą się ukrywać nie tylko w lustrach, ale także w wodzie. Powinniśmy się tego domyślić. Potrzebują czegoś, w czym może powstać odbicie.

— Więc wypuść wodę! — zawołała Jenica.

— A co będziemy pić?

— Nie wiem. Nieważne. Jest mnóstwo piwa i wina.

— Jak uważasz — odparłem i wyciągnąłem korek. Jenica stała obok mnie i patrzyliśmy, jak woda z bulgotem wycieka z wanny.

— Gil nie żyje — powiedziała po chwili. — Gdybym wiedziała, że strigoi mogą przechodzić przez wodę...

Poszliśmy do sypialni. Gil leżał na boku z odrzuconą do tyłu głową i patrzył pustymi oczami na wezglowie. Jego gardło zostało przecięte aż do kręgosłupa, a pościel była przesiąknięta krwią. Przypominało to przysyłane przez terrorystów filmy wideo, pokazujące zakładników z obciętymi głowami. Podniosłem z podłogi bladobłękitną narzutę i przykryłem ciało Gila.

— Cholera... był wspaniałym facetem. Nie zasłużył na taką śmierć.

— Nie czuj się winny, Harry. Był żołnierzem i wiedział, że to niebezpieczne.

Popatrzyłem na narzutę, przez którą przesączała się krew.

— Będę musiał jakoś odnaleźć jego żonę i córki i powiedzieć im, że straciły go.

— Zrobimy to razem.

Wyszliśmy z sypialni i zamknęliśmy za sobą drzwi. Przekręciłem klucz w zamku. Gil z pewnością nie żył — w odróżnieniu od Franka — ale po co ryzykować? Jeżeli z wanny mogą wyskakiwać faceci z maczetami i oszalałymi oczami, kto wie, co jeszcze jest możliwe?

Poszliśmy do salonu. Skończyliśmy już palinkę, więc wziąłem do ręki butelkę czerwonego wina i zacząłem ją otwierać.

— Musimy go pomścić — oświadczyła Jenica. — Wygląda na to, że jedynym językiem, jaki rozumie Misquamacus, jest język zemsty. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie on jest...

— Nie wiem, czy to się do czegoś przyda, ale sądzę, że tam — powiedziałem i wyjąłem z kieszeni pocztówkę.

— Kensico Country Inn? Skąd to masz?

— Znalazłem na dole. Moim zdaniem zostawił ją Frank. Zobacz, napisał na niej „tu” i podpisał się „f”.

— I to wszystko?

— To musiał być on. Nikt nie mógłby dostać się do domu inaczej jak przez lustro w holu, a czy znamy jakiegoś innego wampira?

Jenica zaczekała, aż otworzę butelkę i napełnię kieliszki winem. Pachniało tak mocno, że można się było upić samym wdychaniem jego oparów. Upiła łyk.

— Nie rozbiłeś lustra na dole?

— Jeszcze nie. Pomyślałem, że jeżeli Frank użył go do przekazania nam informacji, lepiej zachować je w całości. Zawsze możemy zamknąć drzwi, prawda? Poza tym nasza wierna kość zdaje się odstraszać strigoi.

— Co powiedziałeś temu z maczetą? To było po indiańsku?

— Język Siuksów Lakota. „Mały człowieku! Nie rób tego! Jestem głodny!”.

Oczy Jenicy rozszerzyły się.

— Ale chyba powiedziałeś coś jeszcze...

— Dodałem kilka słów z Ewangelii według świętego Łukasza.

Uśmiechnęła się.

— Cóż, być może najlepszym sposobem walki z szaleństwem jest jeszcze większe szaleństwo.

— Przecież wezwaliśmy zabójców potworów! Trudno o coś bardziej szalonego od nich.

— Sprawa nie będzie zakończona, dopóki nie zniszczymy Vasile Lupa albo nie zamkniemy go w trumnie razem z tym twoim Misquamacusem, który się w nim ukrywa.

— Może zabójcy potworów go znajdą.

— Być może, ale pamiętaj, że Vasile Lup to svarcolaci, martwy wampir, więc nie pozostawia zapachu, po którym można by go wytropić... nie zdoła tego dokonać ani człowiek, ani zabójca potworów. Czy naprawdę sądzisz, że Misquamacus pozwoli zabójcom potworów po raz kolejny rozproszyć swojego manitou pomiędzy żywioły? Jest indiańskim czarownikiem, a zabójcy potworów są indiańskimi duchami.

— Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

— Nawet jeśli zabójcy potworów znajdą i spalą wiele strigoi, to jeśli zostanie choć jedno, nadal będą się rozprzestrzeniać. Dopóki duch Vasile Lupa żyje, a manitou Misquamacusa się w nim ukrywa, strigoi będą się mnożyć i wkrótce w całej Ameryce zapadnie ciemność, nad każdym miastem i każdą wsią od Nowego Jorku po San Francisco.

— Masz rację, ale teraz nie da się wyjść nawet poza Manhattan. Gil próbował, lecz wojsko go nie przepuściło, choć jest żołnierzem. Cholera... był. Biedak.

Jenica popatrzyła na pocztówkę.

— Jak więc Vasile Lupowi udało się ominąć blokady? Jak wydostał się poza Manhattan i dotarł do Valhali? To przecież daleko za White Plains.

— Sądziś, że przeszedł przez lustro, prawda? Użył starych dobrych, srebrnych drzwi...

— No i...?

— Co ma znaczyć to „no i”?

— Harry, mam we krwi wirusa strigoica. Ja też mogę skorzystać ze starych dobrych, srebrnych drzwi.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

— Mogę poszukać Yasile Lupa. Pójść za nim do Valhali, odesłać go do trumny i zamknąć w niej po wsze czasy. Mam rytuał potrzebny do odczarowania go.

— A co z Misquamacusem? Nie pozwoli ci na to... tak, jak nie pozwolił ci na to tutaj, w tym mieszkaniu.

— Mam kość. Ochroni mnie. Kiedy odczaruję Vasile Lupa, Misquamacus nie będzie miał ducha do ukrycia się. Coś wymyślę.

— Oszalałaś. Sama mówiłaś, że lustrzany świat jest niebezpieczny. Na Boga, Jenico... kiedy przejdziesz przez lustro, jeżeli w ogóle ci się to uda, będzie tam wampir na wampirze. Nie przeżyjesz dwóch minut. A jeśli uważasz, że uda ci się samej pokonać Misquamacusa, wybij to sobie z głowy. Zanim zdążysz policzyć do trzech, uwiezi twoją duszę w ciele jakiegoś zapchlonego pieska preriowego.

— Zaryzykuję. Co mi innego pozostaje? Jestem jedyną osobą w tym mieście, która wie, jak odesłać Zbieracza Wampirów do trumny i potrafi go znaleźć. — Przerwała na chwilę. Jej twarz błyszczała od potu, a czarne włosy przykleiły się do czoła. — Gil zginął za nas. Nie zginął jednak na darmo. Jeśli to konieczne, jestem gotowa na to samo.

Napiłem się wina i przez chwilę myślałem, że zwrócę spaghetti.

— To bardzo szlachetne — mruknąłem — ale jak większość szlachetnych pomysłów, bardzo głupie. Co będzie, jeśli znikniesz w lustrze i więcej cię nie zobaczę? Skąd będę wiedział, czy udało ci się odesłać Vasile Lupa do trumny? Skąd

będę wiedział, że zniszczyłaś Misquamacusa?

— Twój przewodnik duchowy ci to powie.

— Nie, to nie wypali. To samobójstwo.

— Więc co? Będziemy siedzieć w tym mieszkaniu i czekać na śmierć z braku wody?

Nagle na ulicy rozległ się straszliwy krzyk — był to krzyk kogoś cierpiącego potworne katusze. Podeszliśmy do okna i wyjrzelśmy. Księżyc już wzeszedł i mogliśmy dostrzec kilkanaście czarnych postaci, idących tyralierą wzdłuż ulicy.

Byli to zabójcy potworów — istoty z dymu i ciemności których postacie powstały z okruchów szkła i różnych śmieci, ściągniętych z ulicy. Widać było ich rogi i naszyjniki, a ponieważ poruszali się powoli i majestatycznie, wyglądali jak bizona z potężnymi łbami.

Naprzeciwko nich stało troje strigoi — dwóch mężczyzn, jeden całkowicie nagi, i półnaga kobieta. Czwarte strigoi leżało na asfalcie, rozerwane na kawałki. Nad jego szczątkami unosił się dym, a głowę otaczały płomienie.

Dwaj zabójcy potworów podeszli kilka kroków do przodu. Nagie strigoi odwróciło się, zamierzając uciec, ale z oczu zabójców potworów wystrzeliło białe światło i trafiło je prosto w plecy. Przez ułamek sekundy widać było jego płonące wnętrze — klatka piersiowa jarzyła się szkarłatem jak lampa. Potem rozprysnęło się na kawałki, ręce i nogi pofrunęły na boki, a trzewia i narządy wewnętrzne, płonące jak pochodnie, zostały rozrzucone po jezdni.

Pozostałe dwa strigoi zdążyły dobiec do domu po przeciwnej stronie ulicy i zaczęły wspinać się po ścianie jak wiewiórki, ale zabójcy potworów byli szybsi. Kiedy strigoi dotarły do połowy pierwszego piętra, myśliwi unieśli głowy, otworzyli oczy i sześć oślepiających promieni światła trafiło uciekającą dwójkę w głowy i plecy. Kobieta wrzasnęła, co zabrzmiało jak krzyk kogoś, kto właśnie po raz pierwszy zobaczył piekło, i wybuchła.

Na ulicę spadły płonące kawałki ciał strigoi. Głowa kobiety potoczyła się pod samochód i zanim jeszcze zgasła, zabójcy potworów już dochodzili do rogu Leroy Street i Hudson i skręcali w prawo.

— No proszę — powiedziałem do Jenicy. — Wygrywamy.

— Wiesz przecież, że nie wygramy, dopóki nie zginie Zbieracz Wampirów, a wraz z nim ten twój Misquamacus.

— Wolałbym, abyś przestała go nazywać „moim” Misquamacusem. Ten świr nie przyniósł mi niczego poza nieszczęściem... od samego początku, kiedy tylko po raz pierwszy usłyszałem jego imię.

Odwróciłem się od okna.

— On jest „twoim” Misquamacusem, Harry. Wiem, jak odczarować Vasile Lupa, ale sądzę, że to właśnie ty możesz zniszczyć Misquamacusa. Pamiętasz rytuał, o którym wspominał mój ojciec?

— Jaki rytuał?

— Opisał go w swoim dzienniku. Powiedział, że wirus strigoica może zostać przekazany mężczyźnie przez kobietę, jeżeli podda się on rytuałowi Samodivy, który sprawi, iż jego krew stanie się podatna na zakażenie.

— Nie rozumiem, o czym mówisz... To znaczy chyba rozumiem, ale nie wiem, czy mi się to podoba.

— Nie chciałbyś chyba, abym sama weszła do lustra, by szukać Vasile Lupa, prawda? Więc chyba lepiej, abyś wszedł tam ze mną, prawda?

— Postradałaś zmysły.

Jenica podeszła do mnie i ujęła moje dłonie w swoje. Zobaczyłem krople potu na jej górnej wardze.

— Harry... nikt poza mną nie może odczarować Vasile Lupa, ale nie zrobię tego bez ciebie. Jaki więc mamy wybór?

— Pomyślałem sobie, że śmierć z braku wody brzmi dość atrakcyjnie.

— Jestem pewna, że ojciec ma gdzieś książkę opisującą rytuał Samodivy.

— No dobrze, ale co to właściwie jest? Dla mnie brzmi jak nazwisko irlandzkiego śpiewaka operowego.

— Samodiva to w różnych mitologiach coś innego. W Bułgarii jest to wróżka mieszkająca w drzewach. W Rumunii nie jest to ani on, ani ona, tylko „ono”, coś w rodzaju rejestratora śmierci. Mieszka głęboko w lasach i zawsze ma twarz ukrytą w

ciemności. W jego księdze nazwiska żyjących są zapisane czerwonym atramentem, a zmarłych czarnym.

— Więc przeprowadzisz rytuał Samodivy i moja krew będzie podatna na twojego wirusa? Też zostanę półwampirem? I będę mógł, tak jak ty, przechodzić przez srebrne drzwi?

Jenica skinęła głową.

— Tak, wtedy będziesz mógł iść ze mną.

— Właśnie o to mi chodzi. Ale abym się zaraził, musi... hm... dojść między nami do zbliżenia, tak?

— Tak.

— A to dla ciebie nie problem?

— Dlaczego miałyby to być dla mnie problemem?

— Nie wiem. Bez szczególnego powodu. Jeżeli uważasz, że tak powinno być, to nie mam nic przeciwko temu.

Wyciągnęła rękę, delikatnie chwyciła mnie za płatek ucha, po czym potarła go kciukiem i palcem wskazującym. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie zrobiła mi czegoś tak podniecającego.

— Harry... nie mamy wyboru. Nasze przeznaczenie mówi, że musimy to zrobić.

Kończyłem kolejny kieliszek wina, a Jenica przeglądała książki ojca, szukając opisu rytuału Samodivy. Potrzebowałem czegoś dla dodania sobie odwagi. Nie bałem się zakażenia vampiritis, zwłaszcza w sposób, w jaki Jenica zamierzała to przeprowadzić, ale obawiałem się Misquamacusa. Miałem nadzieję, że zabójcy potworów załatwią sprawę za mnie, ponieważ jednak Misquamacus uciekł z Manhattanu, byłem przekonany, że szansa jego złapania jest niemal równa zeru.

— Mam! — zawołała w końcu Jenica. — „Rytuał Samodivy, który odbiera mężczyźnie naturalną odporność na wirusa strigoica i inne zakażenia spowodowane przez czarownice i opętane kobiety. Dodaje on jego imię do spisu martwych bez usuwania go ze spisu żywych, ponieważ nie umarł”.

— Jesteś pewna?

— Harry, któregoś dnia wszyscy umrzemy i nasze imiona będą zapisane czarnym atramentem.

— Czytaj dalej. Mów, co mamy robić.

— To jest w bardzo starym dialekcie munteańskim, z Wołoszczyzny. „Aby rozpocząć, opętana kobieta lub czarownica musi oczyścić mężczyznę, goląc go”.

Potarłem podbródek, który pokrywała trzydniowa szczecina.

— Nie ma problemu, golenie na pewno mi się przyda. Lepiej umrzeć umyтым i oporzadzonym, prawda?

— „Brzytwa musi być poplamiona krwią opętanej kobiety lub czarownicy”.

— Hm, cóż... myślę, że możesz się lekko zaciąć w palec. Nie będzie bardzo boleć.

— „Mężczyzna musi zostać ogolony całkowicie, od czubka głowy po palce u nóg”.

— Słucham?!

Jenica zignorowała mnie i tłumaczyła dalej:

— „Jego skóra ma zostać wykorzystana jako pergamin, na którym należy napisać imiona zmarłych. Każda osoba, jaką znał, a która nie żyje, ma być zapisana na jego skórze czarnym atramentem. Imiona tych ludzi będą jego paszportem i ochroną w świecie zmarłych, w którym będzie częściowo zamieszkiwał. Kiedy imiona zostaną zapisane i atrament wyschnie, czarownica lub kobieta ma trzy razy wypowiedzieć słowa: »Samodivo, przyjmij nazwisko tego mężczyzny do spisu zmarłych! Zapisz je w krainie cienia i namaluj jego podobiznę na obliczu Księżyca. Ponieważ zapisujesz imiona wszystkich ludzi żywych i martwych, jego imię ma się pojawić w kolumnach krwi i ciemności zgodnie z twoją zachętą. Równocześnie w misce mają się palić razem tymianek i cukier«,,.

— „Zgodnie z twoją zachętą”?

— To stare określenie, wzięte z kościelnego języka słowiańskiego. Moim zdaniem oznaczają one „osąd”, „decyzję” albo „zachciankę”.

— Ogolisz mnie całego dla czyjejś zachcianki?

— Napisano tu, że rytuał Samodivy można prześledzić do tysiąc sto osiemdziesiątego dziewiątego roku. Zazwyczaj stosowano go, jeżeli mężczyzna chciał

porozmawiać ze swoim zmarłym przyjacielem... na przykład kiedy ten zmarł i nie powiedział, gdzie schował pieniądze... — No dobrze, jeśli tak ma być, to idź po krem do golenia.

Było już dobrze po północy. Księżyc świecił wysoko nad ciemnym Empire State Building, a rzeka Hudson jarzyła się jak płachta wypolerowanej stali. Co chwila zapalało się gdzieś migotanie jaskrawego światła, jakby ktoś coś spawał, i zaraz potem rozlegały się krzyki, które informowały nas, że zabójcy potworów nadal krążą po mieście i robią swoje. W powietrzu czuć było histerię, ale przynajmniej wiedzieliśmy, że strigoi uciekają.

Ponieważ opróżniliśmy wannę, Jenica musiała napełnić miskę wodą ze spłuczki toaletowej. W komodzie w sypialni ojca znalazła w mahoniowej skrzynce brzytwę. Z rycin w książce Jenicy — bardzo szczegółowych — jednoznacznie wynikało, że maszynka do golenia Gillette Mach 3 nie jest wystarczająco mitologiczna do przeprowadzenia rytuału Samodivy.

Potem Jenica posadziła mnie pośrodku kuchni, wzięła duże nożyce i przycięła mi włosy jak najbliżej skóry. Na szczęście nie było lustra, w którym bym się widział. Czuję się jak nie do końca oprawiony indyk.

Kiedy obcięła mi włosy, poszliśmy do łazienki. Ściągnąłem przepoconą bluzę, spodnie i szorty w biało-czerwone paski. Z jakiegoś powodu byłem okropnie zawstydzony, stałem więc, zasłaniając krocze dłońmi.

Jenica otworzyła brzytwę.

— Mam nadzieję, że jest ostra — mruknąłem. Przeciągnęła ostrzem po nasadzie kciuka. Cięcie natychmiast wypełniło się krwią.

— O tak, jest bardzo ostra — odparła i rozmazała krew po obu stronach ostrza, po czym posadzała ranę i owinęła ją kawałkiem papieru toaletowego. — Jesteś gotów?

— Chyba tak. Gól.

Zmoczyła mi głowę i wtarła w nią pachnący mentolem krem. Ale zanim zaczęła, powiedziała:

— Jesteś zażenowany.

— Zażenowany? Ja? Wyglądam na zażenowanego?

— Wyglądasz. Zachowujesz się jak chłopiec.

— Tylko się zasłaniam, nic więcej...

— Wiem, co zrobimy. — Jenica wytarła dłonie w ręcznik, skrzyżowała ramiona i ściągnęła sukienkę. Pod spodem miała biały koronkowy biustonosz i białą koronkową halkę. Odwróciła się do mnie plecami. — Rozepnij.

Jeśli chodzi o biustonosze, nigdy nie byłem Harrym Houdinim, ale tym razem udało mi się rozpiąć haftki jednym ruchem. Wielkie piersi Jenicy wylały się ze stanika jak gęsty budyń. Odwróciła się do mnie przodem i położyła rękę na moim ramieniu, aby utrzymać równowagę, a drugą ściągnęła halkę. Włosy łonowe miała przystrzyżone w kształt motyla.

— Już nie musisz się czuć zażenowany — oświadczyła. Chyba żartowała. Zaczął mi sztywnieć kutas, a kiedy zabrała się do mojej głowy, do ukrycia tego faktu potrzebowalibyśmy przynajmniej dwóch dodatkowych rąk.

Goliła mi głowę szybko i w milczeniu, wysuwając przy tym czubek języka. Robiła to bardzo dobrze, pewnie, jakby już wielokrotnie miała do czynienia z brzytwą, i tylko raz zacięła mnie lekko w ucho. Choć jej sutki kilka razy musnęły mnie w ramię, próbowałem stać nieruchomo.

Potem nasmarowała mi kremem twarz i zaczęła golić brodę. Była tak blisko mnie, że czułem, jak oddycha. Kiedy doszła do szyi, złapała mnie za podbródek, aby naciągnąć skórę. Gdy ostrze wędrowało wokół mojego jabłka Adama, zamknąłem oczy i zamarłem.

Czułem, jak metal przesuwają się po lewej stronie mojej szyi. Ale nagle brzytwa znieruchomiała. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Jenica przygląda mi się uważnie. Nie umiałem zinterpretować wyrazu jej twarzy, lecz przez głowę przeszła mi myśl: Harry, ta kobieta jest półwampirzycą, ma we krwi wirusa strigoica... Wampiry piją ludzką krew, a ona właśnie naciska brzytwą twoją tętnicę szyjną...

— Co jest? — spytałem.

Przez długą chwilę się nie odzywała. W końcu powróciła do golenia.

— Pomyślałam sobie tylko, co zrobisz, kiedy to wszystko się skończy? W dalszym

ciągu będziesz zakażony.

— Przecież na ciebie nie będzie miało to żadnego wpływu. Do dziś nawet nie wiedziałaś, że masz zakażoną krew.

— Ale ja jestem kobietą. Może to działa inaczej na mężczyzn?

— Może. Jeśli zacznę jeść na śniadanie tatar, będę wiedział dlaczego.

Kiedy zrobiła ze mnie Pana Eleganckiego, uniosła mi ręce i ogoliła pachy. Nie miałem na klatce piersiowej zbyt wielu włosów — jedynie coś jakby kontur krzyża — ale je też zgoliła.

Zgoliła mi także wszystkie włosy na nogach, co było niesamowicie podniecające, zwłaszcza gdy przesuwiała brzytwą po tylnych stronach moich ud. Kiedy skończyła, mój kutas sterczał jak twardy, rzeźbiony kiel, wybijając takt wraz z rytmem mojego serca. Potem wtarła mi piankę we włosy łonowe, jądra i głęboko między pośladki, uklękła przy mnie i zaczęła zbierać włosy, przed każdym następnym pociągnięciem wycierając ostrze brzytwy w papier toaletowy.

Była bardzo ostrożna, mimo to dwa lub trzy razy mnie zacięła. Po moim prawym udzie zaczęła spływać kropla krwi, którą zebrała palcem i włożyła go sobie do ust. Kiedy w dół popłynęła kolejna kropla, pochyliła się i zlizwała ją.

Gdy kończyła golić mi jądra, brzytwa na ułamek sekundy zatrzymała się na napęczniałej tętnicy. Mimo woli wstrzymałem oddech. Posmakowała już mojej krwi, a teraz mogła sprawić, żeby trysnęła ze mnie jak ze szlauchu.

Jenica powiedziała jednak tylko: „Gotowe”, po czym usiadła na piętach, chlapnęła mi w krocze trzy garście wody i sięgnęła po ręcznik.

— Teraz jesteś pergaminem, Harry. Mogę zacząć na tobie pisać.

Ułożyłem się wygodnie na jej łóżku, podczas gdy ona grzebała w biurku ojca, szukając cienkiego pędzelka i buteleczki chińskiego tuszu. Poustawiała wszędzie czerwone i żółte świece, pachnące różami i wanilią. Nagi i całkowicie bezwłosy, czułem się bardzo dziwnie — jak ktoś nowo narodzony, ale także trochę tak, jakbym nie miał ciała. Zrozumiałem teraz, dlaczego buddyści golią wszystkie włosy.

Przy łóżku stało sześć zdjęć Jenicy z ojcem, każde w srebrnej ramce.

Rozpoznawałem niektóre miejsca, w których zostały zrobione: Champs Elysées w Paryżu, plac Świętego Marka w Wenecji, budynek parlamentu w Londynie. Może mój wzrok był zmęczony, ale niemal na każdej fotografii ojciec Jenicy był lekko rozmyty, jakby w chwili robienia zdjęcia się poruszył. Można było jednak dostrzec, że jest dość przystojny, choć w bardzo rumuński sposób, a w lewym uchu miał kolczyk, z którego zwisał łańcuszek zakończony jakimś ozdobnym drobiazgiem.

Wróciła Jenica — w białej męskiej koszuli zapiętej tylko na jeden guzik. Usiadła obok mnie, odkręciła ośmiokątną butelkę i zanurzyła w niej pędzelek.

— Powiedz mi imię i nazwisko kogoś, kto nie żyje.

— Byle kogo?

— Wszystko jedno, byle już nie żył.

— Śpiewająca Skała? — Uznałem, że w obecnej sytuacji mojemu duchowemu przewodnikowi należy się honorowe miejsce.

Piękną kursywą Jenica napisała w poprzek mojej klatki piersiowej: Śpiewająca Skała.

— David Erskine — powiedziałem, kiedy skończyła. — To mój ojciec. George Erskine, mój dziadek. Jimmy Bonasinga, kolega ze szkoły.

Jenica w milczeniu pokrywała moje ciało imionami i nazwiskami. Byłem zdumiony, kiedy uświadomiłem sobie, ilu znanych mi ludzi już nie żyje. Zajęło nam to niemal trzy godziny, a kiedy Jenica skończyła, miałem na sobie ponad sto nazwisk. Na lewym ramieniu miałem Adelaidę Bright, niech Bóg ma ją w swojej opiece, która nauczyła mnie czytać z kart tarota i fusów herbacianych, a także odczytywać przyszłość z ludzkiej twarzy. Wzdłuż prawego przedramienia miałem nazwisko mojego nauczyciela zajęć technicznych, Kennetha Bukaskiego, który pokazał mi, że robienie półek, które się trzymają, to coś więcej niż sprawa wiary. Na prawym udzie miałem Sandrę Lowenstein, bladą i afektowaną dziewczynę, która pisała dla mnie bełkotliwe wiersze o dymie i kwiatach i zmarła z powodu przedawkowania jakiegoś święstwa w Baltimore.

Nie widziałem nazwisk na plecach, ale wspomnienia o tych ludziach były mi tak samo drogie. Jedyne nazwisko na moim penisie była Jane Forward, moja

pierwsza miłość. Była zachwycająca — nawet z aparatem na zębach. Zielone oczy, drugie blond włosy, jakieś pięć centymetrów wyższa ode mnie. Wszyscy byli przekonani, że zostanie sławną aktorką, ale wyszła za mąż za analityka giełdowego i przeprowadziła się do Darien w stanie Connecticut, gdzie utopiła się w basenie.

W końcu Jenica odłożyła pędzelek i zakręciła buteleczkę. Zdjęła koszulę i położyła się obok mnie.

— Wiesz, czym teraz jesteś? Księżą umarłych.

— Mam tylko nadzieję, że to wszystko zadziała. Czubkiem palca pomacała ostatnie nazwisko, jakie zapisała — Johna Franziniego.

— Wydaję mi się, że John Franzini jest już suchy. Możemy zacząć rytuał.

Wzięła ceramiczną miseczkę, którą przyniosła razem z atramentem — była w niej melasa, wymieszana z suszonym tymiankiem. Zapaliła cienką świeczkę i skierowała jej płomień na środek miseczki. Po chwili melasa i zioła zaczęły bulgotać i zapaliły się. Zapach palących się ziół przywoływał jakieś wspomnienie, ale nie potrafiłem określić, z czym mi się kojarzy. Musiało to być coś, co wydarzyło się bardzo dawno temu i bardzo daleko stąd.

Jenica otworzyła książkę z opisem rytuału i położyła ją na poduszce. Pochyliła się nade mną, muskając prawym sutkiem mój prawy sutek. Była tak blisko mnie, że nie widziałem jej ostro.

— Samodivo, przyjmij nazwisko tego mężczyzny do spisu zmarłych! Zapisz je w krainie cienia i namaluj jego podobiznę na obliczu Księżyca.

Powiedziała to trzy razy, tak jak nakazywała instrukcja. Kiedy zaczynała recytować ten tekst po raz trzeci, ujęła prawą dłońią mojego kutasa i zaczęła go masować. Muszę przyznać, że nie było to całkiem nieprzyjemne. Kiedy powiedziała: „zgodnie z twoją zachętą”, nazwisko Jane Forward wydłużyło się przynajmniej dwukrotnie.

Potem usiadła mi na brzuchu. Spróbowałem złapać jej pierś, ale odepchnęła moją rękę. Ponieważ to ona przeprowadzała ów przedziwny rytuał, postanowiłem leżeć i wykonywać jej polecenia. W końcu nie robiliśmy tego dla przyjemności.

Sięgnęła między moje nogi i wprowadziła w siebie mojego penisa, po czym

pochyliła się i pocałowała mnie w usta. Jej wargi były mokre, ciepłe i śliskie i taka sama była w środku. Nie potrafiłem powstrzymać się od wydania z siebie jęku.

Jenica ujeżdżała mnie w milczeniu. Za każdym razem, kiedy unosiła biodra, prawie z niej wypadałem, ale jakoś udawało jej się wyczuć ten moment i mój kutas z powrotem zagłębiał się w nią aż po nasadę. Słysząc było tylko skrzywienie łóżka i dyszenie Jenicy. Jej pot skapywał na moje usta i miałem wrażenie, że pływam w oceanie.

Kiedy poczułem, że za chwilę będę szczytował, nie mogłem się powstrzymać od złapania Jenicy za pośladki i wbicia jej palców głęboko w ciało. Zaczęła głośno wołać: „Samodiva! Samodiva! Samodiva!”. Dym płonącej melasy robił się coraz bardziej gryzący, czułem w nosie i ustach tylko ten zapach i miałem wrażenie, że cienie na suficie tańczą w rytm naszego pieprzenia się niczym oszalałe gobliny z transylwańskich lasów.

Jenica zaczęła orgiastycznie pojękiwać. Nigdy przedtem nie spotkałem kobiety, która by tak się zachowywała. Jej jęki brzmiały jak cicha, wibrująca elegia. „Ochchchrrr... oochchch... dragostea... chchchoochch...”. Było to niezwykle erotyczne i głębokie, jakby cała się przede mną otworzyła, pokazała mi wszystko, co w niej tkwiło — zarówno kulturę swojego narodu, jak i swoje prywatne fantazje, wszystko, co ją stworzyło.

Wygięła plecy do tyłu, aż dotknęła potylicą pośladków, i znalazłem się w niej głębiej, niż wydawało się to możliwe. Zapomniałem, że jest w połowie strigoica i może się wyginać jak człowiek guma. Poczulem, że dochodzę. Jęknąłem: „Jenico...” i wytrysnąłem — raz, drugi i trzeci.

Leżeliśmy potem spoceni w milczeniu. Cienie na suficie przestały tańczyć, jakby transylwańskie gobliny odpoczywały — a może po prostu wypaliły się świece. Zegar w salonie zawarczał i wybił czwartą, a w szparach między zasłonami ukazały się paski jaśniejszego nieba.

Jenica uniosła głowę i popatrzyła na mnie.

— Musimy zrobić jeszcze coś...

— Naprawdę? Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, żeby to powtórzyć, to ja też

nie.

Włożyła sobie rękę między uda, po czym przystawiła mi dłoń do ust.

— O co chodzi?

— Spróbuj. To sok strigoica.

Polizałem opuszki jej palców.

— I co teraz? Czy to oznacza, że jestem zakażony?

— Teraz śpij. Potem przyniosę ci herbaty albo wina, co zechcesz.

— Chyba nie uda mi się zasnąć.

— Więc zamknij oczy i przynajmniej odpocznij. Wstała z łóżka i włożyła koszulę. Doskonale wiedziałem, że nie uda mi się zasnąć, nie po takim seksie. W dodatku wkrótce mieliśmy ruszyć w pogoń za Misquamacusem. Zamknąłem jednak oczy i spróbowałem się odprężyć.

Jenica krzątała się w kuchni. Nuciła coś, co brzmiało jak piosenka miłosna, ale równie dobrze mogło być rumuńskim odpowiednikiem You're So Vain^[5].

ROZDZIAŁ 22

Grupa krwi

Nagle poczułem na brzuchu coś zimnego i mokrego. Otworzyłem oczy. Jenica płatkami kosmetycznym zmywała napisy z mojego ciała.

— Dobrze spałeś? — zapytała.

— Daj mi szansę, leżą przecież dopiero od kilku minut.

— Spałeś dziewięć godzin. Jest prawie dziesięć po pierwszej w południe.

Usiadłem.

— Co? Żartujesz sobie!

Zegarek wskazywał jednak trzynastą dziewięć, a przez trójkątną szparę między zasłonami widziałem, że świeci słońce. Jenica przebrała się w koszulę w biało–czarną kratę i obcisłe levisy, zczesała włosy do tyłu i związała je czarną chustką.

— Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej? Jeżeli mamy ścigać Misquamacusa, potrzebujemy światła dziennego!

— Ciii... spałeś tak długo, ponieważ byłeś przemęczony. Poza tym potrzebowałeś czasu na wchłonięcie do krwi wirusa strigoica.

— No tak, zapomniałem, że jestem teraz półwampirem. — Potarłem potylicę. — Nie czuję się jednak inaczej. Poza tym, że mam na głowie guza jak kula do kręgli.

— Mylisz się, Harry. Jesteś inny. Możesz teraz robić rzeczy, których nie mogłeś robić dotychczas. Zobacz.

Ujęła moją prawą dłoń i odciągnęła palec wskazujący do tyłu. Było to niesamowite. Wyginał się bez najmniejszego wysiłku, aż dotknął przedramienia tuż przy nadgarstku. Spróbowałem zrobić to samo z palcem środkowym i udało się to wcale nie gorzej.

— Fantastyczne! Harry Erskine, Przepowiadacz Przyszłości z Hinduskiej Gummy! Odkryje waszą przyszłość, zawiązując się równocześnie w supły.

Odgiąłem pozostałe palce — były tak samo elastyczne.

— Jest jeszcze coś — powiedziała Jenica. — Kiedy spałeś, poszłam na dół. Zrobiłam to, o co mnie wcześniej prosiłeś... wsadziłam dłoń w lustro.

— Nie mów, że nie weszła.

— Z początku nie chciała. Próbowалаm trzy razy, ale w końcu się udało. Dopiero kiedy powiedziałam sobie: Jenico, to są drzwi. Sądzę, że poza krwią strigoica potrzebna jest tu silna wiara.

— Dzięki Bogu. Nie chciałbym mieć świadomości, że to, co wczoraj zrobiliśmy, było stratą czasu.

— Może się teraz ubierzesz? Przymierz coś z ubrań mojego ojca, a ja w tym czasie zrobię kawę.

Wstałem, odsunąłem zasłony i przeciągnąłem się. Ze zdumieniem stwierdziłem, że mogę się odchylić do tyłu niemal tak daleko jak Jenica. Musiałem jednak przyznać, że czuję się inaczej. Moje stawy i mięśnie były luźniejsze, a całe ciało aktywniejsze i żwawsze — jakbym miał dziesięć lat mniej.

Przejrzałem szafę Razvana Dragomira i znalazłem czarną jedwabną koszulę i czarne spodnie. Spodnie były nieco ciasnawe, ale Razvan Dragomir prawdopodobnie nie wypijał siedmiu puszek guinnessa dziennie. Poszedłem do kuchni, gdzie Jenica właśnie robiła kawę na wodzie mineralnej. Nie mieliśmy mleka, więc zjadłem garść płatków kukurydzianych prosto z pudełka.

— Powinniśmy dostać się do Kensico Country Inn jeszcze za dnia — powiedziałem. — Musimy sprawdzić, ile mają tam luster. A biorąc pod uwagę tego gościa z wczoraj, który wyskoczył z wanny, musimy też chyba zająć się wszystkimi zbiornikami wodnymi — stawami, beczkami z deszczówką, i tym podobne.

— A potem zaczekamy do zmroku, aż Vasile Lup wyjdzie z lustra?

— Tak. Kiedy już wyjdzie, zbijemy wszystkie lustra, żeby rano, po powrocie, nie miał się gdzie schować. Wypowiesz wtedy formułę i odczarujesz go. Vasile Lup zostanie odesłany tam, skąd przybył, i Misquamacus nie będzie miał ducha, w którym mógłby się ukryć.

— Ale nie wiesz jeszcze, jak go zniszczyć?

— Liczę na tę kość.

— To wszystko?

— A co innego mogę zrobić? Nie mamy pojęcia, jak ta kość działa, wygląda jednak na to, że odstrasza strigoi i zabija szczury lepiej niż cokolwiek innego, a Misquamacus też nie sprawiał wrażenia szczęśliwego, kiedy mu nią pomachałem.

— I to cały twój plan?

— Chyba tak. Nie wiem, co więcej mógłbym zrobić.

— Może powinieneś wezwać Śpiewającą Skalę?

Pokręciłem głową.

— Nie odpowie mi. Już prosiłem go o pomoc, ale on jest zwolennikiem samodzielnego działania. Uważa, że nie należy stale prosić zmarłych o radę, bo to sprawia, że robimy się podobni do nich.

— No dobrze. Więc co teraz? Ruszamy? Dokończyłem kawę i wstałem.

— Czemu nie? Żyje się tylko raz.

— Mam jeszcze jedno pytanie... — powiedziała Jenica. — Jak znajdziemy drogę do Kensico Country Inn, kiedy wejdziemy w lustro?

— Myślę, że w zwykły sposób, tyle że będziemy się poruszali w odwrotną stronę.

— Nie dodajesz mi pewności siebie.

— Jenico, cały świat oszalał. Jedenastego września było strasznie, ale to jest jeszcze bardziej szalone. Spróbujmy improwizować. To jedyny sposób.

Popatrzyła na mnie.

— Kiedy straciłeś żonę i dziecko, był to dla ciebie ciężki cios, prawda?

— Nie straciłem ich, ale zgubiłem, to wszystko.

— Nie wolno ci myśleć, że nie warto żyć. Gdzieś ktoś na ciebie czeka.

— Może, teraz jednak muszę się rozprawić z mściwym indiańskim czarownikiem.

Jenica zapakowała do torby krucyfiks, święconą wodę i książkę o svarcolaci. Ja wziąłem tylko kość.

Zeszliśmy na dół i stanęliśmy przed lustrem.

— Spróbuj najpierw włożyć palec — powiedziała Jenica. — Upewnij się, że

możesz w nie wejść.

Popatrzyłem na swoje odbicie. W czarnej jedwabnej koszuli i ciasnych czarnych spodniach wyglądałem jak iluzjonista. Moją następną zadziwiającą sztuczką będzie włożenie dłoni w stuprocentowo prawdziwe lustro i wejście w szkło.

Kiedy to zrobiłem, miałem wrażenie, że szkło lepi mi się do palców, zimne, ciężkie i płynne jak rtęć. Mój palec wszedł jednak do środka i połączył się z odbiciem pozostałej części dłoni, po czym bez trudu go wyciągnąłem, cały i nieuszkodzony.

Odwróciłem się do lenicy.

— I co ty na to? Co ty na to?

— Jak widzisz, rytuał Samodivy działa.

— Jestem półwampirem. Cholera. Nie do wiary.

— Zgadza się, masz we krwi wirus strigoi. Jesteś taki sam jak ja.

Nagle uświadomiłem sobie całą powagę sytuacji. Podejmowałem już w życiu ryzyko, walczyłem z Misquamacusem, ale tym razem nie wierzyłem, abyśmy oboje mieli szansę przeżycia. Uniosłem podbródek Jenicy i pocałowałem ją.

— Przynajmniej nikt nie powie, że odbyło się to mało oryginalnie.

Postanowiłem iść pierwszy. Ustaliliśmy, że jeżeli coś będzie nie tak, Jenica nie pójdzie za mną. Nawet gdyby strigoi Misquamacusa rozprzestrzeniły się na całym terenie północno—wschodnich stanów, miałyby szansę przeżyć.

Stałem przed lustrem. Harry Erskine, to nie jest dobry pomysł — powiedziałem sobie. Nie masz pojęcia, dokąd się udajesz, ani co będziesz musiał zrobić, kiedy się już dostaniesz na drugą stronę. Zrobiłem jednak krok do przodu, cały czas głęboko wierząc w to, że lustro to srebrne drzwi i prowadzi do świata lustrzanych odbić.

Zamknąłem oczy. Poczułem twarde, bezgłośnie uderzenie — coś podobnego do tego, czego się doświadcza, wpadając do basenu z kilkunastostopowcj wieży. Kiedy otworzyłem oczy, okazało się, że stoję w korytarzu, ale był to korytarz bardzo różniący się od tego, który przed chwilą opuściłem. Było tu jasno i przewiewnie, drewniana podłoga była polakierowana, a otwarte podwójne drzwi prowadziły na białą kamienną werandę. Z zewnątrz wpadała ciepła bryza, gdzieś niedaleko śpiewały ptaki.

Jenica stała obok mnie, ale druga Jenica w dalszym ciągu wpatrywała się we mnie z korytarza, który właśnie opuściłem. Byłem w lustrze. Przeszedłem na drugą stronę.

— Chodź! — zawołałem i machnąłem do Jenicy, poruszając ustami, jakby była głucha. — Chyba wszystko jest w porządku!

Nie wiedziałem, czy mnie słyszy, ale podeszła powoli do lustra. Jej odbicie zbliżyło się do szkła od wewnątrz — i po chwili obie Jenice stały z przyciśniętymi do siebie dłońmi, patrząc sobie w oczy.

— Wszystko w porządku! — krzyknąłem. — Możesz przechodzić!

Jeszcze przez chwilę się wahała, po czym opuściła głowę i przeszła. Rozległ się dźwięk przypominający odgłos miażdżonego szkła, a potem buchnęło kolorami i kształtami. Jenica i jej lustrzane odbicie zlały się w jedną osobę i po chwili staliśmy obok siebie, a korytarz w jej domu był pusty. Jenica popatrzyła na mnie.

— Gdzie jesteśmy? Co to za miejsce?

— Nie wiem. Sądziłem, że jeżeli przejdziemy przez lustro, znajdziemy się w tym samym korytarzu, ale odwróconym. Najwyraźniej tak nie jest.

Podeszła do antycznej komody z żółtodrzewu i przyjrzała się namalowanemu na niej mężczyźnie w białej peruce z lokami.

— Nie rozumiem tego — powiedziała. — Może najlepiej będzie, jeśli wrócimy.

Przeciąłem korytarz i wyszedłem otwartymi drzwiami na werandę. Spodziewałem się ujrzeć przed sobą Leroy Street, nawet gdyby to miała być jej odwrotność. Na zewnątrz było jednak tylko wielkie puste podwórze i wysadzana klonami ale ja z biegnącym wzdłuż niej białym płotem. Przez drzewa widać było migoczącą powierzchnię okrągłego stawu z pływającymi po nim gęsiami, a w oddali łańcuch wzgórz z leżącymi na nich niczym pierzyny chmurami. Nie było ani śladu Leroy Street, ani śladu Manhattanu. Na ścianie wisiał znak: NIE PARKOWAĆ — napisany w „normalną” stronę, nie w lustrzanym odbiciu. A więc nie była to lustrzana kraina. Po prostu weszliśmy w lustro na Manhattanie i wyszliśmy w innym lustrze w jakimś innym miejscu. Ale gdzie?

Jenica podeszła do mnie. Blask był taki, że musiała osłonić oczy. Niebo pokrywały grube białe cumulusy, przez które przeświecały kawałki błękitu. Powietrze było

gorące i wilgotne, a w powietrzu czuło się zapach świeżo skoszonej trawy. Na podwórzu stały dwa srebrne samochody terenowo–miejskie, nie było jednak widać żywego ducha.

— Może to sen albo jakaś halucynacja — powiedziała Jenica. — Mam złe przeczucie...

Wróciliśmy do środka budynku. W kącie korytarza stało antyczne biurko, na którym leżała księga gości. Podeszedłem i wziąłem ją do rąk. Jej stronicę pochlapała krew, która była też na podłodze. Zamknąłem księgę i popatrzyłem na wytłoczony na zielonej skórce napis.

— Nie musimy wracać. Nie rozumiesz? To nie sen. Jesteśmy w Kensico Country Inn.

— Ale w jaki sposób dostaliśmy się dokładnie tam, gdzie chcieliśmy? Jak tu się dostaliśmy?

— Nie mam pojęcia, ale podejrzewam, że ma z tym coś wspólnego Frank. Może wszedł do nas przez lustro i zostawił „srebrne drzwi” otwarte, abyśmy i my mogli tu wejść?

— Ale jak to możliwe, abyśmy weszli w lustro w moim domu i wyszli tutaj? To tak, jakby te dwa domy sąsiadowały ze sobą, a przecież wiemy, że są oddalone od siebie o wiele mil.

— Masz rację, ale kiedy Zbieracz Wampirów wyszedł z lustra w twoim mieszkaniu, a Susan Fireman zabrała Franka, też nie widzieliśmy w nim odbicia twojego korytarza, prawda? Widzieliśmy jakąś plażę. Cokolwiek się dzieje wewnątrz tych luster, nie dotyczą tego prawa naszej fizyki.

Jenica popatrzyła na mnie, a potem polizała palec i potarła nim mój policzek.

— Masz jeszcze czyjeś imię na skórce. Teresa.

W holu Kensico Country Inn wisały dwa olbrzymie lustra — jedno za ladą recepcyjną, a drugie w korytarzu — były to „srebrne drzwi”, przez które weszliśmy z Jenicą. Kiedy nadejdzie czas, będą pierwszymi, które stłuczemy. Nie będziemy mogli wrócić do miasta drogą, którą przybyliśmy, ale nie wolno nam było pozostawić

Misquamacusowi jakiegokolwiek drogi ucieczki.

Poszliśmy korytarzem do restauracji „Walhalla”. Stało tu trzydzieści stolików i wszystkie przygotowano do śniadania — przykrywając je bielusieńkimi obrusami i ozdabiając kunsztownie poskładanymi serwetkami. Na każdym stole stał wazon z zasuszonymi różami.

Kuchnia była pusta. Na blacie z masywnego drewna leżały trzy udźce baranie. Pokrywała je gruba warstwa much, a odór psującego się mięsa był tak przenikliwy, że Jenica musiała zasłonić usta dłonią.

Wróciliśmy do recepcji, a potem zaczęliśmy otwierać po kolei wszystkie drzwi. Schowek, szafa, męskie i damskie toalety — było tam mnóstwo luster do zbitcia — i korytarz, prowadzący wzdłuż tylnej ściany budynku do dużej oranżerii. Tylko na parterze doliczyliśmy się dwudziestu pięciu luster.

Jenica weszła na podest i otworzyła znajdujące się tam drzwi.

— Harry...

— Co się dzieje?

Podszedłem i zajrzałem do środka. Była to sala konferencyjna — z ekranem w głębi, na którym widać było kolorową planszę, wykres dotyczący jakichś biznesowych spraw. Ale nie on przyciągał wzrok, lecz stojący pośrodku sali długi stół z jasnego polerowanego dębu, wokół którego ustawiono jakieś czterdzieści krzeseł. Na stole leżała sterta ciał, splątanych ze sobą rękami i nogami. Ciała mężczyzn i kobiet, w ubraniach lub nagich — wszystkie z popodrzynanymi gardłami. Musiało być ich ze trzydzieści, ale nie miałem ochoty liczyć. Z ciał spadały robaki, które rozłaziły się po dywanie. Zawsze wydawało mi się, że baranina paskudnie śmierdzi, ale to było znacznie, znacznie gorsze.

Zamknąłem drzwi i wypuściłem powietrze z płuc. Nie mieliśmy tu nic do roboty. Najwyraźniej Zbieracz Wampirów dostał się tu przez lustro z kilkoma swoimi strigoi — w taki sam sposób jak i my — i zaskoczył gości oraz obsługę hotelu. Potraktowano ich bezlitośnie. Dla Vasile Lupa istoty ludzkie były jedynie źródłem pokarmu lub rekrutami mogącymi zasilić jego legiony strigoi, a Misquamacus — po tak wielu latach — mógł się wreszcie zemścić.

Niemal dwie godziny zabrało nam znalezienie wszystkich luster. Przeszukaliśmy nawet pokoje służących na strychu i powyjmowaliśmy z ich torebek lusterka do makijażu, gromadząc je w jednym miejscu, przygotowane do rozbicia.

Nie było prądu, telefony nie działały, a z mojego telefonu komórkowego dolatywały jedynie ciche trzaski. Strigoi musiały już opanować większą część stanu, niż sądziliśmy. Przez całe popołudnie pobliską autostradą nie przejechał ani jeden samochód i nie usłyszeliśmy ani jednego helikoptera czy samolotu. Słyszać było tylko śpiew ptaków.

Poszliśmy do kuchni. Choć lodówki nie pracowały, znaleźliśmy trochę sera i włoskiego salami; oba produkty były nieco rozmiękłe i „spoczone”, ale nadawały się do spożycia. Wyszliśmy na zewnątrz i usiedliśmy na trawie nad stawem. Słońce powoli schodziło ku dalekim wzgórzom.

— Wyobrażasz sobie, jak by wyglądał ten kraj, gdyby przejęły go strigoi? — spytałem. — W ciągu dnia pusty jak teraz. Cichy. Nic by się nie działo. W nocy wszystkie wampiry wpełzałyby z luster i trumien i zaczynałoby się piekło na ziemi. Dla każdego człowieka życie byłoby koszmarem, który należałoby jak najszybciej zakończyć. Strigoi ścigałyby wszystkich ludzi noc w noc.

— Masz rację, ale dla niektórych byłby to raj. Żyliby wiecznie, prawda? Mogliby doświadczyć wszystkiego, odwiedzić każde miejsce na Ziemi. Ojciec powiedział kiedyś, że gdyby wszyscy żyli wiecznie, nauka ludzka rozkwitłaby w niewyobrażalny sposób, bo wielcy uczeni nie umieraliby tak, jak dzieje się teraz. Powiedział: „Pomyśl o Einsteinie... ile zostało stracone, kiedy zmarł, ile mógłby odkryć, gdyby żył jeszcze przez trzy wieki! Pomyśl o wielkich pisarzach i muzykach! Ile każdy z nas może doświadczyć w ciągu swojego życia? Bardzo niewiele, a kiedy wydajemy z siebie ostatnie tchnienie, odchodzi z nami nawet ta odrobina wiedzy, którą z takim trudem zdobyliśmy, i nikt nie może mieć już z niej żadnego pożytku”.

— Twój ojciec ma dość radykalne poglądy...

— Jest bardzo oryginalnym myślicielem. Zawsze mi mówił, że nie powinniśmy uprzedzać się do żadnej myśli tylko dlatego, że została wyrażona przez kogoś, kim

gardzimy. Wiele odkryć medycznych zawdzięczamy na przykład hitlerowcom, a dzieła sztuki często rodziły się w najgorszych reżimach świata.

— Więc choć nie akceptujemy nawyków dietetycznych strigoi, powinniśmy je akceptować, ponieważ długo przebywają na świecie i wiele wiedzą?

Jenica odwróciła się do stawu, nie odpowiadając na moje pytanie. Słońce było już znacznie niżej i odbijało się w wodzie, toteż widzieliśmy dwa słońca.

— Staw... — powiedziała po chwili. — Co z nim zrobimy? Jest co prawda na zewnątrz, ale nawet jeżeli będzie świecić słońce, obawiam się, że strigoi mogą do niego dotrzeć i uciec.

Wstałem i obszedłem staw. Od strony budynku jego brzeg był wyższy i rosło przy nim sitowie. Podwyższenie brzegu powstało sztucznie — była tam też wąska betonowa tama ze śluzą.

— Zobacz! — zawołałem. — Muszą używać tej śluzy, kiedy chcą opróżnić staw do czyszczenia dna.

— Więc będziemy mogli go opróżnić, gdy Vasile Lup sobie pójdzie.

— Na pewno musimy spróbować, ale nie wiadomo, ile nam to zajmie.

Zaczynało się robić wilgotno i chłodno. Jenica objęła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie.

— To przedziwna przygoda...

Kiwnąłem głową i pomyślałem o innej kobiecie, która tak niedawno powiedziała niemal to samo.

Kiedy zapadł zmrok, weszliśmy do jednego z samochodów — toyoty landcruisera. Uznaliśmy, że będzie w nim bezpieczniej niż w hotelu, ponieważ strigoi trudniej będzie wyczuć ciepło naszych ciał. Właściciel auta zostawił kluczyki w środku, więc gdyby strigoi nas znalazły, moglibyśmy uciec.

Staraliśmy się nie używać nazw strigoi i strigoica oraz imienia Vasile Lupa. Teraz, po zapadnięciu zmroku, wszystkie wampiry z pewnością były głodne i bardzo wrażliwe na wszelkie zakłócenia aury, które wskazywałyby na bliskość ludzi.

Skuliliśmy się na przednich siedzeniach samochodu, pojadając przyniesione ze

sobą batony czekoladowe i orzeszki. Ale cały czas myślałem o kanapkach z soloną wołowiną, które robił Katz, i zastanawiałem się, czy ma to jakiś związek z moim dopiero co nabytym wampiryzmem. Może jednak po prostu byłem głodny. Nie sądzę, aby wampiry lubiły żytni chleb i pikle.

Minęła ponad godzina. Jenica oparła głowę o moje ramię i zaczęła wolniej i głębiej oddychać, od czasu do czasu wzdychając, jakby coś jej się śniło.

Prawie zasypiałem, gdy nagle ujrzałem wychodzący z hotelu ciemny, nieregularny kształt. Przeszedł przez werandę, a za nim podążał następny i następny — ostatni był nieco jaśniejszy. Strigoi — przynajmniej pięć. Zeszły po schodach, przecięły podjazd i stanęły nie więcej niż dwadzieścia metrów od nas.

Potarłosłem Jenicę.

— Co jest? Co się dzieje?

— Ciii... nie podnoś się. Patrz.

Strigoi wyraźnie na coś czekały. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale nocne niebo robiło się coraz bledsze i po chwili zobaczyliśmy, że jaśniejszym kształtem była kobieta. Kiedy odwróciła się i popatrzyła w naszym kierunku, zobaczyłem, że to Susan Fireman. Obok niej, z bladą twarzą i dzikimi oczami, stał Frank. Pozostałej trójki strigoi nie znałem. Jeden z mężczyzn był bardzo wysoki i miał szesane do tyłu włosy, co sprawiało, że wyglądał jak Christopher Lee. Nawet gdyby nie był prawdziwym wampirem, z powodzeniem mógłby go udawać. Dwa ostatnie strigoi wyglądały jak potężnie zbudowani robotnicy budowlani z ogolonymi głowami.

Wschodził księżyc, przeświecając przez srebrne brzozy. Kiedy zrobiło się jeszcze jaśniej, w drzwiach pojawiła się wielka postać. Odchylała się od księżyca i składała się ze skomplikowanej aranżacji nieprzeniknionych cieni, które z każdym jej krokiem przesuwały się, rozkładały i składały. Był to Zbieracz Wampirów, Vasile Lup, svarcolaci, w którym ukrywał się duch Misquamacusa — jak najczarniejsza ćma, zwinięta wewnątrz gąsienicy.

Stał na werandzie, ale w następnym ułamku sekundy był już między swoimi strigoi. Patrzyłem na zmiany jego twarzy — w jednej chwili była dobrotliwa i ludzka, w następnej biała i nieruchoma jak maska. Nagle odwrócił głowę, a za nim odwróciły

się strigoi.

— Boże drogi... — jęknęła Jenica. — Myślisz, że nas widział?

Wydawało mi się, że tak. Patrzył prosto na landcruisera, jego oczy błyszczały. Przez głowę przemknęła mi straszliwa myśl: jasna cholera, nasza mała wycieczka skończy się, zanim się jeszcze zaczęła, i do tego krwawo...

Ale w następnym momencie, poruszając się szarpanymi ruchami, niczym postacie ze źle zmontowanego filmu, wszyscy zniknęli — i pojawili się niżej, na podjeździe. Zaraz potem znów zniknęli, a kiedy zobaczyliśmy ich ponownie, stali przy prowadzącej do hotelu drodze, dobre sto metrów od nas, po chwili jednak zniknęli całkiem.

Jenica z ulgą wypuściła powietrze.

— Dokąd oni idą? — spytałem.

— Kto wie? Pewnie do jakiegoś małego miasteczka. Zawsze się w ten sposób rozpowszechniają... rozplývają się jak plamy.

Kiedy wyszliśmy z samochodu, poszedłem prosto na drugą stronę stawu. Ukląknęłem przy betonowej zaporze i spróbowałem otworzyć śluzę, ale zamek był zardzewiały i nie puszczał.

— Muszę znaleźć jakąś dźwignię. Chodź ze mną, zaczniesz rozbijać lustra.

Poszliśmy do hotelu i skierowałem się prosto do antycznego kominka. Obok niego stał wielki pleciony kosz z małym toporkiem, szczypcami i długim pogrzebaczem, zakończonym dużą mosiężną gałką. Wręczyłem Jenicy toporek.

— Zabieraj się za lustra i nie zapomnij o którymś! Rozbij wszystkie!

Podeszła do wielkiego, oprawionego w złoczone ramy lustra nad ladą recepcji i uderzyła w sam jego środek obuchem toporka. Rozległ się głośny trzask i lustro pękło skośnie od rogu do rogu, po czym spadło na podłogę. Jenica zaczęła deptać większe kawałki szkła, aby je rozdrobnić, po czym zebrała je na stertę, więc nie dało się w nich dostrzec żadnego całego odbicia.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, usłyszałem za plecami łoskot rozbijanego w korytarzu lustra, które Jenica po chwili również zaczęła przerabiać toporkiem na

drobne kawałeczki.

Pobiegłem do stawu. W powietrzu było pełno komarów — jeden wpadł mi do ust. Ukląknęłam przy zaporze i wsunąłem pogrzebacz w występ zamka, po czym wstałem i zacząłem z całej siły ciągnąć. Zamek śluzę nie zamierzał jednak nawet drgnąć i zacząłem się obawiać, czy nie zardzewiał na stałe.

Pomyślałem sobie: jesteś w połowie strigoi. Masz siłę. Jeżeli możesz się wygiąć w tył jak akrobata, to możesz także otworzyć ten zamek. Uwierz w siebie, Harry. Uwierz w swoje możliwości.

Zmieniłem ułożenie rąk i ponownie pociągnąłem. Tym razem rozległ się zgrzyt i zamek nieco się poruszył. Pociągnąłem ponownie i nagle mechanizm się obrócił, a z biegnącej pod śluzą rury odwadniającej wyciekła cienka strużka wody. Zamek był teraz na tyle poluzowany, że mogłem go otworzyć do końca bez używania pogrzebacza, i strużka wody zamieniła się w strumień. Po chwili woda rozlewała się po łące pod stawem, błyszcząc w świetle księżyca.

Złapałem pogrzebacz i pobiegłem do hotelu. Jenica była w damskiej toalecie i rozbijała lustro nad umywalkami.

— Skończyłaś w męskiej?

— Nie. Zostawiłam to dla ciebie.

— Na Boga, przecież tam nikogo nie ma!

Godzina po godzinie, pomieszczenie po pomieszczeniu, rozwalaliśmy w Kensico Country Inn lustro. Księżyc patrzył na nas przez coraz to inne okno, a potem zniknął. Od czasu do czasu robiliśmy przerwę i słuchaliśmy, czy Vasile Lup i jego strigoi nie wracają, nie pojawili się jednak nawet wtedy, gdy niebo się zaróżowiło i zaczęły świergotać ptaki, więc udało się nam dokończyć. Sprawdziliśmy wszystko po raz ostatni — przeszliśmy cały budynek, otwierając każdą szafę, na wypadek gdybyśmy nie zauważyli jakiegoś lustra na wewnętrznej stronie drzwi. Otwieraliśmy nawet szuflady szafek nocnych, szukając małych ręcznych lusterek.

Wszędzie migotało rozbite szkło, ale żaden kawałek nie był na tyle duży, aby dało się w nim zobaczyć choćby jedno oko. Poszedłem także do samochodów i rozbiłem

ich wsteczne lusterka.

Poziom wody w stawie bardzo opadł i zobaczyłem mokre kępy zielska, obrośnięte glonami kamienie oraz zardzewiałą dziecięcą hulajnogę. Pozostał jeszcze głęboki na mniej więcej pół metra i ciągnący się przez prawie siedem metrów owal wody, nadal jednak wyciekała i miałem nadzieję, że za jakieś dwadzieścia minut całkiem zniknie.

Popatrzyłem na wschód. Brzeg słonecznej tarczy zaczynał już muskać drzewa.

— Pewnie strigoi zaraz wrócą — powiedziała Jenica. — Modlę się, aby się nie okazało, że znalazły sobie inną kryjówkę.

— Ja też.

Wróciliśmy do hotelu i ukryliśmy się w kącie holu, między niebieskimi zasłonami i zegarem w wysokiej skrzynce. Jenica wyjęła krzyż i święconą wodę, położyła jedno i drugie na parapecie, po czym wzięła książkę o svarcolaci i otworzyła ją na stronie z formułą odczarowującą Vasile Lupa.

— Jesteś gotowa? — zapytałem.

Znów popatrzyła na mnie w sposób, którego nie potrafiłem zinterpretować.

Kiedy otwierałem usta, by coś powiedzieć, rozległ się ogłuszający huk, jakby gdzieś w pobliżu wybuchła bomba. Do holu wpadł Zbieracz Wampirów, a za nim kilkoro jego strigoi. Wydawał się jeszcze większy i ciemniejszy, niż kiedy widziałem go poprzednim razem. Cała banda ciągnęła za sobą smugi dymu. W drodze powrotnej musiało złapać ich słońce.

Kraźyli po holu, klepiąc się po płonących płaszczach. Wszystkie strigoi miały zakrwawione podbródki i przesączone krwią przody ubrań, jakby właśnie zeszyły ze zmiany w rzeźni. Byli zbyt zajęci gaszeniem palących się ubrań, aby zauważyć, że zmienił się wystrój wnętrza, kiedy jednak dym się przerzedził, Zbieracz Wampirów zawył ze zdziwienia i wściekłości. Podeszedł do rozbitego lustra i okręcił się wokół własnej osi, odchylając się jak najdalej od okien. Jego twarz wykrzywiała wściekłość i można było odnieść wrażenie, że wszystkie cienie tworzące jego sylwetkę się najeżyły.

Susan Fireman pobiegła sprawdzić lustro na korytarzu — to, przez które weszliśmy z Jenicą. Kiedy ujrzała, że i ono jest rozbite, jęknęła z przerażenia. Musiała

się domyślić, co się stało, i zrozumiała, jak to się zakończy. Jedno ze strigoi pognało sprawdzić łazienki, a pozostała dwójka pobiegła do sali konferencyjnej, ale tam także zrobiliśmy swoje. Rozbiliśmy wszystkie trzy znajdujące się tam lustra, sięgające od podłogi do sufitu, i przeszukaliśmy kieszenie zmarłym.

Ze wszystkich strigoi jedynie Frank pozostał na miejscu, pośrodku holu. Pochylił głowę, spod jego ubrania leciał dym. Susan Fireman podeszła do niego i wbiła w jego twarz spojrzenie swoich bladych oczu.

— To ty! To twoja robota, prawda? Zaufałam ci, Frank! Zaufałam ci! Mogłam poderżnąć ci gardło i wypić twoją krew, ale dałam ci nieśmiertelność! Gdzie oni są? Gdzie są? Sprowadziłeś ich tutaj, tak? Poszedłeś się z nimi zobaczyć i ustawiłeś lustra przodem do ściany!

Zbieracz Wampirów popatrzył na Franka z taką nienawiścią, że zmarszczyła mi się skóra na głowie. Frank uniósł wzrok i spojrzał na niego. Na polerowaną podłogę padał wąski pasek światła i buty naszego doktora zaczęły się palić.

— Zapomnieliście o jednym — powiedział Frank głosem, świadczącym o tym, że jest straszliwie zmęczony. — Jeśli niektórzy ludzie coś obiecują, to dotrzymują swojej obietnicy nawet po śmierci. Ja przysięgałem chronić ludzkie życie, i nikt nie jest w stanie mnie zmusić, abym złamał tę przysięgę.

Susan Fireman zrobiła dwa kroki w jego kierunku. Była tak szybka, że nie zauważyłem noża w jej dłoni, zobaczyłem tylko półkoliste tryśnięcie krwi, wyglądające jak jasnoczerwony wachlarz, i Frank osunął się do tyłu, a jego głowa opadła na bok, jakby była zamocowana na pojedynczym zawiasie.

Zbieracz Wampirów znowu zawył, ale tym razem zabrzmiało to jak chór, jakby jednym głosem zawyły tysiące cierpiących katusze dusz. Dwoma szarpanymi ruchami przesunął się do Franka.

— Teraz! — wrzasnąłem i wypchnąłem Jenicę zza zasłony.

ROZDZIAŁ 23

Krew Manitou

Zbieracz Wampirów i strigoi odwrócili się ze zdumieniem do Jenicy. Mieli wściekłe oczy, zakrwawione ubrania, zza kołnierzy leciał im dym i byli prawdopodobnie najstraszliwszą bandą, jaką można spotkać na świecie, ale Vasile Lup był najgorszym koszmarem. Sposób, w jaki pochylał się z boku na bok, z twarzą, która w ciągu sekund zmieniała się w coś innego, był przerażający.

Jeszcze straszniejsze było to, że ukrywał się w nim Misquamacus, co sprawiło, że stał się bardziej mściwy niż kiedykolwiek — nawet wtedy, gdy został svarcolaci.

Jenica jednak — Boże, chroń ją! — szła w jego kierunku, jakby wcale się go nie bała. Trzymała wysoko ozdobiony kamieniami krzyż, pryskała na boki święconą wodą i recytowała słowa formuły odczarowującej wysokim, wyraźnym głosem:

— Zwalniam cię, Vasile Lup! Rozpraszam twój duch! Niech ziemia weźmie z powrotem ciało, które ci dała, niech wiatr weźmie z powrotem oddech, a rzeki niech zabiorą twoją krew! Niech popioły twojej duszy zostaną rozrzucone jak popioły twojego ciała!

Zbieracz Wampirów pochylił się ku niej i ryknął, ale Jenica ponownie smagnęła go święconą wodą.

— Zwalniam cię, Vasile Lup! Oby pamięć o tobie rozwiała się z pyłem, a twoje imię zostało zapomniane przez języki tych, którzy kiedykolwiek je wypowiadali! Niech gwiazdy zapomną o tym, że kiedykolwiek przepowiadały twój los, a księżyc niech zaprzeczy, że kiedykolwiek szedłeś w jego świetle!

Zbieracz Wampirów zrobił chwiejny krok w jej stronę. Otworzył usta, w których pojawiły się kolejne usta, drugie i trzecie, a jego krzyk sprawił, że cały budynek zadrżał, jakby tuż nad naszymi głowami przeleciał odrzutowiec bojowy.

Jenica odwróciła kartkę, ale kiedy miała wypowiedzieć końcową formułę, skoczyła ku niej Susan Fireman i wyrwała jej książkę z rąk.

— Harry! — krzyknęła Jenica.

Susan Fireman biegła ku drzwiom, przyciskając książkę mocno do piersi. Wyskoczyłem z za zasłony, aby odciąć jej drogę, ale była dla mnie zbyt szybka. Zbiegła schodami na podjazd — prosto w promienie słońca.

Zanim przebiegła kilka jardów, z jej płaszcz zaczął lecieć dym. Robił się coraz gęstszy i gęstszy i Susan zwolniła, więc mogłem się do niej nieco zbliżyć. Nagle zapaliły się jej włosy i wrzasnęła z bólu.

— Harry! Książka! — zawołała Jenica. — Nie pozwól, żeby się spaliła!

Było już jednak za późno. Kiedy Susan Fireman dotarła do skraju otaczającego staw trawnika, cała buchnęła płomieniem. Krzyknęła, przewróciła się na bok i zaczęła turlać, lecz płomienie robiły się coraz większe. Podbiegłem do niej i próbowałem zabrać jej książkę, ale trzymała ją blisko siebie, a buchało od niej zbyt wielkie gorąco, aby można się było bardziej zbliżyć.

Po chwili przestała krzyczeć i leżała na trawie bez ruchu w pozycji embrionalnej, wpatrując się we mnie, a słońce ją kremowało. Skóra na jej twarzy pękała i czerniała, wargi napęczniały i również popękały. Przez spalone ciało dłoni zaczęły wychodzić kości. Smród spalonego ludzkiego ciała był tak intensywny, że dostałem mdłości.

Mógłbym przysiąc, że widzę uśmiech na jej twarzy. Może zawsze wiedziała, że w ten sposób skończy? Choć była jedną ze strigoica, może czuła skruchę, że zamordowała tylu ludzi...

— Harry! — krzyknęła Jenica.

Kiedy chciałem się odwrócić, by sprawdzić, o co chodzi, Susan Fireman eksplodowała i za moment jej poczerńiałe kości opadły na kupkę, niczym jakieś koszarne bierki.

— Harry, oni uciekają!

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Zbieracz Wampirów i pozostała trójka strigoi biegnie przez podjazd w kierunku stawu. Owal wody skurczył się jeszcze bardziej, ale było jej jeszcze dość, aby Vasile Lup miał dokąd uciec. Wyciągnąłem z za paska kość i ruszyłem biegiem ku stawowi. Pociłem się i ciężko dyszałem, przeklinając Browar Guinnessa.

Z cieni Zbieracza Wampirów leciał dym, a wszystkie trzy strigoi zapaliły się dokładnie na skraju trawnika. Płomienie furkotały nad nimi jak pomarańczowe flagi.

— Harry, musisz go zatrzymać!

Nie wiem, w jaki sposób udało mi się w tak krótkim czasie dobiec do stawu. Może Śpiewająca Skala wezwał na pomoc Ducha Wiatru, aby dmuchnął mi w plecy, może za jedną dłoń złapała mnie Adelaide Bright, a za drugą Frank Winter i pociągnęli mnie razem, aby ich śmierć nie okazała się niepotrzebna.

Gnałem w dół trawiastego zbocza, machając rękami, i po chwili stanąłem po kolana w wodzie, kiedy Zbieracz Wampirów był jeszcze oddalony od stawu o dziesięć metrów. Trójka strigoi nie miała szans. Byli w połowie zbocza, gdy eksplodowali, a ich płonące szczątki zostały rozrzucone po trawniku.

Stałem w wodzie i wpatrywałem się w Zbieracza Wampirów, trzymając wysoko uniesioną kość.

— To koniec, Lup! Nie zbliżaj się!

Cienie Zbieracza Wampirów odchyłały się od słońca pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni i leciało z niego tyle dymu, że z trudem mogłem dostrzec jego twarz. Palił się i kipiał z wściekłości, ale zatrzymał się. Moc, która kryła się w kości, z pewnością była silniejsza od słońca.

W kłębach dymu strzelały płomienie. Zbieracz Wampirów zawył tysiącem głosów — jak uwięzieni w palącej się katedrze wierni.

— Stój i nie ruszaj się! — krzyknąłem. — I ty, i Misquamacus!

Nagle na podjeździe, między klonami, pojawił się jadący z dużą prędkością czarny samochód terenowy. Jenica biegła w moją stronę, ale i ona musiała go zobaczyć, bo osłoniła oczy i stanęła.

Nie zwalniając, samochód zjechał z podjazdu i skierował się w naszą stronę. Pędził po trawie, a kiedy był jakieś dwadzieścia metrów od nas, zahamował. Wysiadł z niego mężczyzna w szarej koszuli i szarych spodniach i ruszył w moim kierunku.

— Niech się pan wynosi! — wrzasnąłem. — Chce pan zginąć?!

Mężczyzna zignorował mnie jednak i po chwili stał obok mnie, w wodzie. Miał trochę ponad pięćdziesiąt lat, szesane do tyłu włosy i haczykowany nos. Z jego

lewego ucha zwisał skomplikowany kolczyk ze srebrnych elementów i piór, przypominający indiańskiego „łapacza snów”.

— Jestem Razvan Dragomir — powiedział, po czym, jakbym go nie usłyszał, powtórzył: — Jestem Razvan Dragomir.

— Co tu jest grane? Podobno był pan w Bukareszcie!

— Cały czas byłem tutaj. To za długa historia, aby teraz ją opowiadać. Musi pan wpuścić swardolaci do wody, zanim spłonie.

— Słucham...? Nie sądzę. Nie wie pan, co ten skurwiel narobił w Nowym Jorku? Zabił tysiące ludzi!

Zbieracz Wampirów ponownie ryknął. Z jego cieni buchało coraz więcej płomieni, dym zasnuł już cały trawnik i wpływał między drzewa. Jenica obeszła go, chroniąc dłonią twarz od gorąca. Była kompletnie zaskoczona.

— To ty, ojczy?

— Jenico, nie ma czasu na wyjaśnianie czegokolwiek, w każdym razie ten człowiek musi natychmiast pozwolić uciec Vasile Lupowi, inaczej wszystko, nad czym pracowałem, zostanie zniweczone!

Zrobił dwa kroki w moim kierunku i próbował wyrwać mi kość, ale przełożyłem ją do drugiej raki i odepchnąłem go.

— Nie ma czasu! — zawołał. — Nie ma czasu! Musi pan pozwolić mu uciec, inaczej zginie!

— Chyba pan oszalał! — odkrzyknąłem. — Wie pan, ilu ludzi umarło? Wie pan, ilu ludzi zamieniło się w wampiry?

— Oczywiście, że wiem! Oczywiście! Właśnie tak miało być! Ale teraz musi pan pozwolić uciec Zbieraczowi Wampirów ze słońca! Błagam pana... proszę!

Znów skoczył w moją stronę, cofnąłem się jednak dwa kroki i Razvan Dragomir padł na kolana. Popatrzył na mnie z rozpaczą, było już jednak za późno. Zbieracz Wampirów wydał ze swoich wielu gardeł przeraźliwy wrzask i buchnął płomieniem.

Ogień trzaskał i pluł płomieniami, a był tak oślepiający jak błysk magnezji. Choć nie dało się patrzeć na Vasile Lupa wprost, można było dostrzec, że jego cienie powoli znikają — jak wycierany gumką ołówkowy rysunek.

Razvan Dragomir nadal klęczał, jego szare spodnie zrobiły się czarne od wody, i w osłupieniu wlepił wzrok w Vasile Lupa — jak patrzący na niszczące dzieło swego życia artysta. Jenica podeszła ostrożnie do krawędzi wody i stanęła za plecami ojca, ale nikt się nie odzywał.

Kiedy ostatnie pasma dymu zniknęły między drzewami, zaszumiało, jakby nagle powiał silny wiatr, a powierzchnia wody zadrżała. Obok mnie przemknęło coś wielkiego — jak wielka ciężarówka, która przejeżdża obok człowieka i ma się wrażenie, że go za sobą pociągnie. Odwróciłem się i popatrzyliśmy na siebie z Jenicą, ale chyba też nie wiedziała, co to było.

Razvan Dragomir wstał powoli. Wyglądał dokładnie jak na zdjęciach, które widziałem w jego mieszkaniu: wysoki, smagły, o bardzo rumuńskiej twarzy. Kiedy się prostował, zaczął nagle rosnać. Patrzyłem na niego i choć w dalszym ciągu miałem przed sobą Razvana Dragomira, widziałem, że bardzo się zmienił. Jego oczy były teraz głębiej osadzone, policzki pokryły się rytualnymi nacięciami, a na jego głowie pojawiło się nakrycie, utworzone z żywych karaluchów, pszczoł i wijących się larw.

— Misquamacus... — wyszeptałem.

— Wydaje ci się, że jesteś moją nemezis, biały człowieku? — spytał. Jego głos wibrował w kościach mojej czaszki. — Wydaje ci się, że mnie pokonałeś?

Moje serce waliło jak tam–tam.

— Stąd, gdzie stoję, tak właśnie to wygląda — odparłem.

— Jesteś głupcem. Nie udowodniłem ci, że nawet po śmierci nie można mnie pokonać? Pozostanę twoim wrogiem na zawsze... dopóki kraj, który należał kiedyś do nas, nie zostanie nam zwrócony, a wasze miasta nie znikną z powierzchni ziemi.

— Misquamacusie, chyba czegoś nie rozumiesz. Mieszkamy w tym kraju od czterystu lat, są nas teraz miliony i co, zabijesz nas wszystkich? Nie liczysz się już! Nawet nie masz własnego ducha. Popatrz na siebie: musisz ukrywać się w ciele białego człowieka!

— Beze mnie ten człowiek nie miałby żadnej mocy. Beze mnie nie ożywiłby Zbieracza Wampirów, a bez Zbieracza Wampirów nigdy nie osiągnąłby swojego celu i nie ożywiłby krwiopijców.

— O czym ty mówisz?! — krzyknęła histerycznie Jenica.

Misquamacus odwrócił się do niej. Jego twarz znów przypominała twarz jej ojca. Kiedy się odezwał, jego głos miał obcy akcent.

— Kochanie, czy nie mówiłem ci zawsze, jak wspaniały byłby świat, gdyby ludzie nie musieli umierać? Byłby światem nauki i kultury. Światem, w którym geniuszy nie zakopywano by w ziemi. Musielibyśmy żyć przy świetle księżyca i ukrywać się za dnia, ale to przecież niewielka cena za to wszystko!

— To ty ożywiłeś Vasile Lupa?

— Zawsze o tym marzyłem, ale nie udawało mi się, dopóki nie znalazłem świętej kości.

Zmrużyłem oczy.

— Świętej kości? Tej kości?

— To kość z nogi ojca Juana de Palosa, który przybył na Florydę we wrześniu tysiąc pięćset czterdziestego drugiego roku z hiszpańską flotą Alvara Nuneza Cabeza de Vaca.

Jenica potrząsnęła głową, jakby miała wodę w uszach.

— Nie rozumiem, ojcze. Nie rozumiem.

— To nietrudne, skarbie Ojciec Juan był wampirem... Cabeza de Vaca zabrał go ze sobą, aby zlikwidował Apelachów, którzy byli szczególnie wrogo nastawieni wobec hiszpańskich konkwistadorów. Ale u wybrzeży Florydy pięć statków Cabeza de Vaca zniszczył w nocy sztorm, a ojciec Juan został wyrzucony na brzeg i pojmany. Kiedy wzeszło słońce, spłonął jak każde strigoi. Wielki czarownik Apelachów zatrzymał jednak kość z jego nogi, wyrył na niej magiczne symbole i dał jej moc Dachihna. W mitologii Apelachów Dachihn to manitou, które może wezwać zmarłych na pomoc żywym, a potem odesłać ich z powrotem w niebyt. Czarownik zrobił to, aby Apelachowie mieli broń, której mogliby użyć, gdyby hiszpańscy konkwistadorzy przywieźli ze sobą jeszcze więcej strigoi. Ale nie zrobili tego.

— A do czego pan jej potrzebował? — spytałem.

— Chciałem ożywić strigoi, a może tego dokonać jedynie svarcolaci. Odkryłem jednak, że svarcolaci może być ożywiony tylko przez duchy kraju, z którego pochodzi.

W Ameryce nie ma rumuńskich duchów, jest zbyt daleko od Karpat. Plan Gheorghe Vlada, aby zniszczyć Indian, nigdy by się nie powiódł, bo dopóki nie miał świętej kości i mocy Dachihna, nie mógłby obudzić Vasile Lupa.

— Nigdy mi o tym nie opowiadałeś — wtrąciła się Jenica. — Nigdy nie mówiłeś, że znalazłeś trumny strigoi.

— Skarbie, znalazłem je wiele lat temu, ale po co miałbym ci o tym mówić, jeżeli nie znalazłem sposobu ich ożywienia?

— Po co? Jestem twoją córką! Twoim ciałem i krwią! Jestem półstrigoica!

— Jeżeli uważasz, że cię zwiodłem, to przepraszam. Nie byłem pewien, czy zaakceptujesz to, co zamierzałem. Jesteś taka podobna do swojej matki...

— Jak... zna...lałeś... tę kość? — Jenica była taka zła, że się jąkała.

— To było bardzo trudne, kochanie. Zajęło mi to ponad ćwierć wieku. Czasami byłem bliski załamania, ale nie rezygnowałem, wiedziałem bowiem, że jest to klucz do mojego wielkiego planu. W końcu odkryłem ją w prywatnej kolekcji w Pescagoula. Należała do starej kobiety, emerytowanej pani antropolog, która nie miała pojęcia, co to jest. Tylko ta święta kość mogła ożywić Vasile Lupa, ale tylko indiański szaman mógł znać rytuał, który sprawiłby, że zadziała. — Zaśmiał się niewesoło. — Mało jednak brakowało, aby po tych wszystkich latach mój wielki plan legł w gruzach. Nie mogłem znaleźć indiańskiego czarownika, który by wiedział, jak się do tego zabrać, i znał rytuał Dachihna. Przeczytałem wszystkie książki i artykuły na temat magu Apalachów, jakie udało mi się znaleźć, nie było w nich jednak niczego o ożywianiu zmarłych A potem nastąpił jedenasty wrzesień Oczywiście nic nie rozumiałem z tego, co się działo. Skąd miałem wiedzieć, że ogień w płonących wieżach World Trade Center spowodował, że duch Misquamacusa ponownie zlał się w jedno? Odkryłem to znacznie później, kiedy mogłem znów wejść do krypt pod kościołem Świętego Stefana. Gdy tylko tam wszedłem, poczułem się, jakby owiał mnie huragan. Misquamacus wniknął we mnie jak wichur i przemówił do mnie. Dał mi moc i wiedzę, jak używać kości, mogłem więc ożywić Vasile Lupa.

— Pakt z diabłem. — mruknąłem.

— Jeżeli chce pan to tak nazwać, to owszem, zawarliśmy umowę. Misquamacus

miał ożywić Vasile Lupa i ukryć się w jego wnętrzu. Vasile Lup nie chciał być budzony ze snu, ale nie miał wyboru. Zostawiłem w jego trumnie kość, aby nigdy nie mógł tam wrócić.

— I dał pan Misquamacusowi całą armię wampirów?

— No cóż... Strigoi miary się żywić krwią białych ludzi i wszystkich innych, których Misquamacus uważał za wrogów. Indianie mieli być oszczędzani. W ciągu kilku lat odzyskaliby swój kraj i mogliby żyć w nim bezpiecznie za dnia, a strigoi rządziłyby nim w nocy.

— Przyjemny scenariusz — prychnąłem.

Razvan Dragomir popatrzył na swoją córkę.

— To bardzo niedobrze, że musiałaś się w to włączyć, skarbie, z tym... człowiekiem. Mogła to być złota era dla nas, Indian i strigoi.

Podszedłem i trąciłem go kością. Cofnął się, jakbym potraktował go prądem.

— A więc ta kość może wzywać duchy z zaświatów i odsyłać je tam z powrotem?

— Nie bez rytuału Apelachów.

— Chyba nie potrzebuję rytuału Apelachów. Myślę, że wystarczy wsadzić tę kość tam, gdzie najbardziej boli. Może mógłbym zrobić z panem to samo, co robił ze swoimi wrogami Dracula, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Pchnąłem go ponownie końcem kości i niemal podskoczył, wywracając oczy jak epileptyk.

— Nie wiem, kim pan jest, ale nie może pan nic zrobić, aby powstrzymać strigoi. Są wszędzie i każdej nocy będzie ich więcej.

— Naprawdę? Tak się tylko panu wydaje. Ścigają je zabójcy potworów, wnukowie Zmiennej Kobiety, i wkrótce wytrapią wszystkie co do jednego i upieką. Nawet jeśli któremuś z nich uda się przeżyć, pozostać żywym umarłym czy jak to tam nazwać, co pańskim zdaniem robi Misquamacus, kiedy niemal wszyscy jego sojusznicy zostaną zlikwidowani?

— Zawarliśmy pakt. Mamy umowę. Indianie za dnia, strigoi w nocy.

— Może i ukrywa pan w sobie ducha Misquamacusa, ale nie wie pan, kto to jest. Naprawdę sądzi pan, że pozwoli przez całą noc szaleć po swojej cennej prerii zgrai

białych wysysaczy krwi? On wykorzystuje pana, przyjacielu. Używa pana, aby dokonać zemsty, a kiedy już się zemści, pan i pańskie wampiry pójdziecie do trumien, gdzie wasze miejsce.

— Milcz! — wrzasnął Razvan Dragomir. Jego twarz zaczęła się gwałtownie zmieniać, przybierając rysy Misquamacusa. Próbował złapać kość, ale odsunąłem ją na bok, po czym znów go nią kilka razy dźgnąłem. Za każdym razem dostawał lekkich drgawek. — Strigoi! — ryknął. — Potrzebuję was! Strigoi, weźcie tego człowieka! Jego krew jest wasza!

Cofnąłem się o krok. Woda już niemal całkiem spłynęła, pozostało jeszcze może jakieś parę centymetrów. Kiedy się cofałem, z lustra wody wysunęła się ręka i złapała mnie za kostkę. Po chwili wysunęła się druga — z kuchennym nożem, który wbił się w mój but i bok stopy. Nawet nie umiem opisać, jak cholernie zaboląło.

— Spadajcie! — krzyknąłem i zacząłem walić w atakujące mnie dłonie kością, nie zniknęły jednak, a obok nich zaczęły pojawiać się następne i następne. Po chwili ze trzydzięści dłoni trzymało mnie za nogi. Pękała na nich skóra i leciał z nich dym, ale mimo że paliło je słoneczne światło, wciągały mnie w dół. Nagle przypomniałem sobie, że przecież jestem półstrigoi, więc mogę przenikać przez powierzchnię zwierciadlanych odbić. Waliłem w dłonie kością, ale nie puszczały. Choć woda miała zaledwie kilka centymetrów głębokości, wkrótce byłem zanurzony w niej po pas.

— Jenico! — darłem się, ale kiedy spojrzałem tam, gdzie jeszcze niedawno stała, zobaczyłem, że ucieka. — Jenico!

Misquamacus podszedł bliżej.

— Zamierzam pozwolić tym krwiopijcom zabrać cię, dokądkolwiek zechcą, zarznąć jak bizona i opróżnić twoje żyły z krwi — powiedział. — Wtedy nakarmię twoim trupem kruki.

Rzucąłem się wściekle, ale rąk było zbyt wiele i były jak dla mnie zbyt silne. Po kolejnej minucie wciągnęły mnie w wodę do piersi i nie mogłem nawet swobodnie poruszać ręką, aby je uderzać kością. Wokół migotały noże, które dźgały mnie w pośladki, uda i plecy. Wyłem z bólu, a Misquamacus patrzył na mnie bez słowa.

— Jenico! — zawyłem, zniknęła jednak. Strigoi zaczynały już łapać mnie za

kołnierz koszuli.

— Pokonałeś mnie wiele razy, przyjacielu, ale nie pokonasz swojego przeznaczenia — oświadczył Misquamacus. — A twoim przeznaczeniem jest zginąć tutaj, pod tym skrawkiem nieba.

W tym momencie uświadomiłem sobie, dlaczego Jenica zniknęła. Musiała pobiec do ciała Susan Fireman, wzięła jej nóż i stała teraz za Misquamacusem, więc zobaczyłem ją dopiero wtedy, gdy jej ręka wysunęła się zza niego i nóż przejechał po jego gardle. Ot tak po prostu — jedno cięcie, z lewej na prawą. Potem Jenica się cofnęła. Miała przerażoną minę, jak rysunkowa postać z książki dla przedszkolaków.

Misquamacus jeszcze się we mnie wpatrywał, ale wyraz jego twarzy całkowicie się zmienił. Nie triumfował już. Uniósł rękę do szyi, a gdy krew zaczęła sikać mu na koszulę, jego twarz znów przybrała rysy Razvana Dragomira. Kiedy opadał na ziemię, nie był mściwym indiańskim czarownikiem, ale rumuńskim uczonym, ojcem Jenicy, zalanym krwią.

Równocześnie strigoi zaczęły mnie puszczać. Kiedy reszta wody spłynęła, zniknęły, jakby wessało je bagno. Klęczałem w błocie, miałem przesączone krwią spodnie, byłem cały mokry, kaszlałem i kłąłem.

Razvan Dragomir leżał pośrodku mokrego zielska, z rany na jego gardle tryskała krew, a oczy zachodziły mgłą.

Po chwili zaczęła się z niego unosić szklista, płynna postać, migocząca w słońcu, ogromna i tak zimna, że na zielsku zaczął się tworzyć lód, a powietrze, które wydychałem, zaczęło się skraplać. Misquamacus był niemal niewidoczny, ponieważ jego duch nie posiadał ekto plazmy.

Uniosłem świętą kość Dachilina.

— Całą mocą nadaną mi przez wolną Amerykę, w imieniu zwykłego humanitaryzmu, ku pamięci Śpiewającej Skały, w imieniu Zmiennej Kobiety i duchów przebaczenia nakazuję ci: wynoś się stąd!

Po chwili ujrzałem coś, co sprawiło, że do dziś mam nocne koszmary. Kiedy płynna postać Misquamacus rosła, przed moimi oczami przewijał się żywy kalejdoskop cierpienia i straszliwych okrucieństw. Widziałem demony i bogów.

Widziałem zbierające się stada kruków, tak wielkie, że przesłaniały całe niebo, i padające na ziemię stada bizonów. Oglądałem olbrzymią rzekę krzyczących ludzi, zabierającą nas w dal.

Wciąż machałem świętą kością, jakbym szedł do bitwy. Nagle rozległ się ssący odgłos, jakby ktoś wyciągał z powietrza cały tlen. Na ułamek sekundy wszystko się skurczyło, a potem usłyszałem potężny grzmot. Ogromna siła rzuciła mną do tyłu i uderzyłem o betonowe obramowanie stawu, obijając sobie ramię. Zaskoczony, rozejrzałem się. Misquamacus zniknął, a powietrze z wizgiem wypełniało puste miejsce.

Wstałem niepewnie i pokuśtykałem w górę trawnika. Jenica siedziała na ziemi z pochyloną nisko głową, cały czas trzymając w dłoni zakrwawiony nóż, którym podcięła gardło swemu ojcu. Kiedy stanąłem obok, spojrzała na mnie.

— Jesteś ranny. Krwawisz.

Słońce stało już wysoko nad drzewami, a szczątki ostatnich strigoi dopalały się na trawie. Ptaki znów zaczęły śpiewać, na dalekich polach pojawiły się krowy.

Pomogłem Jenicy wstać i nie odzywając się, poszliśmy w kierunku hotelu. Kiedy wchodziliśmy po schodach, przystanąłem, odwróciłem się i popatrzyłem na niebo.

— Co się stało? — spytała Jenica.

— Nie wiem. Chyba chciałem zobaczyć Boga.

[1] moron to w slangu „dureń”

[2] netsuke — mały przedmiot (z otworami) z drewna, kości słoniowej lub metalu, używany jako przetyczka do umocowania woreczka lub sakiewki do szarfy kimona

[3] CDC — Centers for Disease Control and Prevention (Ośrodki Zwalczania Chorób Zakaźnych) — składająca się z dwunastu ośrodków i biur agencja Ministerstwa Zdrowia USA, której zadaniem jest poprawa stanu zdrowia i jakości życia poprzez zapobieganie chorobom i ich zwalczanie

[4] amerykańska feministka

[5] Jesteś taki próżny, przebój Carly Simon